

STANISŁAW MICHALKIEWICZ



NAZIŚCI  
I SZABESGOJE

BIBLIOTEKA  
WOLNOŚCI 

© COPYRIGHT BY

Stanisław Michalkiewicz  
and 3S Media Sp. z o.o.

Redakcja:

*Tomasz Sommer*

Korekta i adjustacja:

*Maciej Jaworek*

Projekt graficzny okładki oraz wersja elektroniczna:

*Radosław Watras*

Skład i łamanie:

*Robert Lijka*

Zdjęcia: *Archiwum „NCzas!”*

ISBN: 978-83-61935-75-9

Wydawca:

3S MEDIA Sp. z o.o.

ul. Dembińskiego 16B

01-644 Warszawa

Zamówienia: tel. 731 555 039

Wydanie I

Warszawa 2018

Seria: Biblioteka Wolności





# WPROWADZENIE

Z radością przedstawiam Państwu już siódmą pozycję autorstwa Stanisława Michalkiewicza, jednego z najwybitniejszych publicystów prawicowych, wydaną w naszym wydawnictwie w serii „Biblioteka Wolności”. Tym razem prezentujemy teksty niemal pachnące świeżością, które powstały w latach 2017-2018. Przy czym, w porównaniu do poprzednich artykułów autorstwa p. Stanisława, które pisane były w formie felietonu - te są nieco inne. W większości nie odnoszą się bowiem do tzw. politycznej bieżączki, choć jest ona z reguły wprowadzeniem do poruszanego problemu, tylko szczegółowo analizują najważniejsze problemy polityczne, moralne i filozoficzne z jakimi mamy obecnie do czynienia w naszym, używając terminu Autora, „nieszczęśliwym kraju”. Najwyraźniej mamy ostatnio u redaktora Michalkiewicza do czynienia z nową formą, nawiązującą do klasycznego eseju.

Oczywiście eseje te pisane są, jak zwykle, w klasycznym już, niepowtarzalnym, michalkiewiczowskim stylu, zawierają myśli przewrotne, zestawienia szokujące, porównania zaskakujące – zawsze jednak prowadzące do odkrycia tej prawdy, którą liczni lewaccy macherzy politycznej poprawności starają się ukryć przed „gorszym narodem tubylczym”.

Jednym z przykładów takiego odkrywania jest esej „Adolf Hitler dobrze chciał”. Redaktor Michalkiewicz pokazał w nim, że lewacka praktyka aborcji i eutanazji oraz propaganda zmniejszania dzietności, nie różni się w istocie od działań przywódcy III Rzeszy – z jednym tylko wyjątkiem – otóż Hitler rozpoczął redukowanie ludności od Żydów, co okazało się zamachem na największą świętość, w istocie jednak w lewicowym sensie w gruncie rzeczy „dobrze chciał”, a lewica „chce dobrze” jak Hitler. Z tego powodu cała książka miała nawet nosić tytuł „Adolf Hitler dobrze chciał”, co jednak byłoby być może ładunkiem zbyt dużym dla wielu sieci dystrybucyjnych. Niech ten drobny przykład będzie zapowiedzią dynamitu jaki mają właśnie Państwo w rękach w postaci najnowszej książki Stanisława Michalkiewicza. Oby ten dynamit w końcu eksplodował!

*Tomasz Sommer,*

październik 2018 r.

# JUBILEUSZOWY DZIEŃ JUDASZYZMU

Jak tak dalej pójdzie, to nie Wrocław, tylko Poznań stanie się Europejską Stolicą Kultury – a to za przyczyną nieubłaganego postępu, który najwyraźniej tam jeśli jeszcze nie zwyciężył, to właśnie zwycięża. Świadczą o tym nie tylko Marsze Równości, w których ulicami miasta paradują sodomici płci obojga, demonstrując przy pomocy czynności konkludentnych swoje ulubione zabawy erotyczne, ale również Dni Judaizmu, które też są formą perwersji, tyle że nie cielesnej, a raczej intelektualnej.

A właśnie w stolicy Wielkopolski rozpoczęły się przygotowania do obchodów XX, jubileuszowego Dnia Judaizmu, więc warto przypomnieć, od czego wszystko się zaczęło.

W połowie lat dziewięćdziesiątych dialog z judaizmem przybierał formy raczej aluzyjne. W 1994 roku ośmiu polityków amerykańskich (m.in. Newt Ginrgich), wystosowało do ówczesnego sekretarza stanu Warrena Christophera list sugerujący, by Departament Stanu ostrzegł rządy krajów Europy Środkowej, że jeśli nie zadośćuczynią one żydowskim roszczeniom majątkowym, to stosunki USA z tymi krajami ulegną pogorszeniu. Ponieważ w 1994 roku wszystkie kraje Europy Środkowej na czele listy swoich politycznych priorytetów umieściły intencję przystąpienia do NATO, którego USA były i są politycznym kierownikiem, perspektywa pogorszenia stosunków z USA mogła oznaczać szlaban do Sojuszu. Toteż kiedy tylko za sprawą przecieku wspomnianego listu do amerykańskiej prasy intencje amerykańskie stały się jawne, polski rząd skierował do Sejmu

## PROJEKT USTAWY O STOSUNKU PAŃSTWA DO GMIN WYZNANIOWYCH ŻYDOWSKICH,

w następstwie której dziewięciu gminom żydowskim oraz nowojorskiej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego przekazany został dostęp do majątku w nieruchomościach o szacunkowej wartości około 7 miliardów dolarów.

Początkowo ten transfer miał być co najmniej o 3 mld dolarów wyższy, ale dzięki temu, że udało mi się przekonać jednego z posłów do zmiany pierwotnego zapisu projektu tej ustawy, Polska zaoszczędziła co najmniej 3 mld dolarów. Wskutek tego zostałem

przez Judenrat „Gazety Wyborczej” i rozmaitych szabesgojów okrzyknięty antysemitnikiem. Nie o to jednak chodzi, bo niezależnie od działań podejmowanych na odcinku państwowym, zostały też podjęte działania na odcinku kościelnym.

Dzień Judaizmu został proklamowany w 1997 roku, wkrótce po pielgrzymce, jaką delegacja Episkopatu Polski odbyła do Brukseli. Wcześniej, to znaczy przed tą pielgrzymką, prymas Józef Glemp bardzo krytycznie oceniał procesy laicyzacyjne, które już wtedy przebierały postać istnej bigoterii „laickości”, polegającej na usuwaniu wszelkich śladów chrześcijaństwa nie tylko z historii Europy, ale również z przestrzeni publicznej. Jednak po powrocie z tej pielgrzymki oświadczył, że

**PRZYŁĄCZENIE POLSKI DO UNII EUROPEJSKIEJ JEST  
„HISTORYCZNĄ KONIECZNOŚCIĄ”.**

Tę deklarację można traktować jednocześnie zarówno jako entuzjastyczną – bo cóż może być lepszego niż odgadnięcie w porę „historycznych konieczności” – ale również jako melancholijną – bo „historyczna konieczność” jest trochę podobna w nastroju do zatrzaśniętych za skazańcem bram więzienia i tylko ponury humorysta Hegel, dlaczegoś uchodzący za „filozofa”, uważał taki stan za ucieleśnienie wolności. Co tam prymas Glemp sobie wtedy myślał – tego już się nie dowiemy, podobnie jak tego, jakimi argumentami brukselscy biurokraci przekonali uczestniczących w pielgrzymce biskupów do *Anschlusu*, ale ważne jest, że właśnie wtedy musiała zapaść decyzja o proklamowaniu Dnia Judaizmu akurat w Polsce. Jaki ma on związek z żydowskimi roszczeniami wobec Polski – trudno zgadnąć, chociaż jakiś może mieć, ponieważ Dzień Judaizmu polega na tym, iż duchowieństwo Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce włącza się w propagowanie judaizmu, a więc zupełnie innej religii, a także żydowskiego przemysłu rozrywkowego.

Jak zauważyli już dawno wymowni Francuzi, *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas* – co się wyklada, że od wzniosłości do śmieszności jest tylko krok. I tak się właśnie stało przy okazji obchodów tegorocznego, jubileuszowego Dnia Judaizmu, któremu towarzyszy w charakterze motta cytata z proroka Jeremiasza:

„UWIODŁĘŚ MNIE PANIE, A JA POZWOLIŁEM SIĘ UWIEŚĆ”.

Zwłaszcza w Poznaniu, mieście Parad Równości urządzanych przez sodomitów i gomorytów, ten solenny cytat nabiera nieoczekiwanego podtekstu frywolnego. Świadczy o tym już samo „uwiedzenie”, w przypadku którego nie można pominąć frywolności, a cóż dopiero, gdy osoba uwiedziona tym uwodzicielskim zabiegiem się poddała? Tutaj od atmosfery frywolności wprost nie można się uwolnić, nawet jeśli dotyczy ona wyłącznie perwersji intelektualnej. A tak właśnie jest – o czym świadczą choćby cytowane przez Katolicką Agencję Informacyjną opinie pani Magdaleny Tomczak ze stowarzyszenia COEXIST, które oprócz półksiężycy i Gwiazdy Dawida umieszcza w swojej nazwie również krzyż.

Przypomina to atmosferę, jaka musiała panować w barze COCOFLI, w którym, według Leszka Kołakowskiego, miała zacząć się historia Hioba. COCOFLI było skrótem następujących pojęć: Coexistence, Cooperation, Friendship, Love, Identity. W tym właśnie barze bywał Jehowa, a niekiedy zachodził tam też i Szatan. Z przypadkowego spotkania wyniknął zakład, z którego Leszek Kołakowski wyprowadził wiele morałów, między innymi i ten, że ludzie prości mają wiele powodów, by wystrzegać się nawet przyjaznych przekomarzań między możnymi. Więc pani Tomczak nie tylko zwyczajowo twierdzi, że bez judaizmu nie moglibyśmy zrozumieć Nowego Testamentu, ale tak dobrze chce, że twierdzi nawet, iż bez Żydów nie moglibyśmy zrozumieć nawet kultury polskiej. Wyobrażam sobie, jak musi cieszyć się z tego Judenrat „Gazety Wyborczej”, który i bez tego uważa, że najlepiej nadaje się na objaśniacza mniej wartościowemu narodowi tubylczemu jego kultury, ale nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogłoby być jeszcze lepiej, więc skoro pani Tomczak tak twierdzi, to niech jej będzie na zdrowie.

Inna sprawa, że ta chwalebna gorliwość pani Tomczak rodzi pewne wątpliwości natury teologicznej; chrześcijanie bowiem wierzą, że pełnia Objawienia nastąpiła właśnie w Chrystusie, a więc w chrześcijaństwie. Tymczasem pani Tomczak utrzymuje, że bez judaizmu tego całego chrześcijaństwa w ogóle nie można pojąć, a zatem cóż to za „pełnia”, skoro dla jej zrozumienia musimy używać rozmaitych protez? Ale – jak to pisał Franciszek Maria Arouet zwany Voltaire – „kiedy Padyszachowi wiozą zboże, kapitan nie troszczy się,



jakie wygody mają myszy na statku” – a cóż dopiero, jakie trapią je wątpliwości?

Ale mniejsza o wątpliwości, bo ciekawsza wydaje się dysputa między JE abp. Stanisławem Gądeckim a panem prof. Janem Grosfeldem, którzy będą próbowali odpowiedzieć na pytanie:

**„DLACZEGO CHRZEŚCIJANIE POTRZEBUJĄ ŻYDÓW?”.**

Po pierwsze dlatego, że pytanie zostało chyba sformułowane niefortunnie, jako że zakłada ono, iż chrześcijanie naprawdę Żydów do czegoś potrzebują. Tymczasem dotychczas bywało raczej odwrotnie: Żydzi potrzebowali chrześcijan w charakterze tzw. szabesgojów, w dość szerokim zresztą rozumieniu tego słowa.

Karol Olgierd Borchardt wspomina, jak to będąc oficerem na transatlantyku „Polonia”, pływającym na linii palestyńskiej z rumuńskiej Konstancy do Hajfy, spotkał pewnego razu na korytarzu wzburzoną delegację Żydów z rabinem na czele. Okazało się, że delegacja trafiła do kapitana Mamerta Stankiewicza z zamiarem zakupu statku. Na zdumienie kapitana zaskoczono go ofertą przewodniczący delegacji rabin odpowiedział, że oni „zawsze” kupują statek. Zdumienie kapitana było tym większe, że – jak wyjaśnił swoim rozmówcom – statek można kupić tylko raz, więc w jaki sposób oni „zawsze” go kupują? Na to rabin zapytał, czy on, znaczy kapitan, tym razem chce więcej pieniędzy. Na to coraz bardziej zirytowany kapitan zapytał, dlaczego właściwie chcą kupić statek. Rabin wyjaśnił, że właśnie zbliża się szabas, kiedy Żydom nie wolno podróżować. Kiedy kupią statek, będą u siebie w domu. Na to oburzony Mamert Stankiewicz oświadczył, że on do spółki z nimi nie będzie oszukiwał ichniego Pana Boga. Nic tak nie gorszy jak prawda, więc rozwścieczony rabin wybuchnął: „Uj, jak pan wiele o sobie myśli! Pan Bóg nie ma nic lepszego do roboty, tylko patrzeć, co pan o Nim myśli! Ja takiego zarozumiałego człowieka jeszcze nie widziałem!”. W rezultacie kapitan wyrzucił delegację za drzwi i dopiero Borchardt wybawił ją z kłopotu, wyjaśniając, że pomylili drzwi i zamiast do intendenta, który za każdym razem sprzedawał im statek za 10 groszy, trafili do kapitana. Wydaje się tedy, że pytanie powinno być sformułowane inaczej: do czego chrześcijanie potrzebują Żydów? Myślę, że odpowiedź na takie pytanie mogłaby być znacznie ciekawsza

niż odpowiedź na pytanie sugerujące, iż Żydzi są chrześcijanom koniecznie do czegoś potrzebni, niczym łaska Boska do zbawienia.

No i wreszcie sprawa owego „uwiedzenia” o którym wspomina motto tegorocznego Dnia Judaizmu. Niezależnie od okoliczności towarzyszących uwodzeniu – to znaczy intencji uwodzącego, nadziei osoby uwiedzionej i różnych innych drobiazgów – istotny jest też rezultat uwiedzenia w postaci potomstwa. Cóż może pojawić się w następstwie uwiedzenia chrześcijan przez sprytnych reprezentantów judaizmu? A cóż by innego, jeśli nie

### ŻYWA CERKIEW

przy pomocy której sprytni funkcjonariusze judaizmu próbują rozłożyć chrześcijaństwo? Na ten trop wskazuje nie tylko to, że do „dialogu z judaizmem”, czyli Żywej Cerkwi garną się przede wszystkim duchowni, co do których pojawiały się w przeszłości podejrzenia, że – oczywiście „bez swojej wiedzy i zgody” – zostali zarejestrowani przez SB w charakterze tajnych współpracowników, ale przede wszystkim to, że pod wpływem wspomnianego „dialogu”, być może dyskretnie wspieranego złotem słynnego grandziarza, Zmartwychwstanie Chrystusa powolutku przestaje być uważane za fakt historyczny, tylko za specyficzny stan ducha apostołów, którzy tak byli spragnieni zmartwychwstania, aż z tego spragnienia zaczęło im się to i owo wydawać. W tej sytuacji trudno mówić o jakichś „dniach judaizmu”. Bardziej pasowałaby do nich nazwa „dni judaszizmu” – choćby z tego względu, że Pan Jezus ponownie jest wtedy sprzedawany – z tą różnicą, że tym razem chyba za cenę znacznie wyższą od 30 srebrników.

„NCz!” 3-4/2017

## ROZWIJAMY SIĘ SPIRALNIE

Filozofowie – może nie wszyscy, ale przynajmniej niektórzy – utrzymują, że proces dziejowy rozwija się spiralnie. Nie wiadomo, czy to prawda, czy na przykład proces dziejowy w ogóle się „rozwija” i co to miałyby konkretnie znaczyć – ale jeśli on się już rozwija, ten proces dziejowy, to dlaczego nie miałby rozwijać się spiralnie?

Gdyby tedy rozwijał się spiralnie, to by znaczyło, że co pewien czas proces dziejowy jakby się powtarzał, tylko w nieco większym zakresie i w nieco większej skali. To nie jest wykluczone, zwłaszcza gdy przyjrzymy się rozwojowi „dobrej zmiany” w naszym i tak przecież już nieszczęśliwym kraju. Grzegorz Braun na przykład nazywa obecną ekipę „zoliborską grupą rekonstrukcji historycznej przedwojennej sanacji”. Jak wiadomo, przedwojenna sanacja dążyła do rozciągnięcia kontroli ze strony „państwa”, czyli ze strony państwowej biurokracji, nad wszystkimi segmentami życia nie tylko gospodarczego czy politycznego, ale w ogóle życia publicznego. Zilustrował to pragnienie Konstanty Ildefons Gałczyński w wierszu „Zima z wypisów szkolnych” – bo wpajanie przekonania, że tak będzie najlepiej i w ogóle że inaczej być po prostu nie może, sanacja rozpoczynała od najmłodszych lat. „Któż to tak śnieżkiem prószy z niebiosów? Dycь oczywiście pan wojewoda! Módl się dziecino z całą krainą, niech Bóg mu siły doda. Śnieżkiem poprószyl, śnieżek poruszył, dobry pan wojewoda” – pisał Gałczyński.

Ukoronowaniem tych wszystkich zabiegów był art. 4 konstytucji z 1935 roku, tak zwanej „kwietniowej”, który w ustępie 1 stwierdzał, że „w ramach Państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa”. „W ramach Państwa” – to znaczy, że życie społeczne zostaje ujęte w „ramy” wyznaczone przez „państwo”, czyli urzędników, którzy też stanowią dla niego „oparcie”, to znaczy określają również treść tego „życia”. W skutkach jest to bardzo podobne do formuły Mussoliniego: „wszystko w państwie, nic poza państwem, nic przeciwko państwu”. Jest oczywiste, że przy takiej historycznej rekonstrukcji „państwa”, to znaczy urzędników, będących wszak reprezentantami „państwa”, musi być coraz więcej. No i będzie, a jak będzie, to przecież żaden z nich nie będzie kęsał ręki, która daje mu chleb, dzięki czemu demokracja

stanie się jeszcze bardziej przewidywalna. Ta właśnie perspektywa tak irytuje przeciwników Jarosława Kaczyńskiego, którzy zgrzytają zębami na myśl, że to on, a nie oni, wcześniej wpadł na ten pomysł. No dobrze – ale na co liczy pan prezes Jarosław Kaczyński? Myślę, że pragnie zbudować sobie pomnik trwalszy od spiżu w sercach wdzięcznych rodaków. Gdyby tak – jak kiedyś sugerowałem – poślubił Julię Tymoszenko i założył dynastię, to musiałby myśleć inaczej, to znaczy w dłuższej perspektywie, podczas gdy w sytuacji gdy żadnej dynastii nie ma – tylko w perspektywie własnego życia, po którym choćby potop. Nawet powinien on nastąpić, bo wtedy z tym większym sentymentem ludzie będą wspominali błogosławione czasy prezesa Kaczyńskiego, podobnie jak dzisiaj wspominają błogosławione czasy Edwarda Gierka, który za pożyczone pieniądze też stworzył iluzję dobrobytu na kilka lat.

I właśnie w dniach ostatnich miało miejsce wydarzenie, którego skutki – nie wiadomo jeszcze, jak bardzo odległe – nie tylko mogą potwierdzić spiralny rozwój procesu dziejowego, ale i doprowadzić do wstrząsów zapowiadających nadchodzący potop. Nawiasem mówiąc, na taki właśnie rozwój wypadków wskazuje inny wiersz Gałczyńskiego, „Mira uważaj”, w którym czytamy: „A potem Adam i cholera, a potem Juliusz i suchoty. O filareci, biedne dzieci, kochany kraju złoty (...)”. Więc w dniach ostatnich rząd za 100 mln złotych odkupił Stocznię Szczecińską – w charakterze nabywcy podstawiając fundusz inwestycyjny „Mars”, będący częścią Polskiej Grupy Zbrojeniowej, skupiającej ponad 60 spółek, przeważnie państwowych. Przy tej okazji pan minister Kowalczyk, przewodniczący Komitetu Stałego Rady Ministrów, ujawnił, że celem rządu jest „odejście od prywatyzacji, aby budować majątek narodowy”. I słusznie, bo na takim „majątku narodowym” to niejeden się pożywi, a melasy nigdy nie zabraknie, niczym we flaszce-niedopitce, bo nawet gdyby zabrakło, to przecież zawsze można zasilić się z zasobów obywateli, który w dodatku będą myśleli, że to wszystko dla ich dobra. Pan minister Kowalczyk odgraża się, że „do marca” wypracowany zostanie „nowy model zarządzania” tymi spółkami, a na początek ma zostać powołana Rada Spółek – znaczy się taki ogólnopolski gospodarczy Sowiet. Słowem: zgodnie z koncepcją spiralnego rozwoju procesu dziejowego wkraczamy w etap

renacjonalizacji gospodarki, czyli budowania socjalizmu. Wprawdzie z sowietami, ale bez złego Putina – czyli dążymy do socjalizmu własną, polską drogą, jak to w słynnej „Rozmowie w kartoflarni” deklarował ukraińskiemu poecie Tarasowi towarzysz Wiesław: „Do socjalizmu mam polską drogę i naśladować was wprost nie mogę (...), nie chcę budować w stepie baraków, będę więzienia wznosił z pustaków!”.

Ale skoro już widać, że jesteśmy skazani na spiralny rozwój procesu dziejowego, to prawdopodobnie tego samego dnia, kiedy rząd, za pośrednictwem wspomnianego funduszu, stał się odkupicielem Stoczni Szczecińskiej, Stare Kiejkuty pozyskały do tajnej współpracy skromnego pracownika tej stoczni, nadając mu pseudonim operacyjny „Bolek”. Co prawda – jak to niedawno ujawnił były prezydent naszego nieszczęśliwego kraju Lech Wałęsa, który najwyraźniej przypomniał sobie kolejną „koncepcję” – „Bolek” to nazwa modelu urządzenia podsłuchowego, jakim posługiwała się SB, ale co to komu szkodzi nadać taki pseudonim konfidentowi? Szkoda, że Muzeum Szpiegów w Waszyngtonie nie ma takiego urządzenia, chociaż nasz nieszczęśliwy kraj został tam udelektowany specjalnym pomieszczeniem, w którym rezyduje Feliks Dzierżyński. Czy pan generał Czempiński, w dowód wdzięczności za wciągnięcie Starych Kiejkutów na listę „naszych sukinsynów”, nie mógłby przekazać tam chociaż jednego egzemplarza tego modelu? Ale mniejsza z tym, bo ważniejszy jest przecież spiralny rozwój procesu dziejowego. Otóż kiedy w miarę postępów socjalizmu ponownie zacznie w naszym nieszczęśliwym kraju zaostriąć się walka klasowa, w ramach której rozbudowana w międzyczasie „klasa robotnicza” ponownie zacznie się buntować przeciwko swoim przedstawicielom, „Bolek” zostanie podwieszony motorówką Marynarki Wojennej pod płot, żeby go przeskoczył i „obalił komunizm”. Oczywiście nie od razu, bo najpierw „społeczeństwo obywatelskie”, zamiast „palić komitety”, zacznie zakładać własne, od czego wytworzą się w naszym nieszczęśliwym kraju dwa ośrodki władzy, w następstwie czego nie będzie innej rady jak suwerenną decyzją wprowadzić stan wojenny. Pod osłoną surowych jego praw nomenklatura znowu zacznie uwłaszczać się na „majątku narodowym”, a w strukturach podziemnych zostanie przeprowadzona surowa selekcja kadrowa pod kątem eliminacji wszystkich

przeciwników socjalizmu. Chodzi o to, że kiedy zostanie podana „dobra wiadomość”, iż oto znowu „upadł komunizm”, żeby od razu można było przystąpić do jego mozolnej odbudowy, zgodnie z koncepcją spiralnego rozwoju procesu dziejowego.

*„NCz!” 6/2017*

# GOSPODARSKA WIZYTA W MAŁYM ŻYDOWSKIM MIASTECZKU

S koro okazało się, że bezkrólewie w Stanach Zjednoczonych nie było aż tak głębokie, jak uważano w Berlinie, i Mocna Dłoń wcisnęła hamulec, w następstwie czego kombinacja operacyjna mająca na celu doprowadzenie do politycznego przesilenia i ponownego osadzenia w charakterze lidera politycznej sceny ekspozytury Stronnictwa Pruskiego spaliła na panewce, nie było rady jak otrąbić bolesny powrót do rzeczywistości i pogodzić się z istnieniem Jarosława Kaczyńskiego.

Toteż trąbka w „Die Welt” zatrąbiła do odwrotu na z góry upatrzone pozycje, zaś Nasza Złota Pani przybyła z gospodarską wizytą do „małego żydowskiego miasteczka na niemieckim pograniczu”, żeby na czas *pieriedyszki* ustanowić jakiś *modus vivendi* z Jarosławem Kaczyńskim – oczywiście do następnego razu. To „uznanie *de facto*” musiało chyba nieco zawrócić panu prezesowi w głowie, bo w wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” zaczął snuć marzenia o „Europie” jako „mocarstwie atomowym”, co w niemieckich uszach musiało zabrzmieć niczym muzyka najwyższych sfer nieba empirejskiego, ale Nasza Złota Pani niezwłocznie sprowadziła go na ziemię, na dwa dni przed przyjazdem do Polski oświadczając się z poparciem dla „Europy dwóch prędkości”.

„Europa dwóch prędkości” to inna nazwa powrotu do koncepcji „Festung Europa”, gdzie decyzje zapadałyby w ścisłym gronie fortecznej załogi, a następnie przekazywane byłyby do wykonania peryferiom – do których zalicza się również nasz nieszczęśliwy kraj. Z reakcji rządowej telewizji w Warszawie na tę deklarację można było domyślić się, jak bardzo sfery rządowe zostały zaskoczone. A nie powinny – bo przecież zarówno pani premier Beata Szydło, jak i sam pan prezes wielokrotnie w ciągu ostatniego roku wspominali o konieczności zmian w funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Najwyraźniej nie dopuszczali do głowy możliwości takiego obrotu sprawy, a poza tym – widać, że zwyczajnie nie mieli żadnego alternatywnego pomysłu, a tylko puszczali takie bąki, żeby było

ładniej, to znaczy żeby wyznawcy pana prezesa mogli się nasładzać, patrząc, jak rozstawia całą Europę po kątach. Nawiasem mówiąc, pani premier Szydło na pierwszej konferencji prasowej zasadniczo nie sprzeciwiała się pomysłowi „Europy dwóch prędkości”; najwyraźniej nie zdążyła skonsultować tej sprawy z Naczelnikiem Państwa i dopiero wieczorem się wyjaśniło, że Polska „nigdy” się na to nie zgodzi. Jak wiadomo, kiedy premier Mikołajczyk powiedział Winstonowi Churchillowi, że Polska „nigdy” nie zgodzi się na oddanie Wilna i Lwowa, angielski premier odparł, że „nigdy”, to jest takie słowo, którego nikomu nie można zabronić wymawiać. Z wywiadu, jakiego udzielił prof. Ryszard Legutko, który wraz z prof. Krasnodębskim uczestniczył w rozmowie Naszej Żłotej pani z prezesem Kaczyńskim, wynika, że Nasza Żłota Pani raczej niechętnie odniosła się do pomysłu rewizji traktatów unijnych, podobnie jak prezes Kaczyński do pomysłów przywrócenia w Unii Europejskiej pruskiej dyscypliny. Ale ogólnie „atmosfera” była podobno „dobra”, chociaż wydaje się, że Nasza Żłota Pani musiała jeszcze coś stanowczego powiedzieć, skoro pani premier Szydło obiecała udzielić odpowiedzi na „zalecenia”, jakie w lipcu ub. roku przekazała Polsce w trybie ultymatywnym Komisja Europejska. Termin na udzielenie odpowiedzi upłynął, jak wiadomo, 27 października, ale Niemcy, w odróżnieniu od naszego nieszczęśliwego kraju, są państwem poważnym, to znaczy takim, które o niczym nie zapomina, więc ciekawe, jakiego klucza użyła Nasza Żłota Pani do podkręcenia pani premier Beaty Szydło w tej sprawie. Tak czy owak, widać wyraźnie, że Berlin nie rezygnuje z żadnego instrumentu do podtrzymywania w Polsce politycznej wojny.

W tej sytuacji nie dziwi ostentacja, z jaką Nasza Żłota Pani zaprosiła na rozmowę przedstawicieli opozycji – to znaczy Platformy Obywatelskiej i PSL – do Ambasady Republiki Federalnej Niemiec. Najwyraźniej Nasza Żłota Pani musiała dojść do wniosku, że nie ma co zadawać sobie trudu z zachowywaniem pozorów, przeciwnie – trzeba pokazać nie tylko niemieckiej, ale i polskiej opinii publicznej, jak wyglądają wzajemne relacje. Co więcej – zarówno pan przewodniczący Schetyna, jak i pan prezes Kosiniak-Kamysz musieli pogodzić się z rolą owczarków niemieckich, niczym ów Bryś z mickiewiczowskiej bajki o psie i wilku, bo przecież mogło być jeszcze gorzej. Oto sprytny pan



Rysio z Nowoczesnej nie został zaproszony w ogóle, co pokazuje, że nawet do roli owczarka niemieckiego trzeba dorosnąć. Poza tym w Berlinie też coś tam muszą przecież wiedzieć, więc pewnie wiedzą, że partia pana Rysia to wydmuszka Starych Kiejkutów. W jakim zatem celu Nasza Złota Pani miałaby awansować sprytnego pana Rysia choćby do rangi owczarka niemieckiego, kiedy w jej oczach nie jest on nawet kundlem? Podobnie nikt nawet się nie zająknął na temat przyjęcia na audyencji któregoś z płomiennych obrońców demokracji, skupionych przez Starych Kiejkutów w KOD-zie. Przypuszczam, że nie tylko dlatego, iż byłyby to zbytnia ostentacja wobec prezesa Kaczyńskiego, ale również dlatego, że w Berlinie muszą pamiętać opinię Fryderyka II, że wprawdzie można posługiwać się kanaliami, ale nie wolno się z nimi spoufalać. I wreszcie sprawa Donalda Tuska, który w kombinacji operacyjnej mającej na celu doprowadzenie do przesilenia politycznego w Polsce miał wyznaczoną rolę kandydata na prezydenta naszego bantustanu, ale kiedy kombinacja („taka, panie, kombinacja” – jak zwykł mawiać Antoni Lange) operacyjna spaliła na panewce, został zawrócony na z góry upatrzone pozycje, których zajęcie wymaga jednak wsparcia również ze strony rządu tubylczego. Ponieważ wiadomo, że wytarzanie Donalda Tuska w smole i pierzu jest jednym z ważnych priorytetów politycznych prezesa Kaczyńskiego, trudno sobie wyobrazić, że kiedy Nasza Złota Pani, pilotująca przecież karierę Donalda Tuska, zdradziła się, że zależy jej na powodzeniu tych starań, musiał natychmiast postawić warunki. Jakie – tego z komunikatu niepodobna się dowiedzieć, ale rąbka tajemnicy uchylił europoseł Ryszard Czarnecki, ujawniając, że Donald Tusk powinien osobiście zwrócić się do polskiego rządu z prośbą o poparcie. Znaczący – sam musi wytarzać się w smole i pierzu, a potem się zobaczy. Okazuje się, że nasz nieszczęśliwy kraj do końca w Unii Europejskiej suwerenności nie stracił i – co prawda tylko w sprawie wytarzania Donalda Tuska w smole i pierzu – jeszcze możemy negocjować. Cóż dopiero, gdyby jeszcze udało się doprowadzić do „reorganizacji”, chociaż oczywiście nie takiej, o jakiej wspominała Nasza Złota Pani, tylko takiej, jaką pielęgnuje *in pectore* pan prezes Kaczyński. Miejmy nadzieję, że ta świetlana wizja kiedyś zostanie objawiona również i nam.

„NCz!” 8/2017

# MANIFEST SOCJALISTYCZNY

Prezes Jarosław Kaczyński w wykładzie wygłoszonym w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu przedstawił swoje poglądy na państwo, własność i rynek, które w największym skrócie można określić jako Manifest Socjalistyczny.

Na pierwszym miejscu prezes Kaczyński postawił „państwo”, dając do zrozumienia, że nie tylko w znaczeniu – jak to nazwał – „przyczynowo-skutkowym”, ale również chronologicznym. Wydaje się, że taki pogląd jest błędny również przez to, że jest prawdopodobnie ahistoryczny. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, własność, rozumiana jako władza nad rzeczą, a także rynek, jako wymiana dóbr, zaistniały wcześniej niż państwo. Jakiś człowiek oswoił dzikiego konia i przez to zyskał nad nim władzę. To był jego koń i to wcale nie dlatego, że jakieś „państwo” o tym zdecydowało, tylko dlatego, że to on schwytał i ujeździł tego konia, nabywając władzę nad nim dzięki włożonej w to pracy. Podobnie rolnik, który wyhodował zboże, posiadał nad nim władzę w postaci możliwości zrobienia zeń użytku według własnej woli nie dlatego, że jakieś „państwo” mu tę władzę nadało, tylko dlatego, że to on je wyhodował, to znaczy włożył w jego wyhodowanie swoją pracę. To jest legitymacja własności, a nie – jak to z rozbijającą szczerością powiedziała w rozmowie z Robertem Mazurkiem ówczesna faworyta prezesa Kaczyńskiego, pani Elżbieta Jakubiak – „zaświadczenie” wydane przez urząd. Dlatego właśnie właściciel ma władzę nad rzeczą, to znaczy możliwość zrobienia z niej użytku, jaki sam uważa za stosowny. Skoro tak, to może swoją rzecz również wymienić na cudzą, jeśli właściciel innej rzeczy też wyrazi taką intencję. Spotkanie takich dwóch właścicieli i osiągnięte przez nich porozumienie w sprawie wymiany należących do nich rzeczy tworzy rynek. Jak widzimy, wbrew temu, co mówił pan prezes Kaczyński, „państwo” wcale nie było i nie jest potrzebne ani do powstania własności, ani do zaistnienia wymiany rzeczy, czyli rynku. Przykład z sarną, wilkami, niedźwiedziem i tygrysem wcale nie dowodzi ani konieczności istnienia państwa, ani – tym bardziej – jego pierwotnego charakteru względem własności i rynku. Jeśli ma cokolwiek dowodzić, to najwyżej tylko tego, że pan prezes

Kaczyński nie rozumie, o czym mówi.

### W IGNORANCJI JEST METODA

Ale chociaż nie rozumie, to w tej ignorancji jest metoda. Nadawanie „państwu” charakteru pierwotnego zarówno względem własności, jak i rynku jest prezesowi Kaczyńskiemu potrzebne do uzasadnienia konieczności pierwszeństwa „państwa” nad gospodarką, to znaczy wytwarzaniem i wymianą dóbr. W takim razie, wzorem Wojskiego z „Pana Tadeusza”, wypada nam „rozebrać z uwagą”, co to właściwie jest to całe „państwo”. Otóż jeśli eliminujemy po kolei niekonieczne jego cechy, bez których nadal rozpoznajemy w nim „państwo”, na samym końcu pozostaje nam monopol na przemoc. „Państwo” bez przemocy istnieć nie może, bo „państwo” jest zorganizowaną przemocą. O ile właściciele i uczestnicy rynku funkcjonują w stosunkach wzajemnych w ten sposób, że wysuwają wobec siebie nawzajem propozycje, to „państwo” żadnych propozycji wobec nikogo nie wysuwa. „Państwo” wydaje rozkazy, a ich wykonanie wymusza siłą. Państwo monopolizuje przemoc, podobnie jak właściciel monopolizuje władzę nad rzeczą – i z tym „towarem” wchodzi na rynek, ale nie po to, by cokolwiek wymieniać, tylko po to, by zawłaszczać. Ponieważ rozsądek, a także hipokryzja nakazuje udrapowanie przemocy w jakiś kamuflujący kostium, „państwo” chętnie drapuje się w kostium sprawiedliwości. To nawet nie musi być zawsze całkiem odległe od prawdy, bo „państwo” gwoli ochrony własnego monopolu na przemoc zwalcza wszystkich innych amatorów używania przemocy, a niekiedy nawet bywa, że używa własnej przemocy w służbie sprawiedliwości. Wszelako – jak mówi poeta – „rzadkość to wielka i obrosła mitem”, o którym pan prezes Kaczyński nawet w swoim wykładzie wspomniał, to znaczy mitem „sprawiedliwości społecznej”.

Warto zatrzymać się chwilę nad pojęciem sprawiedliwości, bo od sposobu jego rozumienia bardzo wiele zależy – również model państwa i model systemu prawnego. Sprawiedliwość możemy rozumieć na dwa sposoby. Pierwszy – jako idealny model stosunków społecznych, wyrażany przez marksistowską formułę: „od każdego według jego możliwości, każdemu – według potrzeb”. Żeby praktykować sprawiedliwość według tej formuły, musimy dokładnie znać zarówno możliwości, jak i potrzeby. Z potrzebami sprawa jest

prosta; każdy może sam je określić. Inna sprawa, czy należy takie deklaracje przyjmować bezkrytycznie, bo wiadomo, że ludzie mają skłonność do wyolbrzymiania swoich potrzeb. Znacznie gorzej jest z możliwościami; rzadko kiedy ludzie znają nawet własne możliwości – a tymczasem musimy mieć w tym względzie wiedzę pewną, bo w przeciwny razie nie moglibyśmy praktykować sprawiedliwości. W tej sytuacji nie ma innej rady, jak wyposażyć kogoś (a kogóż można wyposażyć w taką kompetencję, jeśli nie „państwo”, które tylko na to przecież czeka?) w uprawnienie arbitralnego decydowania zarówno o „możliwościach”, jak i „potrzebach”. Oznacza to, że jeśli nawet w takiej sytuacji można by praktykować sprawiedliwość, to jednak za cenę zamordowania wolności, bo skoro czyjeś decyzje w kwestii możliwości i potrzeb musiałyby być przyjęte „powszechnie i bez zastrzeżeń”, to znaczy, że wolności, rozumianej jako swoboda wyboru, już nie ma. Okazuje się, że przy tej formule możemy albo myć ręce, albo myć nogi; albo praktykować sprawiedliwość – ale bez wolności, albo zachować wolność – ale już bez sprawiedliwości. Na szczęście jest inny sposób rozumienia sprawiedliwości – formuła autorstwa Ulpiana Domicjusza, według której *iustitia est firma et perpetua voluntas suum cuique tribuendi*, co się wyklada, że sprawiedliwość jest to niezłomna i stała wola oddawania każdemu, co mu się należy. No dobrze – ale skąd właściwie możemy wiedzieć, co się komu należy? To proste – każdy może to zadeklarować. No tak – ale czy takie deklaracje można traktować bezkrytycznie? Jasne, że nie – zatem wszystko zależy od tego, czy istnieje sposób obiektywnego weryfikowania takich deklaracji, możliwy do zastosowania w skali społecznej. I taki sposób istnieje, właśnie w postaci umów. W umowach kontrahenci przedstawiają sobie nawzajem deklaracje oczekiwań i jeśli dochodzi do zawarcia umowy, to znaczy, że te wzajemne oczekiwania zostały przez samych zainteresowanych uznane za uzasadnione. Jak widzimy, przy tej formule sprawiedliwość można praktykować na razie bez udziału państwa, podczas gdy przy formule poprzedniej pojawiło nam się ono na samym początku w całej swojej grozie i bezwzględności. Czy zatem państwo jest w ogóle niepotrzebne? Nie, bo zdarzają się przypadki nadużycia zaufania. Wtedy państwo może wkroczyć i całą swoją siłą zmusić nielojalnego kontrahenta do wykonania tego, do

czego dobrowolnie się zobowiązał. Ale nie wcześniej! Państwo ze swoją przemocą nie powinno wkraczać w fazie, gdy kontrahenci negocjują umowę, bo w takiej sytuacji nie mielibyśmy już pewności, czy wzajemna weryfikacja oczekiwań jest aby autentyczna; czy kontrahent zgodził się na ofertę, bo jest do niej przekonany, czy dlatego, że został zastraszone. Jediną gwarancją autentyczności weryfikacji wzajemnych oczekiwań jest dobrowolny charakter umowy, a to oznacza, że przy tym sposobie rozumienia sprawiedliwości może być ona praktykowana jedynie w warunkach wolności. Najwyraźniej formuła Ulpiana Domicjusza jest lepsza niż formuła Karola Marksa, a z niej możemy wyprowadzić zarówno wolnościowy model państwa, które ogranicza się do bycia strażnikiem umów prywatnych, jak i wolnościowy model ustawodawstwa, w którym sami kontrahenci ustanawiają prawa między sobą, a państwo udziela im sankcji.

#### PAŃSTWO ÜBER ALLES

Tymczasem pan prezes Kaczyński, eksponując „państwo” jako źródło własności i organizatora rynku, forsuje zupełnie inny model państwa i inny model ustawodawstwa. O ile wcześniej można było tylko podejrzewać, że jego ideałem jest przedwojenna sanacja, to po toruńskim wykładzie mamy w tym względzie całkowitą pewność. Model państwa według prezesa Kaczyńskiego doskonale wpisuje się w artykuł 4 ust. 1 konstytucji kwietniowej z 1935 roku, gdzie czytamy, że „w ramach państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa”. To znaczy, że to „państwo”, a więc urzędniczy aparat państwa, wyznacza owe „ramy” i metodami władczymi „kształtuje” w ich obrębie nie tylko stosunki gospodarcze, ale całe „życie społeczeństwa”. Według ust. 2, to „państwo” zapewnia mu (tj. społeczeństwu – S.M.) „swobodny rozwój”, a gdy dobro powszechne wymaga, nadaje mu kierunek lub normuje jego warunki. Nie ulega wątpliwości, że ocena, czy „dobro powszechne” czegoś wymaga, czy nie, należy do wyłącznych kompetencji „państwa”, które wtedy „nadaje kierunek” całemu społeczeństwu. Czy w sytuacji gdy „państwo”, działając w sposób sobie właściwy – to znaczy rozkazując i wymuszając spełnienie swoich rozkazów siłą – „nadaje kierunek”, można jeszcze mówić o „swobodnym rozwoju”?

W tym kontekście przedstawiony przez ministrów rządu pani

premier Beaty Szydło program „repolonizacji”, będący w istocie programem renacjonalizacji gospodarki, nie pozostawia wątpliwości, że długofalowym celem Prawa i Sprawiedliwości jest przywrócenie w Polsce ustroju socjalistycznego, tyle że bez Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Bardzo możliwe, że prezes Kaczyński wyczuł tęsknotę znacznej części polskiego społeczeństwa za państwem socjalistycznym, w którym „czy się stoi, czy się leży”, każdy jakoś tam spadnie na cztery łapy. Warto zwrócić uwagę, że ci, którzy nie bali się wolności, w większości z Polski wyjechali, a tym, którzy zostali, socjalizm specjalnie nie przeszkadza, przeciwnie – nawet napawa nadzieją na życie beztrudne. Bardzo możliwe, że ten Manifest Socjalistyczny, w powiązaniu z inicjatywami skierowanymi na opanowanie samorządów terytorialnych i programami rozdawnictwa, przyniesie PiS-owi wyborcze zwycięstwo – ale przywrócenie socjalizmu w naszym nieszczęśliwym kraju nie doprowadzi do odblokowania narodowego potencjału gospodarczego, skutecznie zablokowanego przez ustanowiony w 1989 roku model kapitalizmu kompradorskiego, przez postępującą biurokratyzację państwa i przez niemiecki projekt Mitteleuropa z roku 1915. Powiem więcej: widoczna coraz bardziej tendencja do renacjonalizacji i przywrócenia wiodącej roli „państwa” w gospodarce stanie się kolejnym czynnikiem blokującym narodowy potencjał, skutecznie zniechęcając ludzi przedsiębiorczych do inwestowania – bo po cóż i w co właściwie inwestować w sytuacji, kiedy właśnie nadchodzą bolszewicy?

„NCz!” 8/2017

## POLSKA UCIECZKA OD WOLNOŚCI

„Niepodobna przesadzić w odmawianiu ważności jednostkom” – pisała pewna amerykańska dziennikarka do Marii Skłodowskiej-Curie – „mimo to ja od lat ubiegam się o rozmowę właśnie z panią”. Rzeczywiście – niepodobna przesadzić w odmawianiu ważności jednostkom i proletariacki poeta Włodzimierz Majakowski dał wyraz temu przekonaniu w słynnym wierszu, w którym czytamy, że „jednostka zerem, jednostka bzdurą” – ale co z tego, kiedy życie tak boleśnie z niego zadrwiło, że sam padł ofiarą szaleństwa, które później zostało obłudnie nazwane „kultem jednostki”?

Obłudnie – bo właśnie wtedy żadna jednostka nie liczyła się wcale – oczywiście poza Józefem Stalinem. Ale Stalin rzeczywiście wycisnął piętno swojej osobowości na całej epoce, podobnie zresztą jak inny wybitny przywódca socjalistyczny, Adolf Hitler. Niby i jeden, i drugi został potępiony, chociaż Stalin nie tak absolutnie jak Hitler, bo wprawdzie też się rozdokazywał, nawet w stopniu większym od Hitlera, ale zasadniczo „dobrze chciał” – a przynajmniej tak do dzisiejszego dnia twierdzą nawet tacy ludzie, którzy wyznawcami Stalina nie byli, ale hołowali nieubłaganemu postępowi. Tymczasem Hitler został potępiony jako wcielenie zła absolutnego, chociaż trudno zgadnąć, dlaczego właściwie mordowanie arystokratów, ziemian, kupców, przemysłowców, księży czy chłopów, a więc przedstawicieli klas społecznych uznanych za „niewłaściwe”, ma stać moralnie wyżej od mordowania Żydów czy innych przedstawicieli niewłaściwych ras. Jak dotąd jedynym uzasadnieniem tej różnicy jest zbrodnicza marksistowska brednia, przez jakieś tragiczne nieporozumienie uznana za „naukę”. Pamiętam, jakie było moje przerażenie, kiedy kilka lat temu w Paryżu siedziałem w towarzystwie kilku docentów – jak się okazało, marksistów. Już myślałem, że szczęśliwie nie zobaczę już nigdy w życiu żadnego żywego marksisty, a tymczasem w jednej tylko restauracji siedziałem obok czterech – w dodatku pełnych wigoru i planów na przyszłość. Przerażenie moje brało się stąd, że skoro marksści nie tylko są żywi, ale pełni wigoru i planów na przyszłość, to czeka nas jeszcze mnóstwo paroksyzmów, które nie wszystkim uda się



przeżyć.

Czesław Miłosz w wierszu przedstawiającym koniec świata podkreśla, że koniec świata rozpocznie się w sposób dla nikogo niedostrzegalny, no a potem już będzie za późno – chociaż z drugiej strony w gruncie rzeczy nie bardzo wiadomo, jak można by zapobiec końcowi świata, gdyby nawet ktoś spostrzegł się w porę. Ale jeśli nawet końcowi świata albo też innym, mniejszego kalibru paroksyzmem nie można zapobiec, to warto się wysilić, by przynajmniej zauważyć symptomy. Skoro bowiem tak czy owak trzeba będzie zginąć, to niech przynajmniej się dowiemy, co takiego nas zabiło i dlaczego. Ciekawe, że nawet wyznający determinizm dziejowy PPR-owcy też dawali wyraz pragnieniu, żeby takie rzeczy jednak wiedzieć, bo czyż w przeciwnym razie swoją deklarację ideową zatytułowaliby: „O co walczymy, za co zginiemy”?

### KIEDY ZACZĘLIŚMY UCIEKAĆ

Gdybyśmy zatem postawili sobie pytanie, kiedy w naszym nieszczęśliwym kraju właściwie zaczęła się ucieczka od wolności, to byłibyśmy w niemałym kłopotcie z uchwyceniem punktu zwrotnego. Nie o precyzję jednak chodzi, ale przede wszystkim o to, by zdać sobie sprawę, że ucieczka od wolności w jakimś momencie się rozpoczęła, a co gorsza – że musi być kontynuowana nawet w sytuacji, gdyby zewnętrzne znamiona władzy uchwycili politycy szczerze idei wolności oddani. Nie chodzi bowiem nawet o to, że Prawo i Sprawiedliwość, dzięki amerykańskiemu poparciu oraz uruchomieniu programów rozdawniczych, może wygrać następne wybory przynajmniej w stopniu umożliwiającym samodzielne ustanowienie rządu, tylko przede wszystkim o to, że uruchamiając wspomniane programy rozdawnicze, PiS wprowadziło nasz naród i nasze państwo na jednokierunkową ulicę, którą można zmierzać już tylko ku swemu przeznaczeniu. Rzecz w tym, że w rozumieniu prawa program rozdawniczy w rodzaju „Rodzina 500 plus” wyposaża swoich beneficjentów w tak zwane prawa nabyte. Wprawdzie ustawa dezubekizacyjna pokazuje, że kiedy trzeba, a ściślej: kiedy można takie posunięcie zaprezentować jako realizację sprawiedliwości dziejowej, to prawodawcy specjalnie się nie krępują prawami nabytymi, ale w przypadku wspomnianego programu rozdawniczego

sytuacja jest inna. Po pierwsze – krąg osób uprawnionych jest na tyle szeroki, że mało kto ośmieliłby się zamachnąć na ten przywilej, a po drugie – gdyby nawet taki desperat się znalazł, to niezawisłe sądy natychmiast podważyłyby legalność takiego zamachu i musiałby wycofać się z podwiniętym ogonem. Oznacza to, że nawet taki *desperado* musiałby realizować program, który nie tylko uważa za sprzeczny z ideą wolności, ale w dodatku za zabójczy dla państwa, zwłaszcza na dłuższą metę.

### „500 PLUS”, CZYLI USANKCJONOWANIE WYZYSKU

Program ten jest sprzeczny z ideą wolności, bo w sposób trwały uzależnia obywateli od państwa, w dodatku zmuszając ich do popierania programu zwiększania dochodów budżetowych – ponieważ realizacja tego programu wymaga utrzymania wysokiego, a nawet rosnącego budżetu, gdyż w kolejce czekają następne programy w rodzaju „Mieszkanie plus”, a przecież i to nie jest ostatnie słowo. Według zasady Murphy’ego, jeśli może stać się coś złego, to na pewno się stanie, a cóż dopiero w sytuacji, kiedy właśnie od tego, czy się stanie, zależy zwycięstwo wyborcze?

Program ten jest sprzeczny z ideą wolności również z tego powodu, że realizowany jest za pieniądze pożyczone. Jak wiadomo, koszty programu „Rodzina 500 plus” wynoszą ok. 24 mld złotych rocznie, a zaplanowany w ustawie budżetowej na rok 2017 deficyt wynosi prawie 60 mld złotych. Jasne jest więc, że zarówno pierwszy, jak i wszystkie następne programy rozdawnicze będą realizowane za pieniądze pożyczone, to znaczy kosztem wydatnego powiększenia długu publicznego. Dług publiczny naszego nieszczęśliwego kraju powiększa się o prawie 500 mln zł na dobę, a to znaczy, że go nie spłacamy, tylko „obsługujemy”. Według oficjalnych informacji, koszty obsługi długu publicznego wyniosą w roku 2018 ponad 30 miliardów złotych. Mamy wszelako do czynienia z fenomenem, że dług wprawdzie rośnie, ale koszty jego obsługi spadają, nawet do „rekordowo niskiego poziomu”. Ale nie takie fenomeny zdarzały się u nas w przeszłości, kiedy Edward Gierek zafundował społeczeństwu iluzję dobrobytu na kredyt – oczywiście dopóki wszystko się nie skawaliło. Zatem jak tam z tymi kosztami obsługi jest naprawdę, to zostanie nam objawione w stosownym czasie.

## KUPOWANIE POPARCIA ZA ZNIEWOLENIE

Tak czy owak, koszty te rozkładają się na obywateli i jeśli nawet przyjąć za dobrą monetę oficjalną informację, oznacza to, iż na jednego obywatela rzeczywiście mieszkającego w Polsce przypada ok. 800 zł rocznie. Zatem pięcioosobowa rodzina tylko na obsługę długu publicznego musi zapłacić 4 tys. zł, rocznie – a przecież są jeszcze inne koszty. Oznacza to, że rządy kupują poparcie polityczne za cenę wpychania obywateli w coraz głębszą niewolniczą zależność od lichwiarskiej międzynarodówki. Niewolniczą – bo istota niewolnictwa polega na tym, że niewolnik musi pracować na swojego pana. Pracować, czyli oddawać mu coraz większą część bogactwa, które swoją pracą wytwarza. Właśnie w taką zależność obywatele są wpychani przez własne, „wrażliwe społecznie” rządy.

### DEMOKRACJA TU NIE POMOŻE

Przy utrzymaniu procedur demokratycznych odwrót z tej drogi będzie bardzo trudny, a być może nawet niemożliwy, zwłaszcza że realizowaniu programów rozdawniczych nie towarzyszą nawet próby odblokowania narodowego potencjału gospodarczego, zablokowanego skutecznie przez kapitalizm kompradorski, postępującą biurokratyzację państwa i niemiecki projekt „Mitteleuropa” z roku 1915. Więc wprawdzie Karol Marks stworzył zbrodniczą brednię, ale niektóre spostrzeżenia miał trafne, między innymi to, że aby wprowadzić socjalizm, wystarczy podtrzymywać demokrację. Bo ludzie wprawdzie pragną wolności, ale pragną też bezpieczeństwa, to znaczy sytuacji, w której ktoś zdejmie z nich ciężar ryzyka. Jeśli ktoś obieca im zdjęcie tego ciężaru, gotowi są uciec od wolności – i dlatego demokratyczne partie prześcigają się w obietnicach zwiększenia bezpieczeństwa. Oczywiście są to obietnice bałamutne, bo niewolnik lichwiarskiej międzynarodówki na żadne gwarancje bezpieczeństwa liczyć nie może, zwłaszcza w sytuacji gdy lichwiarze będą potrzebowali pieniędzy, ale – jak zauważył Franciszek ks. de La Rochefoucauld – tylko dlatego Pan Bóg nie zsyła na ziemię drugiego potopu, że przekonał się o bezskuteczności pierwszego.

„NCz!” 9/2017

## ANI GROSZA WIĘCEJ!

Nie chodzę do teatrów, bo w ogóle – podobnie jak Lew Tołstoj – staram się nie bywać w obcych domach. Kiedy wydał on broszurę obrażającą cesarza Mikołaja II, wysłano doń urzędnika policyjnego, który poprosił go o złożenie wyjaśnień gubernatorowi. – Powiedzcie księciu – odrzekł Tołstoj – że nie bywam w obcych domach. Urzędnik zaniósł tę odpowiedź gubernatorowi i na tym sprawa się zakończyła.

Więc i ja staram się nie bywać w obcych domach, a zwłaszcza w domach publicznych – zaś ostatnio teatry szalenie upodobniły się do klubów go-go. Na rozmaite propozycje można natknąć się nawet daleko przed wejściem do takich klubów; panienki, które na tę okoliczność nie ubierają się na czarno, jak do protestów w obronie demokracji, tylko w kolory raczej wesołe, polują już na przedpolach na – jakby to określił Stanisław Grzesiuk – „miłości głodnych płciów”, oferując im rozmaite atrakcje „dla dorosłych” – całkiem tak samo jak Teatr Powszechny w Warszawie, gdzie jakiś chorwacki czy może bośniacki filut, nazywany przez warszawskich filutów „prowokatorem”, wyreżyserował po swoim „Klątwę” Stanisława Wyspiańskiego.

Oczywiście przy wszystkich podobieństwach Teatru Powszechnego w Warszawie do klubu go-go są i różnice. Przede wszystkim taka, że taki jeden z drugim klub go-go niczego nie udaje. Przeciwnie – swój burdelowy charakter podkreśla nawet z ostentacją, podczas gdy Teatr Powszechny w Warszawie, kierując się hipokryzją (hipokryzja to hołd, jaki występek składa cnocie – powiada Franciszek ks. de La Rochefoucauld), takiej ostentacji raczej unika, maskując prawdziwy charakter swojej działalności rozmaitymi opowieściami o „świętyni trudów artystycznych”, „wysokiej kulturze” czy „misji” – ale tak naprawdę chodzi o to, żeby wypić i zakąsić najtańszym kosztem, to znaczy pokazując widzom na scenie jeśli nie książkę telefoniczną – w przypadku spektakli ambitnych – to gołe dupy aktoreczek albo nawet kopulacje.

Do tych czynności dopisuje się oczywiście jakieś „libretta” i nawet sprowadza reżyserów z zagranicy, którzy aktorom zaangażowanym do – dajmy na to – kopulacji, podpowiadają: „wyżej!, niżej!, teraz!”, bo – jak mówi przysłowie – łatwiej trafić w totolotka niżli w toto u

podlotka, więc bez reżysera, a przynajmniej bez suflera obejść się w teatrze nie można. Ale dopóki nie ma ustawy nakazującej bywanie w takich miejscach, to szanujący się ludzie coraz częściej teatrów unikają, zaś ci, którzy do teatrów chodzą, najwyraźniej muszą myśleć, że to, co im tam opowiadają o „misji” i tak dalej – że to wszystko naprawdę i nawet jak im się jakaś pornografia nie podoba, to zachowują się w swoim mniemaniu prawidłowo, to znaczy klaszczą na komendę, niczym w programach u znanego z żarliwego obiektywizmu pana redaktora Tomasza Lisa.

W tej sytuacji wszelkie prowokacje mają charakter jednostronny, to znaczy prowokatorzy prowokują i prowokują, ale publiczność wcale nie wie, że to prowokacja, myśli, że obcuje z „wysoką kulturą” i nawet ani przez chwilę nie przychodzi jej do głowy, że to zwyczajny *Scheisse*, a wynajęty przez dyrekcję filut po prostu kpi z niej w żywe oczy. Kiedyś takie prowokacje były niemożliwe, a w każdym razie znacznie trudniejsze, bo publiczność była odważniejsza, nie kuciała tchórzliwie przed bezczelnymi chałturnikami i rozwydrzonymi dziewczuchami (dziewuchy to nazwa własna), tylko dawała się prowokować.

Michał K. Pawlikowski w książce „Wojna i sezon” wspomina, jak to na premierze jakiejś futurystycznej sztuki w „Reducie”, która mieściła się w gmachu Teatru Wielkiego, jeszcze przed końcem pierwszego aktu ramoty Bohdan Zalutyński, słynny litewski facecjonista, wstał i tubalnym głosem wykrzyknął: „Dość tego skandalu! Chodźmy na kolację! Nigdy by za czasów Skałona (Gieorgij Skałon, gubernator warszawski, na którego w 1906 roku dokonała zamachu Wanda Krahelska; jej bratanicą była Krystyna Krahelska, która posłużyła rzeźbiarce Ludwice Nitschowej za model Syreny na warszawskim pomniku) nie ośmielono się wystawić takiej bzdury na scenie cesarskiej! No ale cóż – wszystko dziś jest możliwe w tych nowych republikach – litewskiej, łotewskiej, cygańskiej...”. Nawiasem mówiąc, ten Bohdan Zalutyński ustawił przed wjazdem do swego majątku w Żłobowszczyźnie pasiaste budki strażnicze w której dyżurowali żydowscy wasale z pobliskiego miasteczka. Gdy Zalutyński nadjeżdżał, wartownicy ustawiali się w szeregu, a ten pozdrawiał ich okrzykiem: „Zdarowo Żydy!”, na co tamci odpowiadali: „Zdrawia żelajem Waszemu Wysokorodiu!”.

Dzisiaj wszystko stanęło na głowie i potomstwo świętych rodzin skacze przed Żydami z gałęzi na gałąź, więc trudno od takich kundli oczekiwać, że poddadzą się prowokacji tylko dlatego, że nie podobał się im jakiś teatralny knot. Przeciwnie – potulna teatralna publiczność podobna jest do owego chłopa ze wspomnień Wańkowicza. Wracał był on z jarmarku w miasteczku i próbował zjeść kupione tam mydło. Widząc zapienionego chłopa przechodzący мимо Żyd wykrzyknął ze zgrozą: „Hryćku, toż to miło!” – na co Hryćko odparł: „Idi k'czortu Szłomka; miło, nie miło, a kupił, tak zjesz!”.

Niezależnie jednak od tego, trzeba myśleć pozytywnie, to znaczy zgodnie z zasadą, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I w tym przypadku tak właśnie jest. Teatr Powszechny w Warszawie dostał w ubiegłym roku 8 milionów złotych subwencji z publicznych pieniędzy i najwyraźniej łobuzerii musiało przewrócić się od tego w pustych głowach – o czym świadczy buńczuczne i pretensjonalne „oświadczenie”, zawierające nawet pogróżki.

Pora zatem podjąć stanowczą decyzję o likwidacji **wszystkich** publicznych subwencji dla **wszystkich** teatrów i innych przedsiębiorstw przemysłu rozrywkowego. Państwo nie ma moralnego prawa zmuszać podatników – na przykład dróżnika spod Mławy – do składania się na rozrywki warszawskich snobów (snob to skrót dwóch łacińskich słów: *sine nobilitate*, czyli bez szlachetności). Wymuszanie takiego składania się nosi wszelkie znamiona kradzieży zuchwałej, to znaczy dokonywanej przy pomocy specjalnie w tym celu spreparowanych pozorów legalności – bez względu na to, jakimi pretekstami bywa osłaniane: „misją”, „wysoką kulturą” czy „sztuką”.

Pomijając już to, że zdjęcie majątek, nawet na scenie, to żadna sztuka, państwo ma obowiązek chronić obywateli przed wszelkimi formami kradzieży, a zwłaszcza formami zuchwałymi, więc jeśli państwowi dygnitarze, podlizując się chałturnikom w nadziei zyskania popularności i uzbierania głosów wyborczych, od tego obowiązku tchórzliwie się uchylają, to stają się w ten sposób współnikami kradzieży – i to w dodatku takimi, których beneficjanci złodziejstwa sobie wynajmują za ekspektatywę przedłużenia dygnitarstwa. To nawet jeszcze większe łajdactwo niż sama kradzież, z czego najwyraźniej nie wszyscy zdają sobie sprawę, więc dedykuję ten tekst

panu wicepremierowi i ministrowi kultury oraz dziedzictwa narodowego Piotrowi Glińskiemu, żeby się opamiętał, póki jeszcze czas.

*„NCz!” 10/2017*

# DEKOMPOZYCJA

„**P**o co nam to było, po co nam to było, jeszcze nic się nie zaczęło, a już się skończyło” – śpiewała za komuny Joanna Rawik. Najwyraźniej autora tej piosenki musiały wspierać jakieś prorocтва, bo chociaż opowiada ona o jakiejś romansowej historii, to przecież wiadomo, że prorocтва nie muszą być precyzyjne i zdolny interpretator może z nich wyprowadzić wszystko, jako tak zwaną „prefigurację”, w dawnej Polsce zwaną „figurą”.

Słowo o tym znaczeniu przetrwało w najstarszej polskiej kolędzie – „Anioł pasterzom mówił” – gdzie się w pewnym momencie śpiewa: „już się ono spełniło, co pod figurą było” – więc i piosenkę Joanny Rawik, chociaż traktującą o jakiejś romansowej historii, można odnieść do sytuacji politycznej – i to w dodatku aktualnej.

Jak wiadomo, rok rządów Prawa i Sprawiedliwości można określić jako próbę rekonstrukcji historycznej przedwojennej sanacji, która przechodziła ewolucję – od instalacji do tak zwanej „dekompozycji”, do jakiej w szeregach sanacyjnych doszło po śmierci Józefa Piłsudskiego. „Jeżeli okres żywego Piłsudskiego był daleki od ideału” – pisze Michał Kryspin Pawlikowski w książce „Wojna i sezon” – „to Piłsudczyzna bez Piłsudskiego była tragikomedią, tym tragiczniejszą, że większość Polaków nie zdawała sobie sprawy z idiotycznego impasu, w który Polskę wpędzili trzymający się kurczowo posad i posadek piłsudczycy”.

Wprawdzie prezes Jarosław Kaczyński nie tylko żyje, ale w dodatku jest pełen wigoru i planów na przyszłość – jednak w obozie sanacyjnym dają się zauważyć objawy „dekompozycji”, co pokazuje, że czasami bieg wypadków zaczyna przyspieszać. Tłumacząc to sobie rosnącym zatroskaniem zaplecza politycznego PiS o zapewnienie sobie zawczasu dobrej podstawy wyjściowej do zbliżających się wyborów samorządowych, w następstwie których do obsadzenia znajdują się nie tylko tysiące, a nawet setki tysięcy synekur i synekurek w sektorze publicznym.

## PUBLICZNE SYNEKURY

Ulokowanie zaplecza politycznego partii na samorządowych synekurach stanowi najważniejszy etap budowania aparatu wyborczego na wybory parlamentarne i prezydenckie. Warto zatem



przypomnieć, że w roku 2019 odbędą się wybory parlamentarne oraz do Parlamentu Europejskiego, a rok później – prezydenckie. O ile zatem sprawy nie rozstrzygną się wcześniej w innych kategoriach, to znaczy w postaci kolejnej kombinacji operacyjnej, której celem będzie doprowadzenie do przesilenia politycznego w naszym nieszczęśliwym kraju i powrotu na pozycję lidera politycznej sceny ekspozytury Stronnictwa Pruskiego, być może nawet w atmosferze jakiegoś odpowiednika stanu wojennego – bo skoro w naszej niezwykniętej armii zapanował nastrój niecierpliwego wyczekiwania, to wszystko jest możliwe – zatem o ile sprawy nie rozstrzygną się wcześniej w innych kategoriach, to od odpowiedniego obsadzenia synekur w samorządach będzie bardzo wiele zależało.

Nie chodzi zresztą tylko o synekury samorządowe i walkę o nie między partiami. Chodzi także o synekury w państwowym sektorze publicznym i o walkę w ramach tej samej partii – który polityk, a także czyja „spółdzielnia” będzie miała większe udziały w zdobyczym torcie, a co za tym idzie – więcej do gadania nawet w obliczu pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Bo wprawdzie prezes Kaczyński jest niekwestionowanym w środowisku PiS Naczelnikiem Państwa, ale przecież – podobnie jak ów ewangeliczny setnik – on też jest „człowiekiem pod władzą postawionym”, a konkretnie: jest zakładnikiem zaplecza politycznego partii, na czele której stoi. Musi zapewnić mu alimenty, bo jak nie, to w tej samej chwili zdradzą go, puszczą w trąbę, a kto wie – może nawet zapłoną doń nieprzejednaną wrogością, jak dawni jego faworyci w osobie pana Kazimierza Marcinkiewicza, obecnie przeżywającego zgryzoty od pani Izabeli, czy też intensywnie odchudzający się pan Michał Kamiński, a nawet Kazimierz Michał Ujazdowski, który chyba dopiero zaczyna kasać rękę swego dobroczyńcy.

### ROZDZIELANIE ŁUPÓW

To oczywiście determinuje politykę PiS, które **musi** wybierać rozwiązania pociągające za sobą rozbudowę „państwa”, czyli aparatu biurokratycznego, i politykę wysokiego budżetu – bo jakże inaczej zapewnić tylu zwolennikom możliwość umoczenia gąb w melasie?

Dlatego właśnie wątpię, czy przy utrzymaniu w naszym nieszczęśliwym kraju procedur demokratycznych uda się odblokować

narodowy potencjał gospodarczy, skutecznie zablokowany przez kapitalizm kompradorski, postępującą biurokratyzację państwa i niemiecki projekt „Mitteleuropa” w roku 1915. U progu sławnej transformacji ustrojowej, kiedy światło nie było jeszcze oddzielone wyraźnie od ciemności, lubujący się w paradoksach Stefan Kisielewski radził, by „wziąć za mordę i wprowadzić liberalizm”. Jeśli jednak Stare Kiejkuty nie zrobiły tego wtedy, tylko postawiły na umacnianie okupacji kraju, to nie pozwolą na to i teraz, tym bardziej że nie bardzo miałyby komu pozwolić.

W rezultacie mamy objawy „dekompozycji” obozu sanacyjnego, co widać choćby na przykładzie bólów porodowych kolejnej „reformy” ochrony zdrowia, firmowanej przez pana ministra Konstantego Radziwiłła. Jej też przyświeca stara dewiza, wykoncypowana jeszcze w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych przez charyzmatycznego premiera Buzka, że mianowicie pieniądze mają „iść za pacjentem” – no i „iść”, ale w takiej odległości, że wszelki, nie tylko wzrokowy kontakt między nimi a pacjentami już dawno został zerwany.

Pieniężmi odebranymi obywatelom pod pretekstem, że „państwo”, czyli urzędnicy będą w razie czego ich leczyli, dzielą się bowiem najpierw uczestnicy zaplecza rządzącego akurat politycznego gangu, a na leczenie pacjentów (a bodaj ich mór wydusił!) przeznaczają się okruszki, jakie spadną ze stołu pańskiego. Dlatego każda ekipa „reformuje”; charyzmatyczny premier Buzek wprowadził kasy chorych, Leszek Miller je rozpędził i na ich miejsce założył Narodowy Fundusz Zdrowia, no a teraz minister Radziwiłł zamierza rozpędzić Narodowy Fundusz, a rozdzielanie łupów – no i ma się rozumieć „leczenie pacjentów” – powierzyć specjalnie stworzonej strukturze biurokratycznej przy wojewodach.

Widocznie jednak jeszcze nie utarł się kompromis, kto na łupach położy rękę i ile nią pod siebie zagarnie, bo wspaniały plan jakoś nie może przebić się ku powierzchni, niczym fotony ze słonecznego jądra, które ponoć potrzebują na to ponad 20 tysięcy lat!

„Dekompozycja” objęła też Radę Mediów Narodowych, co ujawniło się nie tylko w postaci wyboru nowego prezesa Polskiego Radia, którym została pani Barbara Stanisławczyk, ale również w niespodziewanej – bo dokonanej już następnego dnia po wyborze –

rezygnacji pani Stanisławczyk z funkcji, o którą tak energicznie wcześniej się ubiegała. Decyzją pani Stanisławczyk poczuł się „nieprzyjemnie zaskoczony” prezes Rady Mediów Narodowych Krzysztof Czabański, co pokazuje, że „dekompozycja” w obozie sanacyjnym zatacza coraz szersze kręgi. Czy nasilające się i coraz bardziej widoczne jej objawy mają jakiś związek z przygotowaniem – tym razem chyba solidniejszym niż w grudniu ubiegłego roku – kombinacji operacyjnej skierowanej na przeprowadzenie przesilenia politycznego w naszym nieszczęśliwym kraju i aktywizacją agentury – o tym przekonamy się chyba już niedługo.

*„NCz!” 10/2017*

## UWAŻAJMY NA ZAIMKI

„Za co stwór podeszły wiekiem, co kobietą być już przestał, a „Z nigdy nie był człowiekiem, windujemy na piedestał?” – pytał retorycznie Tadeusz Boy-Żeleński – i dodawał: „przez jakie dziwne kuriozum tłuszcz bierzemy za charakter, pustą grzechotkę – za rozum?”. Współczesna trawestacja tego pierwszego, retorycznego pytania mogłaby brzmieć nieco inaczej: „za co stwór tłuszczem rozdęty, co kobietą nigdy nie był, a człowiekiem też się nie stał, windujemy na piedestał?”. To znaczy nie tyle „my”, bo trzeba uważać na zaimki, co ubeckie stacje telewizyjne, które podejrzewam o to, iż zostały utworzone za pieniądze ukradzione przez Wojskowe Służby Informacyjne – czy jak tam się wtedy nazywała ta organizacja przestępcza o charakterze zbrojnym – z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, i lansują rozmaite damy i gwiazdy. Co agenci RAZWIEDUPR-a z tego mają – Bóg jeden wie. Widać jednak coś z tego mają, bo lansują („potem lansował mnie przez dwie godziny” – podpisał rysunek ilustrujący rozmowę dwóch celebrytek Andrzej Mleczko). Jak to zawsze bywa w przypadku RAZWIEDUPR-a, jesteśmy skazani na domysły, ale skoro tak, to nie żałujmy sobie i domyślajmy się. Ja na przykład się domyślałam, że RAZWIEDUPR w kontrolowanych przez siebie stacjach telewizyjnych uprawia politykę kadrową, którą pewien sławny polityk francuski zdefiniował w krótkich, żołnierskich słowach: *je vote pour le plus bête* – co się wyklada, że głosuję na najgłupszego. I to widać po obsadzie ubeckich stacji telewizyjnych; jeden i ten sam program, dotyczący tak zwanych porad życiowych dla kobiet, prowadzi osoba, którą puściło w trąbę aż czterech panów – domyślałam się, że po uprzednim dokładnym wymamlaniu – a więc kompletna życiowa ruina, a basuje jej właśnie „stwór tłuszczem rozdęty”, którym zainteresowałem się z powodu deklaracji, że „chętnie wybatoży moje białe, prawicowe dupsko”.

Mówię oczywiście o pani redaktor Dorocie Wellman, która deklarację tę złożyła w publikacji zamieszczonej w żydowskiej gazecie dla tubylczych Polaków, wydawanej z udziałem pieniędzy żydowskiego finansowego grandziarza, czyli Jerzego Sorosa, który wobec mniej wartościowego narodu tubylczego ma swoje projekty. Mniejsza jednak

o niego, chociaż to też niezły ananas i myślę, że przez takich jak on na całym świecie narasta zniecierpliwienie wobec arogancji i buty żydowskich finansowych grandziarzy i arywistów. Kto wie, czy znowu nie trzeba będzie chować ich – to znaczy nie tyle „ich”, bo trzeba uważać na zaimki, co ich uboższych kompatriotów – po piwnicach, chociaż nie wiadomo, czy tym razem w ogóle znajdą się jacyś ochotnicy, bo wprawdzie trzeba miłować bliźniego swego, ale przecież nie bardziej niż siebie samego. Nikt nie ma obowiązku działać na własną czy własnego narodu zgubę i wydaje się, że ta świadomość zaczyna narastać nie tylko w Europie, ale nawet i poza nią, na co wskazywałaby żydowska wojna prowadzona w Ameryce przeciwko tamtejszemu prezydentowi Donaldowi Trumpowi. Mniejsza jednak o te światowe konteksty, bo pretekstem, dla którego zająłem się tym drobiazgiem, jest wspomniana deklaracja pani redaktor Doroty Wellman, że „chętnie” – i tak dalej. Nawiasem mówiąc, przypisuje ona prawicy kolor biały. No dobrze, a w przypadku lewicy? Jaki kolor jest charakterystyczny dla lewicy? A jakież by, jak nie czerwony? Czerwone dupsko, niczym u pawiana? Czyżby pani Dorota...? Ładny interes!

W swojej publikacji używa sformułowania „my kobiety”. Czy jednak wyznawcy nieubłaganego postępu aby na pewno mogą wiedzieć takie rzeczy? Według genderactwa, ku któremu – o ile mi wiadomo – pani red. Dorota Wellman się skłania, tożsamość płciowa jest zjawiskiem przejściowym, zależnym od aktualnego zapotrzebowania – już mniejsza o to czyjego. Co tu dużo gadać: trzeba uważać na zaimki. „Z każdym pciem mogę spać, z każdym pciem” – śpiewała za moich czasów studenckich, w latach sześćdziesiątych, kiedy pani Wellman wprawdzie już pojawiła się na tym świecie pełnym złości, ale jeszcze takich rzeczy nie mogła rozumieć – pewna artystka, dodając, że „zmysły drzemiom, zmysły drzemiom, ale som!”. W tych właśnie kategoriach próbuję zrozumieć zaskakującą deklarację pani redaktor Doroty Wellman – że mianowicie pod pretekstem siostrzanej solidarności z Wielce Czcigodną Joanną Scheuring-Wielgus próbuje stręczyć mi się z jakimiś perwersyjnymi propozycjami. Żeby zatem położyć kres tym awansom, a zarazem przeciąć wszelkie wątpliwości, muszę ze swej strony złożyć deklarację, że uszanowałbym panią redaktor Dorotę Wellman nawet po wieloletnim pobycie na bezludnej

wyspie.

„NCz!” 11/2017

## ADOLF HITLER DOBRZE CHCIAŁ!

Podczas kiedy w naszym nieszczęśliwym kraju nosiciele nieubłaganego postępu przekomarzają się z reakcją i wstecznikami, na świecie dzieją się rzeczy, które nie tylko nie śniły się filozofom, ale nawet fizjologom. Nawiasem mówiąc, ci nasi nosiciele nieubłaganego postępu to jakieś matoly, nie mające pojęcia, czym żyje postępową awangarda. Oto tak zwane dziewczuchy postanowiły urządzić 8 marca potężną manifestację, żeby zaprotestować – no właśnie, przeciwko czemu? Przesłuchiwana na tę okoliczność przez pana red. Mazurka Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus nie bardzo potrafiła na to proste pytanie odpowiedzieć, a w końcu wybąkała, że przeciwko niemożności zapłodnienia *in vitro*. Najwyraźniej w *demi-mondzie* małego żydowskiego miasteczka na niemieckim pograniczu bez pochwalenia się zapłodnieniem w szklance nie można już pokazać się w towarzystwie. Tymczasem awangarda postępu zmierza w kierunku dokładnie odwrotnym, czego tubylczy postępowcy najwyraźniej jeszcze nie wiedzą.

Oto w dniach ostatnich (chyba rzeczywiście zbliżają się przepowiadane „dni ostatnie”) odbył się zorganizowany przez Papieską Akademię Nauk i Papieską Akademię Nauk Społecznych sympozjon na temat „Zagłada biologiczna”. Domyślam się, że intencją organizatorów sympozjonu jest sprawdzenie, w jaki sposób grożącej ludzkości zagłady biologicznej uniknąć, a nie jak ją na ludzkość sprowadzić, ale cóż z tego, skoro jednym z prelegentów zaproszonych na sympozjon, któremu Watykan podobno nawet zapłacił za przeloty, jest niejaki Paweł Ralf Ehrlich, urodzony w 1932 roku w Pensylwanii syn Ruty Rosenberg i Williama Ehrlicha – jak widać, z pierwszorzędnymi korzeniami, co nie jest okolicznością bez znaczenia. Ten pan Ehrlich uważa, że ludzkość nie powinna liczyć więcej jak miliard osobników, a ponieważ liczy ponad siedem razy więcej, to trzeba tę liczbę jakoś zredukować. Fakt, że Papieska Akademia Nauk i Papieska Akademia Nauk Społecznych zaprosiła również pana Ehrlicha na wspomniany sympozjon, wystawia chlubne świadectwo panującej w Kościele katolickim otwartości i tolerancji, chociaż z drugiej strony trudno nie zauważyć ryzyka – co mianowicie

by się stało, gdyby pan Ehrlich przekonał do swoich tez nie tylko uczestników sympozjonu, ale również samego papieża Franciszka? A takie ryzyko dopuszczać trzeba, bo trudno przypuszczać, by Papieska Akademia Nauk organizowała sympozjony z założeniem, że nie da się przekonać do niczego, czego by już przedtem nie wiedziała. Zatem ryzyko, że pan Ehrlich przekona najpierw uczestników sympozjonu, a potem jeszcze inne osobistości, jest jak najbardziej realne. Jakie byłyby następstwa tego faktu dla Kościoła katolickiego, trudno tak od razu zgadnąć – ale doświadczenie II Soboru Watykańskiego pokazuje, że jakoś by tam było. Tak właśnie myślał ks. prof. Stefan Pawlicki. Uczestniczył on pewnego razu w przedłużającym się posiedzeniu Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, a był właśnie tego wieczora zaproszony na kolację do domu słynącego z dobrej kuchni. Wielki smakosz kręcił się więc niespokojnie, a kiedy widać było, iż prześwietny Senat nie może poradzić sobie z zajęciem stanowiska, opuścił obrady, zdawkowo się ekskuzując i oświadczając na odchodnym, że bez względu na to, jakie stanowisko zostanie przyjęte, to „uzasadnienie znajdą już panowie koledzy z Wydziału Prawnego”.

Jak widać, Kościołowi katolickiemu żadne niebezpieczeństwo nie grozi, nawet gdyby pan Ehrlich przekonał do swoich tez samego papieża Franciszka. Nie znaczy to jednak, że nie ma już żadnego problemu. Przeciwnie – już na pierwszy rzut oka widać, że są co najmniej dwa. Po pierwsze – co zauważył kiedyś prezydent Ronald Reagan – wszyscy ci, co chcą zredukować liczbę rodzaju ludzkiego, ani przez chwilę nie dopuszczają myśli, by rozpocząć tę redukcję od siebie. Najwyraźniej własną egzystencję uważają dla czegoś za niezbędną. W przeciwnym razie pan Paweł Ralf Ehrlich już dawno byłby starym nieboszczykiem, podobnie jak pani Wanda Nowicka, odważnie zmywając tłustą plamę na ludzkości. Z zagadkowych przyczyn uznając własną egzystencję za niezbędną, uważają zarazem, że dla ludzkości poświęcać powinni się inni, a właściwie nie tyle „się” poświęcać, co być poświęcanymi przez jakichś dobroczyńców rodzaju ludzkiego.

Skoro jednak tak, to znaczy, że – po drugie – od czegoś, a właściwie nie tyle od „czegoś”, co od kogoś, taki dobroczyńca ludzkości powinien przecież zacząć. Tak właśnie pomyślał sobie wybitny przywódca



socjalistyczny Adolf Hitler, który ulepszenie sytuacji rodzaju ludzkiego i „środowiska”, postanowił rozpocząć od eksterminacji Żydów. Jeśli nawet nie przyświecał mu identyczny cel co panu Ehrlichowi, to trzeba przyznać, że zamiast tylko gadać po sympozjonach i produkować makulaturę, jednak coś w tym kierunku zrobił i gdyby zapoczątkowany przez niego eksperyment nie został przedwcześnie przerwany, to można by ocenić jego rezultaty w sposób bardziej obiektywizowany, niż to się robi dotychczas. Wprawdzie Żydzi nie mogą Adolfowi Hitlerowi wybaczyć, że właśnie od nich rozpoczął redukcję liczebności rodzaju ludzkiego, ale przecież nie wszyscy muszą podzielać ten partykularny i – co tu ukrywać – egoistyczny punkt widzenia, zwłaszcza w sytuacji gdy chodzi o szczęście Ludzkości. Zatem ocena postępowania Adolfa Hitlera powinna zostać zrewidowana – i to nie tylko z powodów, które przedstawił Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie „Caryca i zwierciadło” („Wot Gitler, kakoj to durak! On się przechwalał zbrodnią swoją. A mudriec to by sdielał tak: nu czto, że gdzieś koncłagry stoją? Nu czto, że dymią krematoria? Toż w nich przetapia się historia! Niewoli topią się okowy! Powstaje sprawiedliwszy świat! Rodzi się typ człowieka nowy!”) – ale przede wszystkim z powodów zasadniczych. Wszystko, co prowadzi do redukcji liczebności gatunku ludzkiego do optymalnego poziomu, ustalonego przez pana Pawła Ralfa Ehrlicha i pozostałych docentów, jest zasadniczo („obiektywnie”) słuszne i postępowe, nawet jeśli z takich czy innych powodów towarzyszą temu nie zawsze fortunate uzasadnienia. Skoro wszystkie drogi prowadzą na szczyt, to szczyt nie tylko legitymizuje, ale nawet nobilituje każdą drogę!

Tymczasem w naszym nieszczęśliwym kraju nie tylko „dziewuchy”, którym wydaje się, że wyjąć za zapłodnieniem w szklance, wskakują do pierwszego szeregu awangardy postępu, a tak naprawdę wloką się w ariergardzie maruderów – ale również żydowskie gestapo w postaci Stowarzyszenia Otwarta Rzeczpospolita próbuje sypać piasek w szprychy rozpędzonego parowozu dziejów, piętnując nieubłaganym palcem wszelkie, nawet urojone, postawy antysemityczne. Tymczasem antysemityzm – jak mawiał pewien zmarły niedawno mecenas – to „piękna idea”, zwłaszcza gdyby dzięki niej działania na rzecz „środowiska”, postulowane na watykańskim sympozjone przez Pawła

Rafa Ehrlicha, wreszcie ruszyły z martwego punktu.

„NCz!” 12/2017

# FASYZM PODMYWA EUROPE

Media doniosły, że przewodniczący Parlamentu Europejskiego, włoski jurysta Antoni Tajani, ukarał europoła Janusza Korwin-Mikkego pozbawieniem diety poselskiej za miesiąc i „zawieszeniem” mandatu poselskiego również na 30 dni. Ponadto zabronił mu występować publicznie w charakterze przedstawiciela Parlamentu Europejskiego. Była to już kolejna, bodaj szósta kara nałożona na europoła Mikkego – tym razem za opinię, że kobiety mniej zarabiają, bo są niższe, słabsze i mniej inteligentne od mężczyzn.

Zatrzymajmy się chwilę nad tą opinią. Poza dyskusją pozostaje fakt, że w większości przypadków kobiety rzeczywiście zarabiają mniej niż mężczyźni. Nie zaprzeczają temu nawet najbardziej radykalne feministki, reprezentujące wszystkie możliwe płcie, przeciwnie – eksponują ten fakt jako dowód, że najcięższa jest dola kobiet. Ciekawe, że opinia, jakoby najcięższa była dola kobiet, jest bardzo podobna do panującej jeszcze 100 lat temu opinii, jakoby najcięższa była dola chłopów. Na tym patencie jechały wszystkie partie tzw. ludowe, dorabiając nawet do tego ideologię w postaci agraryzmu. Podstawowa teza agraryzmu była opinia, że co jest dobre dla chłopów, to musi być dobre dla państwa. Nie tylko dlatego, że – jak wiadomo – każdy jest chłopem, chyba że jest babą, ale przede wszystkim dlatego, że w okresie największego rozkwitu agraryzmu w zacofanych ekonomicznie krajach chłopcy rzeczywiście stanowili około 70 proc. społeczeństwa, więc choćby ze względów statystycznych agraryzm wydawał się nawet uzasadniony. Ale w ciągu ostatnich 100 lat sytuacja się zmieniła i obecnie rolnictwo nie wytwarza nawet 10 proc. PKB, a i społeczne znaczenie warstwy chłopskiej odpowiednio zmalało. Toteż zmalało i znaczenie partii „ludowych”, które – jak PSL w naszym nieszczęśliwym kraju – tylko dlatego mają polityczną reprezentację, że jeszcze za głębokiej komuny opanowały instytucje utworzone gwoli obsługiwania „wsi i rolnictwa”. Potężne rodzinne klany, które z kierowania tymi instytucjami – a powiedzmy sobie *entre nous*: za ich pośrednictwem dojące Rzeczpospolitą – z „reprezentowania interesów wsi i rolnictwa” uczyniły sobie sposób na życie i pozór moralnego uzasadnienia pasożytowania na państwowym organizmie – tworzą aparat wyborczy,

dzięki któremu PSL przeczołguje się przez próg wyborczy, komercjalizując co do grosza swój polityczny wpływ. Skoro „kobiety” zaczynają przechwytywać tę płacziwą „ludowcową” retorykę, to jeszcze jeden dowód, że nie tylko są wykorzystywane, ale i same uwierzyły, iż są awangardą współczesnego proletariatu – między innymi dlatego, że mniej zarabiają.

### DLACZEGO ZARABIAJĄ MNIEJ?

No dobrze – ale to, że mniej zarabiają, musi mieć jakieś przyczyny. Złośliwością i perfidią „męskich szowinistycznych świni” wytłumaczyć tego chyba nie można, a nawet gdyby było można, to by znaczyło, że „kobiety”, w odróżnieniu od „chłopów”, najwyraźniej nie potrafią wykorzystać swojej 50-procentowej obecności w społeczeństwie nawet do wymuszenia wyrównania wynagrodzeń. Czyżby rzeczywiście były głupsze od „chłopów”, którzy jeśli nawet lamentowali, to zawsze w nadziei odcinania jakichś kuponów od swojej ciężkiej doli? Jednak takie uzasadnienie zostawmy sobie na koniec, aż wyczerpiemy inne możliwości. Oto Korwin twierdził, że kobiety zarabiają mniej, bo są „słabsze” od mężczyzn. Bywają oczywiście wyjątki, ale one tylko potwierdzają regułę; kobiety rzeczywiście są słabsze od mężczyzn. Ten pogląd podzielają nawet ustawodawcy, zakazując kobietom albo ograniczając im możliwości wykonywania prac, do których mężczyźni dopuszczani są bez żadnych ograniczeń. Dotyczy to zwłaszcza zajęć wymagających dużego wysiłku fizycznego, ale znajduje też wyraz w płciowej separacji podczas zawodów sportowych. O ile mi wiadomo, niedopuszczalne są walki bokserskie między kobietami a mężczyznami, a nawet rywalizacja w takich niekontaktowych dyscyplinach jak biegi czy skoki. Jak dotąd zatem Janusz Korwin-Mikke ani na jotę nie minął się z prawdą, w dodatku z prawdą oczywistą dla każdego spostrzegawczego człowieka, który potrafi ze swoich spostrzeżeń wyciągać wnioski. To, czy kobiety są niższe od mężczyzn, łatwo sprawdzić. Otóż średni wzrost kobiet na świecie wynosi 160 cm, podczas gdy średni wzrost mężczyzn w Polsce wynosi 177 cm. Nie da się tedy ukryć, iż kobiety generalnie są niższe od mężczyzn. Zatem nadal Janusz Korwin-Mikke ani na jotę nie minął się z prawdą. No tak, ale powiedział też, że kobiety są mniej inteligentne niż mężczyźni. Takiej opinii niepodobna ani potwierdzić, ani

zaprzeczyć, choćby z tego powodu, że kategoria „inteligencji” jest – w porównaniu z takim na przykład wzrostem czy siłą – bardzo mało precyzyjna. Wprawdzie istnieją ilorazy inteligencji, ale przyglądając się wielu osobom, które legitymują się wysokimi ilorazami, można tylko utwierdzić się w przekonaniu, że te pomiary muszą być obciążone wysokim stopniem uznaniowości. Zwrócił na to uwagę już dawno Gilbert Keith Chesterton, opisując w jednym z opowiadań z cyklu „Przygody księdza Browna” przesłuchanie prowadzone przy pomocy tzw. wykrywacza kłamstw. Zatem, o ile poprzednie opinie wygłoszone przez JKM były absolutnie prawdziwe, to ta ostatnia wymagałaby weryfikacji.

### ŚWIĘTE OBURZENIE

Wszelako nikt nie podjął nawet takiej próby, natomiast w mediach zawrzało od oburzenia na „skandaliczną” wypowiedź. Oburzyła się Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, chociaż, zwłaszcza w jej przypadku, nie zaszkodziłaby reakcja bardziej umiarkowana. Obsztorcował Korwina niejaki Piers Morgan, nazywając go „obrzydliwą, szowinistyczną świnią”. Uważna lektura życiorysu zawodowego red. Morgana przekonuje, że to osobnik nieco szubrawy, ale za to obdarzony tupetem co najmniej takim, jak w naszym nieszczęśliwym kraju Kuba Wojewódzki, co to „odkorkowuje” kolejne panienki, które potem zostają damami, a nawet intelektualistkami. Przypadek Piersa Morgana pokazuje, że ubecka maniera przesłuchiwania i sztorcowania gości zapraszanych do studia przeszła z naszego nieszczęśliwego kraju również za granicę. U nas manierę tę upowszechniła resortowa „Stokrotka” – nie tylko wyedukowana w niej w następstwie intensywnego szkolenia bojowego i politycznego w jakichś bezpieczniackich watahach, ale również nasiąkła w atmosferze domu rodzinnego. Jak zauważył Adam Grzymała-Siedlecki, w rodzinach prawniczych upowszechnia się jurydyczna atmosfera. Udziela się ona nawet dzieciom, które potem w szkole domagają się świadków na potwierdzenie, że dwa dodać dwa jest cztery. Nic dziwnego, że w domach bezpieczniackich dzieci nasiąkają atmosferą ubecką i później nie potrafią już normalnie rozmawiać z nikiem, tylko go przesłuchują tak, żeby się przyznał. Z żadnym dziennikarstwem nie ma to oczywiście nic wspólnego, bo dziennikarz zaprasza swego

rozmówcę po to, by pytaniami wydobyć z niego to, co tamten naprawdę myśli, a nie po to, by mu udowodnić, że jest głupszy od niego. To nie są dziennikarze, tylko funkcjonariusze reżymu, którzy ich wynajęli do mokrej roboty.

Bo przypadek europośła Janusza Korwin-Mikkego jest znakomitą ilustracją procesu podmywania Europy przez faszyzm. Na temat faszyzmu narosło wiele nieporozumień – głównie za sprawą żydokomuny, która za wszelką cenę próbuje się od faszyzmu zdystansować ze względu na podobieństwo graniczące z identycznością. Dlatego stara się skojarzyć faszyzm z niechęcią do Żydów i w ogóle utożsamić go z Adolfem Hitlerem, którego wizerunek też zresztą przykrawa do aktualnych potrzeb propagandowych. Tymczasem faszyzm z Żydami nie ma nic wspólnego, jeśli oczywiście nie liczyć Żydów-faszystów – bo przecież żaden naród, również żydowski, nie jest na faszyzm impregnowany. Istotą faszyzmu jest bowiem przekonanie, że państwu wszystko wolno, co w krótkich żołnierskich słowach wyraził wynalazca faszyzmu Benito Mussolini: „wszystko w państwie, nic poza państwem, nic przeciwko państwu”. Otóż w wieku XIX, zwłaszcza w drugiej jego połowie, Europa cieszyła się chyba największym zakresem wolności i nie bez powodu ten okres przeszedł do historii jako *belle époque*. Skończył się on w roku 1914, kiedy to wybuchła Wielka Wojna, w następstwie której, pod pretekstem patriotycznego zdyscyplinowania, totalniacy uchwycili swoje narody za mordę, wprowadzając szeroką falę coraz to nowe, socjalistyczne wynalazki. Trzeba nam bowiem wiedzieć, że faszyzm jest jedną z licznych odmian socjalizmu, jedną z jego rozmaitych społecznych inżynierii. Ta wojenna tresura nieodwracalnie zmieniała oblicze europejskich narodów, czyniąc je podatnymi na pogłębienie tresury, czemu sprzyjał szowinizm, głoszący konieczność poświęcenia jednostki dla „narodu” albo „ludu” – w mutacji bolszewickiej. W rezultacie tej tresury ludzie, którzy w okresie *belle époque* człowieka twierdzącego, że jeśli jeden człowiek chce coś powiedzieć drugiemu, to musi najpierw uzyskać pozwolenie od trzeciego, z pewnością uznaliby za wariata i oddali pod opiekę infirmerów, teraz nie tylko uznawali taki pogląd za „oczywistą oczywistość”, ale w dodatku uważali, że każdego, który tę dyscyplinę łamie, trzeba przywrócić do

pionu. Druga wojna światowa te sprzyjające triumfowi faszyzmu postawy jeszcze upowszechniła. Melchior Wańkowicz relacjonował proces wytoczony przeciwko kilku Polakom, „dipisom” przebywającym w jednym z tymczasowych obozów. Podejrzaną o kradzież jakiejś rzeczy Polkę ludzie ci poddali przesłuchaniu, w trakcie którego, gwoli wymuszenia zeznań, wbijali jej drzazgi pod paznokcie. Kobieta ta uważała tę procedurę za normalną i uzasadnioną, a skarżyła się tylko na to, że owe drzazgi nie zostały uprzednio zdezynfekowane. I tak już pozostało, ugruntowało się, a nawet rozbudowało, bo przecież socjalfaszyzm szaleje w Europie niczym tornado.

Jego produktem jest nie tylko przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antoni Tajani, który prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest faszystą, podobnie jak molierowski pan Jourdain nie wiedział, że mówi prozą, nie tylko szubrawy redaktor Piers Morgan, który, jeśli nie jest świadomym faszystą, to musi być durniem i właśnie dlatego został celebrytą – ale również te tysiące mikrocefali, które podpisywały się pod petycją, by europośła Janusza Korwin-Mikkego pozbawić mandatu. Mikrocefali – bo na skutek umyślowego ograniczenia nie zdają już sobie sprawy, iż w ten sposób żądają ograniczenia również własnej wolności. Jeśli bowiem występują jakiejś opinii zatwierdzone do wierzenia i opatrzone sankcją przymusu państwowego, to znaczy, że swoboda wypowiedzi już nie istnieje, że o tym, co wolno mówić, a nawet co wolno myśleć, decyduje sanhedryn, kierując się sobie tylko znanymi, ale z pewnością złowrogimi zamiarami.

„NCz!” 13/2017

O REFORMIE WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

# SUWEREN Z TĘGIM KIJEM

Wszczęta przez Komisję Europejską procedura badania stanu praworządności i demokracji w naszym nieszczęśliwym kraju, której naprzeciw wychodzą konfidenci zgrupowani przez Starych Kiejkutów w Komitecie Obrony Demokracji, a wreszcie sami sędziowie, których do buntu przeciwko rządowi wezwała sama pani Małgorzata Gersdorf – wszystko to stwarza sposobność do pochylenia się nad wymiarem sprawiedliwości.

Jak wiadomo, zajmują się tym „niezawisłe sądy”, które – zgodnie z art. 173 konstytucji – są „władzą odrębną i niezależną od innych władz”. Oczywiście art. 173 konstytucji odzwierciedla jedynie sferę powinności, to znaczy mówi, jak być powinno, ale już niekoniecznie, jak jest naprawdę.

Chodzi oczywiście o zadeklarowaną tam „niezależność od innych władz”, to znaczy od konstytucyjnych organów władzy ustawodawczej i wykonawczej. Jak wiadomo, w sferze powinności również i te władze są niezależne, zwłaszcza władza ustawodawcza, będąca emanacją suwerena, za jakiego – zgodnie z art. 4 konstytucji – uchodzi „naród”. Ale – jak mogliśmy przekonać się choćby na podstawie realizacji uchwały lustracyjnej Sejmu z 28 maja 1992 roku – około 60 parlamentarzystów było konfidentami Służby Bezpieczeństwa, a warto dodać, że ujawnieni przez ministra Antoniego Macierewicza zostali tylko ci konfidenci, których nie przejął pod swoje skrzydła Urząd Ochrony Państwa. Ci, których ów Urząd przejął, nie zostali ujawnieni, podobnie jak nie zostali ujawnieni konfidenci Wojskowych Służb Informacyjnych, które swoją agenturę pracownicy rozbudowywały przez cały czas oficjalnego istnienia w tzw. wolnej Polsce.

## AGENTURALNE ZABEZPIECZENIE

Już choćby ze statystycznej prawidłowości wynika, że część tych konfidentów została ulokowana właśnie w wymiarze sprawiedliwości na stanowiskach sędziowskich, a biorąc pod uwagę ciężar gatunkowy sądów, zwłaszcza na etapie transformacji ustrojowej, kiedy to dokonywało się uwłaszczenie nomenklatury na rozkradanym majątku państwowym oraz umacnianie bezpieczniackiej kontroli nad kluczowymi segmentami gospodarki z sektorem finansowym,



paliwowym, energetycznym i tym podobnymi, „strategicznymi” sektorami – jest prawie pewne, że agenturalne „zabezpieczenie” wymiaru sprawiedliwości musiało być znacznie większe niż w innych segmentach państwa.

W tej sytuacji bez wyjaśnienia stopnia nasycenia środowiska sędziowskiego przede wszystkim agenturą Wojskowych Służb Informacyjnych, jako że to one – jako wywiad wojskowy – zaprojektowały, przeprowadziły i nadzorowały pożądany przez siebie przebieg transformacji ustrojowej w naszym nieszczęśliwym kraju – mówienie o „odrębności”, a zwłaszcza „niezależności” władzy sądowniczej od innych władz, jest wielką naiwnością. Ta naiwność jest tym większa, że trójpodział władz został w naszym nieszczęśliwym kraju przeprowadzony niekonsekwentnie i na przykład ministrowie mogą być jednocześnie posłami i senatorami. A skoro tak, to dlaczego „niezawisli” sędziowie nie mogą być konfidentami RAZWIEDUPR-a?

Jakiś mechanizm selekcji i jakiś mechanizm awansów musi przecież być, a skoro musi, to dlaczego nie akurat taki? Na taką możliwość wskazuje nawyk, który stał się udziałem funkcjonariuszy RAZWIEDUPR-a jeszcze za pierwszej komuny, kiedy to obowiązywała zasada jednolitej władzy państwowej. I wtedy bowiem był Sejm i rząd, i sądy – ale to było porozdzielane tylko na pewnym poziomie, bo na poziomie wyższym rozdzielone władze spajała w jedną miążdzącą pięść Partia, a z kolei Partię na poziomie jeszcze wyższym w pięść pancerną spajała bezpieka. Ona była najtwardszym jądrem systemu władzy, może z krótkimi przerwami w okresie między 1956 a 1962 rokiem, kiedy to SB ponownie zaczęła rozbudowywać agenturę w PZPR, co po Październiku 1956 roku zostało zakazane.

Wprawdzie w 1989 roku proklamowana została u nas transformacja ustrojowa, ale – jak to w filmie „Kontrakt” Krzysztofa Zanussiego, który, nawiasem mówiąc, też „bez swojej wiedzy i zgody...”, mówi partyjny buc grany przez Janusza Gajosa: „demokracja demokracją, ale ktoś przecież musi tym kierować!” – z zasady jednolitej władzy państwowej tak łatwo zrezygnować się nie da, zarówno z powodu przyzwyczajenia, które stało się drugą naturą, jak i interesów, które trzeba chronić kompleksowo, a nie wyrywkowo. Zatem wszelkie rozważania o pożądanej organizacji wymiaru sprawiedliwości trzeba

prowadzić ze świadomością ich naskórkowego charakteru.

Ale nawet w takich warunkach warto pomyśleć nad rozwiązaniami, które nie usuwając wprowadzie agenturalnej penetracji środowisk sędziowskich czy prokuratorskich, mogłyby prowadzić do osłabienia wpływu agentury, a tym samym do osłabienia wpływu Starych Kiejkutów na funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Wierzchołek góry lodowej ujawniony częściowo przez sejmową komisję badającą aferę Amber Gold pokazuje, że takie osłabienie jest palącą koniecznością, bo w przeciwnym razie wszelkie reformowanie wymiaru sprawiedliwości będzie przypominało tzw. – jak mówią gitowcy – „suchy branzel”.

### SUWEREN NA STRAŻY

Zacznijmy od tego, że przeżarcie struktur państwa i życia publicznego agenturą z punktu widzenia ustrojowego stanowi podstępne wyzucie suwerena z suwerenności. Zatem pierwszym krokiem powinno być przywrócenie tej suwerenności suwerenowi w takim stopniu, jak to tylko możliwe.

Należałoby zatem wprowadzić zasadę wybieralności sędziów, prokuratorów i lokalnych szefów policji przez lokalne społeczności, na szczeblu na przykład powiatu, który wtedy wreszcie odzyskałby sens istnienia. Sędziowie nadal mogliby zachować niezależność od innych władz, ale zostaliby podporządkowani suwerenowi, spod którego zρέcznie się wyemancypowali. Co pięć lat każdy sędzia – czy to na poziomie powiatu, czy na poziomie województwa, czy na poziomie państwa – w przypadku Sądu Najwyższego – musiałby poddać się weryfikacji ze strony suwerena, od której nie byłoby żadnej apelacji.

Oczywiście i tutaj ujawniłyby się z pewnością rozmaite wady, ale pojawiłaby się szansa, że sędziowie „NIE WIEM, NIE PAMIĘTAM” zostaliby w ten sposób z wymiaru sprawiedliwości wyeliminowani. Wymagałoby to rezygnacji z „nieusuwalności”, ale warto zwrócić uwagę, że ta „nieusuwalność”, połączona z niewyjaśnionym stopniem zagenturyzowania środowiska, jest główną przyczyną bezkarnej korupcji, jaka na podobieństwo raka toczy wymiar sprawiedliwości w Polsce.

W tej sytuacji Krajowa Rada Sądownictwa, nad którą wszyscy się dzisiaj kokoszą, mogłaby stać się całkowicie zbędna, bo „na straży

niezależności sądów i niezawisłości sędziów” (art. 186 konstytucji mówiący o KRS) stanąłby z tęgim kijem w garści sam suweren. A chodzi o to, żeby i sędziowie poczuli nad sobą ten kij, bo w przeciwnym razie – co właśnie widzimy – przewraca im się w głowie.

„NCz!” 14/2017

# W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ KONSTYTUCJI

„**M**ówisz, że jestem słaba. Ty chyba żartujesz. Jestem twardym diamentem, ty go tylko szlifujesz” – śpiewała słynna „Kora” jeszcze chyba w stanie wojennym. A przypomniała mi się ta piosenka, bo właśnie pan Andrzej Rzepliński, który najwyraźniej nie może pogodzić się z utratą stolca prezesa Trybunału Konstytucyjnego, tym bardziej że nie wie, czy będzie lansowany („a potem lansował mnie przez dwie godziny..”) na prezydenta naszego nieszczęśliwego kraju, czy też Nasza Złota Pani będzie forsowała kandydaturę Donalda Tuska, w którym chyba naprawdę sobie upodobała – więc pan Andrzej Rzepliński z okazji dwudziestej rocznicy uchwalenia konstytucji z 1997 roku buńczucznie oświadczył, że przez te 20 lat była ona „szlifowana” przez Trybunał Konstytucyjny”.

Równie prawdziwe byłoby oświadczenie pana prezesa Rzeplińskiego, że jest chińskim mandarynem, gdyż Trybunał Konstytucyjny wcale konstytucji nie „szlifował”, bo miękkiej materii szlifować się nie da, tylko przy pomocy rozmaitych krętackich uzasadnień szpachlował nią rozmaite polityczne konieczności, przed którymi stawiali go inspiratorzy.

## FAŁSZYWE PAŃSTWO PRAWA

Oto w lipcu 1992 roku TK uznał uchwałę lustracyjną za sprzeczną z konstytucją, chociaż w ogóle nie powinien się nią zajmować, bo nie była ona „aktem prawnym” w rozumieniu ustawy o TK, bowiem stanowiła polecenie wykonania określonej czynności adresowane do konkretnego człowieka, mianowicie ministra spraw wewnętrznych. Podniósł to jedynie pan prof. Łączkowski w *votum separatum*, ale nikt go oczywiście nie słuchał i pan prof. Zoll ogłosił wyrok, a następnie odczytał 30 stron uzasadnienia, chociaż między zamknięciem przewodu sądowego a odczytaniem wyroku minęło zaledwie półtorej godziny.

Jeszcze zabawniejsza sytuacja przytrafiła się Trybunałowi w czerwcu 2007 roku, kiedy to ogłosił uzasadnienie swego orzeczenia z 11 maja w sprawie ustawy tzw. lustracyjnej. Charakterystyczne dla tego, liczącego

aż 138 stron uzasadnienia było aż dziewięć zdań odrębnych, które zajmowały dodatkowe 85 stron. Warto dodać, że pierwsze 75 stron uzasadnienia to wyrok i rekapitulacja stanowisk stron. To orzeczenie praktycznie zablokowało lustrację przez uznanie wzoru oświadczenia lustracyjnego za sprzeczny z konstytucją. Ale już wtedy widać było, że niezawisłym sędziom Trybunału, być może ośmielonym zachętami oficerów prowadzących, najwyraźniej zaczyna przewracać się w głowach, bo zamieścili w swoim elaboracie zbawienne pouczenia, jakie prawa Sejm powinien uchwalać. Konkretnie – że „demokratyczne państwo prawa” „nie może jednak i nie powinno zaspokajać żądy zemsty, zamiast służyć sprawiedliwości” albo że „zakaz piastowania urzędu na podstawie lustracji powinien obowiązywać przez racjonalnie określony czas”, albo wreszcie, że „jeśli dana organizacja dopuszczała się poważnych naruszeń praw człowieka, należy uznać, że jej członek, pracownik lub współpracownik brał w nich udział, jeśli był w tej organizacji wysokim funkcjonariuszem”. Czy np. sędzia – członek PZPR, a przy okazji konfident SB – był w tej organizacji funkcjonariuszem „wysokim”, czy też tylko sprzątał?

Ale to jeszcze nic, bo przyjrzyjmy się sławnemu „szlifowaniu”, o którym bredzi nadęty na podobieństwo purchawy pan Andrzej Rzepliński. Oto na 41 zakwestionowanych postanowień aż 40 okazało się niezgodnych ze sławnym artykułem z konstytucji, stanowiącym, że Rzeczpospolita Polska jest „demokratycznym państwem prawnym”, w dodatku „urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”. Za wepchnięcie tylu nonsensów do jednego krótkiego zdania autorzy tej konstytucji powinni trafić do księgi Guinnessa, a potem zaraz pod opiekę jakichś weterynarzy, ale nie chodzi o to, by pastwić się nad nimi, tylko by pokazać, że na podstawie nonsensu można udowodnić zgodność wszystkiego ze wszystkim albo przeciwnie – niezgodność – co, nawiasem mówiąc, zgodne jest z prawem Dunsza Szkota, odkrytym jeszcze w średniowieczu. Najzabawniejsze jednak jest to, że autorów zdań odrębnych można było podzielić na dwie grupy: jedna uważała, że wyrok TK jest dla ustawy zbyt łagodny, a druga – że wyrok jest dla ustawy zbyt surowy. O przynależności do jednej albo drugiej grupy decydowała... data nominacji. Sędziowie mianowani przed 2005 rokiem krytykowali wyrok za nadmierną łagodność, podczas gdy ci,

którzy swoją nominację uzyskali później, uważali wyrok za zbyt surowy dla ustawy.

Wspominam o tych wszystkich zabawnych sytuacjach, kiedy trzeba było podkasać togi gwoli zatańczenia i zaśpiewania, nie tylko dla zilustrowania sposobu, w jaki Trybunał „szlifował” nieszczęsną konstytucję, ale również ze względu na buńczuczną deklarację pani prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf, która odgraża się, że tylko patrzeć, a będziemy mieli w naszym nieszczęśliwym kraju „prawdziwe państwo prawa” – tylko żeby każdy na swoim odcinku, gdzie partia go postawiła, wykonał zadanie zlecone przez starszych i mądrzejszych. Ha! Skoro „prawdziwe państwo prawa” ma dopiero nadejść, to nie ulega wątpliwości (nie ulega wątpliwości, jak mawiała stara niania; lepiej... – no, mniejsza z tym), że dotychczas mieliśmy do czynienia z fałszywym państwem prawa, piramidą kręactwa i fałszu, na której szczycie znajdował się Sąd Najwyższy. Można by przytoczyć wiele przykładów, kiedy właśnie ten Sąd wydawał osobliwe orzeczenia, jak np. w sprawie pana Jurczyka – że nie był on konfidentem – czy w sprawie ważności wyboru Aleksandra Kwaśniewskiego na prezydenta, chociaż podał on fałszywą informację na temat swojego wykształcenia. Jak pamiętamy, Sąd Najwyższy uznał, że nie miało to znaczenia dla ważności wyboru. Może to i prawda, bo jeśli kandydatura Aleksandra Kwaśniewskiego została zatwierdzona przez Starych Kiejkutów, to rzeczywiście – wykształcenie nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli jednak prawidłowo odtwarzam sobie tok rozumowania SN, to może mieliśmy dotychczas do czynienia z państwem prawa, ale „fałszywym”. Ciekawe, że podobne spostrzeżenie przedstawił Naczelnik Państwa, czyli pan prezes Jarosław Kaczyński, zauważając, że konstytucja z roku 1997, acz mająca pewne zalety, generalnie jest „postkomunistyczna”.

### PO CO KONSTYTUCJA?

Skoro tak, to powinno się ją zmienić – ale właściwie jak? W tej chwili żadne ugrupowanie nie ma konstytucyjnej większości i chyba nie może na taką liczyć, więc możemy sobie najwyżej podyskutować, w jakim kierunku zmiany konstytucji powinny pójść. Skoro już się nad tym zastanawiamy, to warto wyjść od tego, po co w ogóle konstytucja jest. Na trop ważnego celu konstytucji naprowadza nas refleksja nad momentami dziejowymi, w których konstytucje się pojawiały. Z reguły

były to momenty osłabienia władzy monarszej na tyle, że poddani zaczęli stawiać monarsze warunki dalszego posłuszeństwa jemu samemu i jego rodzinie, czyli dynastii. Zatem pierwszym celem konstytucji jest dostarczenie obywatelom gwarancji ochrony przed samowolą władzy. Ale to się tylko tak łatwo mówi, tymczasem już św. Paweł zauważył, że władza „nie na próżno nosi miecz”, a gdy go jeszcze, nie daj Boże, wyciągnie, to cóż tu mówić o jakichś „gwarancjach”. A jednak nawet w takich warunkach trzeba znajdować jakieś rozwiązanie i Karol Ludwik de Montesquieu je znalazł. Zauważył mianowicie, że każda władza ma niepohamowaną skłonność do rozszerzania swego imperium i paradoksalnie, na tej właśnie zaborczości władzy zbudował gwarancję ochrony obywateli przed jej samowolą. Skoro bowiem każda władza ma taką skłonność, to dwie władze będą się nawzajem blokowały, a jeśli na te dwie napuści się jeszcze trzecią, to będą trwały w klinczu, trzymając się za klapy, a jeśli będą trzymać się za klapy, to nie będą już miały wolnych rąk, by dusić za gardło obywateli. I to jest właśnie ta gwarancja. Nie jest ona może doskonała, ale to nie pora na grymasy. Konstytucja z 1997 roku recypowała monteskiuszowski trójpodział władzy, ale oczywiście – jak wszystko u nas – niekonsekwentnie, bo dopuszcza unie personalne między władzą ustawodawczą a wykonawczą. Tymczasem takie unie zakłócają klarowność trójpodziału, więc w przyszłej konstytucji powinny zostać zakazane.

Skoro tedy mamy trzy odrębne władze, to drugim celem konstytucji jest takie ukształtowanie stosunków między nimi, by nie dopuszczać do paraliżów decyzyjnych, a więc do sytuacji, w których albo nikomu nie wolno podjąć jakiejś decyzji, albo przeciwnie – wszyscy mają taką możliwość i decyzji jest aż nadto – ale każda inna i nie wiadomo, którą wykonywać, więc nie wykonuje się żadnej.

#### PRZEMAWIA SUWEREN, CZY UZURPATORZY?

Podstawowym rozstrzygnięciem w konstytucji jest postanowienie co do ustroju politycznego. Konstytucja z 1997 roku przesądza o ustroju republikańskim, w którym przyjmuje się, że suwerenem, a więc kimś, kto samodzielnie ustala własne kompetencje, jest „naród”. Ale „naród” nie zbiera się jednocześnie w jednym miejscu, a gdyby nawet się zebrał, to nie przemawia jednym głosem. Przeciwnie – jedni mówią to,

inni tamto, jedni chcą tego, drudzy tamtego...

Czyją opinię należałoby uznać za opinię suwerena? Konsekwencją rozstrzygnięcia o ustroju republikańskim jest konieczność znalezienia sposobu wyłaniania reprezentacji suwerena. Konstytucja z 1997 roku postawiła na sposób demokratyczny, to jest przez głosowanie – i nawet ustaliła, że wybory do Sejmu odbywają się według zasady proporcjonalności. Do Sejmu – bo konstytucja ta ustanowiła zarazem polityczny system państwa w postaci systemu parlamentarno-gabinetowego, w którym kto kontroluje Sejm, ten w zasadzie kontroluje całe państwo. Skoro przy wyborach do Sejmu obowiązuje zasada proporcjonalności, to znaczy, że okręgi wyborcze muszą być wielomandatowe, a w takiej sytuacji od razu pojawia się znalezienie sposobu przeliczania głosów na mandaty. I w ordynacji wyborczej zasada proporcjonalności została zmodyfikowana przy pomocy dwóch narzędzi: klauzuli zaporowej i systemu d'Hondta.

Klauzula zaporowa stanowi, że do podziału mandatów w okręgach wyborczych mogą stawać te komitety, które uzyskały co najmniej 5 proc. głosów w skali kraju. Pociąga to za sobą co najmniej dwie konsekwencje: komitet musi wystawić listy we wszystkich okręgach wyborczych, a co za tym idzie – musi prowadzić kampanię w skali kraju, co wymaga korzystania z mediów elektronicznych, co z kolei pociąga za sobą ogromne koszty i trzeba rozstrzygnąć, kto i w jaki sposób ma za to płacić. System d'Hondta, nazwany tak od nazwiska belgijskiego matematyka Victora d'Hondta, polega na tym, że liczbę głosów oddanych na poszczególne komitety wyborcze w okręgu dzielimy przez następujące po sobie kolejno liczby całkowite aż do momentu, gdy suma uzyskanych w ten sposób ilorazów będzie pokrywała się z liczbą mandatów w okręgu. Warto zapamiętać, że system d'Hondta preferuje ugrupowania silne kosztem słabszych, realizując w ten sposób ewangeliczną zasadę, że temu, kto ma, będzie dodane, a temu, kto nie ma, odbiorą i to, co ma. W rezultacie takiej modyfikacji zasady proporcjonalności Sejm jest stosunkowo mało reprezentatywny. Wiele kierunków politycznych występujących w społeczeństwie nie ma żadnej parlamentarnej reprezentacji, co skutkuje absencją wyborczą przekraczającą 50 procent uprawnionych do głosowania. W tych warunkach rodzi się pytanie, czy taki Sejm



może być jeszcze uważany za przedstawicielstwo suwerena, czy już tylko za grono jakichś uzurpatorów, tym bardziej że dla ważności wyborów nie ma u nas ustanowionego żadnego minimum frekwencyjnego, więc gdyby do głosowania poszli tylko sami kandydaci i powybiali się nawzajem, to wybory byłyby ważne. W takiej jednak sytuacji pytanie o legitymizację takiego Sejmu byłoby jak najbardziej zasadne.

Toteż podnoszą się głosy o potrzebie zmiany systemu proporcjonalnego na większościowy, oparty na jednomandatowych okręgach wyborczych. Obawiam się wszelako, że taka zmiana wcale nie gwarantuje osiągnięcia celu w postaci większej reprezentatywności Sejmu. Jeśli chcemy uzyskać możliwie maksymalną reprezentatywność Sejmu, to najlepszym środkiem jest utrzymanie zasady proporcjonalności, ale bez modyfikacji w postaci klauzuli zaporowej czy systemu d'Hondta.

### MYĆ RĘCE, CZY NOGI?

Musimy jednak pamiętać, że Sejm maksymalnie reprezentatywny musiałby liczyć może nawet ponad 20 rozmaitych klubów i kół poselskich, a ponieważ w systemie parlamentarno-gabinetowym ważnym zadaniem Sejmu jest również stworzenie stabilnej podstawy politycznej dla rządu, to takie zadanie w tych warunkach mogłoby być bardzo trudne do wykonania, być może nawet niemożliwe, chyba że podstawową metodą rządzenia byłaby korupcja; panie pośle, nie poparłby pan rządu? – No poparłbym, ale co z tego będę miał? – A co by pan chciał mieć?

To lekarstwo może być gorsze od choroby. Zatem stajemy w obliczu nieprzyjemnej alternatywy: albo myć ręce, albo myć nogi – bo jeśli chcemy mieć maksymalnie reprezentatywny Sejm, to ryzykujemy – a jest to ryzyko graniczące z pewnością – niestabilne państwo. Tymczasem stabilność państwa jest wartością wymagającą ochrony. Czy zatem możemy jakoś obejść tę alternatywę? Na szczęście taka możliwość istnieje i gdybyśmy w przyszłej konstytucji odeszli od systemu parlamentarno-gabinetowego na rzecz politycznego systemu prezydenckiego, to możemy jednocześnie i myć ręce, i myć nogi, to znaczy mieć maksymalnie reprezentatywny parlament i stabilną władzę wykonawczą.

W Polsce nie byłoby zresztą przez to jakiejś wielkiej rewolucji, bo prezydent już teraz jest wybierany w głosowaniu powszechnym. To jest zresztą ciekawa sprawa, że autorzy konstytucji z 1997 roku dali prezydentowi bardzo silną legitymację demokratyczną, ale władzę obdarowali prezesa Rady Ministrów, chociaż żaden tak silnej jak prezydent legitymacji demokratycznej nie ma. Co więcej – uważna lektura konstytucji prowadzi do wniosku, że jej autorzy musieli z jakichś zagadkowych przyczyn uważać prezydenta za wariata, i to wyjątkowo niebezpiecznego, bo założyli mu aż dwa kaftany bezpieczeństwa. Oto przykład: prezydent jest wprawdzie zwierzchnikiem Sił Zbrojnych, ale z własnej inicjatywy nic tu zrobić nie może; musi działać dopiero na wniosek premiera albo przynajmniej ministra obrony. Pewne światło na to dziwactwo rzuca okoliczność, że wśród autorów konstytucji znajdował się Aleksander Kwaśniewski, który coś tam na swój temat musi przecież wiedzieć. Czy jednak musimy tak niewolniczo trzymać się jego obaw?

Zatem gdyby odejść od systemu parlamentarno-gabinetowego na rzecz systemu prezydenckiego, w którym władza wykonawcza spoczywa w osobie prezydenta, to moglibyśmy mieć maksymalnie reprezentatywny Sejm i jednocześnie stabilną władzę wykonawczą, a nawet rządy o długiej kadencji, bo przecież prezydent może być wybrany na kolejną, pięcioletnią kadencję.

#### USTAWA WILCZKA JAKO PRZESTROGA

Jak pamiętamy, uchwalona w październiku 1988 roku ustawa o działalności gospodarczej, zwana potocznie „ustawą Wilczka”, nie tylko rozmontowała socjalizm realny w gospodarce przy pomocy dwóch zdań, które przyjęły postać jej przepisów i dzisiaj brzmią jak „oczywista oczywistość”, ale wtedy miały rangę przewrotu kopernikańskiego – lecz również odblokowała narodowy potencjał gospodarczy. Te zdania to – po pierwsze – że każdy ma prawo prowadzenia działalności gospodarczej oraz – po drugie – że dozwolona jest każda forma działalności gospodarczej, która nie jest zakazana przez prawo. Ustawa ta odblokowała narodowy potencjał gospodarczy, ale jej historia to historia jej nieustających nowelizacji. W ciągu pierwszych 10 lat była ona nowelizowana ponad 60 razy, a każda taka nowelizacja polegała na dopisywaniu kolejnych przypadków

reglamentacji. W rezultacie po 10 latach z nielicznych przypadków reglamentacji pozostawionych w ustawie w pierwotnym jej brzmieniu, rozmaite formy reglamentacji, to znaczy koncesje, licencje, zezwolenia i pozwolenia, zostały przywrócone w 202 obszarach działalności gospodarczej. Żeby wyjaśnić przyczynę takiego odwrotu, musimy najpierw odpowiedzieć na inne pytanie: dlaczego właściwie doszło do uchwalenia „ustawy Wilczka”?

Otóż za pierwszej komuny nomenklatura, czyli środowisko władzy, była żywo zainteresowana w drobiazgowym kontrolowaniu każdej formy działalności gospodarczej, bo z tego ciągnęła zyski – legalne i nielegalne. Ale kiedy w drugiej połowie lat osiemdziesiątych XX wieku nomenklatura się uwłaszczyła, to już nie chciała mieć żadnych nadzorców nad sobą, co Mieczysław Wilczek wykorzystał, by pozwolić wszystkim. Ale nomenklaturowcy szybko się zorientowali, że ze „wszystkimi” to oni na rynku nie wygrają, a dzwonkiem alarmowym była dla nich sprawa Ireneusza Sekuły. Uchodził on, nie bez powodu, za rodzaj jamochłona finansowego, ale przecież musiał aż cztery razy do siebie strzelić, zanim pożegnał się z rodziną. To było ostrzeżenie; jeśli się nie opamiętacie, wszyscy podobnie zginiecie! Tedy zatrąbiono do odwrotu i to były właśnie owe nowelizacje, zaś ta ochrona ekonomicznych interesów nomenklatury wyszła naprzeciw oczekiwaniom „nowych elit” na posady. I tak doszło do powtórnego zablokowania narodowego potencjału gospodarczego.

Żeby zatem uniknąć takiego obrotu sprawy w przypadku, gdyby jakimś cudem udało się narodowy potencjał gospodarczy odblokować, do konstytucji trzeba wpisać normę treści następującej: **nikt nie może wbrew stronom podważyć umowy ani zmienić jej treści, chyba że stanowi ona czyn zabroniony pod groźbą kary przez ustawę, wynika z takiego czynu albo ma go na celu oraz że ustanawianie monopolu jest zakazane.** W takiej sytuacji koncesjonowanie działalności gospodarczej byłoby właściwie niemożliwe – i o to właśnie chodzi. Podobnie trzeba by wprowadzić do konstytucji normę **zakazującą uchwalania budżetu z deficytem i przewidującą odpowiedzialność karną za każdą próbę ominięcia tego zakazu – jak za kradzież zuchwałą.**

I jeszcze inne zmiany warto by do konstytucji wprowadzić, ale ich

omawianie przekroczyłyby ramy artykułu, więc w miarę potrzeby postaram się do tej sprawy co pewien czas powracać, bo – trawestując spostrzeżenie Jerzego Clemenceau – praworządność jest sprawą zbyt poważną, żeby pozostawiać ją sędziom.

*„NCz!” 16/2017*

# KUŹNIA KADR DLA REWOLUCJI SOCJALISTYCZNEJ

Okazuje się, że jak zwykle najciemniej jest pod latarnią. Nic tedy dziwnego, że pod latarniami gromadzą się rozmaite elementy, bo gdzie miałyby lepsze warunki rozwoju jak nie właśnie pod latarnią? Ale do rzeczy. Otóż jest na Uniwersytecie Warszawskim Wydział Filozofii. Był tam również za komuny, pomyślany jako kuźnia tak zwanych kadr, to znaczy filutów wytresowanych przez mełamedów do duraczenia szerokich mas ludowych marksistowską politgramotą.

Jedni duraczyli w partii, inni w mediach głównego nurtu, inni na naukowym odcinku frontu ideologicznego, a inni znowu w SB – gdzie tam rzuciła ich partia. Jak wiadomo, marksizm za komuny uważany był za naukę, toteż adepci marksizmu doktoryzowali się z niego i habilitowali, zdobywając naukowe tytuły – i tak zastała ich sławna transformacja ustrojowa. Wprawdzie przygotowali ją „ludzie honoru” przy niejakiim udziale drugiego pokolenia stalinowców, ale jakieś pozory trzeba było jednak zachować, toteż niedawni krzewiciele marksizmu-leninizmu zaczęli przerzucać się na „uniwersalizm”. Co to jest ten „uniwersalizm” – nikt dokładnie nie wie, ale nie o to przecież chodzi, żeby wiedzieć, tylko żeby dostać granty, czyli szmalec, dzięki czemu znowu można będzie sobie wypić i zakąsić. Jeśli bowiem za otchłanne rozważania, iluż to rewizjonistów zmieści się na końcu szpilki albo jaka jest różnica między rewolucją proletariacką a renegatem Kautskym, nikt nie zechce wybulać, to na „uniwersalizm” może zechce, zwłaszcza kiedy się dowie, iluż to luminarzy nauki ten cały „uniwersalizm” próbuje zgłębiać.

## TRZECH ŻYWYCH MARKSISTÓW

Okazało się jednak, że „w naszym fachu nie ma strachu” – o czym mogłem przekonać się na własne oczy, będąc kiedyś w Paryżu. Siedzieliśmy z kolegą Doboszem w knajpce w Dzielnicy Łacińskiej, kiedy przez okno zauważyłem idącego ulicą mego przyjaciela, historyka z Uniwersytetu Warszawskiego. Wybiegłem za nim i zaprosiłem do nas, a on na to, że chętnie – ale jest w towarzystwie trzech historyków paryskich, bo akurat odbywał się tam jakiś zjazd.

Zaprosiłem tedy i tych historyków, a z rozmowy okazało się, że wszyscy oni, jak jeden mąż są marksistami-leninistami. Myślałem, że już nigdy w życiu nie zobaczę żywego marksisty-leninisty – a tu proszę! Od razu trzech – i to w dodatku pełnych wigoru i planów na przyszłość! Zaniepokoiło mnie to przede wszystkim dlatego, że oto przekonałem się, iż na marksizm-leninizm ktoś nadal wybuła – i to w dodatku w rozmiarach znacznie większych niż w naszym nieszczęśliwym kraju za komuny. W takiej sytuacji – pomyślałem sobie – tylko patrzeć, jak marksismus-leninismus triumfalnie powróci i na naszej biednej ojczyzny łono, żeby faszerować łepetyny trzeciego pokolenia PZPR i UB.

I oto właśnie dowiedziałem się, że przy Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego działa Studenckie Koło Filozofii Marksistowskiej. Okazało się, że „pierwsze przymiarki” do utworzenia takiego koła były już w roku 2004, kiedy to nasz nieszczęśliwy kraj został przyłączony do Unii Europejskiej. Początkowo żaden pracownik naukowy nie chciał patronować temu przedsięwzięciu, ale w końcu pan prof. Aleksander Ochocki dał się ubłagać i odtąd Koło „funkcjonuje swoim rytmem”. Co to konkretnie znaczy? Ano „gromadzi publikacje” – podobno już 205 pozycji, wśród których znajdują się nie tylko dzieła Fryderyka Engelsa, Karola Marksa, nie tylko dzieła Antoniego Gramsciego czy dwóch rewolucyjnych jamnic: Róży Luksemburg i Aleksandry Kołłontaj, ale również Włodzimierza Lenina, Józefa Stalina i Lwa Trockiego. Co prawda ostatnia aktualizacja strony internetowej Koła pochodzi z roku 2008, ale być może amatorów studiowania marksizmu-leninizmu nie brakuje również i dzisiaj. Najwyraźniej tak właśnie jest, bo wśród „interesujących stron” zarejestrowanych na portalu Koła jest na przykład strona zatytułowana „Dyktatura Proletariatu”, na której możemy sobie przeczytać „Apel Komitetu Obchodów 100-lecia Rewolucji Październikowej” z roku 2016, który w imieniu Komitetu podpisali: pani Ewa Balcerek i Piotr Strębski – za Zarząd Krajowy Stowarzyszenia Marksistów Polskich; Włodzimierz Bratkowski, reprezentujący Grupę Samorządności Robotniczej z Warszawy; Jan Rossa w imieniu Grupy Samorządności Robotniczej z Wrocławia oraz Marta Makuszyńska i Dawid Jakubowski. Autorzy apelują do „środowiska poczuwającego się

do dziedzictwa Rewolucji Październikowej”, żeby włączyło się w „popularyzację” i „dyskusję” nad „procesem rewolucyjnym”.

### ZACHĘTY MATERIALNE

Jestem pewien, że chętnych do włączenia się nie tylko w „popularyzację” czy „dyskusję” nad „procesem rewolucyjnym”, ale w sam „proces rewolucyjny” nie zabraknie, zwłaszcza gdyby towarzyszyły temu również zachęty materialne. A tych przecież nie brakuje, co sumiennie zeznał pan Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej”, buńczucznie się odgrając, że nie boi się nawet Jarosława Kaczyńskiego, a cóż dopiero jakichś „Michalkiewiczów”, nie wiadomo dlaczego przypisując mi istnienie mnogie. Te pieniądze pan Sierakowski otrzymuje „z zagranicy” – być może na tak zwane „piękne oczy”, ale być może na wykonanie konkretnych zadań w ramach „procesu rewolucyjnego”. Skoro tak, to warto zatrzymać się chwilę nad tym całym „procesem rewolucyjnym”, na czym on polega i do czego prowadzi. W uproszczeniu polega on na obezwładnieniu „wroga klasowego”, żeby już nic nie zagrażało ani nie mąciło harmonijnej „dyktatury proletariatu”. No a jak najszybciej i najskuteczniej obezwładnić „wroga klasowego” – bo przecież „proletariat” nie będzie czekał w nieskończoność na jutrzencę swobody? Na to pytanie udzielił odpowiedzi proletariacki poeta Włodzimierz Majakowski: Tisze oratory! Wasze słowo tawariszcz Mauzer! („Ciszej tam mówcy! Głos ma towarzyszu Mauzer!”) Tak też podsumował to zagadnienie Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie „Towarzysz Szmaciak”: „Tak się historii koło kręci, że najpierw są inteligenci, co mają szczytne ideały i przeobrazić chcą świat cały”. Bo w świecie „wielkim nieszczęściem jest ludzkości, że ma sąd błędny o wolności, bo stąd się zło największe bierze, że nie żyjemy w falansterze”. Zatem: „by można było ludzkość zbawić, trzeba się najpierw z nią rozprawić, bo tylko z morza krwi i męczarni narodzi się przecudna tęcza!”. Ale „kiedy łaknący krwi mądrała zaczyna cały świat rozwalać, aby na gruzach tego świata urzeczywistnić sen wariata (...), to jego wierni pretorianie mają odmienne nieco zdanie. (...) Brudną i mokłą swą robotą przecież parają się nie po to, by takie odnieść stąd korzyści, że obłąkany świat się ziści. (...) Kiedy zwycięskie toczą boje ze straszną reakcyjną hydrą, to chcą mieć pewność, że na zawsze zdobędą to, co hydrze wydrą! (...)

O Rewolucjo w Permanencji – tyś mrzonką jest inteligencji, a cały ten twój krwawy przerób daje rezultat równy zeru!” Tak właśnie można przedstawić i podsumować „proces rewolucyjny”, który marksist-leniniści pragną nam jeszcze raz zafundować, jakby 100 milionów ludzi, którzy dotychczas przypłacili ten eksperyment życiem, jeszcze było im mało.

Nawiasem mówiąc, konstytucja, na którą tak się żarliwie ostatnio powołują nie tylko konfidenti Wojskowych Służb Informacyjnych, odkomenderowani do Komitetu Obrony Demokracji, Obywateli RP czy niezawisłych sądów, a także tak zwani pożyteczni idioci, od których aż się roi wśród czytelników takich na przykład portali jak „Na Temat”, w art. 13 zakazuje istnienia partii „i innych organizacji” odwołujących się w swoich programach do totalitarnych metod i praktyk działania nazizmu, faszyzmu i komunizmu. Mimo to – jak się okazuje – komunistyczne organizacje istnieją nie tylko w naszym nieszczęśliwym kraju, ale również w całej Unii Europejskiej i mają swoje polityczne reprezentacje, więc nie można z góry wykluczyć, że kiedyś przejmą całą władzę, tym bardziej że instytucje Unii Europejskiej zostały wprzęgnięte w rydwan komunistycznej rewolucji, która w Europie znajduje się w pełnym natarciu. Zwróćmy jednak uwagę, że zakazane są tylko takie organizacje, które w swoich programach odwołują się do „totalitarnych metod i praktyk”. A któż by się do takich metod i praktyk zawczasu „odwoływał”? Wyjaśniła to ostatecznie Caryca Leonida w nieśmiertelnym poemacie Janusza Szpotańskiego „Caryca i zwierciadło”: „Wot Gitler, kakoj to durak. On się przechwalał zbrodnią swoją. A mudriec to by sdielał tak: nu czto, że gdzieś konclagry stoją? Nu czto, że dymią krematoria? Toż w nich przetapia się historia!” – i tak dalej. Toteż nasi „maleńcy uczeni” z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego i ich przyjaciele z „robotniczych komitetów” do niczego się nie „odwołują”. Oni tylko „studiują” – bo cóż innego można robić na uniwersytecie, jak nie studiować? Co prawda władze wielu polskich uniwersytetów nie są pewne, na jakie studia wolno im pozwalać, a na jakie nie – zwłaszcza że właśnie na Węgrzech rząd rozgonił cheder starego żydowskiego grandziarza finansowego, funkcjonujący pod nazwą „Uniwersytetu Środkowoeuropejskiego”, więc na wszelki wypadek zakazują



urządzania odczytów czy wykładów, bo wiadomo, że od nadmiaru wiedzy tylko głowa boli, a przecież najważniejsze, to żeby wypić i zakąsić.

Skoro jednak ani płomienni obrońcy demokracji, ani pryncypialni stróże praworządności nie widzą nic złego w „studiowaniu” teorii „procesu rewolucyjnego”, to warto postawić pytanie: dlaczego te studia są tak jednostronne? Dyc socjalizm ma rozmaite postacie, rozkwita nie jednym, a stoma kwiatami, więc nie ma powodu, by ograniczać studia nad „procesem rewolucyjnym” tylko do strategii bolszewickiej albo „marksizmu kulturowego”, czyli strategii alternatywnej, którą jeszcze w latach dwudziestych XX wieku zaproponował Antoni Gramsci i według której prowadzona jest w Europie rewolucja komunistyczna obecnie. Przecież wybitnym teoretykiem i praktykiem socjalizmu był nie tylko Włodzimierz Lenin czy Józef Stalin, ale również Adolf Hitler, który zresztą też pozostawił potomności dzieło zatytułowane „Mein Kampf”, co się wyklada „Moja walka” – przecież nie po to, by je przeznaczono na przemiał, tylko gwoli studiowania. Oczywiście Hitler w swojej rewolucyjnej praktyce nie dorasta nawet do pięt takim przywódcom jak Włodzimierz Lenin czy Józef Stalin, co to „milionom podejrzanych osób zgotował zasłużony zgon”, i ze swoimi niechby nawet 6 milionami zamordowanych Żydów mógłby takim potentatom jak Józef Stalin czy Mao Zedong czyścić buty. Ale jeśli nawet ta ilościowa mizeria w rewolucyjnej praktyce Adolfa Hitlera zniechęca entuzjastów „procesu rewolucyjnego” do studiowania jego dzieł, to przecież w nauce, zwłaszcza postępowej – a przecież taka jest forsowana – większa Liczba wcale nie musi oznaczać słuszniejszej Racji – o czym możemy przekonać się choćby na przykładzie Mikołaja Kopernika, który w czasie gdy demokratyczna większość była przekonana, iż to Słońce obraca się wokół Ziemi, sam jeden spenetrował prawdę, że jest odwrotnie. Zatem – chociaż nie ma żadnego powodu, by podważać zasługi takiego na przykład Włodzimierza Lenina dla rewolucyjnej teorii czy Józefa Stalina dla rewolucyjnej praktyki – nie można lekceważyć też osiągnięć Adolfa Hitlera, który do „procesu rewolucyjnego” podszedł od zupełnie innej strony. W tej sytuacji apeluję do pracowników nauki z Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, by przełamali skostniałe

stereotypy i zainspirowali studentów do bardziej wszechstronnych studiów nad socjalizmem, zarówno w aspekcie teoretycznym, jak i praktycznym – bo kiedy już przyjdzie co do czego, to ktoś przecież będzie musiał ten cały „proces rewolucyjny” realizować, a wiadomo, że o „wszystkim”, a więc i o prawidłowym przebiegu „procesu rewolucyjnego”, decydują „kadry”.

*„NCz!” 18/2017*

## PRAWDZIWIY KONIEC II WOJNY

Kiedy skończyła się II wojna światowa? Większość Europejczyków odpowiedziałaby, że 8 maja 1945 roku, chociaż Rosjanie uważają, że nie 8, a 9 maja – bo kiedy późnym wieczorem podpisywano w Berlinie kapitulację niemieckich sił zbrojnych, w Moskwie był już 9 maja. Ale przecież na Dalekim Wschodzie wojna trwała w najlepsze dalej i Cesarstwo Japonii skapitulowało dopiero po zrzuconiu na Hiroszimę i Nagasaki dwóch bomb atomowych.

Na pokładzie pancernika „Missouri” kapitulację podpisano dopiero 2 września 1945 roku. W odróżnieniu od Cesarstwa Japonii, państwo niemieckie nie skapitulowało, bo rządu adm. Karla Dönitza nikt nie uznawał, więc poddała się tylko armia. W imieniu wojsk lądowych stosowny akt podpisał Wilhelm Keitel, później powieszony w Norymberdze, w imieniu Luftwaffe generał Stumff, a w imieniu marynarki adm. Friedeburg, który później, podczas próby przesłuchania go, popełnił samobójstwo. Czy ta okoliczność, to znaczy fakt, że Niemcy jako państwo, przed nikim nie skapitulowały, będzie miała jakieś znaczenie w przyszłości – zobaczymy. Nigdy bowiem nie wiadomo, jakie wydarzenie może nagle okazać się politycznie użyteczne.

Na przykład podczas I wojny światowej okazało się, że nabrała znaczenia okoliczność, iż utworzone na kongresie wiedeńskim w 1815 roku Królestwo Polskie, zwane inaczej „Kongresowym”, było odrębnym podmiotem prawa międzynarodowego, związanym z Imperium Rosyjskim jedynie unią personalną, którą zresztą Sejm w Warszawie podczas Powstania Listopadowego zerwał, detronizując w styczniu 1831 roku cara Mikołaja I jako króla polskiego.

Więc kiedy 5 listopada 1916 roku cesarze niemiecki i austriacki wydali proklamację o powstaniu „samodzielnego państwa” polskiego „z ziem panowaniu rosyjskiemu wydartych”, Rosja najpierw 15 listopada stanowczo zaprotestowała przeciwko rozporządzaniu Kongresówką przez okupantów – ale 25 grudnia car Mikołaj II w specjalnym rozkazie do armii i floty uznał utworzenie „Polski wolnej, złożonej z wszystkich trzech części dotąd rozdzielonych” za jeden z rosyjskich celów wojennych. Jak widzimy, to postanowienie kongresu

wiedeńskiego nabrało nieoczekiwanej aktualności dopiero po 100 latach, podczas gdy od zakończenia II wojny minęły dopiero 72 lata. Wojny zaś trwają dłużej niż działania wojenne i na przykład I wojna światowa zakończyła się stosunkowo niedawno, bo 3 października 2010 roku, kiedy to Niemcy zapłaciły Wielkiej Brytanii i Francji 70 mln euro tytułem ostatniej raty odsetek od reparacji wojennych.

Przy takim podejściu do sprawy możemy powiedzieć, że II wojna światowa nie zakończyła się wcale, aż do dnia dzisiejszego, bo rozmaite remanenty nadal pozostają otwarte. Zresztą cóż tu mówić o II wojnie, kiedy wynik I wojny światowej nie jest do końca jasny. Wprawdzie w 1918 roku wydawało się, że Niemcy tamtą wojnę przegrały, co w 1919 roku potwierdził traktat wersalski, ale co z tego, skoro 1 maja 2004 roku, a więc 90 lat po wybuchu I wojny, Niemcom udało się przyłączyć osiem państw środkowoeuropejskich do Unii Europejskiej, której są przecież politycznym kierownikiem, i stworzyć w ten sposób polityczne warunki dla realizacji projektu „Mitteleuropa” z roku 1915?

Ten projekt był jednym z niemieckich celów wojennych, więc jeśli – wprawdzie po prawie 100 latach, niemniej jednak – Niemcy przystąpiły do jego realizacji, to przynajmniej w tej części I wojnę światową wygrały. Warto też dodać, że po 12 września 1990 roku, kiedy w Moskwie został podpisany traktat o ostatecznej regulacji w odniesieniu do Niemiec, potocznie zwany „traktatem 2 plus 4”, Niemcy stały się wyznawcami politycznej doktryny, którą można nazwać „europeizacją Europy”. Polega ona na delikatnym – bo tu na żadne gwałtowne ruchy nie ma na razie miejsca – ale cierpliwym i metodycznym wypychaniu Stanów Zjednoczonych z europejskiej polityki, zwłaszcza z kierowniczej roli. Niemcy bowiem, jako państwo poważne (bo państwa, jak wiadomo, dzielą się na poważne i pozostałe), nie zapominają, że na skutek dwukrotnego wtrącenia się Stanów Zjednoczonych do europejskiej polityki przegrały dwie wojny, które przecież mogły wygrać. Nawróciły się też na linię polityczną kanclerza Bismarcka, która polega na tym, że Niemcy kierują Europą w porozumieniu z Rosją. Zewnętrznym wyrazem tego nawrócenia jest strategiczne partnerstwo niemiecko-rosyjskie, wyznaczające ramy europejskiej polityki.

Oczywiście USA wcale nie zamierzają poddawać się doktrynie „europeizacji Europy”. Prezydent Obama, który najpierw, „przekonany” przez izraelskiego prezydenta Szymona Peresa, wycofał Stany Zjednoczone z aktywnej polityki w Europie Środkowo-Wschodniej, co doprowadziło do proklamowania 20 listopada 2010 roku w Lizbonie strategicznego partnerstwa NATO-Rosja, czyli ustanowienia politycznego porządku lizbońskiego, w 2013 roku przywrócił aktywną politykę amerykańską w tej części Europy i zapalając zielone światło dla politycznego przewrotu na Ukrainie, wysadził porządek lizboński w powietrze.

W takiej sytuacji również Rosja skorzystała z okazji, by załatwić niektóre swoje sprawy, co zirytowanego prezydenta Obamę skłoniło do prób montowania antyrosyjskiej krucjaty w Europie. Taka krucjata bez udziału Niemiec byłaby własną karykaturą – więc w Niemczech pojawiły się wątpliwości, czy przeczekać prezydenta Obamę i trzymać się strategicznego partnerstwa z Rosją, czy też machnąć na nie ręką i przyłączyć się do krucjaty. Myślę, że argumentem, który mógłby być dla Niemców decydujący, mogłaby być obietnica amerykańskiej zgody na rewizję postanowień konferencji w Poczdamie odnośnie tzw. ziem utraconych. Konferencja ta nadała tym obszarom status tymczasowy – odsyłając do traktatu pokojowego, którego Niemcy z Polską nie zawarły, chociaż w traktacie „2 plus 4” zrzekły się roszczeń terytorialnych wobec innych krajów i w wykonaniu jego postanowień 14 listopada 1990 roku podpisały z Polską traktat graniczny.

Można by zatem uznać, że przynajmniej w tym zakresie II wojna światowa zakończyła się w listopadzie 1990 roku – ale czy można być do końca tego pewnym? W stosunkach międzynarodowych bardzo popularna, o ile nie obowiązująca jest klauzula *rebus sic stantibus*. Zasadę tę opisuje art. 62 konwencji wiedeńskiej w prawie traktatów z 1969 roku, która weszła w życie w roku 1980. W tej klauzuli chodzi o to, że zawarty traktat można wypowiedzieć, jeśli sprawy przybrały inny obrót niż w momencie zawierania traktatu.

Znakomitym przykładem zastosowania tej klauzuli są traktaty zawierane przez rząd USA z Indianami. Wprawdzie wspomina się tam, że uzgodnione ustalenia będą obowiązywały, „dopóki trawa będzie rosła, a rzeki płynęły” – ale kiedy sprawy przybierały inny obrót, to

wszystko wyglądało całkiem inaczej, chociaż co do trawy i rzek nic się nie zmieniło. Ale bo też te sprawy, podobnie jak pory roku, nie zależą od rządów, podczas gdy wszystkie inne – niestety tak. W rezultacie trudno ustalić datę zakończenia II wojny, zwłaszcza że porządek lizboński też został wysadzony w powietrze.

„NCz!” 20/2017

## CZŁOWIEKI Z ZASADAMI

„Zasady wygrały” – powiedział pan Michał Boni po wyroku, jaki niezawisły sąd ogłosił w sprawie spoliczkowania go przez Janusza Korwin-Mikkego, który został za to skazany na 20 tys. złotych grzywny i dodatkowo 3,3 tys. złotych kosztów procesu. Najwyraźniej pan Michał Boni uważa się za człowieka z zasadami, więc warto przypomnieć, o co w tym całym procesie chodziło. Otóż kiedy w 1992 roku, w następstwie przyjęcia przez Sejm uchwały lustracyjnej, minister Antoni Macierewicz przekazał parlamentarzystom informację o konfidentach UB i SB pozostających podówczas w strukturach państwa, wśród konfidentów figurował również pan Michał Boni. Jak pamiętamy, na tę uchwałę S(r)alon zareagował świętym oburzeniem, w którym przodowała zwłaszcza redagowana przez potomka Żydów-stalinowców, pana red. Adama Michnika, żydowska gazeta dla Polaków. Opublikowała ona na pierwszej stronie wierszyk pod tytułem „Nienawiść”, napisany przez poetessę Wisławę Szymborską, co to kiedyś pisała panegiryki na cześć Partii i Chorążego Pokoju – za co S(r)alon wysunął jej kandydaturę do literackiej Nagrody Nobla. W tym wierszyku poetessa zwróciła uwagę na „oczy snajpera”, co podchwycili funkcjonariusze drobniejszego płazu, uplasowani przez oficerów prowadzących w rozmaitych redakcjach niezależnych mediów głównego nurtu – i zaraz zaczęli nieubłaganym palcem dźgać znienawidzonego Antoniego Macierewicza w „chore z nienawiści” oczy. Oczywiście to tylko na marginesie, bo zagrożony w swojej legendzie Kukuniek przeprowadził nocną zmianę, w której obok słynącego z „postawy służebnej” Tadeusza Mazowieckiego, obok cieszącego się zaufaniem wszystkich i każdego z osobna Donalda Tuska, obok Leszka Moczulskiego, obok Waldemara Pawlaka wystąpił również Wielce Czcigodny poseł Stefan Niesiołowski – bodajże jedyny parlamentarzysta, który od niezawisłego sądu uzyskał certyfikat, że nie ma ubeckich protektorów. Rząd premiera Olszewskiego został obalony i chociaż zaniepokojony profesor Bronisław Geremek pragnął pogrążyć sprawców lustracji przy pomocy oskarżenia o zamach stanu, to Stare Kiejkuty musiały uznać, że bezpieczniej będzie zakończyć dintojrę, bo kto wie, jakie śmierzące dmuchy mogłyby się przy tej

okazji wyostać – i w rezultacie pan profesor Geremek swego oskarżenia nie śmiał już podtrzymać.

Zatem tylko Waldemar Pawlak, który w następstwie nocnej zmiany został premierem, przepowiadał sobie na głos, jakie priorytety będzie realizował („czyszcę sobie MSW”), potem, bodajże przy wydatnej pomocy pana Aleksandra Łuczaka, obsprawił się w skarpetki, kalesony i inne elementy *fond de toilette*, jak przystało premierowi – i w ten sposób pięć minut strachu minęło. Konfidenti nabrali otuchy i pewności siebie i nie tylko zaczęli zaprzeczać wszystkim „insynuacjom”, ale nawet wytaczać procesy rządowi, który z góry przyznawał im rację i odszkodowania. Wśród zaprzeczających był również pan Michał Boni, który Janusza Korwin-Mikkego nazwał człowiekiem „niespełna rozumu”. Na takie *dictum* Korwin-Mikke obiecał, że jeśli spotka pana Boniego, to da mu po mordzie – i słowa dotrzymał w roku 2014. Pan Boni poskarżył się do niezależnej prokuratury i w rezultacie doszło do procesu, w którym zapadł wspomniany wyrok.

Gdyby pan Michał Boni był człowiekiem z zasadami, to – po pierwsze – nie podpisywałby zobowiązania do współpracy z SB, po drugie – jeśli już podpisał, to by publicznie temu nie zaprzeczał, po trzecie – gdyby nawet zaprzeczał, to nie oskarżałby tych, którzy twierdzą odwrotnie, że są „niespełna rozumu”, a po czwarte – jako opozycjonista, który podpisał cyrograf dla SB, bez wahania by się powiesił albo zastrzelił. „Ale gdzież tam marzyć o tem!” – jak zwykły mawiać Ignacy Rzecki z „Lalki” Bolesława Prusa. Teraz w S(r)alonie są takie zasady, żeby iść w zaparte, a jeśli już się nie da, to jednym susem schronić się za murami praworządności – i pewnie dlatego wszyscy mądrzy, roztropni i przyzwoici, co to rozpoznają się nawzajem w tłumie po specyficznym zapachu, pod batutą Starych Kiejkutów nawet w obronie praworządności kicają.

Takie zasady mogą wynikać z bezpieczniackiej instrukcji na wypadek dekonspiracji. O postępowanie zgodne z taką instrukcją podejrzewam Kukuńka, któremu „konceptje” w sprawie „Bolka” lęgną się w głowie jedna za drugą, niczym króliki. Jeśli te podejrzenia okazałyby się trafne, to by znaczyło, że Kukuniek, który z ewidencji SB mógł zostać jeszcze w drugiej połowie lat siedemdziesiątych przejęty



przez wywiad wojskowy, nadal pozostaje w ewidencji, a jeśli wykonuje jedną instrukcję, to skąd pewność, że nie wykonuje innych? Z panem Bonim sprawa może być podobna, bo czy można być w Polsce skutecznym politykiem, nie będąc niczym agentem? Pan Boni był i nadal jest politykiem na swój sposób skutecznym, co wzbudza rozmaite podejrzenia, podobnie jak w przypadku zwycięzcy niedzielnych wyborów prezydenckich we Francji, pana Emmanuela Macrona. On też jest politykiem tak skutecznym, że może trochę aż za bardzo, niczym w naszym nieszczęśliwym kraju sprytny pan Rysio z Nowoczesnej, co to nie tylko z niczego z dnia na dzień stworzył partię, ale zanim zdążył otworzyć usta, już wdzięczny naród obdarzył go 11 procentami zaufania. Pan Macron też stworzył z niczego partię „Naprzód!”, zaś zaufało mu aż 66 procent obywateli – ale co francuska *razwiedka*, to nie nasze Stare Kiejkuty. Inna sprawa, że i francuska *razwiedka* musiała się nieźle nauwijać – na co wskazuje aż ponad 9 procent głosów nieważnych. Ktoś musiał przecież te kartki do urn wyborczych podosypywać – ale ponieważ stawką była przyszłość „Europy”, to można było do takich czynności zaangażować również członków z zasadami. Jestem pewien, że gdyby i u nas taka konieczność się pojawiła, to na pana Michała Boniego zdrowe siły mogłyby też liczyć. Kto raz był królem – powiadają bowiem wymowni Francuzi – ten zawsze zachowa majestat. Warto o tym pamiętać w momencie, kiedy również na francuskim odcinku frontu batalia z „populizmem” zakończyła się zwycięstwem.

W tej sytuacji tylko patrzeć, jak Nasza Złota Pani przystąpi do robienia porządku również w naszym nieszczęśliwym kraju, a wtedy każda para rąk – zwłaszcza tak czystych, jakimi może poszczycić się pan Michał Boni, który może tam i palił, ale przecież się nie zaciągał – nie tylko się przyda, ale zostanie odpowiednio zagospodarowana. Toteż nic dziwnego, że w przeczuciu nadchodzącego etapu z jego mądrościami również niezawisły sąd powinność swej służby zrozumiał i policzek pana Michała Boniego wycenił na wagę złota. Widać wyraźnie, że mimo rozmaitych przeciwności i sypania piasku w szprychy rozpędanego parowozu dziejów, *iustitia* w naszym nieszczęśliwym kraju jest w niezłej kondycji i kiedy tylko zabrzmie sygnał znajomej trąbki, to „posypią się piękne wyroki”. Takie to ci,

panie dzieju, są zasady.

„NCz!” 21/2017

# ŚWINKS

„WPoroninie na jedlinie wiszą gacie po Leninie. Kto chce w Polsce awansować, musi gacie pocałować” – głosił początek wierszyka popularnego w swoim czasie za pierwszej komuny. Mija już 28 lat od sławnej transformacji ustrojowej, a okazuje się, że wśród tych wielkich zmian są też elementy stałe w postaci gaci. Oczywiście już nie po Leninie, bo nastąpiło odwrócenie sojuszy, więc nawet pan redaktor Michnik, chociaż swój zdrowy korzeń wywodzi nie tylko „z miszpuchy cycelesowatej”, ale i od marksistów-leninistów, to przecież może co najwyżej na koszt zimnego ruskiego czekisty Putina wypić i zakąsić w Klubie Wałdajskim, ale żadnych gaci po Leninie całować już nie musi.

Nie znaczy to, że inni też już nie muszą; przeciwnie – muszą, z tym, że już nie po Leninie. Teraz, w 28 roku od sławnej transformacji ustrojowej, wspomniany wierszyk mógłby być strawestowany w sposób następujący: „Tam przy Czerskiej, na stoliku, śmierdzą gacie po Michniku. Kto chce w Polsce awansować...” – i tak dalej. Całować śmierdzące gacie po Michniku muszą zwłaszcza debiutanci w zawodzie autorytetu moralnego, na przykład w osobie pani Aleksandry Przybylskiej. Oczywiście to całowanie gaci to tylko taka metafora i redakcyjny Judenrat od nikogo takiego męczeństwa nie wymaga, a w każdym razie tak mi się wydaje – ale nie znaczy to, że nie ma żadnych rytuałów inicjacyjnych. Najwyraźniej są i co ciekawe – takie same, jak za Józefa Stalina, z którym redakcyjny Judenrat najwyraźniej musi łączyć jakaś niewidzialna pępowina.

Otóż za Stalina rytuał inicjacyjny do środowiska mądrych, roztropnych i przyzwoitych, co to w tłumie rozpoznają się po charakterystycznym zapachu, polegał na konieczności złożenia donosu – najlepiej w formie pisemnej, zwłaszcza w postaci jakiegoś gatunku dziennikarskiego – i wszystko wskazuje na to, że ten rytuał inicjacyjny nadal obowiązuje w redakcji żydowskiej gazety dla Polaków. Wskazuje na to nie tylko przykład pana red. Karola Adamaszka z Lublina, który – co prawda już nie jako debiutant, a funkcjonariusz w delatorskim rzemiośle dobrze szczywany („I ty szewczycho Wilhelmino, w tańcu wszelakim dobrze szczywana, i ty rzeźniczko Katarzyno...” – pisał średniowieczny poeta francuski

Franciszek Villon) – podrzucił lubelskiej prokuraturze donos na Grzegorza Wysoka, że w swoim „Biuletynie” dopuszcza się strasznych zbrodni antysemickich, ale i pani Aleksandry Przybylskiej. Pan Adamaszek doniósł lubelskiej prokuraturze, że Grzegorz Wysok dopuścił się antysemickiej myślozbrodni, bo w swoim „Biuletynie” opublikował taki oto antysemicki tekst, że nazwał pana red. Michnika „Żydem roku któregoś tam”. Kiedy zeznawałem w tej sprawie przed niezawisłym sądem w Lublinie, powiedziałem, że nie „któregoś tam”, tylko 1990 – bo właśnie wtedy pan red. Michnik dostał nagrodę o tej nazwie od jakiejś nowojorskiej organizacji żydowskiej i ją przyjął, więc nie jest to żadna antysemicka myślozbrodnia, tylko prawdziwa informacja – chyba że samo słowo „Żyd” zacznie być uważane za nieprzyzwoite, ale ja akurat tak nie uważam. Warto dodać, że proces karny przeciwko Grzegorzowi Wysokowi toczył się przed lubelskim niezawisłym sądem przez bodajże siedem lat, bo sędzia trochę się chyba wstydził skazać oskarżonego na takich podstawach, ale z drugiej strony chyba obawiał się, że jeśli umorzy sprawę z uwagi na brak znamion przestępstwa, to żydowska gazeta dla Polaków jego też oskarży przynajmniej o sprzyjanie antysemityzmowi. Próbował się tedy asekurować opiniami biegłych i przewlekaniem sprawy, ale jeden z biegłych okazał się jeszcze większym gorliwcem niż pan red. Adamaszek, bo – jak podejrzewam – liczył, że jeśli ktoś tę gorliwość zauważy, to kto wie – może dostanie „granty” na udokumentowanie przemożnego wpływu kultury żydowskiej na obyczajowość mniej wartościowego narodu tubylczego albo jakieś inne szamaństwo. W końcu trzeba było coś zdecydować – albo starosta, albo kapucyn – więc niezawisły sąd wydał wyrok salomonowy: wprawdzie uznał Grzegorza Wysoka za „winnego znieważenia” – nie wiadomo, czy całego „narodu żydowskiego”, czy też jakieś żydowskiej jaczejki – ale z powodu znikomej szkodliwości od kary odstąpił. Ten wyrok trzeba by podsunąć pod nos Fransowi Timmermansowi, który tak sobie upodobał w roli owczarka niemieckiego, że kiedy tylko Nasza Złota Pani go poszczuje, to tarnosi biedną Polskę z prawdziwą zapamiętałością. Tymczasem na tym przykładzie widać, jak niezawisły sąd lawiruje między Scyllą żydowskiego terroru a Charybdą logiki i przyzwoitości. Podsunąć pod nos i powiedzieć: powąchaj no, wasze!

Pani Aleksandra Przybylska to co innego. Przypuszczam, że w odróżnieniu od red. Adamaszka czy mojej faworyty z najweselszego w całej „Gazecie Wyborczej” działu religijnego, Katarzyny Wiśniewskiej, w rzemiośle delatorskim dopiero debiutuje. Oto poszła do jakiegoś poznańskiego szpitala i tam w kiosku zobaczyła wystawione na sprzedaż książki, między innymi mojego autorstwa. Ponieważ wśród mądrości, jakie w dotychczasowym życiu sobie przyswoiła, na przykład że głód wypędza wilka z lasu, dowiedziała się, że jestem – jak rytualnie określa mnie pochodząca ze świętej rodziny Dominika Wielowieyska – „znany z antysemickich wystąpień”, to widok mojej książki w szpitalnym kiosku, a więc w miejscu, w którym mogliby zapoznać się z nią również ludzie chorzy, szalenie nią wstrząsnął. Ale chyba nie tylko wstrząsnął, bo również zainspirował do napisania donosu, który redakcyjny Judenrat skwapliwie wydrukował, pewnie w nadziei, że właściciel kiosku dla świętego spokoju książkę schowa pod ladę, a może nawet w ogóle wycofa i w ten sposób pacjenci będą mieli dostęp tylko do literatury zatwierdzonej przez żydowską cenzurę – tak samo jak to było za Stalina.

Okazuje się, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, że skłonności totalniackie nie tylko wysysa się z wiadomym mlekiem, ale kto wie, czy nie są one przekazywane genetycznie, skoro schodzą do poziomu instynktów? Stalinizm w Polsce odżywa i kwitnie między innymi dzięki „Gazecie Wyborczej”, która chociaż początkowo udawała przywiązanie do pluralizmu i wolności słowa, to teraz porzuciła wszelkie pozory i chociaż pan red. Michnik i teraz chętnie drapuje się w płaszcz Konrada, to cóż tego, skoro żeby nie wiem jak się weń owijał, to zawsze wyłażą mu spod niego stalinowskie cholewy, o których tak plastycznie pisał Osip Mandelsztam: „Śmieją się karalusze wąsiska i cholewa jak słońce rozbłyska!”. Jak to pisał inny poeta: „Tak wylazła z archanioła stara świnia reakcyjna...”.

Oczywiście pan red. Michnik żadną „świnia reakcyjną” nie jest, co najwyżej – jak by określił go pewien, też zresztą jąkający się ksiądz profesor – „św..., świ..., świnksem”.

„NCz!” 22/2017

## PIOSENKI Z GENERALNEJ GUBERNI

Co to będzie, co to będzie...! Nie dlatego, żeby było „ciemno wszędzie, głucho wszędzie”. Jest przecież akurat odwrotnie. Ciemno to jest pod latarnią – tą konkretnie, która świeci przed Kancelarią Premiera. Dopóki oświetlała kancelarię Premiera Tuska, to wszystko było w jak najlepszym porządku, chyba że demonstrację protestacyjną urządzali tam policjanci. Widziałem kiedyś taką demonstrację; z całej Polski zjechali się policjanci umundurowani i po cywilnemu („mruka tajniak na tajniaka...”) i stali na Alejach Ujazdowskich, skandując: „zło-dzie-je! zło-dzie-je!”.

Widok był dziwnie osobliwy, bo na całym świecie jak policjant widzi złodzieja, to go łapie – a tu żaden nawet nie drgnął. Widocznie skądś mieli informację, że tych złodziei nie wolno im łapać, więc tylko głosem sygnalizowali ich obecność. Ale poza takimi incydentami wszystko było w jak najlepszym porządku i nawet taki pan minister Sławomir Nowak, który zaciągnął się czy może został zaciągnięty w charakterze szabesgoja na służbę u ukraińskiego premiera Włodzimierza Hrojsmana, dworuje sobie z sejmowej komisji markującej wyjaśnianie afery Amber Gold – a płomienni szermierze ludowej praworządności zebrani na katowickim Kongresie Prawników Polskich ani słowem nie zajaknęli się na temat zagadkowych przyczyn, dla których sędziowie nagle doznają amnezji i nawet na pytanie, jak się który nazywa, odpowiadają: „nie wiem, nie pamiętam”. Najwyraźniej pamięć wyłączyli im oficerowie prowadzący z Wojskowych Służb Informacyjnych, którzy nie tylko wystrugali ich z banana na jurysprudensów, ale w dodatku poprzebierali ich w „śmieszne średniowieczne łańchy” z groteskowymi złotymi łańcuchami z tombaku – takiego samego, jaki na bycze karki zakładają sobie alfonchy rekrutujące panienki dla swoich bezpieczniejszych sutenerów.

Zatem jeśli nawet teraz ciemno jest pod latarnią oświetlającą Kancelarię Premiera, to za to ciemności zewnętrzne oświetla kaganiec bzdzący w siedzibie redakcyjnego Judenratu przy ulicy Czerskiej – zaraz koło budynku firmy Cenzin, co to dostarcza broni i amunicji płomiennym szermierzom praworządności i demokracji w rozmaitych egzotycznych krajach. Złośliwcy, których na tym świecie pełnym złości

nie brakuje, szerzą fałszywe pogłoski, jakoby między siedzibą redakcyjnego Judenratu a budynkiem Cenzynu przebiegało podziemne przejście, czyli tak zwane lochy, przez które od każdej transakcji odprowadzane są procenty dla starego grandziarza, który kupił sobie ponad 11 procent udziałów w spółce Agora. Te procenty mają zasilać Fundację Batorego, za pośrednictwem której Główny Cadyk III Rzeczypospolitej futruje autorytety moralne, które za niewielkie pieniądze („goły poeta dostał kotleta, piszą chłopczyki panegiryki”) płatnym językiem sławią jego triumfy, niczym samego Króla Niebieskiego. Oczywiście w tych fałszywych pogłoskach nie ma ani słowa prawdy, bo jakże by inaczej – chociaż z drugiej strony pamiętam, jak to jeszcze w latach dziewięćdziesiątych Fundacja Batorego rozprawiała po redakcjach okólnik informujący, kto ile od nich i za co dostał. Był to znakomity przewodnik po życiu publicznym naszego nieszczęśliwego kraju, bo na podstawie tych informacji można było zrozumieć, dlaczego jeden z drugim autorytet moralny ćwierka akurat z tego klucza, a nie z jakiegoś innego. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, to na liście płac figurował JE ksiądz biskup Tadeusz Pieronek – być może również i dzisiaj na łaskawym chlebie u grandziarza. Jeśli tak, to nie da się ukryć, że od czasów Judasza dokonał się spory postęp; on sprzedał Pana Jezusa za nędzne 30 srebrników, co w dzisiejszych zepsutych czasach nie stanowi nawet równowartości połowy jednorazowego transferu. No, ale ludzie rosną wraz z krajem, więc również grandziarz musi uwzględniać nie tylko inflację, ale i potrzeby. Dzisiaj za 30 srebrników żaden następca apostołów nie chciałby nawet na Sanhedryn spojrzeć, więc – jak to w żydowskiej anegdocie – „my tu o większe pieniądze się modlimy!”

Ale nie o tym przecież chciałem pisać, tylko o bojkocie festiwalu polskiej piosenki w Opolu. Piosenkarze zaprotestowali i w rezultacie pan Arkadiusz Wiśniewski, prezydent Opolu, wypowiedział rządowej telewizji umowę. Na takie *dictum* pan prezes Kurski ogłosił, że festiwal piosenki polskiej odbędzie się w Kielcach. Natychmiast jacyś zmobilizowani obywatele Kielc energicznie zaprotestowali przeciwko takiemu pomysłowi – z obawy, że w takiej sytuacji Kielce staną się synonimem „obciachu”. Rzeczywiście – co powiedzą w takim, dajmy na to, Paryżu, kiedy się dowiedzą, że w Kielcach zaśpiewały

łamistrajki, za nic sobie mając względy solidarności z panią Katarzyną Szczot? Jak wiadomo, w Paryżu wszyscy panią Katarzynę Szczot nie tylko znają, ale za nią przepadają i już nie mogą wytrzymać bez codziennego odsłuchania piosenki „Testosteron”, opowiadającej o perypetiach doraźnego konkubinatu, kiedy to partner najpierw trzasnął partnerkę w mordę, a potem drzwiami („Oskarżam cię o łez strumienie, osamotnienie, zdradę i gniew, oskarżam cię o to cierpienie, wojen płomienie, przelaną krew” – najprawdopodobniej z nosa, bo – jak pisał pozbawiony złudzeń ksiądz biskup Krasicki – „i panowie chorują – czemuż lwy nie mogą”, więc dlaczegóż to celebryci nie mieliby spuszczać sobie krwi z nosa, zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych?).

Tak to wygląda na pierwszy rzut oka – ale któż poprzestaje na pierwszym rzucie oka? Żeby spenetrować prawdę, warto wykonać również drugi rzut oka, a wtedy bojkot wzniecony przez refrenistów jawi się nam w całkiem innym świetle. Dlaczegóż to Opole miałoby gościć festiwal polskiej piosenki i z tego tytułu nazywać się „stolicą polskiej piosenki”? Z punktu widzenia niemieckiej polityki historycznej nastał czas, by tej sytuacji położyć kres. W jaki sposób to zrobić – aaa, to już leży w gestii pierwszorzędnych fachowców, którzy do każdego celebryty, nawet do pani „Kasi Kowalskiej”, podobno uchodzącej w środowisku za szczególnie odporną na jakiegokolwiek perswazje, potrafią znaleźć dojskie („zawsze się znajdzie jakaś dziura, którą będzie można wejść” – głosiły słowa piosenki popularnej za moich czasów w kołach wojskowych). Może jeszcze nie teraz, ale już za rok, a najdalej „za dwa, za trzy, choć nie dziś”, Opole stanie się stolicą całkiem innej piosenki. Może jeszcze nie „Horst Wessel Lied”, bo lichy nie śpi i koordynacja żydowskiej polityki historycznej z polityką historyczną niemiecką ma swoje subtelne wymagania – ale chyba na terenie rejencji opolskiej dopuszczalne będą pieśni zakazane na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Toteż w Kielcach będą śpiewane całkiem inne „łodirydi”, co rzeczywiście w Paryżu może być niezrozumiane, bo Francuzi, o ile pamiętam, w zasadzie nie znają języków obcych, uważając, że jak ktoś już przyjechał do Francji, to powinien mówić po francusku. A która z celebrytek zna język francuski? Może i poznała – ale z mówieniem, nie mówiąc o



śpiewaniu, jest już znacznie gorzej.

„NCz!” 23/2017

# PUŁAPKI PRAWORZĄDNOŚCI

„Wtropieniu przestępstw gospodarczych tak poniósł go szlachetny zapał, że się dopiero opamiętał, gdy się za własną rękę złapał” – pisał Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie „Towarzysz Szmaciak” o generale Bagno („W tym czasie Bagno, Polak szczery, był pies straszliwy na afery”).

Jak wiadomo, nowa kombinacja operacyjna, jaką Nasza Złota Pani prowadzi przy wykorzystaniu Starych Kiejkutów i ich agentury uplasowanej pieczołowicie w tak zwanym wymiarze tak zwanej sprawiedliwości („Wysoka Sprawiedliwości” – zwraca się podsądny do niezawisłego sądu, który niezwłocznie go koryguje: „tu nie ma sprawiedliwości, tu jest sąd”), ma się dokonywać pod sztandarem praworządności.

Skąd Naszej Złotej Pani, a konkretnie: pierwszorzędnym fachowcom z BND przyszedł do głowy taki pomysł – tajemnica to wielka, ale pewne światło rzuca na tę sprawę zarówno afera Amber Gold, jak i afera reprzywatyzacyjna w Warszawie.

Jak wiadomo, i w jednej, i w drugiej umoczeni są funkcjonariusze tak zwanego wymiaru tak zwanej sprawiedliwości. Afera Amber Gold polegała na tym, że pan Marcin Plichta, na którym ciążyły już kondemnatki niezawisłych sądów, został umieszczony na fasadzie firmy Amber Gold, która mającym naiwniakom za pieniądze wystawiała papierki, na których było napisane, że reprezentują one ekwiwalent złota. Oczywiście żadnego złota nigdzie nie było, więc podejrzewam, że Stare Kiejkuty, które nie przepuszczają żadnej okazji by kogoś okraść, wydymać albo przecwelować, bo *consuetudo est altera natura* – które to przyzwyczajenia Stare Kiejkuty wysysają z mlekiem matki i z mleczem ojca – zorganizowały to przedsięwzięcie, by zasilić swoją tajną kasę – i potrzebowały umieścić na fasadzie właśnie kogoś takiego jak pan Marcin Plichta, bo ktoś, kto wie, że został warunkowo odcięty od stryczka, musi bardzo uważać, żeby nie znaleźć się na nim ponownie.

Wymagało to jednak wciągnięcia do kolaboracji agentów uplasowanych w tak zwanym wymiarze tak zwanej sprawiedliwości – żeby rozpięły nad panem Plichtą i tym całym Amber Goldem parasol

ochronny. Toteż żaden z funkcjonariuszy niezależnej prokuratury ani żaden z niezawisłych sądów w słynącym w świecie z niezawisłości gdańskim okręgu sądowym przez całe lata starannie nie zauważał słońca w menażerii, a i dzisiaj na pytanie sejmowej komisji śledczej: „jak się pan nazywa?” – taki jeden z drugim niezawisły sędzia, niezależny prokurator czy inny dygnitarz odpowiada: „nie wiem, nie pamiętam”.

Wyjaśnić to można jedynie na gruncie mojej ulubionej teorii spiskowej, według której takiemu jednemu z drugim niezawisłemu sędziemu czy innemu dygnitarzowi, oficer prowadzący podsunął pod nos piąchę i powiedział: powąchaj no, frędzlu! Jak tylko puścisz farbę przed tą całą komisją, to my już ci przypomnimy, skąd ci wyrastają nogi! Toteż niezależna prokuratura wszczęła w sprawie Amber Gold tak zwane energiczne kroki dopiero wtedy, gdy cała przekręcona forsa została bezpiecznie ewakuowana do tak zwanej sieniejskiej dali, gdzie surowa ręka sprawiedliwości ludowej już nie sięga.

Jakby tego było mało, to jeszcze w Warszawie – a jak się okazało, w innych miastach też – wybuchła afera reprivatyzacyjna. Adwokaci, notariusze, a także niezawisli sędziowie prokurowali pozory legalności dla kradzieży nieruchomości, które następnie odstępowane były z kolosalnym zyskiem. Taki proceder byłby absolutnie niemożliwy bez parasola ochronnego, jaki nad jurysprudensami rozpostarły Stare Kiejkuty – oczywiście nie za darmo, co to, to nie, tylko – jak przypuszczam – za lichwiarski procent. Zatem kiedy również wybuchła afera reprivatyzacyjna, to znaczy kiedy piorun strzelił już bardzo blisko – pierwszorzędni fachowcy z BND zorientowali się, że niezawisli sędziowie, niezależni prokuratorzy i inni jurysprudenci za obietnicę uratowania tyłka zrobią wszystko, czego się od nich zażąda. Toteż uwijają się, jak mogą, protestują, kongresują się na potęgę, a pani Małgorzata Gersdorf otwartym tekstem wezwała towarzyszy do buntu przeciwko rządowi.

Co w tym towarzyszy robi pan prof. Adam Strzembosz – Bóg jeden wie – bo uprzejmiem zakładam, że przecież ani Stare Kiejkuty, ani ich konfidenci z nim się nie dzielili. Pani Hanna Gronkiewicz-Waltz to co innego. Z góry zapowiedziała, że nie stawi się przed komisją pana ministra Patryka Jakiego – jak przypuszczam, z obawy, że komisja

ściągnęłyby jej majtki na oczach całej Polski – a takiego widoku nasz nieszczęśliwy kraj prędko by nie zapomniał.

Osoba, która jeszcze niedawno przeżywała orgazmy z samym Duchem Świętym, nie może sobie pozwolić na ujawnienie wstydliwych zakątków, nawet gdyby nie było żadnego oficera prowadzącego. Skoro tedy kombinacja operacyjna ma się odbywać pod sztandarem praworządności, to nic dziwnego, że Stare Kiejkuty dostały rozkaz usunięcia z fasady Komitetu Obrony Demokracji Mateusza Kijowskiego – bo gdyby właśnie on był chorążym wymachującym przed całą Europą sztandarem praworządności, to byłoby tego za wiele nawet dla Fransa Timmermansa, który najwyraźniej upodobał sobie w roli owczarka niemieckiego.

Teraz pan Łoziński buńczucznie deklaruje, że KOD „musi odzyskać czystą, uczciwą twarz”. He, he! Najwyraźniej zapomniał, co pisał Boy-Żeleński w opowieści, jak to „o praemium się ubiegał bez Boskiej obrazy Tomkowic z sodalicyey i pan Aszkenazy” – że mianowicie: „darmo – co raz człek stracił, tego nie odzyszcze”. W tamtym przypadku chodziło co prawda tylko o napletek – ale w przypadku konfidentów Starych Kiejkutów, z jakich – jak podejrzewam – rekrutuje się trzon KOD, może to mieć zastosowanie i do twarzy, bo skąd niby u konfidentów twarz – zwłaszcza „czysta i uczciwa”?

Toteż mamy do czynienia z wyścigiem z czasem – albo Nasza Złota Pani szybciej zdąży z kombinacją operacyjną, dzięki której konfidenti Starych Kiejkutów w niezawisłych sądach i innych ogniach tak zwanego wymiaru tak zwanej sprawiedliwości będą mogli wreszcie odetchnąć z ulgą i znowu nadymać się niezawistością – albo wcześniej znajdą się za kratami, podobnie jak w Turcji – i wtedy zagadnienie praworządności objawi się nam w całkiem innych kategoriach.

Na marginesie tej sprawy warto odnotować wyrok, jaki niezawisły sąd przysolił drukarzowi, który odmówił wydrukowania sodomitom jakiegoś plakatu. Niezawisły Sąd Okręgowy w Łodzi utrzymał w mocy wyrok, na podstawie którego drukarz ów został uznany winnym wykroczenia z art. 138 kodeksu wykroczeń („kto zajmując się zawodowo świadczeniem usług (...) bez uzasadnionej przyczyny odmawia świadczenia do którego jest zobowiązany, podlega...” – i tak dalej). Uważam, że niezawisły sąd w Łodzi wykazał się rażącym

brakiem logiki, być może wywołanym obawą przed napiętnowaniem przez sodomitów, którzy poczynają sobie w naszym nieszczęśliwym kraju coraz zuchwalej, bo drukarz taką przyczynę podał – że mianowicie nie chce przykładać ręki do promocji sodomizmu. Najwyraźniej dla Sądu Okręgowego w Łodzi taka przyczyna nie jest dostatecznie uzasadniona.

Ciekawe, czy byłaby całkowicie uzasadniona, gdyby drukarz powołał się na polecenie oficera prowadzącego. Ale to jeszcze nic – bo niezawisły Sąd Okręgowy w Łodzi chyba zapomniał o zasadzie swobody zawierania umów, w myśl której strona ma prawo wyboru kontrahenta. Najwyraźniej musiał nabrał przekonania, że ta zasada w przypadku sodomitów doznaje zawieszenia, że sodomitom nikt nie może się sprzeciwić. Ciekawe, czy niezawisły Sąd Okręgowy w Łodzi orzekł tak bezinteresownie, czy nie, bo na tym świecie pełnym złości wszystko jest możliwe – z sodomią w sądach włącznie.

„NCz!” 24-25/2017

# POLITYCZNE ASPEKTY ŚMIERCI ZBIGNIEWA WODECKIEGO

Zmarł Zbigniew Wodecki, wybitny artysta, niezwykle zasłużony dla przemysłu rozrywkowego. Tak się złożyło, że jego śmierć zbiegła się w czasie z buntem piosenkarzy przeciwko faszystowskiemu reżymowi, na rozrywkowym odcinku personifikowanym przez prezesa rządowej telewizji Jacka Kurskiego.

Najwyraźniej piosenkarze pozazdrościli prawnikom, którzy na obecnym etapie jednym susem wskoczyli do pierwszego szeregu awangardy płomiennych bojowników o praworządność, bo na etapach poprzednich – często ci sami – znajdowali się w awangardzie płomiennych bojowników o praworządność ludową. Na czym polega różnica między praworządnością a praworządnością ludową, najlepiej wyjaśnić na przykładzie przysięgi wojskowej, jaką za komuny składali żołnierze z poboru.

W rocie tej przysięgi uroczyście zapewniali o intencji „stania na straży pokoju w braterskim przymierzu z Armią Radziecką”, a całość wieńczyło złowieszcze zaklęcie, że „gdybym nie bacząc na tę moją uroczystą przysięgę obowiązek wierności wobec Ojczyzny złamał, niechaj mnie dosięgnie surowa ręka sprawiedliwości ludowej”. Z treści przysięgi wynikało, że żołnierz ma pozostawać „w braterskim przymierzu z Armią Radziecką”, w którym głos decydujący miała oczywiście Armia Radziecka – również o zakresie niepodległości i suwerenności Polski. Zatem w rotę tej przysięgi zdrada Ojczyzny została wpisana *expressis verbis* – a na straży tej zdrady postawiona została „surowa ręka sprawiedliwości ludowej”. To znaczy czyja? („Czyja to nóżka, czyja” – śpiewała Krystyna Zachwatowicz w piosence „Głupia”, deklarując, że „taka głupia, to ja już nie jestem, może głupia, ale taka to już nie”.) A czyjaż by, jeśli nie niezawisłych sędziów, gotowych solić „piękne wyroki”?

Jak pisał Janusz Szpotański, sam zresztą przez takiego niezawisłego do dzisiaj sędziego skazany na trzy lata więzienia za operę „Cisi i gęgacze”, w zakończeniu nieśmiertelnego poematu „Towarzysz Szmaciak”: „Tak sobie Szmaciak mściwie roi, na korytarzu zaś już stoi

podwładnych tłum, aby bez zwłoki stosowne zaraz podjąć kroki, gdy tylko wódz rozkazy wyda. Są to milicji szef Maczuga, pan prokurator Jan Szaruga i bardzo tłusta biała gnida – prezes powiatowego sądu”. Czy „pan prokurator Jan Szaruga” i „bardzo tłusta biała gnida” nie byli przypadkiem uczestnikami ostatniego Kongresu Prawników Polskich w Katowicach? Strasznie się tam nadymali własnym gazem, z panią profesor Małgorzatą Gersdorf na czele, podczas gdy trochę więcej skromności nikomu by nie zaszkodziło.

Inna rzecz, że jeśli pada rozkaz, by „bronić praworządności” – wszystko jedno: „ludowej”, „socjalistycznej” czy jakiejś jeszcze innej – to nie może być żadnej taryfy ulgowej, zwłaszcza dla konfidentów, których w środowisku chyba trochę by się znalazło, nieprawdaż? Czy aby „nie około 2 tysięcy” – akurat tylu, ilu było uczestników tego Kongresu?

### POWSZECHNA MOBILIZACJA

Wróćmy jednak *à nos moutons*, czyli do piosenkarzy, którzy najwyraźniej pozazdrościli prawnikom, że jednym susem wskoczyli do pierwszego szeregu awangardy walczącej z faszystowskim reżymem – jedni pewnie w nadziei, że Nasza Złota Pani, jeśli nawet nie osobiście, to za pośrednictwem stosownych służb, zauważy zaangażowanie po stronie praworządności i wynagrodzi jeśli nie trasą koncertową, to przynajmniej sowitą nagrodą, niechby i „Szkła w rozumie”, jaką został w swoim czasie przez miasto Karlsruhe udelektowany Władysław Bartoszewski, kiedy sądząc, że Niemcy przestali go już futrować nagrodami, zaczął powątpiewać, czy warto być przyzwoitym, a inni – kto wie? – może na polecenie Siły Wyższej, która wystrugała ich z banana na piosenkarzy mimo posiadania zaledwie pierwszego stopnia muzykalności, to znaczy umiejętności rozróżniania, kiedy grają, a kiedy nie.

Tak czy owak odmówili udziału w opolskim festiwalu, który w związku z tym za karę się nie odbędzie, doprowadzając szerokie masy ludowe do wzburzenia i wyjścia na ulice, by położyć kres podnoszącemu głowę w naszym nieszczęśliwym kraju faszyzmowi, zgodnie z oczekiwaniami Naszej Złotej Pani, która jeśli nawet będzie jakiś faszyzm tu instalowała, to wtedy, kiedy sama zechce, i taki, jaki jej będzie się podobał.

## CHŁOSTA OD WIELEBNEGO

Jak widzimy, powszechna mobilizacja ogarnia coraz szersze kręgi, ale nie o tym przecież chciałem pisać, tylko o tym, że śmierć pana Zbigniewa Wodeckiego skomentowała pani Magdalena Ogórek, że „podczas gdy muzycy toczyli polityczne boje, on po cichu odszedł sobie niepostrzeżenie do nieba”. Z jakiegoś zagadkowego powodu ta opinia do tego stopnia wzburzyła przewielebnego ojca Grzegorza Kramera, że ofuknął panią Ogórek słowami: „Madziu, nie łącz śmierci Zbigniewa z wojenkami”.

Przewielebny ojciec Kramer niedawno pryncypialnie skrytykował Polaków, że nie chcą pomagać uchodźcom. Ciekawe, czy przewielebny ojciec Kramer przyjął jakiegoś uchodźcę lub uchodźczynię na szlafkastrata do swojej klasztornej celi, czy tylko – wzorem faryzeuszy – wytyka bliźniemu swemu źdźbło, taktownie nie dostrzegając we własnym oku belki.

Może nie powinienem pouczać przewielebnego ojca, ale skoro już chłozcze Polaków niczym sam Frans Timmermans, to może warto przypomnieć, że chrześcijaństwo nakazuje miłować bliźniego swego JAK SIEBIE SAMEGO – ale nie bardziej, co w przełożeniu na praktykę życiową polega na tym, by miłość bliźniego nie dokonywała się za cenę doprowadzania samego siebie do zagłady albo do sprowadzania niebezpieczeństwa na naród i państwo. Chrześcijaństwo jest wprawdzie religią wymagającą, ale bardzo zdroworozsądkową, czego najwyraźniej nie mogą zrozumieć rozmaici mikrocefale, których niestety spotyka się też w stanie duchowym.

### ARTYSTA W AWANGARDZIE PROTESTU

Mniejsza zresztą o przewielebnego ojca Kramera, któremu nie powierzyłbym nawet duszy od żelazka, a cóż dopiero własnej – ale dlaczego właściwie nie powinno się łączyć śmierci pana Wodeckiego z „wojenkami”? Ksiądz Bronisław Bozowski powiadał, że nie ma przypadków, są tylko znaki, więc skoro Zbigniew Wodecki zmarł akurat w momencie apogeum buntu piosenkarzy, to może to był właśnie znak, że i on na swój sposób się do niego przyłącza – i to w sposób nieodwołalny? Bo w odróżnieniu od innych piosenkarzy, którzy – gdyby tak prezes Kurski poskromił węża w kieszeni i sypnął dla lamistrąjków złotem – truchcikiem by na festiwal może jednak



podreptali – on do Opolą nie przyjedzie i na żadnym festiwalu urządzanym przez rządową telewizję nie wystąpi na pewno. Siłą rzeczy stanął w awangardzie tego protestu i aż dziw bierze, że żydowska gazeta dla Polaków jeszcze tego nie zauważyła i nie skomponowała na tej podstawie faktu prasowego. Redaktorze Michnik – pobudka!

*„NCz!” 24-25/2017*

## UCHODźCÓW DO IZRAELA!

Słynna anegdota o mężu, co to po powrocie do domu zastał żonę w sytuacji wskazującej na małżeńską zdradę, opowiada, jak to w poszukiwaniu gacha otwiera on drzwi do poszczególnych pokoi, po czym z hałasem je zamyka, komunikując raz po raz: tu go nie ma! Wreszcie otwiera szafę, a tam widzi golasa, ale z rewolwerem w ręce. – I tu go nie ma! – woła, zatraskując z hałasem drzwi szafy. Anegdotka ta pasuje jak ulał do fali „terroryzmu”, jaka rozlewa się po Europie za sprawą tak zwanych „uchodźców”, którym ostentacyjnie współczują zwłaszcza osoby szczególnie chronione przez tajniaków, apelując do chrześcijańskiego miłosierdzia – i tak dalej. Nawiasem mówiąc, warto przypomnieć, że chrześcijański nakaz miłości bliźniego nie nakazuje bynajmniej, by kochać go bezgranicznie. Wyznacza granicę w postaci wskazówki: „jak siebie samego” – co oznacza, że ta miłość nie powinna posuwać się do szkodenia samemu sobie, albo – w przypadku miłości zbiorowej –prowadzić do ściągania niebezpieczeństwa, a zwłaszcza zagłady na społeczność miłującą. Chrześcijaństwo bowiem jest wprawdzie religią wymagającą, ale – w odróżnieniu od pana redaktora Michnika – od nikogo nie wymaga ani nawet nie oczekuje naiwności. To, że wielu dygnitarzy sprawia wrażenie, jakby o tej prostej zasadzie zapomniało, nie oznacza, że przestała ona obowiązywać – tylko że cierpimy na potężny kryzys przywództwa.

Warto tedy przypomnieć, że problem „uchodźców” pojawił się w następstwie misji pokojowych i stabilizacyjnych, wojen o pokój i demokrację oraz jaśminowych rewolucji. Wtrąciły one wiele krajów Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Afryki Północnej w stan krwawego chaosu. Tak się akurat złożyło, że prawie wszystkie te kraje były w przeszłości uważane za potencjalne zagrożenie dla Izraela. Bo na przykład Jordania, którą rządzi tyran, wcale w stan krwawego chaosu wtrącona nie została. Nikomu nie przychodzi do głowy, by walczyć tam o demokrację albo inne makagigi – bo Jordania w 1994 roku podpisała z Izraelem traktat pokojowy. Z perspektywy czasu wygląda zatem na to, że wszystkie te operacje pokojowe i tak dalej zostały przeprowadzone w interesie Izraela, chociaż oczywiście pod całkiem innymi pretekstami. Dodatkową poszlaką, która by na to

wskazywała, jest przekonanie żywione przez byłego prezydenta USA Jerzego Busha juniora, a być może i całą dynastię, że Królestwo Boże na ziemi nastąpi dopiero po przejęciu politycznej władzy nad światem właśnie przez Izrael. Polityka w ogóle tylko pozornie jest racjonalna, bo nie da się racjonalnie uzasadnić potrzeby dominacji, która jest motorem wszelkiej polityki – a cóż dopiero, gdy na tę potrzebę nakładają się jeszcze jakieś wariactwa? Kolejną poszlaką jest okoliczność, że coraz więcej Żydów stawia znak równości nie tylko między antysemityzmem a spostrzegawczością, bo to było zawsze, ale również między antysemityzmem a każdą krytyką postępowania Izraela, najwyraźniej ulegając rasistowskiemu uroszczeniu, jakoby Żydzi byli wyjątkowi w całym Wszechświecie, w związku z czym mieli prawo instrumentalnego traktowania wszystkich innych narodów. Środowiska żydowskie, wykorzystując w tym celu również tak zwanych pożytecznych idiotów, których na tym świecie niestety jest coraz więcej, próbują narzucić ten paranoidalny pogląd całemu światu, co oczywiście musi rodzić rozmaite napięcia. Stan krwawego chaosu, w jaki w interesie Izraela zostało wtrąconych wiele krajów, jest przyczyną i pozorem moralnego uzasadnienia dla wędrówki ludów z rejonu Bliskiego i Środkowego Wschodu oraz Afryki Północnej do Europy. Wśród tych wędrowców dominującą grupę stanowią młodzi mężczyźni przed 30 rokiem życia, a więc mężczyźni zdolni do walki. Ogołocenie tamtych obszarów z półtora, a może nawet dwóch milionów takich mężczyzn potencjalne zagrożenie dla Izraela dodatkowo zmniejsza, podczas gdy dla Europy – zwiększa. Poza tym warto zwrócić uwagę, że wyekspediowanie jednego takiego podróżnika do Europy kosztuje kilka tysięcy euro i chociaż tamte kraje zostały zniszczone przez operacje pokojowe i obecny krwawy chaos, w którym mnóstwo ludzi potraciło dorobek całego życia, to jednak podróżnicy jakoś te pieniądze zdobywają, gwoli opłacenia przemytniczych mafii. Chyba jeden gołodupiec nie pożyczka od drugiego – bo i skąd? Zatem ktoś musiał stworzyć dla całej operacji inżynierię finansową i linie kredytowe, dzięki którym podróżnicy mogą ruszyć w drogę. Ale muszą przecież dać jakieś zabezpieczenie, zwłaszcza że ruszają w siną dal. Jedynym zabezpieczeniem są zakładnicy z kręgu najbliższej rodziny – i to tłumaczy przyczyny, dla

których „uchodźcy” próbują dostać się do krajów o najwyższym socjalu – bo trzeba pozostałą na miejscu rodzinę wykupić z niewoli, a w tamtych rejonach to nie są żarty. Widzimy zatem, że mamy do czynienia z precyzyjnie zaplanowaną operacją, której celem może być wywołanie w Europie wojny na wyniszczenie. Pewne światło na tę sprawę rzuca buńczuczna deklaracja, jaką jeszcze w 1989 roku złożył ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej Jakub Delors, stwierdzając w przemówieniu, że celem Unii Europejskiej jest wypowiedzenie wojny ekonomicznej Stanom Zjednoczonym. Ponieważ żydowskie *lobby* polityczne ma na politykę USA ogromny wpływ – niektórzy powiadają nawet, że „ogon wywija psem” – no to nic dziwnego, że wszystko się zazębia, tym bardziej że coraz częściej pojawiają się głosy o potrzebie przeniesienia Izraela w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Wprawdzie w Europie bywało rozmaicie, ale – jak zauważył Franciszek ks. de La Rochefoucauld – tylko dlatego Pan Bóg nie zesłał na ziemię drugiego potopu, że przekonał się o bezskuteczności pierwszego, więc nic dziwnego, że Żydzi również próbują – zwłaszcza w perspektywie możliwości wejścia niektórych krajów muzułmańskich w posiadanie broni jądrowej – rozglądać się po świecie w poszukiwaniu jakiejś alternatywnej siedziby. Wiele wskazuje na to, iż argusowe oko spoczęło na żyznych obszarach Ukrainy, którą już rządzi premier Włodzimierz Hrojsman, którego – w odróżnieniu od premiera Arszenika Jaceniuka, zaledwie „podejrzewanego” o żydowskie pochodzenie – już o nic podejrzewać nie potrzeba, no i Polski, gdzie w środowisku żydowskiej gazety dla Polaków mnożą się *haggady* o powojennej martyrologii Żydów, niczym w czasach stalinowskich opowieści naocznych świadków o stoncie zrzucanej na kartofliska spółdzielni produkcyjnych przez amerykańskie samoloty. Trafiły one nawet do literatury dla dzieci w postaci nieśmiertelnego poematu Jana Brzechwy „Stonka i Bronka” („A i wróg jest także gotów zrzucić stonki z samolotów”), zaś JE Andrzej Deszczyca, ambasador Ukrainy w Polsce, i JE Anna Azari, ambasador Izraela w Polsce, poparli niedawną antyrządową demonstrację sodomitów w Warszawie. Skoro Izrael nie ma większych zmartwień, to może przyjąłby wszystkich muzułmańskich uchodźców – bo przecież ta wędrówka ludów odbywa się za jego przyczyną.

„NCz!” 26-27/2017

# PORZĄDKOWANIE EUROPY

Jak zauważył prof. Norman Davies, kto pragnie zapanować nad Europą, musi najpierw zawładnąć sercem Europy, czyli Europą Środkową. W XIX wieku było to jeszcze ważniejsze niż dzisiaj, bo wtedy Europa panowała prawie nad całym światem. Kto chciał zapanować nad światem, musiał najpierw zapanować nad Europą, a żeby zapanować na Europą, musiał zapanować nad jej sercem. Dlatego też zebrani w 1815 roku w Wiedniu europejscy politycy ustanowili polityczny porządek ufundowany na założeniu równowagi w Europie Środkowej między trzema mocarstwami: Rosją, Prusami i Austrią. To założenie przetrwało zaledwie 50 lat i pierwsze zachwianie równowagi nastąpiło w roku 1866, kiedy to w bitwie pod Sadową Prusy rozgromiły armię austriacką.

Zwycięstwo Prus nad Francją w wojnie francusko-pruskiej w latach 1870-1871 oraz utworzenie przez Ottona Bismarcka Cesarstwa Niemieckiego położyło ostatecznie tej równowadze kres i odtąd Niemcy rywalizują o dominację w Europie Środkowej z Rosją. Ta rywalizacja doprowadziła w roku 1914 do wybuchu Wielkiej Wojny, później nazwanej I wojną światową. Zakończyła się ona w sposób nietypowy, bo Niemcy przegrały wojnę na Zachodzie, Austria nie przetrzymała tego eksperymentu i się rozpadła, a w Rosji, która pierwotnie należała do zwycięskiej koalicji, w roku 1917 wybuchła rewolucja bolszewicka. Bolszewicy zawarli z Niemcami jednostronny pokój w Brześciu, w następstwie czego Rosja nie mogła uczestniczyć w konsumowaniu owoców zwycięstwa.

W rezultacie w Europie Środkowej wytworzyła się próżnia polityczna, którą wypełniły niepodległe państwa narodowe, między innymi Polska. Ta sytuacja została zaakceptowana przez „wielką czwórkę”, która w 1919 roku ustanowiła na konferencji wersalskiej nowy porządek polityczny w Europie, a który możemy nazywać porządkiem wersalskim. Był on ufundowany na założeniu słabości Niemiec i słabości Rosji – bo tylko to umożliwiałoby istnienie niepodległych państw w Europie Środkowej. Oczywiście i Niemcy, i Rosja nie chciały się z tym pogodzić i przechodząc do porządku nad ideologicznymi różnicami, natychmiast podjęły współdziałanie w celu

jego obalenia. Wyrazem tej współpracy był układ podpisany w kwietniu 1922 roku między Niemcami a Rosją Sowiecką w Rapallo.

Okres międzywojenny to okres postępującej erozji porządku wersalskiego, przyspieszonej po roku 1933, kiedy to niemieckim kanclerzem został Adolf Hitler. Ostateczny cios został temu porządkowi zadany 23 sierpnia 1939 roku, kiedy to w Moskwie podpisany został pakt Ribbentrop-Mołotow, dzielący Europę Środkową na strefę wpływów niemieckich i strefę wpływów sowieckich wzdłuż linii zwanej „linią Ribbentrop-Mołotow”. W tej sytuacji Wielka Brytania i Francja, jako gwarantki porządku wersalskiego, stanęły wobec alternatywy: albo przyjąć do wiadomości pakt Ribbentrop-Mołotow – co jednak oznaczałoby rezygnację z mocarstwowego statusu tych państw, bo jeśli Niemcy i Rosja dzielą Europę nawet bez konsultacji z nimi, to znaczy, że Wlk. Brytania i Francja utraciły status mocarstwowy na rzecz Niemiec i Rosji – albo bronić swego mocarstwowego statusu siłą. Wlk. Brytania i Francja zdecydowały się na to drugie rozwiązanie. Wskutek tego wybuchła kolejna wojna, zwana II wojną światową. W następstwie tej wojny Niemcy zostały rozgromione i zlikwidowane, a Europa utraciła dawne znaczenie, czego wyrazem był kolejny porządek polityczny, zwany jałtańskim, ustanowiony w lutym 1945 roku. Ufundowany był on na założeniu równowagi w Europie między dwoma mocarstwami: USA i Rosją, a więc mocarstwami właściwie pozaeuropejskimi. Przetrwał on prawie pół wieku, bo od 1980 roku daje się postrzec jego erozja, która w roku 1985 skłoniła przywódców sowieckich do wykonania manewru ucieczki do przodu. W marcu 1985 roku M. Gorbaczow na spotkaniu w Genewie złożył prezydentowi USA R. Reaganowi propozycję traktatu rozbrojeniowego. Był to manewr ucieczki do przodu; zamiast bronić za wszelką cenę rozpadającego się porządku jałtańskiego, Gorbaczow zaproponował prezydentowi Reaganowi wspólne ustanowienie nowego porządku politycznego w Europie. Oferta została podjęta i rozpoczęło się mozolne ustanawianie nowego porządku.

Już po spotkaniu w Reykjavíku w 1986 roku okazało się, że istotnym jego elementem będzie ewakuacja imperium sowieckiego z Europy Środkowej. Zapowiedź tej ewakuacji zapoczątkowała w krajach regionu przygotowania do transformacji ustrojowej, które w latach

1989-1990 doprowadziły do ich emancypacji spod dominacji rosyjskiej. W roku 1993 nastąpiła ewakuacja wojsk rosyjskich z krajów Europy Środkowej, w roku 1999 nastąpiło rozszerzenie NATO o kraje tego regionu, a w listopadzie roku 2010 na szczycie NATO w Lizbonie proklamowany został nowy porządek polityczny, który miał ostatecznie zastąpić nieaktualny już porządek jałtański. Jego fundamentalnym postanowieniem było strategiczne partnerstwo NATO-Rosja, którego najtwardszym jądrem było istniejące już strategiczne partnerstwo niemiecko-rosyjskie, a kamieniem węgielnym strategicznego partnerstwa niemiecko-rosyjskiego był podział Europy na strefę wpływów niemieckich (obszar Unii Europejskiej) i strefę wpływów rosyjskich – prawie dokładnie wzdłuż linii Ribbentrop-Mołotow, bo republiki bałtyckie tym razem znalazły się po zachodniej stronie kordonu.

Wydawało się, że klamka zapadła na kolejne 50, a może nawet 100 lat, ale prezydent Obama w roku 2013 wysadził ten porządek w powietrze, zapalając zielone światło dla przewrotu politycznego na Ukrainie, którego nieukrywanym celem było wyłuskanie Ukrainy z rosyjskiej strefy wpływów. W rezultacie sytuacja w Europie Środkowej znowu stała się płynna, tym bardziej że w 2015 roku zachwiało się niemieckie przywództwo, a w 2016 roku prezydentem USA został Donald Trump, krytycznie ustosunkowany do niemieckiej hegemonii w Europie.

I oto 6 lipca prezydent Trump przybywa do Warszawy, by wziąć udział w Forum państw Trójmorza. To znakomita okazja do powrotu do Heksagonale – ale uzupełnionego i poprawionego. W roku 1989 cztery państwa regionu: Włochy, Jugosławia, Austria i Węgry, nauczone doświadczeniem kruchości porządku wersalskiego, porozumiały się w Budapeszcie co do stworzenia systemu reasekuracji niepodległości. Wkrótce do tego porozumienia przystąpiła Czechosłowacja i Polska. Sygnatariusze Heksagonale liczyli na to, że pogrążająca się w zapaści Rosja nie będzie w stanie storpedować tej inicjatywy, a Niemcy też – ze względu na swoje skrupowanie powiązaniemi w ramach Wspólnot Europejskich. Jeśli chodzi o Rosję, to te rachuby się sprawdziły, natomiast całkowicie zawiodły w przypadku Niemiec. Niemcy, które po 12 września 1990 roku odzyskały



swobodę ruchów w Europie, wysadziły w powietrze Heksagonale, zachęcając Słowenię i Chorwację do proklamowania niepodległości, co Jugosławię, która miała być bałkańskim filarem Heksagonale, postawiło w ogniu krwawej wojny domowej. Odtąd próżnię polityczną w Europie Środkowej wypełniają Niemcy. Ale przywództwo niemieckie w Europie się zachwiało, a prezydentem USA został krytyk niemieckiej hegemonii, który właśnie przyjeżdża do Warszawy na Forum Państw Trójmorza. Stwarza to szansę na powrót do Heksagonale, ale uzupełnionego i poprawionego – ze Stanami Zjednoczonymi jako protektorem.

Zobaczymy, czy ta dziejowa szansa zostanie wykorzystana.

„NCz!” 28-29/2017

## „KASTA” SIĘ DOIGRAŁA

Któż z nas nie pamięta bajki o rybaku i złotej rybce? Choć wszyscy ją pamiętamy, to jednak pamięć bywa zawodna i ludzie wprawdzie mają dobrą pamięć, ale niestety krótką – warto więc przypomnieć, o co tam chodziło. Otóż rybak schwycił złotą rybkę, która w zamian za wypuszczenie na wolność obiecała spełniać jego życzenia. Kiedy dowiedziała się o tym rybakowa, zażądała najpierw porządnego dworu ze służbą i szykanami, potem – pałacu, aż wreszcie – by rybka została u niej sługą na posyłki. Wtedy czar prysnął, rybka odebrała wszystkie dary, a głupia baba została na progu chałupy przed rozbitym korytem.

Jakże idealnie pasuje ta historia do dziejów praworządności w naszym nieszczęśliwym kraju! Jak pamiętamy, za pierwszej komuny sędziowie – nie mówiąc już o funkcjonariuszach wymiaru sprawiedliwości drobniejszego płazu – trzęśli się przed byle sekretarzem, a jeszcze bardziej przed bezpieczniakami, którzy byli przecież najtwardszym jądrem systemu. I chociaż skutek tego w czasach stalinowskich dochodziło do masowych zbrodni sądowych, a i potem zdarzało się wiele łajdactw, zwłaszcza w sprawach zatracających o politykę, to jednak sędziowie czuli mores, bo nigdy nie było wiadomo, czy podsądny albo strona w procesie cywilnym nie ma jakichś sekretnych kontaktów czy to z sekretarzem, czy z ubowcami i czy nie sprawi im przykrej niespodzianki. Dzięki temu wymiar sprawiedliwości jako tako funkcjonował. W rezultacie sławnej transformacji ustrojowej partia została zlikwidowana, a bezpieczniacy utworzyli struktury zorganizowanej przestępczości, wśród których najgroźniejsze były Wojskowe Służby Informacyjne. W rezultacie niezawisłe sądy wyemancypowały się z jakiegokolwiek zależności od konstytucyjnych struktur państwa i podlegały już nie żadnym tam „ustawom”, tylko oficerom prowadzącym – bo przecież nikt nie ma chyba najmniejszej wątpliwości, że Stare Kiejkuty plasowały agenturę nie w środowisku gospodyń domowych, tylko między innymi w wymiarze sprawiedliwości, gdzie – jak powiada poeta – „sypią się piękne wyroki”. Ostatnie kongresy sędziów, organizowane przez panią Małgorzatę Gersdorf, która z sędziowskiej pensyjki potrafiła uciulać

sobie miliony, pokazują, że agentura mogła stanowić nawet 10 procent ogółu sędziów. Posłuszeństwo wobec Starych Kiejkutów zapewniało całkowitą bezkarność, toteż nic dziwnego, że wystarczyło 25 lat takiego stanu rzeczy, by w środowisku wytworzyło się przekonanie, iż jest to stan naturalny, a sędziowie są wyjątkową „kastą”, rodzajem *Übermenschów*, nawet jeśli w skromnych początkach jeszcze „srać chodzili za chałupę”. Ale fortuna kołem się toczy i pysznych poniża, toteż nic dziwnego, że i nasi Zastrancen w końcu się doigrali.

W ramach rekonstrukcji przedwojennej sanacji, która najwyraźniej jest ideałem pielęgnowanym w sercu prezesa Jarosława Kaczyńskiego, przyszła kryzys i na nich, zgodnie z art. 4 ust. 1 konstytucji kwietniowej z 1935 roku, stanowiącym, iż „w ramach państwa i w oparciu o nie kształtuje się życie społeczeństwa”. Wynika z niego, że poza państwem nie ma życia. No dobrze – ale cóż to właściwie jest to „państwo”, poza którym nie ma życia? Ano, to nic innego jak państwowa biurokracja. Toteż uchwalone niedawno nowelizacje ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i ustroju sądów powszechnych oraz rządowy projekt ustawy o Sądzie Najwyższym nie pozostawiają złudzeń, że rząd przeszedł na ręczne sterowanie niezawisłymi sądami. Wbrew lamentom, że to „koniec państwa prawa”, podporządkowanie sądów rządowi wcale nie musi być gorsze od podporządkowania ich starym kiejkutom. Cokolwiek można złego powiedzieć o rządzie, to ma on przynajmniej tę zaletę, że wiadomo, kto go tworzy, kto jest, dajmy na to, premierem, a kto ministrem sprawiedliwości, podczas gdy w przypadku Starych Kiejkutów była to całkowita enigma, bo – jak wiadomo – po rozwiązaniu Wojskowych Służb Informacyjnych Starych Kiejkutów oficjalnie „nie ma”.

Wprawdzie Najstarszym Kiejkutom III Rzeczypospolitej wydaje się pan generał Marek Dukaczewski, który podczas ostatniej kombinacji operacyjnej 16 grudnia ub. roku nadzorował konfidentów przedstawiających pod Sejmem „zagniewany lud”, ale pisać do niego skargi na sędziów to jakby pisać na Berdyczów, zwłaszcza że zgodnie z zasadą ochrony danych osobowych jego adres nie jest publicznie znany, podczas gdy Ministerstwa Sprawiedliwości – jak najbardziej. Poza tym lamenty, jakoby Polska była dotąd „państwem prawa”, mogą wzbudzać śmiech pusty, jeśli nie „litość i trwogę”. Recenzję w tej

dzielinie wystawił III Rzeczypospolitej nie żaden działacz PiS, tylko funkcjonariusz, minister spraw wewnętrznych w rządzie premiera Tuska, w podsłuchanej, a więc niewątpliwie szczerzej rozmowie, stwierdzając, że to „ch\*\*”, „d\*\*\*” i kamieni kupa”. Może pulchna pani poseł Nowoczesnej Katarzyna Lubnauer uważa, że tak właśnie „państwo prawa” powinno wyglądać, w co chętnie wierzę, bo już na pierwszy rzut oka widać, że „naiwne to i niewinne” – chociaż oczywiście wie, z której strony chleb jest posmarowany i do Nowoczesnej trafiła jak po sznurku, którego przecież sama sobie chyba nie naciągnęła. Sytuację rządowi PiS ułatwiła arogancja sędziów, a zwłaszcza pana prezesa Andrzeja Rzeplińskiego, który nie tylko kolaborował z posłami PO przy nowelizowaniu ustawy o TK, ale i nie protestował przeciwko wyborowi „nadliczbowych” sędziów tego Trybunału i nadal pozuje na autorytet moralny, najwyraźniej uważając, że „czysty typ nordycki i bez mydła jest czysty” – czy pani Małgorzaty Gersdorf, nie mówiąc już o przebierańcach drobniejszego płazu, z którymi mają do czynienia zwykli obywatele. Uchylenie zasłony dotychczas skrywającej kulisy afery Amber Gold czy warszawskiej reprivatyzacji, w których sędziowie, prawdopodobnie na polecenie Starych Kiejkutów, nie tylko patrzyli przez palce na łajdactwa, ale nawet i dzisiaj demonstrują świadomą dyscyplinę, na pytanie komisji o nazwisko odpowiadając: „nie wiem, nie pamiętam”, ostatecznie przekonało opinię publiczną, że nie ma kogo żałować, że PiS wprawdzie stosuje kozackie metody, ale widać inaczej rozgonić tego łajdackiego towarzystwa wzajemnej adoracji się nie da.

Nie jest też wykluczone, że nawet gdyby PiS utraciło władzę, to ekspozytura Stronnictwa Pruskiego wcale nie musi zrezygnować z ręcznego sterowania niezawisłymi sądami. Wykorzystując te same procedury, powyrzuca tylko faworytów obecnego rządu i na ich miejsce wprowadzi „naszych sukinsynów”, którzy w podskokach robią, co tam będzie się od nich oczekiwało. Jak to było w „Towarzyszu Szmaciaku”? „Tak sobie Szmaciak mściwie roi, na korytarzu zaś już stoi podwładnych tłum, aby bez zwłoki stosowne zaraz podjąć kroki, gdy tylko wódz rozkazy wyda. Są to milicji szef Maczuga, pan prokurator Jan Szaruga i bardzo tłusta biała gnida, prezes powiatowego sądu”. U progu transformacji ustrojowej Stefan

Kisielewski zachęcał, by „wziąć za mordę i wprowadzić liberalizm”.  
Nikt go nie posłuchał, no to teraz będzie zamordyzm – ale bez  
żadnego liberalizmu.

*„NCz!” 30-31/2017*

## PIERWSZE POMRUKI „AUGUSTYNA”

Nie bądź słodki, bo cię zlizą. To porzekadło warto zadedykować panu prezydentowi Dudzie, który po 45-minutowej rozmowie telefonicznej z Naszą Złotą Panią podjął suwerenną decyzję o postawieniu rządowi ultimatum w sprawie podpisania ustaw o Krajowej Radzie Sądownictwa i Sądzie Najwyższym – niczym generał Jaruzelski w 1981 roku.

Co mu Nasza Złota Pani powiedziała, czym postraszyła, co obiecała – tego nie wiemy, bo ani ona, ani pan prezydent Duda nawet się na ten temat nie zająknęli. Rzecznik niemieckiego rządu potwierdził tylko fakt tej rozmowy, jak i to, że jej przedmiotem był również stan praworządności w naszym nieszczęśliwym kraju – ale odmówił podania szczegółów, nie chcąc ujawniać treści „poufnych rozmów”.

Odmowa podpisania ustawy o KRS i Sądzie Najwyższym w środowisku folksdojczów wywołała radość, której nawet nie starali się ukryć, a panią prezes Małgorzatę Gersdorf skłoniła nawet do przeprosin za wypowiedź, gdzie można żyć za 10 tys. złotych. Wymowni Francuzi powiadają, że *l'appetit vient en mangeant*, co się wyklada, że apetyt wzrasta w miarę jedzenia, więc nic dziwnego, że i sędziowie próbują jakoś dorobić sobie do chudych pensyjek, bo rzeczywiście – w żadnej ustawie nie zapisano, że tylko pani prezes może z sędziowskiej pensyjki uciulać sobie miliony. Na żadne dalsze ustępstwa jednak chyba nie poszła, bo i po co, kiedy weto pana prezydenta zostało odebrane nie tylko przez „kastę”, ale i przez – jak się okazało – niezwykle liczne środowisko folksdojczów jako dowód chwiejności głowy państwa.

Wprawdzie w orędziu do narodu pan prezydent usiłował zaprezentować się jako stanowczy mąż stanu, ale „daremne żale, próżny trud, bezsilne złorzeczenia”. Pan prezydent bowiem surowo napiętnował przedstawicieli opozycji, że nawołując do rozruchów, przekroczyli cienką czerwoną linię oddzielającą to, co dozwolone, od tego, co przestępcze – ale co z tego, kiedy na tym pogroźeniu paluszką się skończy? Toteż nic dziwnego, że tymczasowo pełniący obowiązki lidera ekspozytury Stronnictwa Pruskiego Wielce Czcigodny Grzegorz Schetyna zapowiedział folksdojczom, że nie ma

wakacji, urlopy zostały odwołane i obowiązuje stan gotowości bojowej.

Ale jakże ma być inaczej, kiedy owczarek niemiecki nazwiskiem Frans Timmermans właśnie wystosował pod adresem polskiego rządu ultimatum, że jeśli w ciągu miesiąca nie przeforsuje ustaw, które on – znaczy Timmermans – uzna za prawidłowe, to zacznie boleśnie kasać nasz nieszczęśliwy kraj sankcjami. Na początek mają podobno pójść dopłaty do wsi i rolnictwa, co pogrąży w nieutulonym żalu Polskie Stronnictwo Ludowe, po staremu stojące na nieubłaganym stanowisku, że najcięższa jest dola chłopa. W obliczu utraty alimentów mogą zbuntować się nie tylko chłopi, ale jeszcze bardziej – beneficjanci rozmaitych „subwencji”, „dotacji” i „grantów”, od których przez ostatnie 27 lat uzależnili się niczym narkoman od heroiny. Ano cóż, nie trzeba było popierać *Anschlussu* – bo dzisiejsze pogróżki niemieckiego owczarka Timmermansa są wypisz-wymaluj podobne do muzycznej sztuczki opisanej w „Biesach” Teodora Dostojewskiego, kiedy to „Marsylianka” w świętym oburzeniu śpiewa jeszcze: „*Pas un pouce de nos terres, pas une pierre de nos forteresses* [ani piędzi naszych ziem, ni kamienia z naszych twierdz]. Ale zmuszona jest śpiewać w jeden takt z »Mein lieber«. Dźwięki jej w jakiś głupawy sposób przechodzą w »Augustyna«, chwieją się, gasną. Teraz tylko od czasu do czasu słyhać znowu: *qu'un sang impure* [aż krew nieczysta], ale w tejże chwili zrywa się to i przechodzi w trywialny walc; wreszcie »Marsylianka« upokorzona jest zupełnie, to Jules Favre szlochający na piersi Bismarcka i oddający wszystko, wszystko, ale teraz sierzdzi się już »Augustyn«; słyhać głos zachrypnięty; czujemy mnóstwo wypitego piwa, szaleństwo samochwalstwa, żądania miliardów subtelnych cygar, szampana i zakładników. »Augustyn« zmienia się w ryk. Francusko-pruska wojna jest skończona”. To oczywiście dopiero przed nami. Ryk „Augustyna” usłyszymy nawet nie wtedy, gdy w następstwie kombinacji operacyjnej, która ponownie się rozpoczęła, dojdzie do zmiany rządu w Polsce na taki, który wycofa nasze państwo z projektu Trójmorza – tylko dopiero wtedy, gdy Nasza Złota Pani na stanowisku prezydenta naszego nieszczęśliwego kraju osadzi swego faworyta Donalda Tuska. On już dopilnuje, by Polska nigdy nie ulegała żadnym takim „mrzonkom”, tylko posłusznie wypełniała zobowiązania wynikające z Volkslisty, którą w następstwie zgodnego jej stręczenia

zarówno przez przedstawicieli obozu zdrady i zaprzaństwa, jak i obozu płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm podpisała.

Niemcy bowiem potraktowały poważnie zapowiedź prezydenta Trumpa, że będzie „wspierał projekt Trójmorza”, który grozi nie tylko podważeniem niemieckiej hegemonii w Europie, ale również zablokowaniem budowy IV Rzeszy. Toteż Niemcy stopniowo puszczają w ruch wszystkie swoje narzędzia, by doprowadzić do przesilenia rządowego w Polsce i w ten sposób zablokować projekt Trójmorza, który bez Polski nie ma racji bytu. Miesięczny termin wyznaczony przez niemieckiego owczarka Fransa Timmermansa jest również instrukcją dla folksdojczów, na kiedy mają osiągnąć pełną gotowość bojową. Praworządność jest tu tylko pretekstem; gdyby prezes Kaczyński nie zdecydował się pójść na frontalną konfrontację w sprawie obsadzania stanowisk sędziowskich, to znalazłby się jakiś inny, niczym w bajce Ezopa, kiedy to wilki zarzuciły owcom, że mącą im wodę w rzece.

Prezydent Duda, akurat w tym momencie demonstrujący swoją „niezależność”, bo dostał „8 milionów głosów”, wkracza na szlak przetarty przez Kazimierza Marcinkiewicza. Tego ostatniego akurat Nemezis dziejowa już ukarała dozgonnym towarzystwem „Izabel”, podczas gdy przed panem prezydentem perspektywy dopiero się otworzą. Słysząc, że kompletuje on zespół ekspertów, którzy mu podpowiedzą, jak napisać ustawy o KRS i Sądzie Najwyższym, żeby było dobrze, to znaczy żeby spodobały się sędziom i nadzorującym ich starym kiejkutom, a przede wszystkim niemieckiemu owczarkowi. Dlatego do grona ekspertów powinien zostać zaproszony Aleksander Smolar – który dopilnuje, by organizacja tubylczego sądownictwa odpowiadała oczekiwaniom starego żydowskiego finansowego grandziarza Jerzego Sorosa, no i oczywiście pana generała Marka Dukaczewskiego. Gdyby termin ultimatum był dwa razy dłuższy, to można by poprzestać na pani prezes Małgorzacie Gersdorf, ale kiedy jest taki krótki, to *periculum in mora*, a w tej sytuacji nie ma co tracić czasu na konsultacje, jakie pani prezes i tak przecież musi przeprowadzić z panem generałem, by zabezpieczyć wpływ Starych Kiejkutów na niezawisłe sądownictwo, więc nie ma co bawić się w jakieś pozory.



„NCz!” 32-33/2017

## „IUSTITIA” POKPIWA Z CYMBAŁÓW

**F**ortuna kołem się toczy i pysznych poniża. Nic tedy dziwnego, że ledwo tylko „organizator łańcucha światła”, to znaczy masowych demonstracji „w obronie praworządności”, Stowarzyszenie Sędziów „Iustitia” 30 lipca ogłosiło postulaty pod tytułem „5 razy tak dla wolnych sądów”, 1 sierpnia Sąd Najwyższy, wbrew swojemu dotychczasowemu pryncypialnemu stanowisku, „zawiesił” sprawę Mariusza Kamińskiego, dając w ten sposób dowód na piśmie nie tylko, że jest przekupny, ale nawet za jaką cenę.

Przyczyną tej zmiany stanowiska była niewątpliwie obietnica, jaką w tej sprawie musiała złożyć panu prezydentowi Dudzie pani Pierwsza Prezes SN Małgorzata Gersdorf podczas rozmowy w Belwederze – no a „niezawisły” Sąd Najwyższy z miedzianym czołem siuchtę wykonał. *Espérons* tedy, że cymbałów, które myślały, że z tą „obroną praworządności” to wszystko naprawdę, latały ze świeczkami i rozkładały pod Sejmem nogi, incydent z Sądem Najwyższym otrzeźwi i następnym razem będą ostrożniejsi – chociaż pewności nie ma, bo głupota ludzka jest niezmiernie i może być porównana tylko do cierpliwości Boskiej.

Przy okazji warto by sprawdzić, czy przypadkiem „Iustitia” nie wykonywała instrukcji Starych Kiejkutów, które z kolei, według wszelkiego prawdopodobieństwa, są zadaniowane przez niemiecką BND, do której ojcowie-założyciele ubeckich dynastii przewerbowali się jeszcze w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, a te zależności reprodukują się w następnych generacjach na zasadzie dziedziczenia pozycji społecznej. To zjawisko nasila się w naszym nieszczęśliwym kraju coraz bardziej: dzieci aktorów zostają aktorami i „walczą” o „kulturę”, czyli dotacje budżetowe dla swoich teatrzyków piątej klepki, by już zupełnie nie musiały liczyć się z publicznością; dzieci piosenkarzy zostają piosenkarzami, nawet jeśli mają tylko pierwszy stopień muzykalności, to znaczy rozróżniają, kiedy grają, a kiedy nie – no a dzieci konfidentów zostają konfidentami. Niezależnie jednak od tego warto zatrzymać się chwilę nad tymi pięcioma postulatami, bo ilustrują one nie tylko stan umysłów środowiska, ale i wyobrażenia o jego pożądanej pozycji w strukturach państwa.

## NICZEGO NIE ZROZUMIELI I NICZEGO SIĘ NIE NAUCZYLI

Ta charakterystyka Burbonów, którzy powrócili na tron francuski po wojnach napoleońskich, doskonale pasuje również do środowiska sędziowskiego w Polsce. W ciągu ostatnich 27 lat wyemancypowało się ono z jakiegokolwiek zależności od konstytucyjnych organów państwa i najwyraźniej uznało to za stan naturalny – że państwo jest tylko od tego, by im płaciło. Co prawda nie głoszą tego wprost, tylko owijają w „opakowanie zastępcze” w postaci „służby obywatelom”, ale niech nas to nie zmyli. Oto pierwszy postulat:

**„Zamiast urzędów sądowych pod nadzorem Prokuratora Generalnego – niezależne sądy służące obywatelom”.**

Charakterystyczne, że sędziowie jakby zapomnieli, że „Prokurator Generalny” jest zarazem ministrem sprawiedliwości, który sędziom płaci. Skoro tedy nie chcą w żaden sposób zależeć od „Prokuratora Generalnego”, to dobrze – ale kto w takim razie będzie wypłacał im pensje? A przecież to zaledwie pierwsza część tego postulatu, bo drugie zdanie głosi, że

**„zamiast partyjnych instrukcji dla sędziów – sędziowie, którzy podlegają tylko Konstytucji i ustawom”.**

Pięknie – ale jak to było za komuny? Przecież zgodnie z ówczesną konstytucją (art. 62) sędziowie też byli „niezawisli i podlegali tylko ustawom” – ale przecież stopień tzw. upartyjnienia w środowisku był całkiem wysoki, nie mówiąc już o poziomie zaubeczenia, od którego sądownictwo miała uwolnić dopiero „biologia” – jak skwapliwie zapewniali jego przedstawiciele podczas niedawnego „publicznego wysłuchania” w Sejmie. Więc „niezawisłość” swoją drogą, a „instrukcje partyjne” – nie mówiąc już o ubeckich – swoją.

Ale te opowieści o „biologii” jako, mówiąc nawiasem, jedynym alibi środowiska można spokojnie włożyć między bajki z dwóch powodów. Po pierwsze – jak podaje dr Sławomir Cenckiewicz w książce „Długie ramię Moskwy”, wywiad wojskowy w roku 1990 dysponował agenturą w liczbie 2500 konfidentów. Jaka część działała w środowisku sędziowskim? Tego nie wiemy, podobnie jak nie wiemy, ilu konfidentów – również wśród sędziów – Wojskowe Służby Informacyjne zdołały zwerbować w następnych latach w ramach

rutynowej działalności. Po drugie – wydało się, że już w „wolnej Polsce” prowadzona była przez UOP operacja „Temida”, której celem był werbunek agentury wśród sędziów. Wyszło to na jaw m. in. przy okazji procesu sędziego Andrzeja Hurasę, oskarżonego o korupcję i po 10-letnim procesie oczyszczonego z zarzutów. Wystąpił on o odszkodowanie i sędzia Lipiński z warszawskiego sądu przyznał mu bodajże pół miliona złotych, w ustnej motywacji wyroku ujawniając, że ten 10-letni proces toczył się „nie tylko bez jakichkolwiek dowodów, ale nawet wbrew nim”. Ciekawe, przez jakie to „ustawy” sędzia prowadzący ten proces był inspirowany – bo przecież one się nie zmieniły, więc może ważniejsze od „ustaw” były instrukcje oficera prowadzącego: wicie, rozumiecie sędzio...”. Przy okazji sędzia Lipiński poinformował, że zwrócił się do ABW o udostępnienie mu dokumentacji operacji „Temida”, ale spotkał się z odmową. W tej sytuacji opowieści, jak to sędziowie będą podlegali „tylko Konstytucji i ustawom”, możemy śmiało włożyć nie tyle może między bajki, ale z całą powagą potraktować jako nieudolne usiłowanie kamuflowania istniejącego podporządkowania sędziów starym kiejkutom. W tej sytuacji próba podporządkowania sędziów „Prokuratorowi Generalnemu”, chociaż jest to oczywiście numer kozacki, stanowiłaby pewien postęp, bo w odróżnieniu od Starych Kiejkutów, „Prokurator Generalny” jest przynajmniej znany z imienia i nazwiska i wiadomo, w jakim trybie obejmuje swój urząd.

### POLITYCZNE GANGI WALCZĄ O WPŁYW NA NOMINACJE

Drugi postulat Stowarzyszenia „Iustitia” jest dość zagadkowy:

**„Tak dla sądów pokoju. Zamiast sprawiedliwości wymierzonej przez polityków – obywatele sędziami wszędzie tam, gdzie to możliwe”.**

Co to jednak znaczy – ta „sprawiedliwość wymierzana przez polityków”? Przecież nawet za komuny, nawet za Stalina, „politycy” wymierzali sprawiedliwość czy – jak kto woli – niesprawiedliwość nie osobiście, ale z reguły za pośrednictwem „niezawisłych sędziów”. Tym bardziej dzisiaj nie słyszałem o przypadku, by jakiś „polityk” przebrał się w „głupi średniowieczny łach” – jak Oriana Fallaci podczas audycji u ajatollaha Chomeiniego w Teheranie nazwała

muzułmańską burkę – zasiadł za sędziowskim stołem i wyrokował. „Politycy” spierają się tylko o to, który polityczny gang będzie tych wszystkich „niezawisłych sędziów” mianował na stanowiska. Temperatura tego sporu, w którym biorą udział również sędziowie, jest najlepszym dowodem, że nikt, z sędziami na czele, w żadną „niezawisłość” nie wierzy. W przeciwnym bowiem razie ten spór nie miałby najmniejszego sensu; jeden niezawisły sędzia byłby jak kropla wody podobny do innego niezawisłego sędziego – bez względu na to, kto go na to stanowisko mianował – Sejm, prezydent czy maszyna losująca. Tymczasem spór o prawo do mianowania, w którym aktywnie uczestniczą sędziowie, dowodzi, że nie ma żadnej „niezawisłości”, że wszystko zależy od tego, kto sędziego mianował, bo ten, z wdzięczności albo ze strachu, będzie jadł mu z ręki. Toteż nic dziwnego, że polityczne gangi, nie mówiąc już o starych kiejkutach, walczą o dostęp do tego radosnego przywileju, no a sędziom najwyraźniej też nie jest obojętne, kto ich mianuje. Nie chcieliby, by to był rząd, więc może ze Starymi Kiejkutami było wygodniej? Afery takie jak Amber Gold czy reprzywatyzacyjna, a zresztą również każda inna pokazują, że nie byłyby one w ogóle możliwe bez parasola ochronnego, jaki był nad aferzystami rozpięty. W rozpinaniu tego parasola uczestniczyły również niezawisłe sądy, których funkcjonariusze dzisiaj na pytanie komisji sejmowej o nazwisko bąkają: nie wiem, nie pamiętam – co skłania do podejrzeń, że rozpinanie parasola mogło nie być bezinteresowne, a po drugie – że Stare Kiejkuty nadal mocno trzymają „niezawisłych” za mordę.

Na tym tle postulat, by „obywatele” byli sędziami tam, gdzie to możliwe, jest wyważaniem otwartych drzwi – bo w sprawach cywilnych każdy może zapisać się na sąd polubowny niezależnie od „ustaw” – i tylko od jego honoru będzie zależało, czy podda się wyrokowi takiego sądu. Wątpliwości mogą pojawić się np. w sprawach spadkowych, bo w myśl kodeksu cywilnego, stwierdzenie nabycia spadku może nastąpić tylko w drodze orzeczenia sądu państwowego, które, nawiasem mówiąc – jak to uczynił niezawisły sąd w Jarosławiu – orzekają niezgodnie z prawem, domagając się od spadkobierców dokumentów wbrew przepisom ustawy o aktach stanu cywilnego. W takich sytuacjach tęgi bat na niezawisłego sędziego aż się prosi, bo

obywatele są wobec takich decyzji całkowicie bezbronni. W świetle tego widać, że postulat, by „obywatele” i tak dalej – jest bałamutny, bo nie chodzi o to, by „obywatele” wyręczali sędziów, którzy z tego tytułu przecież nie zrezygnują z pensji, tylko żeby odzyskali wpływ na obsadzanie sędziowskich stanowisk, z którego zostali podstępnie wyzuci przez polityczne gangi i Starych Kiejkutów.

### „SUWERENOWIE” JAKO STATYŚCI?

Ale nie o to chodzi w kolejnym postulacie, by

**„zamiast Krajowej Rady Sądownictwa obsadzanej przez partie – KRS wybierana przez sędziów przy udziale obywateli”.**

KRS wybierana przez sędziów znaczy: sami się wybieramy, sami się mianujemy, sami się oceniamy i sami się rozgrzeszamy. W tej sytuacji „obywatele”, co to mają mieć w tym procederze „udział”, mogą tylko z otwartymi gębami przyglądać się, jak się państwo bawią. Potwierdzają te podejrzenia kolejne postulaty – by mianowicie

**„zamiast politycznego sterowania składami sędziowskimi – gwarancje nieusuwalności dla sędziów, którzy orzekają zgodnie z prawem i sumieniem”.**

No dobrze – ale skąd wiadomo, który sędzia orzeka „zgodnie z prawem i sumieniem”, a który nie – bo orzeka zgodnie ze zleceniem korupcyjnym czy rozkazem oficera prowadzącego? Odpowiedzi na to pytanie ma dostarczyć postulat piąty –

**„zamiast partyjnych sądów kapturowych – jawność i dostępność w internecie postępowań dyscyplinarnych wobec sędziów, którzy sprzeniewierzają się Konstytucji i prawu”.**

Stowarzyszenie „Iustitia” nazywa to „społeczną kontrolą sędziów”. To chyba jakieś ponure żarty – bo cóż to za „kontrola” przez „internet”? Dyc i teraz każdy może sobie z internecie napisać, co mu się żywnie podoba – nie tylko na „sędziów”, ale nawet na Pana Boga – więc do czego niby ma zmierzać ten postulat?

Warto zwrócić uwagę, że do postępowania dyscyplinarnego, które potem będzie „jawne” i w ogóle, musi najpierw dojść. A jak ma dojść, kiedy dotychczas w środowisku sędziowskim biblijna zasada „nie zawiązesz gęby wołowi młócaćemu” traktowana jest z wielkim zrozumieniem – bo któż będzie podcinał gałąź, na której przecież i sam siedzi? Nie czyn drugiemu (sędziemu), co tobie niemiłe – czyż nie

na tym polega sławna „solidarność zawodowa”, a nawet „kastowa” – o czym mogliśmy się przekonać nie tylko na podstawie przebiegu obydwu sławnych Kongresów Sędziów Polskich, ale również na przykładzie pana sędziego Ryszarda Milewskiego ze słynącego w świecie z niezawisłości gdańskiego okręgu sądowego, który jak gdyby nigdy nic niezawisłe orzeka w Białymstoku? „Internet”, w którym aż huczało na ten temat, nie miał najmniejszego wpływu na losy pana sędziego, więc nietrudno się domyślić, że Stowarzyszenie Sędziów „Iustitia” tak sobie tylko dobrodusznie pokpiwa z cymbałów, co to na jego wezwanie palili świeczki przez sądami.

Może to i słusznie, bo nie ma co rzucać przed wieprzki jakichś pereł – ale skoro tak, to nie ma też najmniejszego powodu, by te wiekopomne postulaty traktować poważnie, zwłaszcza po ostatnim wyczynie Sądu Najwyższego.

*„NCz!” 34-35/2017*

# GAWĘDY PRZED REFERENDUM KONSTYTUCYJNYM

**W**alka o praworządność w naszym nieszczęśliwym kraju chwilowo została zawieszona nie tylko ze względu na tak zwane letnie kanikuły, ale również ze względu na *dogovor*, jaki po zawetowaniu przez pana prezydenta Dudę dwóch ustaw „sądowych” przeprowadziła w Belwederze pani I Prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf.

Ponieważ wetując ustawę o Sądzie Najwyższym, pan prezydent uchronił sędziów Sądu Najwyższego przez błyskawiczną kuracją przeczyszczającą, przypuszczam, że uradowana pani prezes obiecała, że w takim razie niezawisły Sąd Najwyższy taktownie pójdzie panu prezydentowi na rękę i „zawiesi” postępowanie w sprawie pana Mariusza Kamińskiego, którego – jak to pryncypialnie ten sam Sąd Najwyższy zadekretował przed kilkoma miesiącami – pan prezydent ułaskawił z naruszeniem konstytucji i kodeksu postępowania karnego. „Kiedy Padyszachowi wiozą zboże, kapitan nie troszczy się, jakie wygodę mają myszy na statku” – powiada Franciszek Maria Arouet, toteż i niezawisły Sąd Najwyższy na ołtarzu zachowania posad – to znaczy *pardon*: jakich tam znowu „posad”; nie żadnych posad, tylko na ołtarzu sprawiedliwości – uczynił ofiarę z własnych poglądów.

## KASTA NIE ZASYPIA GRUSZEK W POPIELE

Po takim wyczynie z walką o praworządność trzeba trochę poczekać, aż cymbałowie o incydencie zapomną i znowu będą palić świeczkę i ogarki, a także kicać w obronie praworządności – no i świetnie się składa, bo akurat trwają „letnie kanikuły”, a i termin ultimatum, jakie polskiemu rządowi postawił niemiecki owczarek postawiony na stanowisku zastępcy przewodniczącego Komisji Europejskiej, też jeszcze nie upłynął. Oczywiście „środowisko” zwane inaczej „kastą” nie zasypia gruszek w popiele i Krajowa Rada Sądownictwa podobno nastroczyła panu prezydentowi projekt stosownej ustawy. Jestem pewien, że o sławną niezawisłość tam zadbano: sami się wybieramy, sami się mianujemy, sami się oceniamy i sami się rozgrzeszamy – a państwo nam tylko płaci.

Zresztą nie tylko to środowisko się włącza. W walkę o praworządność



angażują się również ofiary innych kuracji przeczyszczających, między innymi generałowie, co to „odeszli” z wojska, na odchodne wymachując konstytucjami. Niezależne media doniosły, że jeden z nich, pan generał Różański, pojechał podlizywać się „Jurkowi” Owsiakowi na festiwal, gdzie z konstytucją podobno odstawiał „sztuki przepiękne”. Co konkretnie robił – tego oczywiście nie wiem, ale atmosfera musiała tam być szalenie rozerotyzowana, skoro sam „Jurek” Owsiak złożył nawet propozycję Wielce Czcigodnej Krystynie Pawłowicz, za co został skarcony przez najwyraźniej zazdrosną panią red. Agnieszkę Kublik, przez redakcyjny Judenrat używaną w „Gazecie Wyborczej” do operacji specjalnych. Pojawiły się w związku z tym fałszywe pogłoski, jakoby pan generał z konstytucją sypiał. Na pewno w tych pogłoskach nie ma ani słowa prawdy, chociaż z drugiej strony pamiętamy, że dekabryści w Rosji wyprowadzili na ulice Petersburga żołnierzy, którym kazali krzyczeć: „niech żyje cesarz Konstanty i jego żona Konstytucja!”. Zatem precedensy bliskich spotkań trzeciego stopnia z konstytucją są i gdyby nawet na tym polegały „sztuki przepiękne”, to nie byłoby w tym nic oryginalnego. Ciekawe, że Konstanty Rokossowski, już jako marszałek Sowieckiego Sojuza, sypiał nie z konstytucją, tylko z pistoletem pod poduszką, na wypadek gdyby NKWD znowu przyszło go aresztować. Teraz generałowie wolą z konstytucją niż z pistoletami, co nasuwa podejrzenia, że w razie czego nie mielibyśmy z nich wielkiego pożytku, chyba że ktoś zgubiłby drogę na Zaleszczyki.

### PO CO NAM KONSTYTUCJA?

Tym bardziej warto na to pytanie odpowiedzieć, że pan prezydent na 11 listopada przyszłego roku zapowiedział referendum konstytucyjne. Czy zatem konstytucja jest po to, by zamiast czytania wymachiwać nią w Sejmie, jak to czyniła Wielce Czcigodna Henryka Krzywonos, czy po to, by z nią sypiać albo nawet się żenić – o co podejrzewali żołnierze wielkiego księcia Konstantego – bo skoro można konstytucję gwałcić, to zgodnie z wnioskowaniem *a maiori ad minus* – tym bardziej można z nią po dobroci? Na trop odpowiedzi na to pytanie naprowadza nas refleksja nad momentami dziejowymi, w których konstytucje się pojawiały. Z reguły były to momenty, gdy słabła władza monarsza – nie do tego stopnia, by rozpadało się państwo czy zmieniał jego ustrój –

ale na tyle, że poddani zaczęli stawiać monarsze warunki: odtąd już nie będzie tak, że ty co chciałeś, to robiłeś. Możemy szanować twoją rodzinę, czyli dynastię, możemy cię słuchać – ale musimy ustalić, odkąd dokąd ty, a odkąd dokąd my. I jeśli dochodziło do utarcia takiego kompromisu, to właśnie była to konstytucja. Wynika stąd, że ważnym celem konstytucji jest dostarczenie obywatelom gwarancji ochrony przed samowolą władzy.

Łatwo powiedzieć: gwarancje ochrony przed samowolą władzy – kiedy jeszcze w głębokiej starożytności św. Paweł przestrzegał, że władza „nie na próżno nosi miecz”. Nosi – a cóż dopiero, jak go wyciągnie? Jak w takiej sytuacji mówić o jakichś „gwarancjach”? A jednak trzeba i wielu ludzi się nad tym zastanawiało. Jednym z nich był Karol Ludwik de Montesquieu. Był to człowiek bardzo inteligentny i spostrzegawczy, chociaż – a może właśnie dlatego – pozbawiony złudzeń. Spostrzegł tedy, że każda władza ma skłonność do niepohamowanego rozszerzania swego imperium – i paradoksalnie, na tej właśnie zaborczości postanowił zbudować gwarancję ochrony przed jej samowolą. Skoro każda władza ma tę skłonność, to jeśli podzielimy władze, a następnie napuścimy jedną na drugą, to ponieważ obydwie mają identyczne skłonności – będą się nawzajem blokowały. A jeśli jeszcze na te dwie napuścimy trzecią – to już będą zwarte w nieustającym klinczu, będą trzymały się nawzajem za klapy – a jak będą tak trzymać się nawzajem za klapy, to nie będą miały wolnej ręki, by dusić za gardło nas. I to właśnie jest ta gwarancja. Nie jest ona może absolutna, ale nie ma co grymasić – jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. To jest właśnie ów słynny „trójpodział władzy” według Monteskiusza na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą.

Skoro już mamy trzy władze, to drugim celem konstytucji jest takie ułożenie stosunków między nimi, by nie dopuścić do paraliżu decyzyjnego w państwie. Paraliż taki może pojawić się z dwóch przyczyn: albo nikomu nie wolno podjąć decyzji w jakiejś sprawie, albo przeciwnie – wolno każdemu, więc decyzji jest aż nadto, tylko nie wiadomo, która jest ta właściwa, więc nie wykonuje się żadnej.

### USTRÓJ I JEGO KONSEKWENCJE

Podstawową kwestią, jaką rozstrzyga konstytucja, jest ustrój

państwa. Właściwie mamy dwie możliwości: monarchię i republikę. Różnica między jedną a drugą sprowadza się do tego, kto jest suwerenem, a więc podmiotem, który samodzielnie określa swoje kompetencje. W monarchii, jak sama nazwa wskazuje (monarchia, czyli jedynowładztwo), suwerenem jest monarcha. On sam decyduje, co mu wolno robić i co będzie robił, chyba że poddaje się ograniczeniom natury religijnej – jak to w swoim projekcie konstytucji dla Polski napisał Władysław Leopold Jaworski o sytuacji prezydenta: „Prezydent Rzeczypospolitej sprawuje władzę według moralności Chrystusowej i w tym względzie żadną normą ograniczony być nie może”. W republice monarchy nie ma, więc przyjmuje się, że suwerenem jest „naród”. No i pięknie, ale przecież „naród” – abstrahując w tej chwili, co właściwie przez to rozumiemy, bo mamy co najmniej trzy możliwości – nie zbiera się w całości w jednym miejscu i momencie, a nawet gdyby tak się jakimś cudem stało, to nie przemówiłby jednym głosem. Jednym podoba się Michnikuremek i Nasza Złota Pani, inni znowu o żadnych Michnikuremkach nie chcą słyszeć i chcieliby samodzielnie. Czyją opinię uznać w takiej sytuacji za opinię suwerena – że oto suweren przemówił? Pewną odpowiedzią na to pytanie jest instytucja referendum, dająca suwerenowi możliwość wypowiedzenia się – ale niestety tylko na pytania sformułowane przez kogoś innego. Nawiasem mówiąc, według prawa polskiego suwerenowi nie wolno wypowiadać się w referendum na temat podatków – tak ci to suwerenność narodu obgryźli do gołej kości Umiłowani Przywódcy. Czort z nimi – bo widzimy, że konsekwencją proklamowania ustroju republikańskiego jest konieczność ustanowienia sposobu wyłaniania reprezentacji „narodu”, której opinii uznajemy za opinię suwerena.

### DEMOKRACJA NIEREPREZENTATYWNA

Każda epoka ma swoje gusta – a gustem dominującym w naszej epoce jest przekonanie, że najlepszym sposobem wyłaniania reprezentacji „narodu” jest metoda demokratyczna, to znaczy głosowanie. Dlaczego głosowanie, a nie np. losowanie – tego dokładnie nie wiadomo, zwłaszcza gdyby prawdziwe okazały się doniesienia, że około 70 proc. ludzi nie rozumie telewizyjnych wiadomości – i to bez względu na to, czy nadaje je telewizja rządowa, czy nierządna, na

przykład TVN, którą podejrzewam o niebezpieczne związki ze Starymi Kiejkutami. To dotyczy nie tylko społeczeństwa polskiego. Melchior Wańkowicz w swoich reportażach z Ameryki („Królik i oceany”) opowiada o wyborach do władz miejskich w Chicago, kiedy to jeden z kandydatów rzucił hasło: „Zło wytępię!” W Chicago to było coś, więc oczywiście został wybrany i dopiero się zaczęło. Korupcja osiągnęła takie rozmiary, że burmistrz nie dotrwał nawet do końca kadencji, tylko trafił za kraty. Odsiedziawszy swoje, wrócił do polityki i znowu kandydował pod hasłem – jakże by inaczej – „Zło wytępię!” – i znów został wybrany! Zaiste świętą rację miał Franciszek ks. de la Rochefoucauld, mówiąc, że tylko dlatego Pan Bóg nie zesłał na Ziemię drugiego potopu, że przekonał się o bezskuteczności pierwszego.

Nic więc dziwnego, że Umiłowani Przywódcy, między innymi Aleksander Kwaśniewski, którego uważam za prawdziwe nieszczęście dla Polski, stanęli na nieubłaganym stanowisku, że reprezentacja suwerena w naszym i tak już przecież wystarczająco nieszczęśliwym kraju będzie wyłaniana w drodze głosowania – i to w dodatku proporcjonalnego. Pociąga to za sobą od razu kilka konsekwencji. Po pierwsze – że okręgi wyborcze do Sejmu muszą być wielomandatowe, bo jednego mandatu nie da się proporcjonalnie, a nawet nieproporcjonalnie podzielić między wiele komitetów wyborczych. Dlaczego do Sejmu, dlaczego ten cały Sejm jest taki ważny? A dlatego, że Umiłowani Przywódcy ustanowili też polityczny system państwa w postaci systemu parlamentarno-gabinetowego. W tym systemie – poza urzędem prezydenta, który obsadzany jest w następstwie odrębnego powszechnego głosowania – wszystkie inne organy państwa albo bezpośrednio, albo pośrednio pochodzą od Sejmu. Zatem – abstrahując w tym miejscu od Starych Kiejkutów – kto kontroluje Sejm, ten kontroluje całe państwo – oczywiście z wyjątkiem władzy sądowniczej, którą w Polsce, za pośrednictwem rozbudowanej agentury, kontrolują wyłącznie Stare Kiejkuty. Po drugie – skoro już okręgi są wielomandatowe, to trzeba wykombinować jakiś sposób przeliczania głosów wyborczych na mandaty. Ordynacja uchwalona na podstawie konstytucji z roku 1997 zmodyfikowała zasadę proporcjonalności przy pomocy dwóch narzędzi: klauzuli zaporowej i systemu d’Hondta. Klauzula zaporowa oznacza, że aby jakiś komitet

wyborczy uczestniczył w rozdziale mandatów w okręgu, musi uzyskać co najmniej 5 proc. głosów w skali kraju. Pociąga to za sobą kolejne konsekwencje. Po pierwsze – taki komitet musi zgłosić listy we wszystkich okręgach, bo jak nie, to nie uzyska 5 proc. w skali kraju i będzie traktowany, jakby go w ogóle nie było. To z kolei wymaga, by kampanię wyborczą prowadzić od razu w skali kraju. Bez wykorzystania mediów elektronicznych jest to niepodobieństwem. No tak – ale media elektroniczne bardzo drogo kosztują i od razu pojawia się pytanie, kto i w jaki sposób ma za to płacić.

System d'Hondta, nazwany tak od belgijskiego matematyka Victora d'Hondta, który go wymyślił, realizuje ewangeliczną zasadę, że temu, kto ma, będzie dodane, a temu, kto nie ma, odbiorą i to, co ma. W ten sposób suwerenność polityczną, a w każdym razie ten ogryzek, który nam jeszcze pozostał po ratyfikacji traktatu lizbońskiego, zawłaszczyły sobie polityczne gangi, które rotacyjnie wymieniają się przy korytku, a „suwerenowie” z otwartymi paszczami przyglądają się, jak to się państwo bawią. W rezultacie mamy pogłębiający się tak zwany „deficyt demokracji”. Z wyborów na wybory w głosowaniu uczestniczy mniej niż połowa obywateli uprawnionych, co zaczyna wzbudzać wątpliwości, czy wyłoniona w ten sposób grupa jest jeszcze reprezentacją „suwerena”, czy tylko jakąś bandą uzurpatorów. Niepodobna odmówić im zasadności, tym bardziej że obowiązująca ordynacja nie przewiduje żadnego minimum frekwencyjnego. Gdyby zatem do głosowania poszli sami tylko kandydaci i każdy zagłosował na siebie, to wybory byłyby ważne. Czy jednak mielibyśmy wtedy do czynienia z reprezentacją „narodu”, czy już tylko z bandą uzurpatorów? Dlatego coraz częściej podnoszą się głosy o potrzebie zmiany dotychczasowego systemu wyborczego – ale o tym w następnej pogadance.

„NCz!” 36-37/2017

# OFERTY DLA WOŁÓW MŁÓCĄCYCH

Tegoroczne Forum Ekonomiczne w Krynicy, nazywanej na tę okoliczność „polskim Davos”, zostało zbojkotowane przez wielu dygnitarzy, najwyraźniej zdających sobie sprawę, że „każdy kraj ma gestapo”, a już specjalnie kraj rządzony przez Naszą Złotą Panią Adolfinę – więc przyjazd do Krynicy nie tylko zostanie skrupulatnie odnotowany, ale w odpowiednim, najmniej oczekiwanym momencie wyciągnięte zostaną konsekwencje.

Ponieważ „na tym świecie pełnym złości nigdy nie dość jest przezorności”, Umiłowani Przywódcy wołają nie ryzykować, tym bardziej że wszystko wskazuje na to, że już 24 września na kolejną kadencję niemieckim kanclerzem zostanie ponownie wybrana Nasza Złota Pani Adolfina, której rywalem jest arywista Martin Schulz. Trzeba przyznać, że na jego tle Nasza Złota Pani sprawia wrażenie gołębiczy pokoju, więc mogłoby się wydawać, że z dwojga złego... Ale niech nas nie zwiodą pozory – ta łagodność to tylko taka pogrywka, znana z praktyki ubeckiej, kiedy to jeden ubek był „zły”, a drugi „dobry”. Ten „zły” strasznie się srożył, podczas gdy „dobry” czasami nawet jakby się przymilał, ale to były tylko pozory, o czym miałem okazję przekonać się podczas jednego przesłuchania. Kiedy więc „dobry” ubek perswadował mi, jaki to jestem inteligentny, w związku z czym moja przyszłość jest w moich rękach, zacytowałem mu spiżowe słowa Józefa Stalina, że „wszystko w ręku Boga”. Wtedy zwymyślał mnie tak, jakby to on był ubekiem „złym”, a następnie wystawił mi recenzję, że jestem „pobożny aż do przesady”. Nieobecność Umiłowanych Przywódców w Krynicy z mściwą satysfakcją odnotowała żydowska gazeta dla Polaków, bo na tym etapie żydowskie *lobby* polityczne w Polsce, a poza nią zresztą też, ściśle kolaboruje z nazis... – to znaczy *pardon*: nie z żadnymi „nazistami”, bo dzisiaj żadnych „nazistów”, podobnie zresztą jak prawdziwych Cyganów, już nie ma, tylko z dobrymi Niemcami. Ciekawe, co robi żydowskie *lobby*, gdy dobrzy Niemcy znowu okażą się złymi na... – ach, *apage satanas!* Wiadomo, że robi to, co mu nakáže mądrość etapu, podyktowana interesem, jaki jest do zrobienia. Dzisiaj interes ma taką specyfikę, że mniej wartościowemu narodowi tubylczemu trzeba

przyprawić odrażający wizerunek narodu morderców, więc wspomniane *lobby*, a zwłaszcza wspomagane przez starego grandziarza jego organy prasowe uwijają się jak w ukropie, wymyślając coraz to nowe „fakty prasowe” – oczywiście z nieodzownym „dodatkiem dramatyzmu”, o którym tak pięknie mówił pan reżyser Steven Spielberg przy okazji promocji filmu „Lista Schindlera”, zwiastującym nadejście etapu kolaboracji.

Ponieważ cudzoziemscy dygnitarze do Krynicy nie przyjechali, trzeba było ich nieobecność wyrównać wzmożoną obecnością dygnitarzy krajowych. Toteż do Krynicy zjechał chyba *in corpore* nie tylko rząd, ale i szefowie Sejmu i Senatu, a nawet pan prezydent Duda, chociaż na obecnym etapie i on też rozgląda się za nowymi przyjaciółmi, którzy zresztą stręczą mu się ze swoją przyjaźnią jeden przez drugiego. Sygnał dał pan pułkownik Bartłomiej Sienkiewicz, apelując do nieprzejednanej opozycji, by przestała „pomiatać” panem prezydentem, ponieważ jest on głównym obrońcą demokracji. Skoro tedy pojawił się *unus defensor*, to nic dziwnego, że garną się do niego nie tylko Stare Kiejkuty, ale również panowie generałowie, co to „odeszli” z wojska na skutek kuracji przeczyszczającej, jaką naszej niezwykniętej armii zaaplikował złowrogi minister Macierewicz. Właśnie utworzyli oni Fundację Bezpieczeństwa i Rozboju – to znaczy *pardon*: nie żadnego tam „rozboju”, tylko oczywiście Rozwoju – Fundację Bezpieczeństwa i Rozwoju „Stratpoints”. Jak wynika z KRS, od bezpieczeństwa jest tam pan Adam Wiesław Duda, a od rozbo... – to znaczy *pardon*: od rozwoju z kolei jest pan Wojciech Dąbrowski. Pan Duda jest byłym szefem Inspektoratu Uzbrojenia, a z kolei pan Dąbrowski – byłym szefem Polskiej Grupy Zbrojeniowej. A skąd szmalec? „Chcemy być partnerem dla podmiotów publicznych i fizycznych, zaczynając od NATO i Unii Europejskiej, przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, parlament...” – powiedział pan generał Mirosław Różański, prezes zarządu Fundacji w rozmowie z portalem [www.defense24.pl](http://www.defense24.pl). Myślę, że z „parlamentu” wiele wyciągnąć się nie da – już prędzej z Biura Bezpieczeństwa Narodowego przy panu prezydencie, który w ten sposób już wie, że przyjaźń trzeba będzie – jak mówił kapitan Ryków – „pomazywać złotem”. Natomiast od NATO, a zwłaszcza od „Unii Europejskiej” – ooo, tu będzie można wydoić już

całkiem sporo, zwłaszcza gdyby Fundacja „Stratpoints” zaangażowała się w obronę demokracji i praworządności w naszym nieszczęśliwym kraju. Skoro nawet sodomici i gomorytki mogą liczyć na szmalec z funduszy norweskich, a Akcja Demokracja dostała od dobrych Niemców co najmniej 100 tys. euro tylko na jedno półrocze, to na cóż może liczyć fundacja założona i kierowana przez takich tęgich strategosów? Na pieniądzu nie jest przecież napisane, że pochodzą, dajmy na to, z BND, więc żadnego ryzyka nie ma, a w cóż inwestować w naszych niepewnych czasach jak nie w demokrację i praworządność?

Wróćmy jednak do Forum Ekonomicznego w Krynicy, podczas którego pan wicepremier Morawiecki przedstawił koncepcję, do której przypisuję sobie prawa autorskie. Dawno, dawno temu w rządowej telewizji był program „100 pytań do” i pewnego razu przesłuchiwany był tam Józef Oleksy, wtedy jeszcze prosty poseł z Białej Podlaskiej. Opowiadał, jak to dzięki niemu powstała tam specjalna strefa ekonomiczna i jakie to dobrodziejstwa spłynęły dzięki niej na region i tamtejszą ludność. Kiedy przyszła kolej na mnie, zapytałem posła Oleksego, czy ta strefa jest duża, czy mała. Odparł, że raczej mała. Zauważyłem wtedy, że gdyby była większa, to te dobroczynne skutki, o których tak pięknie mówił, wystąpiłyby na większym obszarze i objęły większą liczbę obywateli. Poseł Oleksy zgodził się z tym przypuszczeniem bez zastrzeżeń, więc zapytałem, czy gdyby ta strefa ekonomiczna była jeszcze większa, to te dobrodziejstwa... – i tak dalej. Zgodził się i z tym, ale już z pewnym wahaniem, więc szybko zapytałem, dlaczego w takim razie zasad, które przynoszą takie błogosławione rezultaty w owej strefie ekonomicznej, nie rozciągacie panowie na cały kraj? – Pana to zawsze takie dowcipy się trzymają – odpowiedział poseł Oleksy. No a teraz pan wicepremier Morawiecki ogłosił, że cały nasz nieszczęśliwy kraj zostanie przekształcony w taką właśnie strefę ekonomiczną, a pani premier Beata Szydło zapowiedziała nawet powołanie specjalnej „rady” przedsiębiorców. Najwyraźniej rekonstrukcja przedwojennej sanacji wchodzi w nowy, przedwyborczy etap, nad którym w charakterze myśli przewodniej unosił się będzie werset ze – jakże by inaczej! – Starego Testamentu, głoszący, że „nie zawiążesz gęby wołowi młóćącemu”. Sęk w tym, że jedne woły młóca dla rządu, podczas gdy inne próbują nastreczyć się



w charakterze młocków Naszej Złotej Pani.

*„NCz!” 38-39/2017*

**GAWĘDY PRZED REFERENDUM KONSTYTUCYJNYM**

# JOW-Y, SEJM I PREZYDENT

Głosy wskazujące na potrzebę zastąpienia obecnego systemu wyborczego systemem większościowym, opartym na jednomandatowych okręgach wyborczych, pojawiły się w czasie kampanii prezydenckiej w roku 2015 – głównie za sprawą pana Pawła Kukiza, który stanął do tych wyborów, prezentując się jako kandydat „antysystemowy”, to znaczy pragnący odebrać politycznym gangom zwanym „partiami” monopol na politykowanie.

Ale jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać, jak i one, toteż i pan Kukiz, nic nie tracąc ze swojej „antysystemowości”, stając do wyborów parlamentarnych musiał też utworzyć coś w rodzaju politycznego gangu, dla niepoznaki nie nazwanego „partią”, tylko „ruchem”. Ale jak zwał, tak zwał, bo czy to w „partii”, czy w „ruchu” ktoś musi zatwierdzić listy wyborcze; kto dostaje „jedynekę”, a komu, upchniętemu gdzieś w środku, wyznaczono rolę „mięsa armatniego”. Okazało się, że ktoś taki *nolens volens* pełni rolę wodza – i to bez względu na to, czy przewodzi „partii”, czy „ruchowi”. Zatem jeśli ktoś chciałby naprawdę odebrać władzę politycznym gangom, to powinien domagać się zastąpienia sposobu wyłaniania reprezentacji suwerena przez głosowanie sposobem wyłaniania tej reprezentacji przez losowanie. Technicznie sposób ten nie nastręcza żadnych trudności; wszyscy obywatele są zewidencjonowani w systemie PESEL, więc maszyna losująca nie miałaby żadnego problemu z wylosowaniem 460 obywateli, którzy w ten sposób zostaliby Umiłowanymi Przywódcami w Sejmie, i dodatkowych 100, którzy w ten sposób staliby się Umiłowanymi Przywódcami w Senacie. Lenin twierdził, że państwem może rządzić nawet kucharka, więc skoro w Sejmie zasiada Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, to myślę, że przy losowaniu gorzej by nie było, ale o ile mi wiadomo, nawet najbardziej zatwardziali antysystemowcy nie śmiały podnieść ręki na powszechne głosowanie. W tej sytuacji musimy wrócić do postulatu zastąpienia obecnego systemu wyborczego przez system większościowy, oparty na jednomandatowych okręgach wyborczych.

## HODOWANIE ILUZJI

Przysłuchując się dyskusjom wokół tej zmiany, odniosłem wrażenie,

że zwolennicy jednomandatowych okręgów wyborczych przypisują jej skutki, do których ona nie jest w stanie doprowadzić. Wiem, co mówię, bo kiedy w roku 1992 powstała w Sejmie nadzwyczajna komisja do opracowania ordynacji wyborczej, koledzy posłowie z UPR poprosili mnie, żebym opracował projekt takiej ordynacji. Ponieważ nie dali mi żadnych instrukcji, pomyślałem sobie, że w takim razie sporządzę ordynację dekomunizującą Sejm, chociaż oczywiście bez użycia tego słowa. Pamiętałem bowiem wskazówkę Antoniego de Saint-Exupéry'ego, który w „Małym Księciu” powiada, że „najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”, więc o intencji dekomunizacji w tekście ordynacji nie wspomniałem ani słowem. Wstyd się przyznać, ale wtedy myślałem, że te nawoływania do dekomunizacji to wszystko naprawdę. Zatem posłużyłem się schematem z ordynacji francuskiej, skonstruowanej w celu blokowania dostępu do tamtejszego parlamentu Frontowi Narodowemu. Mechanizm ten jest na tyle skuteczny, że blokuje Front przez całe dziesięciolecie. Na początku lat dziewięćdziesiątych FN uzyskiwał w wyborach, nie w sondażach, np. 16 procent głosów – ale do Zgromadzenia Narodowego nie wprowadzał ani jednego deputowanego. Raz, to znaczy w roku 1997, zdarzyło się, że jeden z kandydatów FN w Prowansji, w departamencie Var, przedarł się przez wszystkie zapory i wygrał. Był to Jan Maria Le Chevallier. Wydawał gazetę „Le Patriote du Var” i mi ją przysyłał za pośrednictwem miejscowej działaczki FN, którą poznałem dzięki znajomym Francuzom. Ale z demokracją kierowaną nie ma żartów, więc Sąd Najwyższy unieważnił wybory w tym okręgu.

Pomyślałem tedy sobie, że identyczny efekt można by osiągnąć i u nas w stosunku do Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Mając nawet 20 procent głosów, SLD nie wprowadziłby do Sejmu ani jednego posła, więc nastąpiłaby dekomunizacja bez użycia tego słowa. Francuski system polega bowiem na tym, że aby w jednomandatowym okręgu uzyskać mandat „z marszu”, trzeba zdobyć bezwzględną większość głosów. Zdarza się to nader rzadko, więc zanim jeszcze nastąpi druga tura, kandydaci o słabszym wyniku zachęcają swoich zwolenników do poparcia któregoś z kandydatów silniejszych. Z punktu widzenia wyborców to nawet jest korzystne, bo przed ostatecznym głosowaniem na ich oczach formują się przyszłe koalicje parlamentarne. U nas

wyborcy nie mają tego komfortu. Kampania wyborcza polega wszak na tym, że każda partia powiada: my jesteśmy mądrzy, uczciwi, szlachetni, patrioci i tak dalej – a tamci do durnie, złodzieje, szubrawcy, łajdacy, zdrajcy i tak dalej. I kiedy już obywateli do tego przekonają, odbywają się wybory, a potem co? A potem mądrzy, szlachetni, uczciwi i tak dalej wchodzi w koalicję z durniami, złodziejami, łajdakami i zdrajcami. W rezultacie realizowany jest program, o którym wcześniej nikt w ogóle nie słyszał, więc trudno się dziwić, że coraz więcej obywateli odmawia statystowania w tym błazeństwie. Ale we Francji z wyborów na wybory, w okresie między pierwszą a drugą turą, zawsze tworzy się koalicja: „wszyscy przeciwko Frontowi Narodowemu”. Ze „wszystkimi” Front oczywiście wygrać nie może, toteż zawsze przegrywa. Więc ordynację wyborczą skonstruowaną według tego schematu przedstawiłem na posiedzeniu Nadzwyczajnej Komisji, za pośrednictwem śp. Lecha Pruchno Wróblewskiego, posła UPR, który ją referował. Na forum Komisji można ją było przeforsować, bo zdecydowaną większość mieli tam posłowie tzw. solidarnościowi. SLD miał tylko dwóch reprezentantów: posła Millera i posła Cimoszewicza, którzy zresztą natychmiast się zorientowali, jakie straszliwe niebezpieczeństwo nad nimi zawisło, ale już po chwili odetchnęli z ulgą, bo „solidarnościowa” większość natychmiast ten projekt odrzuciła, ponieważ posłowie nie byli pewni, czy przy tym systemie oni sami byliby wybrani. Mnie nie przyszło do głowy, by wmontować tam jakieś zachęty dla nich; nawet nie wiedziałbym jakie – ale raz na zawsze pozbyłem się iluzji, że ktokolwiek w Polsce chce dekomunizacji. Wspominam o tym dlatego, by pokazać, że z jednomandatowymi okręgami też można robić rozmaite sztuki dla dobra „systemu”, zatem wiara w zbawienny charakter takiej zmiany wydaje mi się nieco naiwna.

Ale obok modelu francuskiego istnieje model brytyjski, też oparty na jednomandatowych okręgach wyborczych. Jest on znacznie prostszy od francuskiego; nie ma tam warunku uzyskania bezwzględnej większości ani pierwszej i drugiej tury. Wygrywa ten kandydat, który w okręgu uzyskał najwięcej głosów. Przyjrzyjmy się jednak parlamentowi brytyjskiemu, który według tej ordynacji jest powoływany. Dominują tam dwie duże partie. Po wyborach 8 czerwca

2017 roku sytuacja wygląda tak: Partia Konserwatywna – 317 mandatów, Partia Pracy – 262 mandaty, Szkocka Partia Narodowa – 35, Liberalni Demokraci – 12, Demokratyczna Partia Unionistyczna – 10, Sinn Féin – siedem, Plaid Cymru (walczy o niepodległość Walii w UE) – cztery, Zieloni – jeden i Niezależni – jeden. Z punktu widzenia reprezentatywności niby widać postęp, ale też widać gołym okiem, że jest to tylko dekoracja w gruncie rzeczy podtrzymująca „system”. Zatem jeśli ktoś pragnąłby maksymalnie zwiększyć reprezentatywność Sejmu, tak by znalazły się tam polityczne reprezentacje wszystkich, a przynajmniej większości kierunków występujących w społeczeństwie, to najlepszy byłby system proporcjonalny – ale bez modyfikacji restrykcyjnych, tak jak to było w wyborach w roku 1991. Mandaty zostały rozdzielone między 29 komitetów wyborczych, więc z punktu widzenia reprezentatywności Sejmu był to wynik zdecydowanie lepszy niż przy okręgach jednomandatowych w Wielkiej Brytanii.

### CZY MYĆ RĘCE, CZY MYĆ NOGI?

Ale reprezentatywność Sejmu ma również swoją mroczną stronę. Rzecz w tym, że przy systemie parlamentarno-gabinetowym ważnym zadaniem Sejmu jest stworzenie stabilnej podstawy politycznej dla rządu. Sejm liczący 29 politycznych podmiotów staje przed bardzo trudnym, być może niewykonalnym zadaniem, chyba że podstawową metodą kaptowania poparcia dla rządu byłaby korupcja: – Panie pośle, a nie poparłby pan rządu? – No poparłbym, ale co z tego będę miał? – A co by pan chciał mieć? W ten sposób można kaptować poparcie dla rządu i zapewniać stabilność władzy wykonawczej, ale od razu widać, że to lekarstwo gorsze od choroby. Stoimy zatem w obliczu nieprzyjemnej alternatywy: albo myć ręce, albo myć nogi. Jeśli bowiem chcemy mieć maksymalnie reprezentatywny parlament, to narażamy państwo na graniczące z pewnością ryzyko destabilizacji. Czy jest jakaś możliwość obejścia tej nieprzyjemnej alternatywy?

Na szczęście tak. Gdybyśmy odeszli od systemu parlamentarno-gabinetowego na rzecz systemu prezydenckiego, to moglibyśmy i myć ręce, i myć nogi, to znaczy mieć maksymalnie reprezentatywny Sejm i jednocześnie stabilną władzę wykonawczą, która zapewniałaby stabilność państwu. Nawet nie trzeba by tu przeprowadzać wielkiej

rewolucji, bo prezydent już teraz wybierany jest w powszechnym głosowaniu. Nawiasem mówiąc, jest to zagadka, dlaczego właściwie autorzy konstytucji z 1997 roku dając prezydentowi tak silną legitymację demokratyczną, jednocześnie pozbawili go władzy na rzecz prezesa Rady Ministrów, który nigdy tak silnej legitymacji demokratycznej nie miał. Co więcej – uważna lektura konstytucji wzbudza podejrzenia, że jej autorzy musieli uważać prezydenta nie tylko za wariata, ale w dodatku za wariata wyjątkowo niebezpiecznego. Zwyczajnemu wariatowi bowiem zakłada się jeden kaftan bezpieczeństwa i wszyscy uważają, że to wystarczy, podczas gdy autorzy konstytucji z 1997 roku założyli prezydentowi aż dwa kaftany. Oto przykład: prezydent jest zwierzchnikiem Sił Zbrojnych, ale z własnej inicjatywy nie może w wojsku nawet kiwnąć palcem; wszystkich swoje poczynania musi prowadzić na wniosek albo ministra obrony, albo prezesa Rady Ministrów. Pewne światło na tę zagadkową sprawę rzuca okoliczność, że jednym z autorów konstytucji z 1997 roku był Aleksander Kwaśniewski, który coś tam o sobie musiał wiedzieć, ale my nie musimy przecież kierować się jego uprzedzeniami.

W systemie prezydenckim władza wykonawcza spoczywa w osobie prezydenta, którego pozycja nie zależy od układu sił w Sejmie. Raz wybrany, jest wybrany na pięcioletnią kadencję i sytuacja w Sejmie nie ma tu przełożenia, nawet gdyby zasiadającym tam Umiłowani Przywódcy wzajemnie by się pozagryzali. Co więcej – może zostać wybrany na kolejną pięcioletnią kadencję, a rządy o długiej kadencji mają swoje niezaprzeczone zalety. Ale właśnie z tego powodu pojawia się inne ryzyko w postaci bonapartyzmu. Prezydent mógłby ulec pokusie rządzenia ponad Sejmem – jak to kiedyś imaginował sobie w gonitwie myśli nasz Kukuniek, czyli prezydent Lech Wałęsa – że będzie „rządził dekretami”. Na szczęście istnieje skuteczne remedium na rozmaite bonapartyzmy w postaci precyzyjnego rozdzielenia władzy wykonawczej od dysponowania funduszami publicznymi. Kto inny ma władzę wykonawczą, a kto inny – klucz do kasy. Taka sytuacja zmuszałaby prezydenta do przynajmniej minimalnej współpracy z Sejmem, a także do stabilizowania sytuacji na terenie parlamentarnym, bo skuteczność rządów prezydenckich zależałaby od

istnienia w Sejmie współpracującej z prezydentem silnej grupy posłów.  
A tego właśnie państwu potrzeba: stabilnego rządu z parlamentarnym  
zapleczem, ale nie uzależnionym od niego nadmiernie.

„NCz!” 38-39/2017

# DZIECI SZPITALNE CZY PRYWATNE?

To może być bardzo ważny precedens w polskim wymiarze sprawiedliwości, nie bez powodu uchodzącym za skorumpowany i przeżarty ubecką agenturą. Zresztą – jeśli przeżarty agenturą, to musi być skorumpowany, bo korupcja należy do istoty działalności agenturalnej. A poszlaki wskazujące na „przeżarcie” są – i to liczne.

Po pierwsze – podczas tak zwanego „wysłuchania”, które w ramach wykonywania zadania dla niemieckiej BND, oczekującej wytworzenia wrażenia, że praworządność w Polsce jest zagrożona, urządzili w Sejmie sędziowie – podnoszony był argument, że z bezpieczniacką agenturą w środowisku sędziowskim uporała się definitywnie „biologia”. Oznacza to – a przyznali to sami sędziowie – że środowisko nie kiwnęło nawet palcem, by wyeliminować ubecką agenturę ze swojego środowiska, a poza tym to ta sławetna „biologia” wcale problemu obecności agentury w środowisku sędziowskim nie rozwiązała. Wiadomo bowiem, że Wojskowe Służby Informacyjne – które uważam za najgroźniejszą organizację przestępczą o charakterze zbrojnym, a które formalnie pod tą nazwą istniały do września 2006 roku, a teraz wypączkowały w Służbę Kontrwywiadu Wojskowego i Służbę Wywiadu Wojskowego – rutynowo werbowały agenturę w różnych środowiskach, w tym również w czcigodnym środowisku sędziowskim.

Ilu sędziów WSI zwerbowały – tego oczywiście nie wiadomo, bo ani zwerbowani nie będą się chwaliли, ani ich oficerowie prowadzący ich ujawniali. Dodatkową poszlakę stanowi operacja „Temida”, którą UOP prowadził już w tak zwanej wolnej Polsce, a której celem był werbunek agentury właśnie w środowisku sędziowskim – co ujawnił sędzia Lipiński, orzekający w procesie sędziego Andrzeja Hurasa. Ilu sędziów zostało w ramach tej operacji zwerbowanych – tego też nie wiadomo. W rezultacie skazani jesteśmy na domyśle, ale skoro już jesteśmy skazani, to nie żałujmy sobie i domyślajmy się! Ja na przykład skłaniałbym się do szacunkowego określenia liczebności bezpieczniackiej agentury w środowisku sędziowskim na podstawie dwóch Kongresów Sędziów Polskich, jakie w ramach „walki o praworządność” w Polsce niedawno się odbyły.



Charakterystyczne było, że nikt nie wybierał na te kongresy jakichś delegatów, więc przybył tam, kto chciał – albo kto musiał. Ponieważ w walkę o demokrację i praworządność bardzo angażują się byli funkcjonariusze wywiadu wojskowego, czyli Stare Kiejkuty, co to przewerbowały się na służbę między innymi do niemieckiej BND jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych, a ilustracją tego zaangażowania było osobiste uczestnictwo Najstarszego Kiejkuta III Rzeczypospolitej, pana generała Marka Dukaczewskiego, w demonstracji pod Sejmem 16 grudnia ub. roku, gdzie ściągani w trybie alarmowym z całej Polski konfidenti mieli przedstawiać „zagniewany lud” – więc w tej sytuacji również te dwa osobliwe Kongresy Sędziów Polskich, zwołane w ramach „kombinacji operacyjnej” prowadzonej przez niemiecką BND „w obronie praworządności” w Polsce, stanowią pewną wskazówkę. Wzięło w nich udział około tysiąca sędziów, co stanowi około 10 procent środowiska. Jeśli ten szacunek okazałby się trafny, to stopień przeżarcia środowiska sędziowskiego w Polsce bezpieczniacką agencją byłby bardzo wysoki, stanowiąc prawdziwe zagrożenie dla praworządności w naszym i tak już przecież wystarczająco nieszczęśliwym kraju.

Ale nie o tym chciałbym pisać, bo chodzi przecież o wydarzenie, które może mieć charakter doniosłego precedensu w odpowiedzi na pytanie, czyje w Polsce są dzieci – czy państwowe, ewentualnie samorządowe, czy prywatne, to znaczy należące do rodziców. Oto w szpitalu w Białogardzie w 36 tygodniu ciąży urodziła się dziewczynka. Lekarze tamtejsi zamierzali wstrzyknąć jej witaminę K, ale ojciec dziewczynki poprosił, by najpierw zbadali, czy nie istnieje ryzyko przedawkowania z uwagi na mniejszą wagę wcześniaka. Prośba ta podobno została wyniośle zignorowana i wsparta pogroźką częściowego odebrania władzy rodzicielskiej. Personel szpitala wykazał się tutaj niespotykaną w innych sytuacjach energią i sprokurował doniesienie do niezawisłego sądu. Ten, wzorem policmajstra z „Pana Tadeusza”, powinność swej służby zrozumiał i bez wysłuchania rodziców prawa rodzicielskie odebrał albo „zawiesił” – ale kiedy urzędnik sądowy dotarł do szpitala, ani dziecka, ani jego rodziców już tam nie było, bo oddalili się w nieznanym kierunku. W związku z tym na równe nogi została postawiona tamtejsza policja,

która wszczęła tak zwane „energiczne kroki”, jednak poszukiwanych osób nie znalazła – a tymczasem ojciec dziewczynki wrzuca do sieci rozmaite oświadczenia. W chwili gdy to piszę, sprawą ma zająć się niezawisły sąd, ale co zrobi – nie wiadomo, bo zainteresowanie całą aferą okazał wiceminister sprawiedliwości Patryk Jaki, według którego, „ci rodzice mogą mieć wiele racji”.

Ja też tak uważam, bo – po pierwsze – lekarze w szpitalu nie są żadnymi przedstawicielami władzy, tylko sprzedawcami i wykonawcami usług medycznych. Co prawda nie jest to przekonanie powszechne, bo po pierwszej komunie odziedziczyliśmy przeświadczenie, że przedstawicielem władzy jest nawet ekspedientka w sklepie, nie mówiąc już o pomocniczym personelu medycznym w szpitalach. Doświadczyłem tego osobiście, kiedy karetka pogotowia zabrała mnie z domu z podejrzeniem stanu przedzawałowego. Sanitariusze usadzili mnie na krześle, znieśli z drugiego piętra do karetki i po przyjeździe do szpitala zanieśli na tym krześle do Izby Przyjęć, a następnie odjechali. Kiedy tak siedziałem, nagle obsztorcowała mnie pani rejestratorka: „No, co tak siedzi? Niech idzie na koniec korytarza, to mu zrobię EKG!”. W obliczu takiej stanowczości przedstawicielki władzy natychmiast przybrałem wygląd „lichy i durnowaty”, jakiego oczekiwał od swoich urzędników Piotr Wielki, zawstydzilem się swojego mazgajstwa i poszedłem we wskazane miejsce. Okazuje się, że te wszystkie środki ostrożności nie były potrzebne, a tę zbawienną prawdę, wbrew medycznym autorytetom, w mgnieniu oka spenetrowała pani rejestratorka, która – jak podejrzewam – umiejętności wydawania rozkazów mogła nauczyć się w całkiem innej instytucji.

Wracając do rodziców dziewczynki urodzonej w szpitalu w Białogardzie, to mogli opuścić szpital w każdym momencie, bo nawet po przybyciu tam sądowego urzędnika nie zostali pozbawieni wolności, a cóż dopiero przed jego przybyciem. Dlaczego w takim razie tamtejsza policja wszczęła „energiczne kroki” – trudno zgadnąć. Toteż nic dziwnego, że pan wiceminister Jaki powiedział, że jeśli by się okazało, iż dziecku nic się nie stało, to jego zdaniem, decyzja niezawisłego sądu była „absolutnie skandaliczna”. To prawda – więc jeśli niezawisły sąd pod wpływem takich perswazji uzna, że dzieci nie

są państwowe ani samorządowe, ani nawet szpitalne, to ten wyrok może mieć charakter precedensowy.

*„NCz!” 40-41/2017*

## PIĘĆ MINUT DLA ŻYWEJ CERKWI

**R**eakcja na ogólnopolską modlitwę pod hasłem „Różaniec bez granic” pokazuje, że prace nad utworzeniem przynajmniej w naszym nieszczęśliwym kraju „Żywej Cerkwi” są bardziej zaawansowane, niż mogłoby się wydawać. Co więcej – w pracach tych zaangażowani są nie tylko współcześni „księża-patrioci” w rodzaju przewielebnego Wojciecha Lemańskiego, nie tylko tubylczy Judenrat, nie tylko wynalazki Starych Kiejkutów w rodzaju malwersanta pana Mateusza Kijowskiego, ale również Judenraty zagraniczne, przede wszystkim nowojorskie. Warto zwrócić uwagę, że dzień „Różańca bez granic” nie został wybrany przypadkowo. 7 października 1571 roku stoczona została bowiem bitwa morska pod Lepanto, w następstwie której chrześcijanie skupieni w tak zwanej Lidze Świętej, czyli sojuszu Państwa Kościelnego, Hiszpanii, Wenecji, Genui, Sabaudii i Malty, powstrzymali napór muzułmańskiego Imperium Osmańskiego na Europę. Dodajmy, że temu naporowi ostatecznie położył kres nasz Jan III Sobieski, rozgromiając w 1683 roku armię turecką pod Wiedniem. „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej przeszłe wieki nigdy nie słyszały. Działa wszystkie, obóz wszystek, dostatki nieoszacowane, dostały się w nasze ręce. Nieprzyjaciel, zasławszy trupem aprosze, pola i obóz, ucieka w konfuzji. Wielbłądy, muły, bydło, owce, które miał po bokach, dopiero dziś wojska nasze brać poczynają, przy których Turków trzodami tu przed sobą pędzą” – pisał król do Marysieńki „w namiotach wezyrskich”. Nie było to zwykłe zwycięstwo, jakich Jan Sobieski nad Turkami odnosił wiele. Był to straszliwy pogrom armii Imperium Osmańskiego, które po tym ciosie utraciło cały impet i już nigdy nie było w stanie napierać na Europę. Zatem zmobilizowanie co najmniej miliona ludzi, żeby w rocznicę bitwy pod Lepanto wzdłuż granic Polski modlili się „o pokój”, stanowi samo w sobie wydarzenie społeczne i polityczne – zwłaszcza w kontekście „wędrówki ludów”, to znaczy bisurmańskiej inwazji na Europę. Wiele wskazuje na to, że ta inwazja nie jest spontaniczna, jak to Judenraty próbują wmawiać mikrocefalom, bo – po pierwsze – jej przyczyną są operacje pokojowe, misje stabilizacyjne, wojny o pokój i demokrację oraz „jaśminowe

rewolucje”, które wtrąciły w krwawy chaos kraje uważane przedtem za potencjalne zagrożenie dla bezcennego Izraela. Po drugie – że wśród szturmujących Europę bisurmanów dominują młodzi mężczyźni zdolni do walki – co potencjalne zagrożenie dla bezcennego Izraela dodatkowo osłabia, a dla Europy oczywiście zwiększa. Po trzecie – że wyekspediowanie jednego podróżnika do Europy kosztuje kilka tysięcy euro, które pozbawieni wszelkich środków materialnych „uchodźcy” jednak zdobywają, prawdopodobnie dzięki stworzonej przez starego żydowskiego grandziarza inżynierii finansowej i liniom kredytowym.

Pożyczając te pieniądze, szturmujący Europę bisurmani muszą jednak dawać jakieś zabezpieczenie pożyczek, prawdopodobnie w postaci rodzin, które w ten sposób stary grandziarz przerabia na swoich niewolników, i wreszcie – po czwarte – że celem tego zorganizowanego – jak widzimy – naporu na Europę może być zniszczenie historycznych europejskich narodów poprzez przerobienie ich na tak zwany „nawóz Historii”, na którym będą rozkwitać bracia starsi i mądrzejsi. Taka forma zemsty za dokonaną podczas II wojny światowej masakrę europejskich Żydów jak najbardziej mieściłaby się w żydowskiej tradycji, zatem – jak powiadają gitowcy – „wszystko gra i koliduje”.

Identyczny cel przyświeca zresztą żydokomunie, będącej w awangardzie podmywającej fundamenty łacińskiej cywilizacji komunistycznej rewolucji, więc nic dziwnego, że polska inicjatywa „Różańca bez granic” wzbudziła taką irytację Judenratów, niemieckich gazet, które wykryły, że pod pretekstem modlitwy chodzi o manifestację przeciwko muzułmanom, no i Starych Kiejkutów, co to serduszka mają szczególnie miękkie i wrażliwe, w związku z czym – jak przypuszczam – podsunęły panu Kijowskiemu pomysł przedstawienia uczestników modlitwy odwróconych tyłem leżącego na morskiej plaży biednego dziecka. Jestem pewien, że nie chodzi tu wcale o dziecko pana Mateusza Kijowskiego, zagłodzone wskutek niepłacenia na nie alimentów, tylko o napiętnowanie nieubłaganym palcem katolickiej hipokryzji. A któż lepiej nadaje się do piętnowania hipokryzji jak nie pan Mateusz Kijowski, którego nawet Stare Kiejkuty jeszcze niedawno musiały wycofać do tylnych szeregów, bo jakże sztandarem praworządności na oczach całej Europy miałby

wymachiwać malwersant? Teraz jednak rzuciły pana Kijowskiego na inny odcinek ideologicznego frontu, mianowicie na odcinek religijny, więc nic dziwnego, że pan Kijowski uwija się jak w ukropie.

Ale to jeszcze nic w porównaniu z przewiebnym księdzem Wojciechem Lemańskim, który zadekretował, że Pan Jezus „potępi” uczestników „Różańca bez granic”. Skąd przewiebnny ksiądz Lemański może takie rzeczy wiedzieć – trudno zgadnąć, bo nie sądzę, żeby – zwłaszcza w sytuacji, gdy został zasuspendowany – dysponował jakąś gorącą linią do samego Pana Jezusa, który na bieżąco zwierza mu się ze swoich zamiarów, kogo zamierza potępić, a kogo nie. Już prędzej mógłby wchodzić w grę jakiś inny telefon, niekoniecznie od Starych Kiejkutów – chociaż na tym świecie pełnym złości niczego wykluczyć nie można – ale na przykład od Judenratu na Czerskiej, który w swoim czasie bardzo sobie w przewiebnym księdzu Lemańskim upodobał. Bo – powiedzmy sobie szczerze – ptaszek Boży w osobie pana red. Jana Turnaua czy rzucona na religijny odcinek frontu ideologicznego pani red. Katarzyna Wiśniewska, a nawet pani Aleksandra Klich nie bardzo się na filary Żywej Cerkwi nadają, podczas gdy przewiebnny ksiądz Lemański – aaa, to co innego!

Skoro tedy już wiadomo, że sam Pan Jezus postanowił „potępić” nawet uczestników „Różańca bez granic”, to cóż dopiero mówić i o organizatorach, a zwłaszcza o poplecznikach tego przedsięwzięcia w osobach członków Episkopatu Polski, którzy zachęcali, żeby nie powiedziec: podzęgali do wzięcia udziału w tej modlitwie? No dobrze – ale skoro Episkopat zostanie „potępiony” – i to przez samego Pana Jezusa, o czym zapewnia nas przewiebnny ksiądz Wojciech Lemański – to czy tacy potępieńcy mogą jeszcze pretendować do sprawowania rządu dusz naszego mniej wartościowego narodu tubylczego? Jasne, że nie mogą, a w tej sytuacji nic dziwnego, że Judenrat zakrzętnął się wokół skompletowania mniej wartościowemu narodowi tubylczemu jakiegoś przywództwa zastępczego („na mym stole węgorz z drobiu w opakowaniu zastępczym”) i nie tylko wydobył z naftaliny przewiebnego księdza Lemańskiego, ale dla lepszej zachęty przekazał mu też komunikat od samego Pana Jezusa w sprawie potępienia. Nikt, a zwłaszcza potępieńcy, nie będzie sypał piasku w szprychy rozpędanego parowozu dziejów, na którym Judenraty

zamierzają wjechać do europejskiej historii.

„NCz!” 43/2017

KTO SIĘ CIESZY Z WYJAZDU DO ROSJI?

## ŚLADAMI ŁYSEGO

„Jedziemy do Rosji! Jedziemy do Rosji!” – takie wrzaski słychać było z telewizorów po meczu futbolowym polskiej reprezentacji z reprezentacją Czarnogóry. Nie było to bynajmniej krzyki rozpaczki ludzi wywożonych w głąb Rosji, tylko okrzyki radosne, chwilami nawet przechodzące w ton triumfalny.

Skąd ten ton, skąd taka radość z powodu wyjazdu do Rosji – i to w dodatku dobiegająca z tego samego telewizora, z którego jeszcze kilka minut wcześniej można było się dowiedzieć, że Rosja jest naszym wrogiem, który tylko czeka, żeby nas zawojować, a przynajmniej podesłać tutaj „zielone ludziki” w ramach tak zwanej wojny hybrydowej? Między tymi przekazami jest nieusuwalna sprzeczność, a skoro tak, to nie mogą one być jednocześnie prawdziwe. No dobrze – ale w takim razie który przekaz jest prawdziwy, a który nie? Wspomniane radosne okrzyki sprawiały wrażenie spontanicznych, podczas gdy informację o płynącym ze strony Rosji zagrożeniu podała pani red. Danuta Holecka, przekazująca wiadomości i opinie zatwierdzone przez przynajmniej jedną, a może nawet kilka wyższych instancji, więc o żadnej spontaniczności nie może tutaj być mowy. W tej sytuacji bardziej wiarygodna wydaje się owa spontaniczna radość, bo coś takiego trudno jest udawać, nawet za pieniądze.

No dobrze, ale czy ta radość nie jest przypadkiem też trochę podejrzana? „To jest normalne, że nie gadasz z bandytami, nie zapraszasz ich do domu, nie odwiedzasz ich sam. Kto z kim przestaje, takim się staje” – przestrzegał piosenkarz Kazik Staszewski w utworze pod tytułem „Łysy jedzie do Moskwy”. No a tymczasem nie tylko „jedziemy do Rosji”, ale perspektywa tego wyjazdu napędza wszystkich radością, dumą i nadzieją. Nadzieją na co? Przecież nie na zwiększenie siły Polski, bo od tego, że polska reprezentacja futbolowa odniesie w mistrzostwach świata jakiś sukces, nic przecież nie wynika, poza przemijającym stanem euforii. Najwyraźniej tego właśnie dotyczy nadzieja, tej chwilowej euforii, po której można spodziewać się depresji, no bo czegoż innego, jeśli euforia jest tylko chwilowa? Najwyraźniej dla przeżycia chwilowej euforii jesteśmy gotowi przejść do porządku dziennego nad zbawiennymi przestrogi, jakie



sformułował Kazik Staszewski w nieśmiertelnym utworze „Łysy jedzie do Moskwy”. Gotowi jesteśmy nie tylko „odwiedzać bandytów”, ryzykując, że staniemy się tacy sami, jak oni. Ale co to właściwie znaczy: tacy sami jak oni? To znaczy, że oni tacy sami jak my?

Ale to jeszcze nic, bo znacznie ciekawszy jest status reprezentacji Syrii. Jak wiadomo, na terenie tego kraju toczy się wojna o pokój i demokrację, ale wojna to jedna sprawa, a futbol to sprawa druga. Syria ma swoją reprezentację futbolową, ale czy ta reprezentacja reprezentuje syryjskiego tyrana, czy też walczących z nim „bezbronnych cywilów” – bo chyba nie złowrogie Państwo Islamskie, które nie identyfikuje się z Syrią, a tylko jest na obszarze przypisywanym temu państwu zlokalizowane? Reprezentacja Syrii nie zakwalifikowała się do finału Mistrzostw Świata w Rosji, ale gdyby się zakwalifikowała, to by tam grała, być może nawet z reprezentacją Polski – i nikt by się specjalnie nie dziwował, że reprezentacja Syrii gra sobie w piłkę jak gdyby nigdy nic, chociaż w tym kraju szaleje wojna o pokój i demokrację, a uchodźcy, jeden przez drugiego, uciekają do Europy. Najwyraźniej w dzisiejszych czasach przemysł rozrywkowy jest ważniejszy niż wojna czy pokój, bo Umiłowani Przywódcy robią wszystko dla zatarcia granicy między snem a jawą, zaś dygnitarzom światowej organizacji futbolistów nie tylko przypisuje się władzę kreowania wielkości i pogrążania w niebycie, ale oni sami też zaczynają się zachowywać, jak przystało na władców świata.

„NCz!” 43/2017

## NASZA MATKA JADALNA

„To jest kielbasa. To jest moja matka jadalna” – pisał przed laty Rafał Wojaczek, przedwcześnie zmarły, dobrze zapowiadający się poeta. Może przesadzał z tą „matką jadalną”, ale rzeczywiście coś w tym jest, bo człowiek prędzej czy później, jednak zawsze wraca do swoich początków.

Podobnie musiał postrzegać rzeczywistość Karol Marks, chociaż będąc na utrzymaniu bogatego fabrykanta Fryderyka Engelsa głodu pewnie nie cierpiał – ale zaspokajanie apetytu awansował do rangi słynnego parowozu dziejów, co znalazło wyraz w kultowej piosence żydokomuny: „powstańcie, których dręczy głód”. Kiedyś w dobrym chmielu komponowaliśmy z kolegą Miszalskim na restauracyjnych serwetkach wierszowane przemówienie Edwarda Gierka, poprzedzone tłem sytuacyjnym właśnie w postaci tej kultowej piosenki: „Ciągnie basem Gierek, Kępa, Winciorek, Gucwa, Pipel, Wełpa i z Koziej Wólki delegat But: powstańcie, których dręczy głód”. Przemówienie kończyło się następująco: „Lepiej nam się żyje, Polska rośnie w siłę, a kto nie wierzy, temu dam w ryłę i pošlę na Sołówki. Do was się zwracam, towarzysze półgłówki; chodźcie za mną, a każdy pysk umoczy w melasie! Kończę, towarzysze. Reszta będzie w prasie”. Myślę, że mimo sławnej transformacji ustrojowej to przemówienie nie straciło całkiem aktualności. Nawiasem mówiąc, kiedy już arywiści obrośli w piórka, takie piosenki budziły niezamierzony efekt komiczny. Kiedyś w Tarnowie, jako reporter „Zielonego Sztandaru”, miałem relacjonować przebieg wojewódzkiego zjazdu ZSL, w którym uczestniczył sam prezes Stanisław Gucwa. Obrady rozpoczęły się od uroczystego odśpiewania pieśni „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”, której druga zwrotka brzmiała następująco: „Armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czarnymi od pługa. Panowie w stolicy kurzyli cygara, radzili o braciach z za Buga”. Nawet po 140 latach nie mogli im tych cygar zapomnieć. Po skończonej pieśni wszyscy usiedli, a prezes Gucwa wyjął i zapalił... cygaro.

### „KULTURA BURŻUAZYJNA” GRAMSCIEGO

Toteż Antoni Gramsci powziął podejrzenie, że Marks, uznając „głód” – czyli inaczej mówiąc: kielbasę – za materiał napędzający sławny

parowóz dziejów, zwyczajnie się pomylił, bo według Gramsciego, człowieka „alienuje” nie żaden tam „głód”, tylko „kultura burżuazyjna”. Z tego spostrzeżenia narodziła się alternatywna strategia komunistycznej rewolucji w postaci „marksizmu kulturowego”, który pod nazwą „politycznej poprawności” podmywa fundamenty łacińskiej cywilizacji. W tej strategii głównym polem bitwy rewolucyjnej jest sfera kultury, a pierwszym krokiem ku zwycięstwu jest uzyskanie panowania nad językiem, zwłaszcza mówionym. Toteż przy pomocy piekielnej triady w postaci państwowego monopolu edukacyjnego, mediów i przemysłu rozrywkowego język już został przez komunę zawłaszczony, co przekłada się nawet na religijny odcinek „kultury burżuazyjnej” w postaci kultu Świętego Spokoju. Ale strategia to jedna sprawa, a tak zwane życie to sprawa inna. W życiu bowiem „nowe” walczy ze „starym”, toteż czasami do głosu dochodzi jednak pragnienie „kiełbasy” – oczywiście udrapowane w szlachetny kostium „wrażliwości społecznej”. Na „społeczną wrażliwość” bowiem nie ośmielą się podnieść ręki ani partyjni, ani bezpartyjni, ani wierzący, ani niewierzący, ani żywi, ani u... – no mniejsza z tym. Tymczasem sławna „społeczna wrażliwość” polega na tym, że jakaś grupa społeczna wynajmuje sobie polityków, którzy w zamian za głosy wyborcze oferują swoim zleceniodawcom możliwość ograbiania współobywateli w tak zwanym majestacie prawa. Okoliczność, że grabież następuje przy wykorzystaniu pośrednictwa wynajętych funkcjonariuszy publicznych, istoty rzeczy przecież nie zmienia, a tymczasem nie słychać, by przeciwko „wrażliwości społecznej” ktokolwiek ośmielił się podnosić zastrzeżenia natury moralnej. Przeciwnie – zdecydowana większość moralnych przywódców „wrażliwości społecznej” basuje, a nawet ją wychwala, co świadczy nie tylko o postępach komunistycznej rewolucji, ale i o dekadencji łacińskiej cywilizacji. „Jest potwór bardziej wstrętny, ohydny, zuchwały, który, choć w głośnych krzykach wcale się nie miota, w proch miałki ziemię zetrzeć bierze go ochota i w przeciągłym ziewnięciu połknąć świat ten cały. To Nuda! – łza niewolna łśni w ócz jej pryzmacie. Śni o szafotach dymem haszyszu owiana, delikatna poczwara, ta dobrze ci znana, o obłudny człowieku, mój bliźni, mój bracie” – pisał dekadentcki poeta Baudelaire.

## PROTEST O KIEŁBASĘ

Mniejsza jednak o te poezje, bo – jak twierdził Rurka z nieśmiertelnego poematu „Towarzysz Szmaciak” – „poezji nikt nie zji”, a tu przecież chodzi o kielbasę, tę naszą „matkę jadalną”! Warto w związku z tym zwrócić uwagę, że dotychczasowe próby doprowadzenia do przesilenia politycznego w naszym nieszczęśliwym kraju podejmowane były pod pretekstami w zasadzie od kielbasy odległymi: „demokracja”, czy „praworzędność” – i chociaż nie można powiedzieć, by – czy to wśród folksdojczów, czy to konfidentów, czy wreszcie pożytecznych idiotów – nie wywołały rezonansu, to jednak stosunkowo szybko się wypalały, bo nie były w stanie porwać tak zwanych szerokich mas. Tymczasem teraz rząd swoimi przechwałkami, w jakiej to znakomitej finansowej kondycji jest nasz bantustan, wywołał z lasu wilka w postaci protestu o kielbasę. Nawiasem mówiąc, tę znakomitą kondycję trzeba traktować *cum grano salis*, bo – jak zapowiedział sam nasz Balcerowicz uzupełniony o społeczną wrażliwość, czyli pan wicepremier Morawiecki – deficyt na koniec roku może być tylko o ok. 10-15 mld złotych niższy od planowanego, lecz przecież będzie, podobnie jak w roku przyszłym. Ale lekarze-rezydenci wzięli te przechwałki za dobrą monetę i oto protest o kielbasę rozszerza się z szybkością płomienia, budząc zaniepokojenie innych grup społeczno-zawodowych, czy aby nie spóźnią się na pociąg. Ciekawe, że pod pretekstem wspomnienia św. Łukasza polskich lekarzy pozdrowił sam papież Franciszek. Albo ktoś mu ten pomysł podsunął, albo sam się odegrał za „Różaniec bez granic”, którego antybisurmańska intencja była aż nadto widoczna. Na tę ostatnią możliwość wskazuje pogróżka Jego Ekscelencji Wojciecha Polaka, że będzie suspendował wszystkich księży, którzy wystąpią przeciwko przyjmowaniu do Polski bisurmańskich nachodźców. Pikanterii dodaje okoliczność, że Ksiądz Prymas ogłosił tę decyzję w organie Żywej Cerkwi, czyli „Tygodniku Powszechnym”. Nie jest zatem wykluczone, że w tej sytuacji i niemiecka BND, i pozostające na jej usługach Stare Kiejkuty, i Salon, którego funkcjonariusze tracą alimenty, no i wreszcie żydokomuna, która na tym etapie ściśle kolaboruje z nazi... – to znaczy, *pardon*, nie z żadnymi „nazistami”, bo dziś prawdziwych nazistów już nie ma, tylko z dobrymi Niemcami –

kolejną próbę przesilenia politycznego zmontują nie na gruncie jakichś dyrdymałów w rodzaju „demokracji” czy „praworządności”, tylko na fundamencie starej, poczciwej „kiełbasy”, która – jak się okazuje – nadal robi wrażenie.

*„NCz!” 44/2017*

## LISTEK UKRYTY W LESIE

**W**ielkimi krokami zbliża się setna rocznica rewolucji bolszewickiej w Rosji, która połowę świata wtrąciła w straszliwe paroksyzmy i przyprawiła o nagłą śmierć co najmniej 100 milionów ludzi. Przy tych 100 milionach liczba ofiar tak zwanego holokaustu, czyli masakry europejskich Żydów podczas II wojny światowej, wydaje się niewielka, co oczywiście podważa opinię, jakoby holokaust był wydarzeniem bez precedensu w historii świata.

Bolszewicka strategia zdobycia i utrzymania władzy teoretycznie była podbudowana przez Karola Marksa, twierdzącego, jakoby byt określał świadomość. Toteż strategia bolszewicka składała się z trzech elementów: gwałtownej zmiany stosunków własnościowych – to znaczy likwidacji własności prywatnej – oraz masowego terroru i masowego duraczenia. Masowy terror miał na celu likwidację warstwy właścicieli i obezwładnienie tych, którzy gdzieś się uchowają przy życiu, zaś duraczenie miało na celu narzucenie ludziom przekonania, że tak właśnie będzie dla nich najlepiej. Rewolucja bolszewicka stanowiła gigantyczny krok wstecz w stosunku do dorobku cywilizacji łacińskiej. Warto bowiem podkreślić, że istotnym elementem cywilizacji łacińskiej był dokonany jeszcze w głębokiej starożytności wynalazek rozdziału między prawem publicznym a prywatnym, co umożliwiło autonomię jednostek wobec władzy publicznej. Znosząc własność prywatną, bolszewicy dokonali olbrzymiego kroku wstecz, bo jednocześnie znieśli wszelką autonomię jednostki wobec władzy publicznej, przywracając despotię wschodnią, znaną z czasów asyryjskich.

### BOLSZEWIZM SIĘ TRZYMA

Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że naród rosyjski chyba najdłużej opierał się bolszewizmowi z bronią w ręku, ale kiedy uległ, stał się krzewicielem tej zbrodniczej ideologii w skali światowej. Polska – o ile oczywiście nie liczyć Polaków pozostawionych po traktacie ryskim po wschodniej stronie kordonu – uchroniła się na pewien czas przed skutkami rewolucji bolszewickiej, ale nie na długo, bo na skutek II wojny światowej oraz oddania Polski Stalinowi przez aliantów zachodnich w Teheranie i Jałcie rewolucja bolszewicka dotarła również

do naszego nieszczęśliwego kraju. Utworzony przez Stalina z agentów NKWD Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, a więc organ z punktu widzenia prawnomiędzynarodowego całkowicie marionetkowy, wydał dekrety „nacionalizacyjne”, które mimo sławnej transformacji ustrojowej nadal stanowią fundament systemu prawnego Rzeczypospolitej Polskiej. Okazuje się, że mimo śmierci Stalina, potępienia „kultu jednostki”, transformacji ustrojowej, odwrócenia sojuszy – nikt nie ośmielił się podnieść ręki na bolszewickie dekrety.

Nie znaczy to, że nie było takich prób. W 1991 roku powstał w Sejmie zespół, który przygotował projekt ustawy repriwatyzyzacyjnej. Miałem zaszczyt współpracować z tym zespołem. Projekt przewidywał zwrot własności w naturze jako zasadę restytucji i dopiero gdy to z jakichś względów byłoby niemożliwe, przewidywał rekompensatę w mieniu zamiennym, a w ostateczności – w obligacjach, udziałach w przedsiębiorstwach państwowych lub wreszcie w gotówce. Ponieważ wspomniany zespół nie miał w Sejmie większej siły przebicia, zaproponowałem przedstawienie tego projektu prezydentowi Lechowi Wałęsie, by ten wniósł go jako własną inicjatywę ustawodawczą prezydenta. Wiosną 1992 roku Lech Wałęsa przyjął nas na rozmowę i referując mu projekt, przedstawiłem mu trzy powody, dla których powinien go promować. Po pierwsze – projekt miał charakter ustrojowy, odwracając fakty dokonane przez bolszewików, więc nawet wypadałoby, by taki prezydent jak Lech Wałęsa wniósł go do Sejmu jako pierwszą własną inicjatywę ustawodawczą. Po drugie – jeśli ta ustawa wejdzie w życie, doprowadzi do odbudowania w Polsce grubej warstwy właścicieli, która będzie stanowiła naturalną bazę społeczną dla politycznych formacji antykomunistycznych – bo ci ludzie nie zapomną przecież, kto ich ograbił, a kto im zagrabioną własność oddał. Po trzecie wreszcie – ta ustawa będzie bardzo poważnym argumentem dla reelekcji Lecha Wałęsy, historyczną zasługą, której nikt nie będzie mógł mu odebrać. Mimo to prezydent Wałęsa odmówił poparcia dla tego projektu, a światło na przyczyny tej decyzji rzuca 4 czerwca 1992 roku, kiedy to prezydent Wałęsa, z powodu ujawnienia przez ministra Antoniego Macierewicza jego agenturalnej przeszłości, doprowadził do obalenia rządu premiera Jana Olszewskiego.

**BANDYCKA „REPRYWATYZACJA”**

Nie ma przypadków, są tylko znaki – mawiał niezapomniany ksiądz Bronisław Bozowski. Właśnie teraz, w przeddzień setnej rocznicy rewolucji bolszewickiej w Rosji, pan minister Patryk Jaki przedstawił zdumiewający projekt ustawy „reprywatyzacyjnej”, który można uznać za groteskowy jej epilog w dwudziestym siódmym roku sławnej „transformacji ustrojowej”. Charakterystyczne dla tego projektu jest bowiem nie tylko zablokowanie zwrotu dawnym właścicielom ich mienia w naturze jako zasada, ale również ograniczenie „rekompensaty” z tytułu zagrabionego mienia do 20 procent jego wartości w dniu przeprowadzenia „nacjonalizacji”. Mówiąc wprost: rząd „dobrej zmiany”, nawet z pewną ostentacją, potwierdził zasadność bolszewickich dekretów nacjonalizacyjnych, oferując dawnym właścicielom coś w rodzaju *pourboire* na otarcie łez. Wygląda zatem na to, że „dobra zmiana” nie jest taka znowu duża w stosunku do tego, co gotowi byli zaoferować bolszewicy, zwłaszcza w fazie, gdy sami zdążyli już obrosnąć w piórka, co nieco złagodziło im pierwotną surowość obyczajów. Ale nie zapominajmy, iż „dobra zmiana” jest historyczną rekonstrukcją przedwojennej sanacji, która w kwestiach własnościowych wprawdzie nie szła tak daleko jak bolszewicy, ale zasadniczo wyznawała wyższość własności państwowej nad prywatną i chociaż łagodniej, to jednak dość konsekwentnie w tym kierunku zmierzała. Przy wszystkich zatem odmiennościach kontynuacja jest większa, niż mogłoby się wydawać, co pokazuje, że wbrew opinii Józefa Stalina, który twierdził, iż komunizm pasuje do Polaków jak siodło do krowy, przez te kilkadziesiąt lat zdążył się jednak dopasować. Czy dlatego, że siodło zmieniło kształt, czy też polski grzbiet odpowiednio się powyginał – o to już mniejsza.

Jest atoli jeszcze jedna kwestia, którą warto byłoby wyjaśnić, póki jeszcze klamka nie zapadła. Otóż projekt pana ministra Jakiego zdecydowanie blokuje możliwość zwrotu dawnym właścicielom ich mienia w naturze, a nawet w postaci mienia zamiennego. Uzasadnienie jest takie, że Polski na to „nie stać”. Oczywiście można je spokojnie włożyć między bajki, a skoro tak, to wyjaśnienia wymagałoby podejrzenie, czy przypadkiem rząd nie rezerwuje mienia w naturze – czyli w nieruchomościach – dla kogoś innego. Konkretnie: dla Żydów, którzy nieustannie molestują Polskę swoimi „roszczeniami”



i z którymi pan prezydent Andrzej Duda rozmawiał na ten temat podczas pobytu w Nowym Jorku, podobnie jak członkowie rządu, który prawie *in corpore* przebywał w swoim czasie w Izraelu. – Gdzie mądry człowiek ukryje liść? – pytał retorycznie ksiądz Brown w opowiadaniu Chestertona „Złamana szabla” – i odpowiadał: – W lesie. – A jeśli nie ma lasu? – „To mądry człowiek zasadzi las, żeby ukryć w nim liść”. Czyżby rząd pani Beaty Szydło zamierzał w ten sposób zrobić użytek z mądrości?

„NCz!” 44/2017

SMOLEŃSK A REPARACJE WOJENNE

# WOKÓŁ „NAGŁEGO WZROSTU CIEPŁA”

Niedawno „Gazeta Polska” doniosła o nowym odkryciu, a właściwie nie tyle nowym, co dotychczas ukrywanym, że w samolocie, który 10 kwietnia 2010 roku uległ katastrofie w Smoleńsku, zarejestrowany został „nagły wzrost ciepła na czujniku temperatury samolotu”, po którym nastąpiła „katastrofalna seria awarii”.

Jest to zapewne kolejna z „hipotez”, jakie dotychczas stworzyła podkomisja, która pod egidą MON mozolnie „dochodzi do prawdy” w sprawie przyczyn katastrofy smoleńskiej. Może to doniesienie nie zasługiwałoby na większą uwagę, gdyby nie to, że gdy tylko zostało podane do wiadomości, dyskusje wokół reparacji wojennych, jakie Polska powinna otrzymać od Niemiec, zostały w jednej chwili ucięte, jakby ciosem miecza.

Potwierdza to podejrzenia, że – po pierwsze – między „dochodzeniem do prawdy” w sprawie przyczyn katastrofy smoleńskiej a reparacjami, jakie Polska powinna otrzymać i na pewno otrzyma od Niemiec, istnieje ścisły związek.

Po drugie – że inna grupa z otoczenia pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego związała swoje polityczne losy z „dochodzeniem do prawdy”, a inna – z dochodzeniem reparacji wojennych od Niemiec.

Po trzecie – że między tymi grupami trwa rywalizacja o względy pana prezesa Kaczyńskiego, który raz daje posłuchanie jednej, a raz drugiej, podtrzymując w ten sposób własną pozycję arbitra, który swoich paladynów godzi.

## ROZHUŚTYWANIE OPINII PUBLICZNEJ

Jak pamiętamy, pomysł zwrócenia się do Niemiec o wypłacenie Polsce reparacji wojennych zrodził się w głowie pana prezesa Kaczyńskiego, który ogłosił go podczas lipcowego mitingu PiS bodajże w Piotrkowie Trybunalskim. Prezes Kaczyński najwyraźniej doszedł do wniosku, że podkomisja pod egidą ministra Macierewicza pracuje na biegu jałowym i poza kolejnymi „hipotezami” niczego już nie jest w stanie mu dostarczyć w charakterze narzędzia do emocjonalnego rozhuśtywania opinii publicznej.

To rozhuśtywanie wytwarza rodzaj politycznej energii, która nie tylko pomogła PiS wygrać wybory, ale przyczynia się też do utrzymywania wysokich i rosnących notowań w sondażach. Pan prezes Kaczyński jest jednak politykiem doświadczonym i inteligentnym, toteż zrozumiał, że w takiej sytuacji trzeba stopniowo wygaszać ekscytację katastrofą smoleńską, bo w przeciwnym razie wygaśnie ona samoistnie, i zawczasu pomyśleć o innym samograju, który byłby w stanie rozhuśtywać emocje w przyszłości.

Pomysł z „dążeniem” do uzyskania od Niemiec reparacji wojennych godny jest wirtuoza intrygi, za jakiego uważam pana prezesa Kaczyńskiego – po pierwsze dlatego, że w społeczeństwie polskim poczucie krzywdy doznanej od Niemców jest nadal bardzo żywe; po drugie dlatego, że „łatwiej przeżyć śmierć ojca niż utratę ojcowizny”, więc nawet mglista perspektywa uzyskania jakichś pieniędzy za darmo, zawsze wzbudza zainteresowanie i emocje; a po trzecie – że między uzyskaniem takich reparacji a „dążeniem” do ich uzyskania jest ogromna różnica – mniej więcej taka sama jak między ujawnieniem prawdy a dążeniem do niej. „Dążyć” można w nieskończoność, to znaczy konkretnie do momentu wymyślenia kolejnego narzędzia do rozhuśtywania opinii publicznej.

Toteż kiedy tylko pomysł „dążenia” do uzyskania od Niemiec reparacji wojennych został ogłoszony, wielu polityków PiS dostrzegło w tym szansę nie tylko własnego politycznego awansu, ale i utracenia niezastąpionych dotychczas pretorianów prezesa Kaczyńskiego, przede wszystkim w osobie złowrogiego ministra Macierewicza, który w PiS uchodzi za takiego braciszka, co to kręci całym klasztorem, przeora nie wyłączając.

Monopolizując „dążenie do prawdy” w sprawie smoleńskiej katastrofy, minister Macierewicz nie tylko owinął sobie pana prezesa Kaczyńskiego wokół palca, ale stał się niezastąpiony. Jeśli bowiem jednym z priorytetów prezesa Kaczyńskiego jest wytarzanie w smole i pierzu Donalda Tuska, to właśnie minister Macierewicz taką nadzieją go łudził, że jeszcze tylko chwila cierpliwości i...

#### ROSZCZENIAMI W... MACIEREWICZA

Jednak po siedmiu latach, kiedy „hipotezy” pojawiały się niczym „konceptje” w głowie Lecha Wałęsy, w sercu prezesa Kaczyńskiego

musiały pojawić się wątpliwości nie tylko co do tego, czy ministrowi Macierewiczowi rzeczywiście uda się udowodnić zamach, co umożliwiłoby wytarzanie Donalda Tuska w smole i pierzu, ale również co do intencji ministra Macierewicza – czy przypadkiem nie traktuje on swego prezesa instrumentalnie. Jednak sprytny minister Macierewicz doprowadził do sytuacji, w której prezes Kaczyński nie mógł go ani porzucić, ani nawet zdezwuować bez ośmieszenia się do końca życia. Toteż musiał dojść do wniosku, że może się spod jego kurateli uwolnić tylko przy pomocy innego samograja – i tak właśnie narodził się pomysł „dążenia” do reparacji wojennych od Niemiec.

Tu najszybszym refleksem wykazał się pan poseł Mularczyk, który we włączeniu się w tę sprawę i przyjęciu przewodniej roli dostrzegł swoją życiową szansę polityczną – że *qua* polityk osiągnie przy prezesie Kaczyńskim pozycję podobną do pozycji złowrogiego ministra Macierewicza i że *qua* adwokat na „dążeniu” może zrobić fortunę. Toteż natychmiast zaczął się wokół tej sprawy uwijać, w pierwszej fazie nastawiając się na wywołanie w opinii publicznej wrażenia, że przedsięwzięcie to jest nie tylko możliwe, ale w gruncie rzeczy również łatwe.

### NIEBEZPIECZNE ZRYWANIE CIĄGŁOŚCI

Tymczasem z reparacjami sprawa wygląda tak, że konferencja w Poczdamie w roku 1945 przyznała je Polsce – ale w ramach puli reparacyjnej należnej ZSRR. Rosjanie – jak to Rosjanie – uzyskanymi od Niemiec reparacjami dzielili się z Polską „po bratersku” (brat brata w d\*\*\* harata), a pod tym pretekstem zażądali od Polski umożliwienia im wybierania za darmo górnośląskiego węgla. Nawet dla ówczesnych marionetek sytuacja ta stawała się nieznośna, toteż w 1953 roku ówczesny rząd PRL zrzekł się tych, w gruncie rzeczy bezwartościowych, reparacji w zamian za sowiecką obietnicę zaprzestania wybierania górnośląskiego węgla. I na tym stanęło. Stanowisko rządu niemieckiego jest takie, że Niemcy nakazane przez konferencję w Poczdamie reparacje wypłaciły, natomiast rozliczenia między ZSRR a Polską absolutnie ich nie interesują.

Toteż ani pani premier Szydło, ani pan minister Waszczykowski nie zaryzykowali oficjalnego wystąpienia do niemieckiego rządu w tej sprawie, najwyraźniej obawiając się uzyskania w Europie reputacji, że

„jakaś głowa kiepska – musi być z Witebska”. Natomiast w mediach trwał prawdziwy festiwal, w ramach którego pojawiła się nawet kwota 6 bilionów dolarów oraz pomysły, by wciągnąć do interesu Żydów, obiecując im realizację ich „roszczeń” wobec Polski z pieniędzy, jakie uda się uzyskać od Niemiec.

W tym momencie sprawa stawiała się poważna, bo o ile prawdopodobieństwo uzyskania tych reparacji od Niemiec jest bardzo niewielkie, to uznanie żydowskich roszczeń przez polskie władze nastąpiłoby naprawdę – a w tej sytuacji Żydzi zrobiliby ogromny krok naprzód na drodze do realizacji swoich „roszczeń”. Podobnie niebezpieczne były głosy, że jeśli nawet rząd PRL z tych reparacji zrezygnował, to nie jest to dla państwa polskiego wiążące, ponieważ zrzeczenia dokonali „przebierańcy” na sowieckich usługach.

Kolega Cejrowski w swojej antykomunistycznej niefrasobliwości posunął się nawet tak daleko, że zaproponował unieważnienie **wszystkich** aktów dokonanych przez PRL. Najwyraźniej ani on, ani zwolennicy uczynienia z PRL czarnej dziury nie zdają sobie sprawy, że Polska funkcjonuje w przestrzeni zagospodarowanej traktatowo. Konferencja w Poczdamie bowiem oddała Ziemię Zachodnie nie „Polsce”, tylko „przebierańcom”, którzy potem zrzekli się reparacji. Podobnie „przebierańcy”, a konkretnie Józef Cyrankiewicz, podpisali z Republiką Federalną Niemiec traktat o granicy na Odrze i Nysie. Pomysł unieważnienia aktów z udziałem „przebierańców” musi być w Niemczech odbierany jak najpiękniejsza muzyka – bo jeśli sami Polacy z dobrej i nieprzymuszonej woli wygadują takie rzeczy, to czegoż chcieć więcej?

Wreszcie okazało się, że w sprawę „dążenia” do uzyskania od Niemiec reparacji zaangażował się pan dr Waldemar Gontarski. Pan dr Gontarski uchodzi za wybitnego specjalistę w zakresie prawa międzynarodowego, chociaż z wykształcenia jest... weterynarzem, zaś doktorat uzyskał z nauk politycznych na Wydziale Dziennikarstwa UW. Pod koniec PRL był korespondentem „Rzeczpospolitej” w Moskwie, ale został odwołany, kiedy pojawiły się podejrzenia, że podaje wiadomości nieprawdziwe, to znaczy zmyślone. Tak właśnie wyglądała sprawa ze Zrzeszeniem Prawników Polskich. Pan dr Gontarski podawał się za eksperta tego Stowarzyszenia, ale jego

władze temu energicznie zaprzeczyły. Obecnie jest pracownikiem naukowym w Europejskiej Wyższej Szkole Prawa i Administracji w Warszawie, której „honorowym rektorem” jest pan prof. Jerzy Wiatr, a rektorem – pan Dariusz Czajka, były sędzia, który utracił „nieskazitelną charakter”, zaś wśród profesorów jest m.in. pan generał broni Józef Buczyński i inni.

### ABSURDY PRZED SĄDEM

Krótko mówiąc, w tym momencie pojawiły się podejrzenia, że w sprawę „dążenia” do reparacji włączyły się Stare Kiejkuty – nie wiadomo jeszcze, z jakich pozycji, bo niewykluczone, że z niemieckich – by na wszelki wypadek sprawę doprowadzić do absurdu, tak że ktokolwiek potem chciałby się tym zająć, zostanie uznany za pacjenta.

W tej sytuacji nie pozostało nic innego jak wykryć „nagły wzrost ciepła na czujniku temperatury samolotu” i wygasić sprawę reparacji, w którą pan poseł Mularczyk zdążył się już tak głęboko zaangażować. Toteż obecnie koncentruje się on już tylko na umożliwieniu obywatelom polskim indywidualnego dochodzenia doznanych od Niemiec krzywd przed polskimi sądami. To oczywiście jest możliwe, bo czemu Polskie sądy nie miałyby się zająć takimi sprawami, kiedy mogą zająć się wszystkim – nawet przeprowadzeniem rozgraniczania działek budowlanych na Księżycu, i to nawet w drodze wizji lokalnej?

„NCz!” 46/2017

## OD KOMUNY AŻ DO KLERU – WSZYSCY WYTRESOWANI

Po Marszu Niepodległości w Warszawie w „prasie międzynarodowej” – to znaczy żydowskich gazetach, wydawanych gwoli duraczenia dla mniej wartościowych narodów tubylczych – ukazały się publikacje o 60 tysiącach „nazistów”. Zaprotestowało przeciwko nim Ministerstwo Spraw Zagranicznych Izraela, które do „nazistów” ma chyba specjalnego nosa, skoro potrafi ich rozpoznać po zapachu nawet z odległości kilku tysięcy mil. Wyrazy niesmaku złożył Grzegorz Schetino, podczas gdy pan Rysio z Nowoczesnej swoim zwyczajem zapowiedział donos, podobnie jak pan Jonny Daniels, co to prezentuje się zdumionemu światu jako „dumny Żyd polskiego pochodzenia”. Roman Giertych skrytykował uczestników Marszu za „nacjonalizm”, co w ustach byłego wodza Młodzieży Wszechpolskiej ma niezamierzony akcent komiczny, ale czegoż to ludzie nie robią, pragnąc wejść na Salony, zaś JE abp Stanisław Gądecki i prezes Kaczyński wyrazili przypuszczenie, że okrzyki i hasła uznane za „rasistowskie” były dziełem „prowokatorów”. Wszystko to oczywiście być może, bo prowokacja policyjna jest u nas – podobnie zresztą jak w wielu innych kulturalnych krajach – zjawiskiem legalnym i stosowanym nagminnie. Nie o to jednak chodzi, bo znacznie ważniejsze jest to, że wszystkie wymienione wyżej osoby i środowiska bez najmniejszych zastrzeżeń stanęły na nieubłaganym gruncie politycznej poprawności, akceptując tym samym władzę jakiegoś Sanhedrynu, który uzurpuje sobie prawo dekretowania, co ludziom wolno myśleć, a co zostanie uznane za „myślozbrodnię”. Tego Sanhedrynu oczywiście „nie ma”, podobnie jak WSI czy izraelskiej broni jądrowej – ale w takim razie skąd właściwie wiadomo, co wolno myśleć, a jak już nie wolno?

Rzecz w tym, że Polska, podobnie jak inne kraje członkowskie ONZ, ratyfikowała Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka, i to jeszcze za komuny – ale nie opublikowała ich w „Dzienniku Ustaw”. Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, do którego w latach siedemdziesiątych miałem zaszczyt należeć, domagał się

opublikowania ich w „Dzienniku Ustaw”, żebyśmy mieli dowód, iż stosowane przez ówczesną władzę ograniczenia wolności słowa mają charakter nielegalny, żeby nie powiedzieć: przestępczy. Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych w art. 19 deklaruje prawo każdego człowieka do posiadania własnych poglądów i do swobodnego ich wyrażania, zauważając tylko, że korzystanie z tego prawa wiąże się z pewną odpowiedzialnością, w związku z czym może ono podlegać pewnym ograniczeniom, które są niezbędne w celu poszanowania praw i dobrego imienia innych, ochrony bezpieczeństwa państwowego, porządku publicznego albo zdrowia i moralności publicznej. Ten Pakt jest obowiązującym elementem wewnętrznego prawa polskiego i organy państwowe nie mogą tych ograniczeń interpretować rozszerzająco, bo mają one charakter wyjątków od zasady. Okoliczność, że na przykład panu Danielsowi jakaś opinia wydaje się „rasistowska”, nie ma tu nic do rzeczy, chociaż oczywiście ma on prawo składać tyle donosów, ile dusza zapragnie. Zresztą „rasizm” – cokolwiek by to miało znaczyć – jest poglądem – mniejsza czy słusznym, czy niesłusznym – więc rasiści mają prawo takie poglądy głosić, podobnie jak inni wszystkie inne poglądy. Wolność słowa bowiem obejmuje możliwość głoszenia poglądów niesłusznym – na przykład takich jak zaprezentowany na Marszu Niepodległości pogląd, że „Europa będzie albo biała, albo bezludna”. To wydaje się oczywistą nieprawdą, bo jeśli w Europie zabrakłoby ludzi białej rasy, to taki atrakcyjny kontynent zostałby niezwłocznie zaludniony przez licznych reprezentantów innych ras – bo rasy przecież istnieją, wbrew niesłusznemu pogładowi, głoszonemu przez postępowych mikrocefali, jakoby na świecie istniała tylko „jedna rasa, ludzka rasa”. Ludzki to jest gatunek, w którego obrębie funkcjonują rozmaite rasy, które różnią się od siebie pod wieloma względami, więc niby w imię czego nie można by o takich oczywistych i powszechnie znanych faktach mówić publicznie? W tej sytuacji dobrze byłoby, gdyby nasi Umiłowani Przywódcy się opamiętali i wyemancypowali się spod kurateli Sanhedrynu, którego, jak wiadomo, „nie ma” – bo inaczej wolność słowa zacznie stopniowo zanikać, a dyskurs publiczny – więdnąć z braku autentyczności, gdyż rozmowa polegająca na recytowaniu przez rozmówców dozwolonych mantr traci jakikolwiek



sens.

„NCz!“ 48/2017

## GORCZAKOW, TUSK I „NAZIŚCI”

„Nie wierzę nie zdementowanym wiadomościom” – mawiał książę Aleksander Gorczakow, rosyjski minister spraw zagranicznych za panowania Aleksandra II.

Również za panowania tego cesarza, nazywanego w Rosji „Carem Oswobodzicielem” – bo nie tylko zlikwidował pańszczyznę i uwłaszczył chłopów, ale w dodatku nadał Rosji ustrój sądowy, który uczynił z niej państwo praworządne aż do przesady – w Sankt-Petersburgu, podobnie zresztą jak i w innych stolicach, intryga goniła intrygę, więc i każdą wiadomość należało traktować *cum grano salis*. Toteż książę Gorczakow wierzył tylko w wiadomości zdementowane; jeśli, dajmy na to, Ministerstwo Spraw Zagranicznych energicznie coś zdementowało, to w oczach księcia dopiero wtedy wiadomość mogła być uznana za wiarygodną. Toteż kiedy taki tęgi wirtuoz intrygi jak pan prezes Jarosław Kaczyński w przemówieniu wygłoszonym przy okazji obchodów rocznicy odzyskania niepodległości energicznie zdementował fałszywe pogłoski, jakoby wysunięty przezeń pomysł „dążenia” do uzyskania od Niemiec reparacji wojennych był tylko rodzajem „teatru” obliczonego na emocjonalne rozhuśtywanie naiwniaków, utwierdziłem się w przekonaniu, że tak właśnie musiało być, że pan prezes Jarosław Kaczyński właśnie w tym celu ten pomysł wysunął. Pan prezes w ogóle powiedział kilka interesujących rzeczy, między innymi i to, że już wkrótce zostanie w Warszawie wzniesiony pomnik tragicznie zmarłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego i pozostałych ofiar katastrofy smoleńskiej i że wtedy „poznamy prawdę”. Skąd pan prezes Jarosław Kaczyński wie, że „prawdę” – cokolwiek by to miało znaczyć – poznamy właśnie wtedy, tajemnica to wielka, chyba że pan prezes już wie to, o czym my jeszcze nie wiemy – że na przykład w wielkiej tajemnicy przygotowywana jest do podania do wierzenia jakaś ostateczna „hipoteza” na temat katastrofy smoleńskiej, awansowana do rangi „prawdy”. Wszystko to być może, bo – jak powiada poeta – „na tym świecie pełnym złości nigdy nie dość jest przezorności”, zatem i do tych rewelacji trzeba podchodzić *cum grano salis*. Nawiasem mówiąc, prof. Jurij Czirikow, będąc w wieku 15 lat zesłanym do łagru w okolicy Workuty, w brygadzie jagodników, czyli zbieraczy jagód,

poznał chłopą w typie chłopskiego filozofa, który cesarza Aleksandra II oceniał z szacunkiem, ale krytycznie – i to właśnie za uwolnienie wszystkich chłopów, jak leci. – Chłopi są rozmaici – tłumaczył zgorzonym inteligentom. – Jeden rozumie wolność tak, że nikt mu nie będzie przeszkadzał w prowadzeniu gospodarstwa i w ogóle – i takim wolność trzeba było dać. Ale inny uważa, że wolność to możliwość próżnowania, a jeszcze inny – że to możliwość okradania wszystkich dookoła. I takim wolności car-ojczulek nie powinien dawać, bo z tego tylko Sodoma i Gomora. A on obdarował nią wszystkich, jak leci. Dobry był car, ale też dużo biedy narobił. Ten chłop, skazany, o ile pamiętam, na bezterminowy pobyt w łagrze bez prawa korespondencji (a do kogóż miałyby pisać, kiedy wszyscy członkowie jego rodziny po drodze zdążyli już powymierać?), z pewnością nie znał fraszki Adama Mickiewicza o wolności („Bo wolność jest jak gdyby posiadanie fletu; jeśli weźmie go człowiek muzyki nieświadom, piersi straci i uszy zatruje sąsiadom”), ale przecież rozumował dokładnie tak samo.

#### DEMENTI PREZESA

Wracając do pana prezesa Kaczyńskiego, to nie tylko energicznie zdementował on wiadomość, jakoby „dążenie” do uzyskania od Niemiec reparacji wojennych było rodzajem „teatru”, ale zapowiedział jakieś nie mniej energiczne działania w tym kierunku. Warto zwrócić uwagę, że zapowiedział to tego samego dnia, kiedy na zaproszenie pana prezydenta Andrzeja Dudy do Warszawy przyjechał Donald Tusk, by wziąć udział w obchodach rocznicy odzyskania niepodległości. Obecność Donalda Tuska na tych uroczystościach oznacza, że pan prezydent nie tylko stanął dęba swemu wynalazcy i dobroczyńcy, ale że konsekwentnie pali za sobą mosty. Rzecz w tym, że jednym z priorytetów politycznych pamiętliwego prezesa Kaczyńskiego jest wytarzanie Donalda Tuska w smołę i pierzu – a tymczasem staje on obok prezydenta na honorowej trybunie w Warszawie – stolicy państwa, którego naczelnikiem jest przecież pan prezes Jarosław Kaczyński! Trudno o większą ostentację ze strony pana prezydenta Dudy, który swój zamiar zawetowania ustawy o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa ogłosił po 45-minutowej rozmowie telefonicznej z Naszą Żłotą Panią z Berlina, która

dostarczyła mnóstwa dowodów, że Donald Tusk jest rodzajem jej faworyta, którego ma nadzieję w roku 2020 wystrugać na prezydenta Polski, do której wjedzie na białym koniu.

### PRZYJAŹŃ I USŁUGI

Ale to jeszcze nic w porównaniu z tym, że pan prezydent Duda, emancypując się spod kurateli prezesa Kaczyńskiego, jest skazany na kaptowanie politycznych sojuszników. Stare Kiejkuty z pewnością aż przebierają nogami, żeby zaoferować panu prezydentowi swoją przyjaźń i usługi, ale – jak to z kiejkutami bywa – nie bezinteresownie. Toteż kiedy Donald Tusk pakował kosmetyki przed podróżą do Warszawy, gruchnęła wieść o porozumieniu, jakie pan prezydent Duda zawarł w panem prezesem Kaczyńskim w sprawie parytetów na dobór sędziów do Krajowej Rady Sądownictwa. Prawo i Sprawiedliwość wyznaczy dziewięciu sędziów do KRS, a obóz zdrady i zaprzaństwa – sześciu. Oczywiście Krajowa Rada Sądownictwa dzięki temu zachowa, a nawet umocni swój apolityczny charakter, no a sędziowie desygnowani do KRS, zapewne po złożeniu swoim protektorom stosownych deklaracji, zachowają swoją sławną niezawisłość, niczym Joanna d'Arc niewinność. „Kto chce, ten niechaj wierzy, kto nie chce, niech nie wierzy, nam na tym nie zależy, więc wypijmy jeszcze! Hej, ha kolejkę nalej, hej, ha kielichy wznieśmy, to zrobi doskonale morskim opowieściom!” – śpiewamy w biesiadnej piosence morskiej i kolonialnej. Wspomniane porozumienie dowodzi, że na skutek emancypacji pana prezydenta Dudy, który musi w związku z tym poszukiwać sobie sojuszników, dobra zmiana będzie odtąd realizowana z udziałem Starych Kiejkutów, a co za tym idzie – pod ogólnym i coraz wnikliwszym nadzorem niemieckiej BND i Naszej Złotej Pani. W tej sytuacji opowieści pana prezesa Kaczyńskiego, jakoby „dążenie” do uzyskania przez Polskę od Niemiec reparacji wojennych nie było żadnym „teatrem”, tylko priorytetem politycznym rządu w Warszawie, możemy spokojnie włożyć między bajki, tym bardziej że dzięki ścisłej koordynacji, jaka na tym etapie dziejowym występuje między niemiecką i żydowską polityką historyczną, „prasa międzynarodowa” bije na alarm z powodu „60 tysięcy nazistów”, jacy 11 listopada mieli przedefilować przez Warszawę. Zatem również z tego powodu nawet „dążenie” będzie na dłuższą metę trudne do

uprawiania, bo któż się zgodzi, żeby dobrzy Niemcy futrowali jakimiś  
reparacjami „nazistów”, co to w Polsce właśnie zmartwychpowstali?

*„NCz!” 48/2017*

# TEORIA SPISKOWA POTWIERDZONA, UZUPEŁNIONA I ZAKTUALIZOWANA

Ach, jakże mi przyjemnie, bo jakże ma mi być, kiedy właśnie potwierdza się moja ulubiona teoria spiskowa? Przypomnę, że chodzi o to, iż kiedy po spotkaniu Michała Gorbaczowa z prezydentem Ronaldem Reaganem w Reykjavíku w roku 1986 gruchnęła wieść, że istotnym elementem przyszłego porządku politycznego w Europie, który miałby zastąpić rozsypujący się porządek jałtański, będzie ewakuacja imperium sowieckiego z Europy Środkowej, w wielu krajach tego regionu rozpoczęły się przygotowania do transformacji ustrojowej. Miały one charakter systemowy i prywatny. W ramach przygotowań systemowych dokonało się uwłaszczenie nomenklatury, która poprawiała sobie stan posiadania, rozkradając w sposób zorganizowany państwowy majątek.

Drugim nurtem systemowych przygotowań była selekcja kadrowa w strukturach podziemnych. We współpracy z komunistycznym wywiadem wojskowym „lewica laicka”, czyli dawni stalinowcy, w pierwszym albo drugim pokoleniu, częściowo z semickimi korzeniami, zapewnili sobie dominującą pozycję w strukturach podziemnych i jako „reprezentacja społeczeństwa” podzielili się z funkcjonariuszami reżimu – i to z najtwardszym jego jądrem: władzą nad mniej wartościowym polskim narodem tubylczym. Obok tych dwóch systemowych nurtów pojawił się nurt trzeci – przygotowań prywatnych. Bezpieczniacy na wszelki wypadek postanowili zawczasu przewerbować się na służbę do przyszłych sojuszników Polski – bo wiadomo było, że kiedy sowieci się z Europy Środkowej wycofają, to nastąpi odwrócenie sojuszy. Zatem albo sami się „odwrócili”, albo „zostali odwrócenii” – jak to wyjaśnił Maciejowi Zalewskiemu rezydent CIA w Warszawie: „Oni mieli zostać odwrócenii i zostali odwrócenii. I tak ma być!”. Odwrócenii – to znaczy zamiast pracować dla ZSRR, zaczęli pracować dla CIA lub FBI albo niemieckiej BND lub izraelskiego Mosadu – ale nie dla Polski. Na tej podstawie sformułowałem swoją ulubioną teorię spiskową, według której Polską rotacyjnie rządzą trzy stronnictwa: Ruskie, Pruskie i Amerykańsko-

Żydowskie. Zaczęło się to pod koniec drugiej połowy lat osiemdziesiątych i trwa do dnia dzisiejszego – bo powstałe w tamtych czasach zależności reprodukują się w kolejnych pokoleniach ubeckich dynastii. Mamy bowiem u nas zjawisko dziedziczenia pozycji społecznej, zgodnie z którym dzieci aktorów zostają aktorami, dzieci reżyserów – reżyserami, jak np. „córunia-lesbijka”, dzieci piosenkarzy – piosenkarzami, dzieci sędziów – sędziami, oczywiście niezawistymi, jakże by inaczej, no a dzieci konfidentów – konfidentami, bo to przecież taki sam zawód jak każdy inny.

Powtarzam te rzeczy aż do znudzenia z dwóch powodów. Po pierwsze – *repetitio mater studiorum est*, toteż nigdy dość powtarzania, a po drugie – właśnie złowrogi minister Macierewicz ujawnił informację, która tę moją ulubioną teorię spiskową nie tylko potwierdza, nie tylko ubogaca, ale i na swój sposób aktualizuje. Oto okazało się, że Polacziszka służący Sowieckiemu Sojuzowi, „piczka-zasadniczka”, czyli premier-generał Wojciech Jaruzelski, na polecenie swoich oficerów prowadzących zadbał o utrzymanie wpływów Stronnictwa Ruskiego w naszym nieszczęśliwym kraju również na okres „życia po życiu” sowieckiego imperium w Europie Środkowej. W tym celu utworzył tak zwany złoty fundusz, czyli konspirację w wojsku – podobną do tej, którą we Francji skonstruował generał Ludwik André, wprowadzając w armii system awansowy według tzw. fiszek, czyli karteczek umieszczonych albo w pudle z napisem „Korynt”, albo w pudle z napisem „Kartagina”. Oficerowie z „Koryntu” byli przeznaczani do awansów i wszelkich udogodnień w służbie, podczas gdy oficerowie z „Kartaginy” mogli się z awansami pożegnać i byli skazani na pełnienie w armii stanowisk podrzędnych. Pudła z fiszkami trzymała pod nadzorem kanalia nazwiskiem Narcyz Vadecard, sekretarz Wielkiego Wschodu Francji – przestępczej organizacji nepotystyczno-korupcyjnej, specjalizującej się w skrytym manipulowaniu wielkimi masami ludzi dla osiągnięcia korzyści politycznych, materialnych i ideologicznych w postaci doprowadzania mniej wartościowych narodów europejskich do stanu bezbronności. Na użytek idiotów masony – bo o nich przecież mowa – przedstawiają rozmaite „tajemnice”, „rytuały” i „kabały” – na przykład liczą wszystkie samogłoski w Biblii, potem wyciągają z tego pierwiastek kwadratowy,

od uzyskanej w ten sposób liczby odejmują roczną produkcję parasoli i w ten sposób wychodzi im data, dajmy na to, końca świata. Rozmaici mikrocefale bardzo się tymi rewelacjami nasładzają, dzięki czemu biznes – jak to mawiano w warszawskich sferach kupieckich – „sze krenczy”. Kryterium, jakim masony – to znaczy generał André i jego zwierzchnik, premier Emil Combes, były ksiądz, rodzaj ówczesnego pana Obirka lub Bartosia – kierowały się przy zakwalifikowaniu oficera do „Koryntu” czy Kartaginy”, był jego stosunek do religii. Bo według masonów, wszyscy ludzie będą wprawdzie braćmi, ale wiadomo, że wśród braci jeden jest starszy, a drugi młodszy, toteż jeden musi słuchać drugiego, a jak go słucha, no to w rezultacie „brat brata w d\*\*\* harata” – na czym oczywiście najbardziej korzystają bracia najstarsi, co to nawet w ciemnościach rozpoznają się po zapachu. W „złotym funduszu” stosunek do religii nie był chyba aż taki ważny jak stosunek do Związku Radzieckiego – bo generał Jaruzelski, podobnie jak Mieczysław Moczar, zapewne uważał, że „dla nas, partyjniaków” prawdziwą ojczyzną jest Związek Radziecki – i pewnie dlatego w roku 1969, gdy generał Jaruzelski był ministrem obrony narodowej, w opinii oficera rezerwy, a nawet podchorążego musiała być wzmianka o jego stosunku do Związku Radzieckiego. Oficerowie wciągnięci na listę „złotego funduszu” byli promowani przy wszystkich awansach, kierowani na zagraniczne szkolenia i tak dalej. W ten sposób najtwardsze jądro komuny uwiło sobie gniazdko – rodzaj niszy ekologicznej również w NATO – w każdej chwili gotowe do aktywizacji, gdyby tylko z Moskwy padły stosowne hasła. Stronnictwo Pruskie ten stan rzeczy tolerowało, po pierwsze – ze względu na strategiczne partnerstwo niemiecko-rosyjskie, teraz po moskiewskiej wizycie prezydenta Steinmeiera odnowione i zacieśnione, a po drugie – ze względu na wyznawaną przez Niemcy po roku 1990 doktrynę „europeizacji Europy”, która polega na delikatnym, ale cierpliwym i metodycznym wypychaniu USA z polityki europejskiej, zwłaszcza z funkcji jej kierownika.

No a teraz złowrogi minister Macierewicz ujawnia, że generałowie, co to padli ofiarą przeprowadzonej przez niego kuracji przeczyszczającej w naszej niezwykłej armii, byli co do jednego związani właśnie ze „złotym funduszem”. No to dlaczego ja mam się



nie cieszyć, skoro – po pierwsze – moja ulubiona teoria spiskowa nie tylko została potwierdzona, ale w dodatku uzupełniona i zaktualizowana, a po drugie – że kolejna komunistyczna konspiracja w naszej niezwyciężonej armii została przynajmniej częściowo nadwerężona?

„NCz!” 49/2017

## „MACKIEWICZÓWKA” W CZARNYM BORZE

Nie ulega wątpliwości, że jednym z najwybitniejszych pisarzy polskich XX wieku był Józef Mackiewicz. Gdyby nie to, że w wieku XX żył jeszcze Henryk Sienkiewicz, to Józef Mackiewicz mógłby ubiegać się nawet o palmę pierwszeństwa, ale i tak umieszczam go w pierwszej trójce albo czwórce – obok Stefana Żeromskiego, Juliusza Kadena-Bandrowskiego i Stanisława Rembeka.

Tak się składa, że zarówno Stanisław Rembek, jak i Józef Mackiewicz są w Polsce stosunkowo mało znani, a to za sprawą stalinowskich inżynierów naszych dusz, którzy w kolejnych pokoleniach swoich dynastii, 65 lat po śmierci Stalina nadal usiłują decydować o literackich i artystycznych hierarchiach. Oto kiedy za sprawą Zbigniewa Zarywskiego i Jana Michała Małka doszło do ustanowienia Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, żydowska gazeta dla Polaków, kierowana przez Adama Michnika, potomka takiej stalinowskiej dynastii, poświęciła temu wydarzeniu aż dwie kolumny druku, w których autor publikacji, Artur Domosławski, nie mógł ochłonąć ze zgorznięcia, że na patrona Nagrody wybrano akurat takiego „hitlerowskiego kolaboranta”. Najwyraźniej żydokomuna w kolejnych pokoleniach dziedziczy nienawiść do Polaków, którzy nie zapisali się do któregoś z ichnich chederów. Bo Józef Mackiewicz pytany o narodowość odpowiadał, że jest „antykomunistą”, a to dla „lewicy laickiej”, czyli dawnych (?) stalinowców, co to nawet po przepoczwazzeniu się na demokrację serca mają po lewej stronie, uchodzi za największą zbrodnię. Toteż żydowska gazeta dla Polaków pisała o Mackiewiczu jako antykomuniście „zoologicznym”. Ciekawe, że nigdy takim przymiotnikiem nie opatrzyła żadnego komunisty, choćby miał ręce unurzane we krwi polskich patriotów aż po łokcie. Tacy to z nich „humanisci”, co to rozpoznają się po zapachu.

Po czym poznać wielkiego pisarza? Między innymi po tym, że przy pomocy bardzo oszczędnych środków potrafi bezbłędnie wprowadzić czytelnika w nastrój. I Józef Mackiewicz potrafił to znakomicie, a najlepszą ilustracją tej umiejętności jest fragment powieści „Droga

donikąd”: „Dawno już krótkie słońce zimowe przesunęło się znad lasów południowych nad lasy zachodnie i zaczęło dotykać co wyższych wierzchołków sosen; koń chrupał owies, prosiaki dwa razy wyżarły swoją dzienną porcję; wrony leniwie i wysoko, zwiastując mróz, ciągnęły stadami, obsiadając szczyty drzew; dymy z chałup poszły prościutko w górę; w dalekich więzieniach zapalono nieosłonięte żarówki; zając kicał z gęstwiny do skraju lasu, szykując się do żeru na runi polnej; błysnęła pierwsza gwiazda na niebie, pierwsze reflektory samochodów na ziemi; skrzypnęły studzienne żurawie po wsiach. Najkrótszy dzień zegnał krainę narodów Związku Radzieckiego i oddalał się na kapitalistyczny zachód”. Czyż ten lakoniczny opis wieczoru w grudniu 1940 roku na Wileńszczyźnie nie wprowadza czytelnika w nastrój grozy i beznadziejności przy pomocy dwóch wtrętów o zapaleniu świateł w „dalekich więzieniach” i „pierwszych reflektorach samochodów”, którymi na nocne łowy wyruszało NKWD? Nic dziwnego, że obdarowujące się nawzajem różnymi tytułami i orderami, poubierane w garnitury, mówiące językami i rozjeżdżające się po świecie potomstwo semickich czekistów szóstym zmysłem to wyczuwa i nie daruje nawet za grobem.

Dlatego z tym większym zainteresowaniem trzeba przyjąć inicjatywę urzędnika w podwileńskiej miejscowości Czarny Bór, gdzie przy ulicy Białej Waki 5 stoi dom, w którym w okresie okupacji mieszkał Józef Mackiewicz, „Mackiewiczówki”. Realizację tego pomysłu podjęła Fundacja Wileńszczyzna, która zamierza przeznaczyć tę nieruchomość na Dom Pracy Twórczej im. Józefa Mackiewicza. Prace trzeba z jednej strony zacząć od uporządkowania terenu i od remontu samego domu, a z drugiej – od skupienia wokół „Mackiewiczówki” środowiska ludzi, dla których tradycja Wielkiego Księstwa Litewskiego nie jest tylko historyczną skamieliną, ale żywym i rozwojowym organizmem. Wymaga to oczywiście zainteresowania również ze strony rozsianych po świecie, bo również obcojęzycznych miłośników twórczości Józefa Mackiewicza – i to zainteresowania takiego, które przełożyłoby się na materialne wsparcie tej inicjatywy.

Fundacja Wileńszczyzna ma siedzibę w Warszawie, ul. Kanonia 20/22, lok. 16, 02-278 Warszawa, tel. (48) 509-538-764, adres e-mail: fundacja.wilenszczyzna@gmail.com

„NCz!” 49/2017

## NAZIŚCI I SZABESGOJE

– Ajajajajajajajaj! Panie doktor, czy pan mógłby dać mnie coś na sen i na apetyt?

– Panie Piperman, po co panu coś na sen, a specjalnie na apetyt? Pan masz brzuch jak stodoła, po co panu jeszcze więcej apetytu? To już prędzej pan powinienesz zastosować sobie jaką dietę, nie powiem, żeby od razu oświe..., to znaczy tfu! – oczywiście auschwitzowską, tylko taką łagodniejszą, ale zawsze. O – na przykład, żeby pan ogłosił głodówkę w przerwach między posiłkami na rzecz demokracji albo praworządności, to i brzuch by panu spadł, i redaktory by o panu pisały, to z samego czytania by pan usypiał, jak dzieciątko Lenin.

– Ten brzuch to jeszcze z dawnych czasów, jak ja byłem w Ministerstwie Bezpieczeństwa. Ja nie muszę ogłaszać głodówki, ja i bez tego jestem męczennik reżymu, bo ony obcięły mi emeryturę, te paskudniki. Pan doktor słyszał kiedy coś takiego? Nawet generały już nie wiedzą, jak mają żyć, a jak nawet generały tego nie wiedzą, to co mają robić takie biedne Żydki jak na ten przykład ja? Pan mnie da coś na sen i na apetyt, panie doktorze, ja panu bardzo proszę! Czy pan chce, żebym ja nie spał, czy pan chce, żebym ja naprawdę głodował?

– Ja mogę panu dać, ale powiedz pan, panie Piperman, dlaczego właściwie pan nie możesz spać? Dlaczego pan nie masz apetytu? Pan masz jakieś zmartwienie, jakieś sprawy rodzinne?

– Ja panu doktoru jak na spowiedzi. Ja nie mam żadne sprawy rodzinne, to znaczy mam, ale to nie dlatego. Ja mam córkę, ona wyszła za mego zięcia, on też z porządnej, resortowej rodziny, on jest w Abewu, ale prywatnie to bardzo porządny człowiek i normalnie to ja bym spał i miał apetytu. Ale kiedy rabin Michael Schudrich poszedł do tego Kaczyńskiego na skargę, że tu, w naszej Warszawie, panoszą się nazisty, i to aż 60 tysięcy, to jak ja mogę spać? Jak ja mogę jeść? Ja nie mogę zmrużyć oka, ja nie mogę nic wziąć do ust. No to do czego to dojdzie, niech pan doktor sam powie?

– Aj, panie Piperman, jak ja bym panu nie znał, to ja bym pomyślał, że pan jesteś dziecko. To pan nie wiesz, że te nazisty to dlatego, bo

Soros wyłożył 18 miliardów dolarów? To nie tylko rabin Schudrich, nie tylko redaktory, ale i głupie goje też chcą się podłączyć? A jak ony chcą się podłączyć, to dlaczego ony nie mogą wykryć w Warszawie 60 tysięcy nazistów? I pan mnie mówisz, że pan nie możesz spać; pan mnie mówisz, że pan nie masz apetytu? Panie Piperman, ja panu nie poznaję!

– **Pan masz *Recht*, panie doktorze, ja to wszystko wiem, ale co ja mam zrobić, że nawet jak ja wszystko wiem, ale jak ja słyszę o te nazisty, to ja nie mogę zasnąć, ja nie mogę apetytu? Pan daj mnie coś na sen, pan daj mnie coś na apetytu, ja panu bardzo proszę!**

– Panie Piperman, ja pana nie dam na sen – i to nawet nie dlatego, że czekisty nigdy nie śpią, nawet takie stare jak pan, ani nie dam pana na apetytu. Pan może nie wie, że te wszystkie specyfiki na sny i na apetyty, co to robią te fabryki farmaceutyczne, to jeden *Scheiss*. Ony tam dają talk i cukier-puder, a potem puszczaają reklamy, że ta pigułka na sen, a tamta znowuż na rozwolnienie, co to działa, jak natura chciała – i w ten sposób te wszystkie telewizje, te aktory, te celebryty jedzą im z ręki, a głupie goje kupują i kupują. To niby takie międzynarodowe koncerty, ale jakie tam ony międzynarodowe, kiedy w Jerozolimie siedzi nad liczydłami taki jeden stary Żyd i kręczy tym całym interesem? Jak pan nie możesz zasnąć, to walnij pan lufę, panie Piperman, a potem zakąś pan gęsim pipkiem, to będziesz miał za jednym posiedzeniem i sen, i apetytu. To jest naturalna medycyna.

– **Panie doktorze, ja zawsze miałem do pana zaufanie i ja wiem, że nie ma jak naturalna medycyna, ale powiedz pan, co ja mam robić, jak mnie się przypomną te nazisty? Ony teraz mnie się przypominają co godzina, to powiedz pan sam, czy ja co godzina mogę walić lufę? Ja już po południu byłbym w stanie nietrzeźwości, ja bym się rozpił na amen!**

– Nie ma róży bez kolców, panie Piperman; albo chcesz pan spać i apetytu, albo chcesz pan zachować cnotę. Ale po co panu cnota, kiedy panu potrzeba dobrze zjeść i się wyspać? To ja panu coś powiem, bo widzę, że pan z tego zmartwienia nic nie wiesz – a jak pan się dowiesz, to będziesz pan jadł i spał, i nie przejmował się żadnymi nazistami, bo przecież pan wie, że żadnych nazistów tu nie ma. Pan nie wiesz, że

wicepremier Gliński, wicepremier Morawiecki, wiceminister Dziędziczak i wicemarszałek Bielan byli na szabasowej wieczery u pana Jonny Danielsa, co to przy okazji tych nazistów złożył do prokuratury donos jako „dumny Żyd polskiego pochodzenia”? Jak ony chodzą do pana Danielsa na szabas, to co się pan martwisz? Już tam pan Daniels na darmo ich na ten szabas nie zaprosił; ony teraz będą mu się odwdzięczały, żeby on tylko na nich nie skarżył, i ony zrobią wszystko, co on im każe, a głupim gojom będą tłumaczyły, że to jest właśnie dobra zmiana. Pan jedz na zdrowie, panie Piperman, tylko pamiętaj pan o głodówce między posiłkami, no i spij pan spokojnie, bo żadnych nazistów tu nie ma, a jak nawet gdzieś tam przemaszerują, to tylko takie, co my im każemy.

**- Panie doktorze, ja pana bardzo dziękuję. Nie ma jak posłuchać mądrego człowieka, co to i oświeci i uspokoi. Ja będę pamiętał o tę głodówkę i ja napiszę list do „Gazety Wyborczej”, że to przeciwko nazistom, za demokracją i praworządnością. Ony teraz tam drukują takie instrukcje dla konfidentów, gdzie mają iść, co wykrzykiwać, za czym i przeciwko czemu manifestować, to myślę, że taki list starego weterana walki o wolność i demokrację redaktoru Michniku się przyda i nie będą musiały tych listów same wymyślać. A giten cześć!**

*„NCz!” 51-52/2017*

# MASZYNA PROFESORA ZYBERTOWICZA

Wraz z nadejściem Nowego Roku rozpoczęła się nowa era w stosunkach naszego nieszczęśliwego kraju z Unią Europejską – bo tak przyjęto nazywać zgraję darmozjadów, która dla lepszego zakamuflowania IV Rzeszy Niemieckiej ma przedstawiać „stany zjednoczone Europy”. Ta zgraja dzieli się na rozmaite zespoły, które odgrywają wyznaczone role. Parlament Europejski parluje, to znaczy posłowie, podzieleni na polityczne gangi, wygłaszają gniewne dwuminutowe przemówienia i uchwalają rezolucje – jak nie przeciwko trzęsieniom ziemi, to przeciwko lodowcom – i tak sobie żyją. Z kolei Komisja Europejska, na której czele Nasza Złota Pani postawiła dwóch niemieckich owczarków: Jana Klaudiusza Junckera i Franciszka Timmermansa, bombarduje mniej wartościowe tubylcze bantustany tak zwanymi dyrektywami, to znaczy projektami rozmaitych ustaw i rozporządzeń, tłumaczonych następnie przez lokalnych funkcjonariuszy swoimi słowami – i tak dalej. Choć Polska zasadniczo się słucha i na przykład ustawa numer 1066, którą reprezentujący obóz zdrady i zaprzaństwa prezydent Bronisław Komorowski podpisał 24 stycznia 2014 roku, obowiązuje do dnia dzisiejszego, chociaż nasz nieszczęśliwy kraj wchodzi już w trzeci rok „dobrej zmiany” – to jednak sam fakt, że liderem politycznej sceny jest ekspozytura Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego, a nie Stronnictwa Pruskiego spowodował, że już w styczniu 2016 roku, kiedy to rząd pani Beaty Szydło jeszcze nie zdążył nic zrobić, Komisja Europejska wszczęła wobec naszego i tak już przecież wystarczająco nieszczęśliwego kraju bezprecedensową procedurę badania stanu demokracji i praworządności. Presji zewnętrznej towarzyszy mobilizacja tubylczych folksdojczów, którzy zostali zwerbowani zwłaszcza w latach osiemdziesiątych, kiedy to niemiecka STASI uzyskała od Sowietarzy nieograniczone możliwości werbowania agentury. Sądząc po zasięgu demonstracji w obronie demokracji i praworządności, nawerbowowała ich, ile się tylko dało, a przecież rekrutacja nie ustała wraz z nadejściem sławnej transformacji ustrojowej, tylko się nasiliła, tym



bardziej że i spora część Starych Kiejkutów w ramach budowania sobie polisy ubezpieczeniowej przeszła na służbę w BND, ciągnąc za sobą swoją agenturę. Ponieważ felonia pana prezydenta Dudy, który po 45-minutowej rozmowie telefonicznej z Naszą Żłotą Panią pokazał rogi swemu wynalazcy, czyli prezesowi Kaczyńskiemu, osłabiła nieco polityczną pozycję Naczelnika Naszego Państwa, ten ostatni nie tylko postanowił schronić się pod żydowskim parasolem ochronnym, który najwyraźniej obiecał rozpiąć nad nim nasz nowy przyjaciel pan Jonny Daniels, ale również „wyjaśnić nieporozumienia” z Unią Europejską. To ambitne zadanie ma wykonać pan Mateusz Morawiecki, który właśnie rozpoczyna dyplomatyczną ofensywę. Problem i zarazem trudność tego zadania polega na tym, że o żadnych „nieporozumieniach” nie może tu być mowy. Przeciwnie – wszystko jest zrozumiałe aż do bólu. Niemcy nie chcą pogodzić się z utratą wpływów politycznych w Polsce i całej Europie Środkowej tylko dlatego, że prezydent Obama zresetował swój poprzedni *reset* w stosunkach z Rosją, a dodatkowym impulsem mobilizującym ich do czynu jest buńczuczna deklaracja prezydenta Donalda Trumpa z 6 lipca, że projekt Trójmorza bardzo mu się podoba i że USA będą go „wspierały”. Rzecz w tym, że ewentualna realizacja tego projektu skomplikowałaby co najmniej trzy niemieckie interesy: po pierwsze – podważyłaby niemiecką hegemonię w Europie, po drugie – zablokowałaby budowę IV Rzeszy i wreszcie umożliwiłaby krajom Europy Środkowej strząśnięcie z siebie pęt nałożonych przez niemiecki projekt *Mitteleuropa* z roku 1915, forsowany od 1 maja 2004 roku, kiedy to osiem krajów tego regionu zostało przyłączonych do Unii Europejskiej. Nie można „wyjaśnić nieporozumień”, których tak naprawdę nie ma, więc misja premiera Mateusza Morawieckiego tak naprawdę może polegać tylko na ostrożnym i stopniowym wciąganiu na maszt białej flagi, którą na użytek wyznawców pana prezesa Jarosława Kaczyńskiego trzeba będzie przyozdabiać różnymi kolorowymi wstążeczkami, żeby ta pstrokaczna przysłoniła bezwstydną białość – niezależnie od innych kosztów, których realizacja już się rozpoczęła w postaci m.in. przekazania przez pana wicepremiera Glińskiego 100 mln złotych na renowację żydowskiego cmentarza przy ulicy Okopowej w Warszawie.

To wszystko są rzeczy znane i w ogóle bym o nich nie wspominał, gdyby nie osobliwa wypowiedź pana prof. Zybortowicza o konieczności zbudowania Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego, bez której „dobra zmiana” może się nawet „wykoleić”. Ta maszyna miałaby „neutralizować kłamstwa na temat Polski”. Problem nie polega nawet na tym, że takiej maszyny nie ma. Przeciwnie – pan prezes Jacek Kurski zbudował całkiem wydajną Maszynę Bezpieczeństwa Narracyjnego, która prezentuje znakomity wizerunek naszego nieszczęśliwego kraju. Problem polega na tym – na co zwrócił uwagę pan prof. Zybortowicz – że „informacje o sukcesach w polityce wewnętrznej nie przełamują zalewu fałszywych informacji na temat sytuacji w Polsce”. Słowem: jeśli nawet rządowa telewizja codziennie pokazywałaby spust surówki w elektrowni Kozienice z premierem Morawieckim na pierwszym planie, to taka wydajność nie wystarczy. Najwyraźniej „dobra zmiana” potrzebuje Maszyny O Większej Mocy, bo w przeciwnym razie się nam wykolei.

Cóż począć w tej sytuacji? Pewnej wskazówki dostarcza spostrzeżenie Stefana Kisielewskiego, że nikt tak nie potrafi naprawić zegarka jak ten, kto go zepsuł. Powiedzmy sobie zatem otwarcie i szczerze – któż to „zalewa” świat „fałszywymi informacjami na temat sytuacji w Polsce”? Nie ulega wątpliwości, że znaczna część, jeśli nie zdecydowana większość tych „fałszywych informacji” pochodzi od żydowskich ośrodków propagandowych, które w dodatku na obecnym etapie intensywnie kolaborują z nazis... – to znaczy *pardon*: oczywiście nie z żadnymi „nazistami”, bo dziś prawdziwych nazistów już nie ma – tylko z dobrymi Niemcami, którzy nie spoczną, dopóki nie przywrócą demokracji i praworządności w naszym nieszczęśliwym kraju. Jak wiadomo, stary finansowy grandziarz wyłożył ostatnio na te rzeczy 18 miliardów dolarów, więc już choćby na tej podstawie można z grubsza oszacować wydajność i moc tej Maszyny Narracyjnej. Zatem Maszyna O Wielkiej Mocy jest, problem polega tylko na tym, że nie pracuje ona dla „dobrej zmiany”, tylko przeciwko niej. Ale starożytni Rzymianie, którzy każde spostrzeżenie zaraz ubierali w postać pełnej mądrości sentencji, mawiali, że nie ma takiej bramy, której nie przeszedłby osioł obładowany złotem. Jeśli tedy pan prezes Kaczyński chciałby wprzęgnąć tę Maszynę O Wielkiej Mocy w służbę „dobrej zmiany”, to

musiałby przelicytować starego grandziarza. Akurat Senat USA przyjął Akt S.447, który może doprowadzić do wyszlamowania Polski nie na 18, tylko na 65 miliardów dolarów. Czyżby pan prof. Zybertowicz to właśnie chciał nam powiedzieć?

„NCz!” 3-4/2018

## EPILOG OPERACJI „MENORA”

Młyny sprawiedliwości miały powoli, ale przecież miały, toteż zawsze na kimś się skrupi. Z niemałym tedy zaskoczeniem tuż przed Bożym Narodzeniem odebrałem – tym razem nie tak zwaną powiestkę, jak Rosjanie nazywają sądowe wezwania, tylko dwa pisma z prokuratury, gwoli oszczędności wysłane w jednej kopercie, bo „dobra zmiana” spowodowała wprawdzie niezwykle obfity dopływ pieniędzy do budżetu, ale – jak powiadają wymowni Francuzi – *l'appétit vient en mangeant*, co się wyklada, że apetyt rośnie w miarę jedzenia, toteż nie ma takich pieniędzy, których partia i rząd nie potrafiłyby wydać, a więc skoro pod koniec roku tu i ówdzie pieniędzy brakuje, to trzeba oszczędzać chociaż na kopertach.

Jedno pismo, opatrzone datą 21 grudnia 2017 roku, było „Postanowieniem o podjęciu zawieszzonego dochodzenia” wydanym przez panią Małgorzatę Nowak, prokuratora z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Śródmieście. W uzasadnieniu tego postanowienia pani prokurator twierdziła, jakoby „zaistniały przesłanki” do podjęcia zawieszzonego postępowania. Jakie – tego już pani prokurator nie zdradziła, jednak wszystkiego można się było domyślić z drugiego pisma opatrzonego tą samą datą, ale zatytułowanego: „Postanowienie o umorzeniu dochodzenia”. Ta sama pani prokurator Małgorzata Nowak postanowiła umorzyć dochodzenie w sprawie pomówienia niżej podpisanego o bycie tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Postanowienie o umorzeniu dochodzenia zostało wydane „z uwagi na niewykrycie sprawcy czynu”.

### OPERACJA „MENORA”

Z pewnym opóźnieniem, w roku bodajże 2014, dowiedziałem się że w roku 2012 Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego przeprowadziła kombinację operacyjną pod kryptonimem „Menora”. Chodziło o to, że trzech antysemitników – prof. Jerzy Robert Nowak, Waldemar Łysiak i ja – planowało przeprowadzenie jakiejś okropności w rocznicę powstania w getcie warszawskim. Było to coś tak okropnego, że sami sprawcy utrzymywali wszystkie okoliczności w tajemnicy nawet przed sobą – ale przed Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego nic się nie ukryje, toteż dzięki energicznemu przeciwdziałaniu w ramach operacji

„Menora” do żadnych okropności nie doszło i – jak przypuszczam – zasłużeni przy rozpracowywaniu tej sprawy funkcjonariusze podzielili się po bratersku pieniędzmi w ramach premii za dobre sprawowanie. Ale nagroda to jedna rzecz, a działania operacyjne to rzecz druga, toteż – podobnie zresztą jak za tak zwanej pierwszej komuny, kiedy to SB również prowadziła przeciwko mnie „sprawy operacyjnego rozpracowania” pod kryptonimami „SAM” i „STEN” – spotykały mnie rozmaite przygody, którym w pierwszym odruchu skłonny byłem przypisywać pochodzenie naturalne. Jedną z takich przygód było wpuszczenie do sieci za pośrednictwem holenderskiego serwera PicturePush sfalszowanego dokumentu, którego treścią było moje rzekome zobowiązanie do tajnej współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa. Dokument opatrzony był różnymi pieczęciami, co wskazywałoby na to, że fałszerz albo był kiedyś funkcjonariuszem MO lub SB, który zachował sobie jakieś pamiątki z dawnych czasów, albo został w te pieczętki wyposażony przez swego oficera prowadzącego, który, chociaż teraz służył demokracji i praworządności, to przecież też to i owo zachował sobie na pamiątkę z czasów, kiedy wysługiwał się zdrajcom i zaprzańcom. Nietrudno było domyślić się intencji tego fałszerstwa – chodziło o zdyskredytowanie mnie jako publicyisty, który w dodatku opowiadał się za przeprowadzeniem lustracji. Oczywiście natychmiast skontaktowałem się z lubelskim Oddziałem IPN, bo fałszywka opatrzona była również pieczęciami tego Oddziału, skąd uzyskałem potwierdzenie, że dokument wpuszczony do sieci przez osobę ukrywającą się pod *nickiem* {sapere aude} został sfalszowany i że lubelski Oddział IPN skierował do prokuratury zawiadomienie o przestępstwie. Ja jednak musiałem działać w ramach oskarżenia prywatnego, a w tym celu musiałem odnaleźć {sapere aude}, którego jedynym śladem mógł być w tej sytuacji komputer. Toteż niezwłocznie skontaktowałem się telefonicznie z administratorem holenderskiego serwera PicturePush, od którego uzyskałem informację, że znają oni IP komputera, z którego fałszywka wyszła do sieci, ale tę informację mogą przekazać tylko prokuraturze lub policji, a nie mnie. Nie miałem tedy innego wyjścia jak przekazać te wszystkie informacje policji i czekać na rozwój wypadków.

MOZÓŁ, CZYLI CUNCTANDO REM RESTITUERE

Mijały miesiące, ale nic się nie działo – poza tym, że po mniej więcej roku zostałem przesłuchany ja na okoliczność spraw doskonale policji znanych z mojego zawiadomienia. W trakcie tego przesłuchania usiłowałem dowiedzieć się, czy ktoś skontaktował się z administratorem holenderskiego serwera, ale zostałem pouczony, żebym nie wtykał nosa w nie swoje sprawy, bo „prowadzone są czynności”. Muszę ze wstydem przyznać, że wtedy myślałem, iż to wszystko naprawdę, że policja rzeczywiście próbuje po nitce dotrzeć do kłębka, a jeśli nie chce się ze mną podzielić wiadomościami o tym, co właściwie robi, to ze względu na sławną „tajemnicę śledztwa”. Dopiero teraz z uzasadnienia postanowienia prokuratury dowiedziałem się, że nie tylko ja zostałem w tej sprawie przesłuchany, ale również inne osoby. Dzięki temu wyjaśniło się, że jedną z osób, które dość aktywnie fałszywkę kolportowały w sieci, był niejaki {robin}, korzystający z adresu e-mail **pomorze71@wp.pl** i komputera o numerze IP 195.69.80.7, a przy zakładaniu adresu e-mail podane zostało nazwisko Jacek Mohr. W dalszym jednak ciągu nie było wiadomo, kto był autorem fałszerstwa. Jak wynika z uzasadnienia postanowienia o umorzeniu dochodzenia, żeby uzyskać informację od administratora z Holandii, trzeba było uciec się do tak zwanej pomocy prawnej. Z tego właśnie powodu postępowanie zostało zawieszona aż do 21 grudnia 2017 roku, kiedy to pani prokurator Małgorzata Nowak dopatrzyła się „przesłanek” uzasadniających jego odwieszenie, by je następnie umorzyć. Ta „przesłanką” okazał się fakt, że do 21 grudnia 2017 roku w drodze pomocy prawnej nie uzyskano oczekiwanych informacji. Wyjaśniło się też dlaczego. Otóż takie informacje przechowywane są tylko przez 12 miesięcy. Zatem wystarczy schronić się za murami „czynności”, by 12 miesięcy minęło i potem już żadna siła nie będzie w stanie zidentyfikować sprawcy fałszerstwa.

#### STĄD DLA ŻUKA JEST NAUKA

Na to postanowienie mogłem się oczywiście zalić do niezawisłego sądu, ale wobec pierwotnej i obiektywnej niemożności ustalenia sprawcy, który w dodatku sam się nie zgłosił, takie żale byłyby „daremne i próżne” – jak zauważył poeta. Nie tylko daremne i próżne, ale w dodatku wystawiające autorowi takiego zażalenia świadectwo kompletnego zidiocenia, że niby „widzi, że most – i jedzie”. Rzecz

bowiem w tym, że uzasadnienie postanowienia prokuratury ostatecznie przekonało mnie, że {sapere aude} był konfidentem wykonującym zadanie operacyjne w ramach operacji „Menora” i jako taki chroniony był przed odpowiedzialnością przez organy ścigania, które w tym celu stworzyły pozory biurokratycznej inercji. Dedykuję to spostrzeżenie pani Anie Nehrebeckiej, która przepytywana przez dziennikarza lamentuje nad zmarnowanymi dary, jakie otrzymaliśmy w 1989 roku od generała Czesława Kiszczaka – bo chyba od niego, nieprawdaż? Wśród tych darów było niezawisłe sądownictwo, które obecnie, zdaniem pani Nehrebeckiej, zostało „zdeństowane”. Ciekawe, od kiedy ta „deństacja” się zaczęła – czy od momentu, gdy koalicja PO-PSL wybrała „nadliczbowych” sędziów do Trybunału Konstytucyjnego przy milczącej aprobacie pana prezesa Andrzeja Rzeplińskiego, który nie mógł przecież nie zdawać sobie sprawy, w jakim trybie tych sędziów wybrano i w jakim celu – czy też kiedy PiS trochę później zrobiło to samo – co wywołało pryncypialną krytykę ze strony pana prezesa Rzeplińskiego, za którym, jak za panią matką, zaczęli te krytyczne opinie powtarzać inni, między innymi aktorzy, zawodowo przyzwyczajeni do powtarzania tekstów wymyślonych przez kogoś innego. Bo otrzymany w roku 1989 od generała Czesława Kiszczaka dar w postaci nieposzlakowanego sądownictwa pozostaje chyba poza wszelkim podejrzeniem, nieprawdaż?

„NCz!” 3-4/2018

# MILIONY MUCH NIE MOGĄ SIĘ MYLIĆ!

Zdurniami zawsze jest mnóstwo problemów, ale ponieważ zgodnie z zasadą myślenia pozytywnego, nie ma rzeczy absolutnie złych – no, może z wyjątkiem wybitnego przywódcy socjalistycznego Adolfa Hitlera, bo na przykład inny wybitny przywódca socjalistyczny Józef Stalin miał „poczucie humoru”, co zauważył nie byle kto, tylko sam Winston Churchill, co prawda dopiero wtedy, gdy zaczął wojować z Hitlerem – więc i durnie też mają swoje zalety, a właściwie jedną.

Są mianowicie szczerzy – i to nawet nie ze względu na jakieś „umiłowanie prawdy”, tylko dlatego, że jako durnie właśnie nie zdają sobie sprawy z sensu ich własnych deklaracji. Oto zażywający wśród mikrocefali, stanowiących trzon środowiska „Gazety Wyborczej”, reputacji tęgiej głowy pan red. Jacek Żakowski ofuknął był niedawno piosenkarza Kazika Staszewskiego za to, że tamten w wywiadzie dla dziennika „Dziennik” powiedział, że nie czuje, by jego wolność była zagrożona, by zagrożona była demokracja ani podstawowe swobody. Red. Żakowski nazwał jego deklarację „ćwierćinteligentkim paplaniem” i retorycznie zapytał, skąd „Kazik” może takie rzeczy wiedzieć, skoro deklaruje, że ani nie ogląda telewizji, ani nie czyta gazet? Najwyraźniej pan red. Żakowski nie zrozumiał, co właściwie powiedział „Kazik” Staszewski. Powiedział on przecież, że „nie czuje”, by jego wolność była zagrożona i tak dalej. Opowiadał o swoich **odczuciach**, a do tego nie trzeba wcale oglądać telewizji ani czytać gazet, tylko rozebrać sobie z uwagą własne reakcje. Ale zarzut braku zrozumienia sensu deklaracji „Kazika” Staszewskiego to zaledwie przedsiónek do doskonałej próżni w głowie pana red. Żakowskiego. Z jego pełnej zgorznięcia reakcji wynika, że wiedzę o świecie czerpie z telewizji i gazet. To nie byłoby nawet dyskwalifikujące, bo telewizja i gazety są jednym ze źródeł wiedzy o świecie – ale żeby z telewizji czerpać również wiedzę o własnych odczuciach i o tym, co się myśli? Deklaracja red. Żakowskiego potwierdza podejrzenia, że mikrocefale, nawet takiej rangi jak w przypadku red. Żakowskiego, nie czują ani nie myślą samodzielnie. Wreszcie nawet gdy chodzi o wiedzę o świecie, to



nie trzeba specjalnej przenikliwości, by zauważyć, że obraz świata prezentowany w telewizji rządowej przez panią red. Danutę Holecką jest zupełnie inny od obrazu świata prezentowanego w telewizji nierządnej przez panią red. Justynę Pochanke. Podobnie całkiem inny obraz świata wyłania się z łamów „Gazety Polskiej”, a inny – z łamów „Gazety Wyborczej”. Który jest prawdziwy? Odpowiedź na to pytanie zależy od sądu *a priori*. Według Immanuela Kanta, takiego sądu nie można wyprowadzić z żadnych istniejących przesłanek, tylko trzeba przyjąć bez dowodu, jako założenie. Kant był filozofem i docentem, więc swoje, nawet banalne spostrzeżenia lubił ubierać w pompatyczne formy, bo ludzie mniej ambitni takie sądy *a priori* nazywaliby zwyczajnie wiarą. Z deklaracji pana red. Żakowskiego wynika, że obdarza on zaufaniem raczej przekaz płynący z telewizji nierządnej od pani red. Justyny Pochanke, no i z „Gazety Wyborczej”, w której biega nawet za proroka mniejszego, a w przekaz telewizji rządowej nie wierzy. Dlaczego pan red. Żakowski wierzy telewizji nierządnej, a rządowej nie wierzy? Na to może składać się wiele zagadkowych przyczyn, wśród których chciałbym wyeksponować zwłaszcza jedną. Otóż plagą naszych czasów są półinteligenci, to znaczy osoby inteligentne i spostrzegawcze na tyle, by zauważyć, że nie są specjalnie mądre. Takie spostrzeżenie przynosiłoby im nawet zaszczyt, gdyby nie to, że zamiast potraktować je jako zachętę i inspirację do kształcenia, starają się ten nieprzyjemny fakt za wszelką cenę ukryć, niczym Pani, która zabiła Pana: „Ach pójdę aż do piekła, byleby moją zbrodnię wieczysta noc powlekła”. A w jaki sposób najłatwiej taki wstydlivy zakątek ukryć? A w taki, żeby śpiewać w chórze, najlepiej pod dyktando jakiegoś obcmokanego autorytetu moralnego. W chóralnym śpiewie pojedynczego głosu nie słyhać, a gdyby nawet tak nie było, to okoliczność, że identyczny tekst wyśpiewuje na tę samą nutę cały chór, daje każdemu śpiewakowi iluzję słuszności. „Miliony much nie mogą się mylić!” – twierdzili zwolennicy jedzenia górien. Mam wrażenie, że pan red. Żakowski jest takim półinteligentem wzorcowym i stąd jego, podobnie jak milionów jemu podobnych mikrocefali, skłonność do zachowań stadnych, tak charakterystycznych dla środowiska „Gazety Wyborczej” („A my wszyscy za towarzyszem Stalinem!”). Niekiedy naraża ich to na potężne dysonanse poznawcze,

kiedy towarzysz Stalin albo pan red. Michnik, pełniący w naszym nieszczęśliwym kraju obowiązki Stalina, dokonuje jakiejś zaskakującej wolty – ale mówi się: trudno. Nie ma rzeczy doskonałych, więc i to poczucie bezpieczeństwa musi być okupione dysonansami poznawczymi. Niektórzy nie mogą dać sobie z tym rady i przeżywają rozmaite kryzysy, ale myślę, że pana red. Żakowskiego to nie dotyczy, bo przez tyle lat zdążył się już odpowiednio wytresować i kiedy mija moment zaskoczenia, zawsze potrafi się dostroić do właściwego klucza. Jeśli zatem jest rozkaz, by uważać, że wolność jest zagrożona, że zagrożona jest demokracja i swobody, to indywidualne odczucia nie mają tu nic do rzeczy. Ta umiejętność dostrajania się do właściwego klucza w przypadku pana red. Żakowskiego musiała już zejść do poziomu instynktów i dlatego jestem pewien, że jego pryncypialna krytyka „Kazika” Staszewskiego była szczerą. Bo durnie są szczerzy – *quod erat demonstrandum*.

Skoro tedy wyjaśniliśmy sobie genezę szczerości, to warto zatrzymać się chwilę nad tym, kto właściwie rzuca te wszystkie rozkazy. Żyją na przykład jeszcze ludzie pamiętający, jak to nie jakiś mikrocefal, ale sam pan red. Michnik rozpływał się nad bohaterską wyprawą pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego do Tbilisi, jak żałował, że nie mógł w tej podróży dotrzymać towarzystwa „mojemu prezydentowi” – i tak dalej. „Lecz tymczasem na mieście inne były już treści” i wkrótce na łamach tej samej „Gazety Wyborczej”, w której ukazały się te wszystkie akty strzeliste, opublikowany został artykuł Głównego Cadyka III Rzeczypospolitej w osobie pana Aleksandra Smolara, co to karmi z ręki całe stado autorytetów moralnych jako szef Fundacji Batorego, rozdzielającej jurgielt od starego finansowego grandziarza. Pan Smolar schłostał tam politykę wschodnią pana prezydenta Kaczyńskiego jako „postjagiellońskie mrzonki”. Wynika stąd, że pan red. Michnik, podobnie jak ewangeliczny setnik, ma wprawdzie pod sobą żołnierzy – ot, na przykład pana red. Żakowskiego – ale i sam jest „człowiekiem pod władzą postawionym”, bo cichnie, kiedy głos zabiera Główny Cadyk. Nie mogę powstrzymać się w tym miejscu przed przytoczeniem dosadnego ludowego porzekadła, ilustrującego tę sytuację: „Jak wół pierdzi, to obora słucha”. Cała obora – a więc nie tylko prorokowie mniejsi, jak pan red. Żakowski, ale również i więksi,

jak pan red. Michnik. No dobrze – ale przecież i pan Smolar nie mówi od siebie, bo on tylko rozdziela jurgielt pochodzący od grandziarza. Czyżby zatem naszemu chórowi kamerton nastrajał grandziarz? W ten sposób dochodzimy nie tyle może do monoteizmu politycznego, co do politycznej idolatrii, która rzuca snop jaskrawego światła na sądy *a priori*, jakimi zdaje kierować się pan red. Żakowski w swojej pryncypialnej krytyce „Kazika” Staszewskiego.

„NCz!” 5-6/2018

## W NOWĄ FORMĘ ULEPIĆ

„*Cuius est condere, eius est tolere*” – mawiali starożytni Rzymianie, co to każde spostrzeżenie zaraz ubierali w postać pełnej mądrości sentencji, która w tym przypadku się wyklada, że kto ustanowił, ten może znieść. I rzeczywiście – kiedy tylko doszło do głębokiej rekonstrukcji rządu, w następstwie której z Rady Ministrów wyleciał złowrogi Antoni Macierewicz, Jan Szyszko i Witold Waszczykowski, natychmiast rozpoczęło się zwijanie parasola ochronnego, jaki do tej pory rozpiął nad nią Stare Kiejkuty, między innymi za pośrednictwem stacji telewizyjnych, które podejrzewam o niebezpieczne związki z nimi.

Nawiasem mówiąc, nie jest wykluczone, że ta cała „rekonstrukcja”, zapoczątkowana zagadkową dymisją pani Beaty Szydło, została dokonana właśnie w celu spławienia złowrogiego ministra Macierewicza, a pan Szyszko i pan Waszczykowski zostali spławieni niejako przy okazji. Coś musi być na rzeczy, bo złowrogi Antoni Macierewicz był chyba najbardziej znienawidzonym ministrem w rządzie. Salon nienawidził go za lustrację w 1992 roku, kiedy to złowrogi minister Macierewicz na oczach całej Polski pościągał kalesony autorytetom moralnym i postaciom „legendarnym”, ujawniając wstydlive zakątki w postaci konfidenckich epizodów z UB i SB.

### PRZYPADEK PANA ANTONIEGO

Stare Kiejkuty nienawidziły go za rozwiązanie Wojskowych Służb Informacyjnych, co skomplikowało im dalszą okupację naszego nieszczęśliwego kraju. Soldateska i łapownicy znienawidzili go za anulowanie kontraktu na zakup śmigłowców Caracal, których wysoka cena nasuwa podejrzenia o łapówki. Po anulowaniu kontraktu takie łapówki na dobry porządek trzeba by oddać, ale jakże oddać, kiedy forsa prawdopodobnie została już wydana? Taka sytuacja stwarza szalenie nerwową atmosferę, w której nie tylko soldateska, ale nawet szef Ligi Antydefamacyjnej Abraham Foxman żądał dymisji złowrogiego ministra Macierewicza. Oczywiście nie z powodu anulowania kontraktu, niech Bóg zabroni, tylko z powodu, że złowrogi minister Macierewicz „wierzy” w „Protokoły mędrców Syjonu”.

Wiadomo zaś, że wierzenie nie tylko w te „Protokoły”, ale nawet w samo ich istnienie, jest surowo zabronione przez Sanhedryn, więc oskarżenie rzucone przez Abrahama Foxmana miało swój ciężar gatunkowy. Z kolei generalicja tworząca najtwardsze jądro naszej niezwyciężonej armii znienawidziła go za przeprowadzenie kuracji przeczyszczającej, w następstwie której nasza niezwyciężona wydalila z siebie ponad 30 generałów – akurat tylu, że wystarczyłoby ich na Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, gdyby nie to, że Nasz Najważniejszy Sojusznik najwyraźniej tego pomysłu nie pochwałal. Wreszcie nienawiść sięgnęła zenitu, gdy złowrogi minister Macierewicz wyjaśnił przyczyny kuracji przeczyszczającej, w postaci tak zwanego „złotego funduszu”, czyli rodzaju konspiracji w wojsku, utworzonej jeszcze przez generała Jaruzelskiego, gwoli sprawniejszego przeniesienia PRL-u do

III Rzeczypospolitej. Toteż żydowska gazeta dla Polaków wynajęła pana red. Tomasza Piątka („wynajęli też alfonsa, żeby ze mnie się natrzęsał...”), który skompilował książkę sugerującą, iż złowrogi Antoni Macierewicz jest ruskim agentem, i nawet zorganizowała mu festiwal w postaci spektakli „głośnego czytania” tych rewelacji w warszawskim Teatrze Powszechnym – tym samym, gdzie pani Julia Wyszynska markowała obciążanie laski Janowi Pawłowi II.

### FELONIA PANA PREZYDENTA

Toteż kiedy pan prezydent Andrzej Duda dokonał felonii wobec swego wynalazcy, czyli prezesa Kaczyńskiego i nie mógł już liczyć na dalsze bezwarunkowe poparcie ze strony PiS, musiał zacząć rozglądać się za nowymi politycznymi przyjaciółmi. Stare Kiejkuty natychmiast zwęszyły okazję i zaczęły stręczyć mu się ze swoją przyjaźnią – ale nie za darmo. Zażądały mianowicie przyniesienia im na tacy głowy złowrogiego ministra Macierewicza, toteż pan prezydent Duda natychmiast wdał się w wojnę pod pretekstem różnicy zdań na temat systemu dowodzenia. Kto by pomyślał, że w Andrzeju Dudzie, który jeszcze rok temu, wydawało się, że samodzielnie nie potrafi zliczyć do trzech, taki strategos siedzi?

Aliści felonia pana prezydenta Dudy bardzo osłabiła prezesa Kaczyńskiego, który pozycję Naczelnika Państwa ustawił sobie na dwóch nogach: prezydencie i premierze, więc kiedy felonia jedną nogę

mu złamała, zorientował się, że na tej drugiej długo opierać się nie może, bo ona czerpie siłę z niego, więc dodatkowego oparcia mu nie daje. W tej sytuacji – a wyznawcy pana prezesa właśnie tak mi w swoich korespondencjach perswadują i objaśniają prawdziwy sens tych wszystkich kombinacji, że najsampierw trzeba wykonać dwa kroki wstecz, by potem pójść naprzód niczym tornado – pan prezes musiał się cofnąć i pójść na kompromis z panem prezydentem Dudą, czyli tak naprawdę ze Starymi Kiejkutami, które panu prezydentowi przygrywiają do tańca. Dlatego właśnie zdecydował się na zagadkowe spławienie pani Szydło i mianowanie na stanowisko premiera pana Mateusza Morawieckiego. Dlaczego akurat jego? Niezależnie od arytmetyki sejmowej, w ramach której trzódka pana Kornela Morawieckiego może w razie czego zrównoważyć i zastąpić trzódkę Zbigniewa Ziobry, najbardziej owocny trop prowadzi do naszego najnowszego przyjaciela, pana Jonny’ego Danielsa, u którego na szabasowej kolacji był pan Mateusz Morawiecki, a pani Szydło nie było. Nieomylny to znak, że cofając się przed naporem Starych Kiejkutów i Niemiec, pan prezes postanowił poszukać azylu pod żydowskim parasolem ochronnym, który pan Daniels najwyraźniej obiecał nad nim rozpiąć. Za jaką cenę? Wydaje się, że odpowiedź już znamy, bo następnego dnia po zaprzysiężeniu pana Mateusza Morawieckiego na stanowisko premiera Senat USA jednogłośnie zaaprobował Akt S.447, na podstawie którego – jeśli zostanie uchwalony – rząd Stanów Zjednoczonych stworzyłby sobie instrumenty prawne do zmuszenia Polski do realizacji żydowskich roszczeń majątkowych, szacowanych na 65 mld dolarów. Pan Zyzak w jednym ze swoich radiowych wystąpień delikatnie skarcił mnie za obsesyjne wyczulenie na tę sprawę, podważając przy okazji i samą szacunkową wartość tych roszczeń. Jednak ja bardziej wierzę w takich sprawach panu doktorowi Szewachowi Weissowi, który, choćby z racji, że był ambasadorem Izraela w Warszawie, a teraz jest naszym starym przyjacielem – bo najnowszym jest oczywiście pan Daniels – może na ten temat wiedzieć więcej od pana Zyzaka, któremu premier Netanjahu chyba jeszcze się nie zwierza?

Tymczasem gdy Stare Kiejkuty – dzięki podchodom pod poczciwego pana prezydenta Dudę, który najwyraźniej dopuścił sobie do głowy, że

będzie politykiem samodzielnym i w ogóle Wielką Nadzieją Białych – zmusiły pana prezesa Kaczyńskiego do rejterady pod żydowski parasol ochronny i wyrzucania z rządowej pirogi wskazanych przez nich murzyńskich chłopców, ze zgorzonym zdumieniem skonstatowały, że tak zwana nieprzejednana opozycja w ogóle nie była na to wydarzenie pod żadnym względem przygotowana. Toteż jeszcze tego samego dnia telewizyjna stacja TVN, którą od samego początku podejrzewam o niebezpieczne związki ze starymi kiejkuty, przypuściła gwałtowną krytykę całej tej opozycji za bęcwalstwo i beczynność. Widać było, że parasol ochronny nad bęcwałami jest zwijany. Inna rzecz, że i Stare Kiejcuty na tym tle dobrze się nie prezentują. Wprawdzie przy pomocy Naszej Złotej Pani rozegrały kombinację z panem prezydentem Dudą koronkowo, ale jeśli naprawdę myślały, że pan Grzegorz Schetyna coś ciekawego wymyśli albo że wymyśli coś skupiona wokół byłej premier, pani Ewy Kopacz, frakcja psiapsiółek, przez złośliwców nazywana „klempami”, czy że wymyślą coś panienki z Nowoczesnej, to musiała paść im na mózg jakaś pomroczość jasna. Nawiasem mówiąc, złośliwcy nazywający frakcję psiapsiółek w Platformie Obywatelskiej „klempami” nie mają racji, bo klempa to samica łosia, będąca uosobieniem wytworności i gracji, podczas gdy we frakcji psiapsiółek tym kryteriom mogłaby ewentualnie sprostać najwyżej posągowa pani Małgorzata Kidawa-Błońska, więc porównanie chyba niczym kulą w płot.

#### ZWIJAJĄ PARASOL OCHRONNY

Mniejsza jednak o to, bo ważniejsza jest okoliczność, że Stare Kiejcuty chyba naprawdę zwijają parasol ochronny nad nieprzejednaną opozycją, czemu oczywiście towarzyszą objawy dekompozycji w jej szeregach. Oznacza to, że istnienie nieprzejednanej opozycji w dotychczasowej postaci dobiega powoli końca i Stare Kiejcuty, które tę całą opozycję stworzyły, teraz będą ją przetwarzać. Pamiętamy przecież, jak w niepojętym przypiływie szczerości pan generał Gromosław Czempiński opowiadał, ile to rozmów i bliskich spotkań trzeciego stopnia musiał przeprowadzić i odbyć, by wreszcie doszło do powstania Platformy Obywatelskiej. Pan generał Czempiński z niejednego komina wygartywał i warto przypomnieć, że był wynalazcą pana doktora Andrzeja

Olechowskiego, tajnego współpracownika sławnego „wywiadu gospodarczego”, który potem był jednym z „trzech tenorów” Platformy Obywatelskiej – oczywiście do czasu, aż Nasza Złota Pani na swego faworyta wybrała Donalda Tuska. Nowoczesna zaś powstała jako majstersztyk, przy pomocy którego Stare Kiejkuty przekonały Naszego Najważniejszego Sojusznika, by wciągnął ich na listę „naszych sukinsynów”. Kiedy Nasz Najważniejszy Sojusznik zobaczył, że Stare Kiejkuty mogą z dnia na dzień z niczego stworzyć polityczną partię, którą – zanim jeszcze postawiony na fasadzie pan Rysio zdążył otworzyć usta – naród obdarzył aż 11 procentami zaufania, to wołał wciągnąć ich na wspomnianą listę, bo w takiej sytuacji lepiej mieć ich na oku, niż żeby hulali gdzieś samopas. Ale teraz bezsens istnienia Nowoczesnej objawił się nawet mojej faworycie, Wielce Czcigodnej Joannie Scheuring-Wielgus, toteż wszystko wskazuje na to, iż kryzys w szeregach nieprzejednanej opozycji będzie się pogłębiał aż do momentu, gdy z pozostałej w efekcie masy upadłościowej Stare Kiejkuty ulepią jakąś nową formację polityczną, pod nazwą na przykład Róbmy Sobie Na Rękę, którą naród z miejsca obdarzy zaufaniem na tej samej zasadzie co i Nowoczesną. Po prostu konfidenci dostaną rozkaz: w prawo zwrot! Do Róbmy Sobie Na Rękę marsz! – i od razu będzie i partia, i społeczne zaufanie. Bo przecież Donald Tusk, który nawet nie ukrywa, że albo z nim, albo „bez jego udziału” to wszystko się dokona, to znaczy że przed wyborami prezydenckimi w 2020 roku będzie dysponował odnowionym politycznym zapleczem, bo dotychczasowa forma, która zatchnęła się własnym tłuszczem, do niczego się już nie nadaje.

„NCz!” 5-6/2018



## ŚWIAT SIĘ MĘCZY

Nie jest dobrze. Nawet nie dlatego, że Żydom, którzy ściśle koordynują swoją politykę historyczną z historyczną polityką niemiecką, a na obecnym etapie nawet z „nazistowską”, udało się sprowokować polskich Umiłowanych Przywódców, by się przed całym światem tłumaczyli z niemieckich zbrodni. Zresztą nie tylko z niemieckich, bo natychmiast ujawniło się mnóstwo folksdojczów, którzy – albo wykonując zadania zlecone przez oficerów prowadzących, albo w nadziei, że zaangażowanie zostanie gdzie trzeba dostrzeżone i wynagrodzone – prześcigają się w wytykaniu nieubłaganym palcem polskich „sąsiadów”, co to „mordowali Żydów” przy akompaniamencie okrzyków: „psiakrew!” i „psiadusza!” – tych samych, o których w „Syzyfowych pracach” pisali „maleńcy uczeni”, z tym, że wtedy chodziło o „rozbestwioną szlachtę”, co to mordowała „lud ruski”. Zmieniają się etapy, na podobieństwo tornada przewalają się przez nasz nieszczęśliwy kraj „transformacje ustrojowe”, a folksdojczycy wciąż na posterunku, zawsze gotowi nieubłaganym palcem piętnować każdego, kogo akurat partia wskaże. Tak właśnie wyjaśniał w 1968 roku te sprawy koledze Antoniemu Zambrowskiemu współtowarzysz niedoli z więziennej celi: „nie ten Żyd, co Żyd, tylko ten, kogo partia wskaże!”. Toteż bez zaskoczenia zobaczyłem moją faworytę, panią red. Elizę Michalik, jak nieubłaganym paluszkami też wytyka i piętnuje „polskich sąsiadów”.

Jestem pewien, że pani red. Michalik była naocznym świadkiem tych wszystkich pożałowania godnych ekscesów, bo czyż w przeciwnym razie głosiłaby te zbawienne prawdy z taką pewnością siebie? Być może nawet ci ohydni „polscy sąsiedzi” zwierzali się jej z pobudek swoich zbrodni, bo skąd by o nich tak dokładnie wiedziała? Z góry bowiem wykluczam możliwość, że „nie wiedziała, a powiedziała”, bo byłoby to niezgodne ze sławną etyką dziennikarską, z której pani red. Eliza Michalik jest znana jeśli nawet nie na całym świecie, to w każdym razie w powiecie warszawskim. Niestety „na tym świecie pełnym złości nigdy nie dość jest przezorności”, więc też nie wiadomo, czy w głowie jakiegoś podejrzliwca nie zrodzi się podejrzenie, że skoro pani Eliza była naocznym świadkiem, a nawet znała motywacje

sprawców tych ohydnych ekscesów, to być może była nie tylko świadkiem, ale i uczestnikiem? Wiek nie ma tu nic do rzeczy, bo przecież coraz częściej spotykamy się z przypadkami reinkarnacji. W tej sytuacji nie można wykluczyć, że jakiś „polski sąsiad” reinkarnował się w wypielęgowane ciało pani red. Elizy Michalik, co, mówiąc nawiasem, świadczyłoby o dobrym guście, no i dlatego zna ona te wszystkie sprawy tak dokładnie? No dobrze, ale czy w takim razie nie trzeba by tego sąsiada, co to podstępnie reinkarnował się – i tak dalej – pociągnąć do odpowiedzialności karnej – bo przecież zbrodnie przeciwko ludzkości nie ulegają przedawnieniu? Być może niezależna prokuratura i niezawisły sąd miałyby pewne trudności z oddzieleniem podstępnie reinkarnowanego sąsiada od osoby pani red. Elizy Michalik, ale przecież takie drobne trudności techniczne należy przezwyciężać, by sprawiedliwości stało się zadość, więc nawet gdyby poleciały przy tym jakieś wióry, to należałoby potraktować je jako ofiarę na ołtarzu nieubłaganej sprawiedliwości. Jestem pewien, że w odróżnieniu od JE biskupa Tadeusza Pieronka, co to niedawno zwierzył się z pewnej słabości swego charakteru, pani red. Eliza Michalik jest na to gotowa, więc dopiero na tym tle widzimy, ile jeszcze przed nami.

No a skoro tyle przed nami, to nieomyślny to znak, że teraz jeszcze nie jest dobrze, a nawet jest całkiem źle – na co zwróciła uwagę również pani Manuela Gretkowska, która w tym roku kończy 53 lata, a więc, „wedle zwyczaju niewiast”, jest w tak zwanym niebezpiecznym wieku. Nie wspominałbym o tym, gdyby nie charakterystyka obecnego etapu, jaka wyszła spod jej pióra: „To, co się odbywa w Polsce, to bezwstydnny patos etosu kutasa. Patriarchalny wzwód zwany wstawaniem z kolan, sarmackie erekcje idiotyzmu. Kogucie napinanie klaty przez zwiędłego politycznie fiutka, który musi jechać na viagrze faszyzmu bez prawa i recepty”. Jestem pewien, że psychoanalityk po przeanalizowaniu tej charakterystyki dostałby orgazmu, co, mówiąc nawiasem, utwierdza mnie w przekonaniu, że za feminizm, przynajmniej w Polsce, odpowiadają dwaj panowie: Ludwik Dorn i Cezary Michalski. Ludwik Dorn był w swoim czasie narzeczonym pani Kingi Dunin, która została radykalną feministką, no a Cezary Michalski był nawet małżonkiem pani Manueli Gretkowskiej, która nie

tylko jest feministką, ale w dodatku demonstruje takie falliczne fantazmaty. Zwróćmy przy tym uwagę, że o ile w sferze fallicznej pani Manuela idzie na całość, to w sferze ideologicznej kurczowo trzyma się aktualnej linii partii, nieubłaganym palcem wytykając „faszyzm” i „bezprawie”.

Jak wytykać, to wytykać, więc nic dziwnego, że pani Manuela wyposaża „faszystów” w „zwiędłe politycznie fiutki”, chociaż w tym samym zdaniu daje wyraz nieukozonej tęsknocie za „bezwstydnym patosem kutasa”. „Darmo – co człek raz stracił, tego nie odzyszcze” – pisał nie bez melancholii Tadeusz Boy-Żeleński w sławnym poemacie, jak to „o praemium się ubiegał, bez Boskiej obrazy Tomkowic z Sodalicyey i pan Aszkenazy”. Jak to się skończyło – pamiętamy: „Tomkowic stawa śmieje, bo ma rzecz w porządku, zasię tamten, Żydowin, skrył się w ciemnym kątku...”. Co tu dużo gadać: obydwaj panowie musieli – być może „bez swojej wiedzy i zgody” – popełnić jakieś sprośne błędy Niebu obrzydłe, skoro obydwie Panie stoczyły się w otchłań feminizmu.

Ale to byśmy może jakoś przeżyli, gdyby nie potężny dysonans poznawczy związany z niedawną deklaracją prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa w związku z globalnym ociepleniem. Prezydent Trump oświadczył bowiem, że żadnego globalnego ocieplenia nie ma. Trudno mu się dziwić w sytuacji, gdy obecna zima w Stanach Zjednoczonych jest wyjątkowo mroźna i ciężka – do tego stopnia, że śnieg spadł nawet na Florydzie! Głoszenie w tej sytuacji „globalnego ocieplenia” stałoby w oczywistej sprzeczności z potocznym doświadczeniem szerokich mas ludowych, które – jak to mawiali marksistowscy melamedowie – „w ostatecznej instancji” decydują o tym, co jest, a czego nie ma. Do tej „ostatecznej instancji” – jak pokazuje historyczne doświadczenie – musi akomodować się nauka, zwłaszcza ta „postępowa” czy „przodująca”, więc tylko patrzeć, jak pojawią się rozprawy ponad wszelką wątpliwość dowodzące, że mamy raczej globalne ochłodzenie, a jeśli nawet w takiej, dajmy na to, Europie, jest cieplej, to właśnie dlatego, że jest zimniej. Pamiętamy przecież, że kiedy już po proklamowaniu globalnego ocieplenia nastąpiła fala chłodu, promotorzy ocieplenia wyjaśniali, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, bo jeśli nawet jest zimniej, to właśnie

dlatego, że jest ciepłej. Najwyraźniej świat wchodzi w tak zwany okres przejściowy, kiedy to – jak w sławnej żydowskiej anegdocie – ani nie żyje, ani nie umarł, tylko się męczy.

„NCz!” 7-8/2018

# TAJEMNICA OŚWIĘCIMSKIEJ PROWOKACJI

**N**ie bez powodu powiadają, że przysłowia są mądrością narodów. Weźmy takich wymownych Francuzów. Mają oni porzekadło, że „lepiej tęsknić niż nie tęsknić wcale”. Chodzi tu o przyjaciół, z którymi zbyt bliskie, a zwłaszcza zbyt intensywne obcowanie staje się tak niezdrowe, że lepsza już jest tęsknota za nimi – ale z bezpiecznego oddalenia.

Właśnie mamy okazję przekonania się o słuszności tego porzekadła po aferze, jaką wywołała ambasadoressa Izraela w Warszawie, podnosząc klangor po uchwaleniu przez Sejm nowelizacji ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, w której wprowadzony został przepis przewidujący kary – do trzech lat więzienia – za opowiadanie o „polskich obozach śmierci” itp.

## KŁAMAĆ MOŻNA TYLKO OŚWIĘCIMSKO?

Warto przypomnieć, że znacznie wcześniej, bo już w roku 1998, w ustawie o IPN znalazł się art. 55, przewidujący penalizację tzw. kłamstwa oświęcimskiego, to znaczy publicznego powątpiewania o prawdach zatwierdzonych do wierzenia przez jakieś anonimowe sanhedryny. Ten przepis wychodził naprzeciw, i to może nawet z pewnym wyprzedzeniem, potrzebom żydowskiej polityki historycznej, której elementem jest monopolizowanie prawdy o tak zwanym holokauście – jak środowiska żydowskie patetycznie nazwały masakrę europejskich Żydów dokonaną w czasie wojny przez Rzeszę Niemiecką – a o Oświęcimiu, czyli oczywiście „Auschwitzu”, w szczególności. Te zbawienne prawdy są zatwierdzane w postaci zmieniającej się w zależności od aktualnych potrzeb i za mojej pamięci zmieniły się co najmniej trzykrotnie. Najpierw Niemcy, to znaczy – jak się później okazało – nie żadni „Niemcy”, tylko oczywiście „naziści”, zamordowali tam 6 milionów ofiar, potem – już „tylko” 4 miliony, no a obecnie ta liczba zmniejszyła się do miliona z hakiem. Czy to jest już ostatnie słowo, czy też nie – tego nikt nie wie, tym bardziej że na straży tajemnicy stoi między innymi właśnie „kłamstwo oświęcimskie”. Krytykując ten przepis, wyrażałem obawę, że arsenał tych „kłamstw”

zostanie wkrótce wzbogacony o „kłamstwo wałęsowskie”, „kłamstwo klimatyczne”, „kłamstwo sodomickie”, „kłamstwo aborcyjne”, „kłamstwo ekologiczne” i wiele innych – w następstwie czego zakres wolności słowa zostanie ograniczony do zera, a w obiegu publicznym będzie można recytować tylko mantry zatwierdzone przez anonimowych dobroczyńców Ludzkości. Okazało się, że te obawy były uzasadnione – zresztą zgodnie z prawem Murphy’ego, według którego jeśli coś złego może się stać, to na pewno się stanie.

### PO PRZEMÓWIENIU SCHRÖDERA

Wydarzenia nabrały tempa po przemówieniu, jakie w roku 2000 wygłosił niemiecki kanclerz Gerhard Schröder, w którym zadekretował między innymi, że „okres niemieckiej pokuty dobiegł końca”. Oznaczało to, że Niemcy nie będą już przyjmowały żadnych suplik odszkodowawczych nawet od Żydów, najwyraźniej uznając, że 100 miliardów marek, nie licząc dostaw okrętów podwodnych i innego sprzętu wojskowego dla Izraela, to wystarczy. Było to zgodne z niemiecką polityką historyczną, której celem jest stopniowe zdejmowanie z Niemiec odpowiedzialności za II wojnę światową.

Ta deklaracja stworzyła nową sytuację dla żydowskich organizacji przemysłu holokaustu i dla Izraela. Żydowska polityka historyczna jest bowiem nastawiona między innymi na zapewnienie możliwości materialnego eksploatowania „holokaustu”. Skoro tedy Niemcy ogłosiły, że za „holokaust” nie będą wybulać, żydowska polityka historyczna musiała zostać, to znaczy nie tyle może „musiała”, co została ściśle skoordynowana z historyczną polityką niemiecką. Chodziło o to, by w miarę zdejmowania z Niemiec odpowiedzialności za II wojnę, przerzucić tę odpowiedzialność na winowajcę zastępczego, którego pod pretekstem „holokaustu” można by nadal szlamować. I na tego winowajcę zastępczego została wytypowana Polska, czemu sprzyjało zinfiltrowanie struktur państwa przez agenturę, gotową za napiwek wysługiwać się każdemu, a także naciski Naszego Najważniejszego Sojusznika, to znaczy Stanów Zjednoczonych, które już w połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku skutecznie nacisnęły Polskę, by sprokurowała ustawę o stosunku państwa do gmin wyznaniowych żydowskich, zawierającą postanowienia o transferze majątkowym w nieruchomościach nie

tylko dla dziewięciu istniejących w Polsce żydowskich gmin, ale również dla nowojorskiej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego. Innym powodem wytypowania Polski na winowajcę zastępczego była okoliczność, że znaczna część, o ile nie większość zbrodni II wojny została dokonana na obecnym polskim terytorium państwowym.

Koordinacja żydowskiej polityki historycznej z historyczną polityką niemiecką przyniosła skutki niemal natychmiast. Przede wszystkim w postaci niezwyklej kariery pana doktora socjologii Jana Tomasza Grossa, który sypał jak z rękawa coraz to nowymi dziełami demaskującymi polskie zbrodnie na Żydach, za co został awansowany do rangi „historyka”, i to od razu „światowej sławy” – a także dokonań innych „maleńkich uczonych”, którzy odkryli Jedwabne. Już w lipcu 2001 roku odbyły się tam z ogromnym przytupem uroczystości z udziałem rabinów i Aleksandra Kwaśniewskiego, który jako prezydent naszego nieszczęśliwego kraju za polski współudział w „nazistowskich” zbrodniach „przeprosił”. Wymowni Francuzi i na tę okoliczność mają stosowne porzekadło, że *qui s'excuse – s'accuse* – co się wykląda, że kto się tłumaczy, ten się oskarża.

Ten zarzut wobec całego „narodu polskiego” dziesięć lat później dostąpił eskalacji za sprawą prezydenta Bronisława Komorowskiego, który do uczestników skromniejszej już uroczystości w Jedwabnem wystosował list, odczytany tam przez znanego już w czasach stalinowskich z „postawy służebnej” starego faryzeusza Tadeusza Mazowieckiego, w którym m.in. była mowa, że „naród polski” powinien przyzwyczać się do myśli, iż był również „sprawcą”. Zatem już nawet nie „współsprawcą” – bo to jeszcze implikuje jakąś odpowiedzialność niemiecką czy nawet „nazistowską”, podczas gdy sprawstwo samodzielne nie implikuje już niczego. W ten oto sposób, za sprawą dwóch prezydentów naszego nieszczęśliwego kraju, proces przerzucania odpowiedzialności z Niemiec na Polskę jako winowajcę zastępczego został zakończony. W tej sytuacji określenie „polskie obozy śmierci” musiało się pojawić – no więc się pojawiło.

## STRONNICTWO

### AMERYKAŃSKO-ŻYDOWSKIE LAWIRUJE

Kiedy od roku 2013 Polska spod kurateli strategicznych partnerów przeszła pod kuratelę amerykańską, Stronnictwo Pruskie zaczęło

tracić na popularności na rzecz Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego, które zmonopolizowało dzierżawę monopolu na patriotyzm. Ponieważ umizgi wobec Żydów i nadskakiwanie banderowcom wprowadzały pewien dysonans poznawczy, nowa ekipa, dowodzona przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego, który w rekonstrukcji historycznej przedwojennej sanacji przydzielił sobie nieformalne stanowisko Naczelnika Państwa, czyniła pewne gesty miłe polskim patriotom starej daty, to znaczy rehabilitację, a nawet pewne formy kultu „żołnierzy wyklętych” i ostentacyjną pobożność, w którą jednak włączony został kult prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a ostatnio, w sytuacji gdy paliwo smoleńskie z wolna się dopala – reparacje wojenne od Niemiec. Jednocześnie jednak pan prezydent Andrzej Duda prowadził w Nowym Jorku owiane mgłą tajemnicy rozmowy z przedstawicielami żydowskich organizacji przemysłu holokaustu, a rząd, podczas wizyty *in corpore* w Izraelu, też musiał prowadzić rozmowy w sprawie „roszczeń majątkowych” dotyczących „mienia bezdziedzicznego”, o wartości szacowanej na 60-65 mld dolarów, które organizacje przemysłu holokaustu do spółki z Izraelem chciałyby w Polsce przejąć. Czy z tymi rozmowami jakiś związek miało przyjęcie przez amerykański Senat 12 grudnia ub. roku Aktu S.447, który dawałby rządowi USA możliwość stosowania wobec Polski rozmaitych form nacisku, by zadośćuczyniła wspomnianym żydowskim roszczeniom – tego niestety wykluczyć nie można, bo zarówno pan prezydent Duda, jak i rząd, podobnie jak Naczelnik Państwa, nie tylko nie kiwnęli palcem, by to niebezpieczeństwo od Polski odwrócić, ale nabrali wody w usta do tego stopnia, że Naczelnik Państwa przyznał, iż nie ośmielił się wspomnieć o tej sprawie podczas rozmowy z bawiącym niedawno w Warszawie sekretarzem stanu USA Rexem Tillersonem – i to mimo że Polonia amerykańska prowadzi desperacki lobbing w Kongresie USA, by do uchwalenia tej ustawy nie dopuścić. I w tym momencie Sejm uchwalił nowelizację ustawy o IPN, zawierającą przepis penalizujący „polskie obozy śmierci”.

#### KAŻDY MA TO, CO CHCIAŁ

Jak powiedział minister Patryk Jaki, a co potwierdziła pani rzecznik rządu, sprawa tej nowelizacji była „konsultowana” z ambasadoressą Izraela w Warszawie. W trakcie tych konsultacji nie zgłaszała ona do



niej żadnych zastrzeżeń, a klangor podniosła dopiero po jej uchwaleniu przez Sejm, kiedy rząd, choćby ze względów prestiżowych, nie mógł już jej w podskokach negocjować. Mamy zatem dwie możliwości: albo rząd został wykiwany przez cwana ambasadoressę, która świadomie podprowadziła naszych Zastrancen pod prowokację, albo wszystko zostało przez Naczelnika Państwa uzgodnione. Bo kiedy Sejm już nowelizację uchwalił, ambasadoressa i premier Netanjahu nie tylko podnieśli klangor, ale też wystąpili z pomysłem, by Polska w ogóle „konsultowała” z władzami Izraela projekty swoich ustaw. W odpowiedzi na te bezczelne żądania i pan prezydent, i rząd zaprezentowali się jako nieustraszeni bojownicy o godność narodową, gotowi nawet do konfrontacji z żydowską diasporą i Izraelem. W sytuacji gdy zagadkowe i – co tu ukrywać – tchórzliwe milczenie prezydenta i rządu w sprawie Aktu S.447, który stwarza dla Polski i narodu polskiego poważne – a przede wszystkim **realne** – niebezpieczeństwo, budziło coraz większe zaniepokojenie nawet w życzliwej PiS-owi części opinii publicznej, klangor podniesiony przez ambasadoressę i premiera Netanjahu był prawdziwym darem Niebios, pozwalającym prezydentowi i rządowi jednym susem przeskoczyć do pierwszego szeregu nieustraszonych bojowników o godność narodową.

Te gesty wywołały oczywiście żywy rezonans w opinii publicznej, co środowiska żydowskie skwapliwie wykorzystały do zaprezentowania światowej opinii gwałtownego wybuchu w Polsce nastrojów antysemickich, co zwłaszcza w USA może skutecznie neutralizować desperackie próby zablokowania Aktu S.447 przez amerykańską Polonię, no a poza tym obietnica „konsultowania” przez Polskę projektów swoich ustaw z władzami Izraela też nie jest do pogardzenia.

I wreszcie Niemcy, które w obliczu tej awantury stoją z boku jak gdyby nigdy nic i zacierają ręce z satysfakcji, bo okazuje się, że przy pomocy Żydów do realizacji niemieckiej polityki historycznej zostali wciągnięci – uprzejmie zakładam, że „bez swojej wiedzy i zgody” – przedstawiciele najwyższych władz Polski.

Czegóż chcieć więcej, zwłaszcza w sytuacji gdy wspomniany przepis ustawy o IPN nosi wszelkie znamiona bezsilnego złorzeczenia, pogroźek bez pokrycia – bo pomyślmy tylko sami: cóż niezawisły sąd

w Polsce może zrobić amerykańskiemu redaktorowi z nowojorskiej gazety albo izraelskiej dziennikarce, która na Twitterze napisała o „polskich obozach” chyba 100 razy?

*„NCz!” 7-8/2018*

# NAZISTOWSKIE PIECYKI DO GAZU

– Panie Piperman, ja panu nie poznaję! Co pan wyprawiasz! My wszyscy krzyczymy o polski obozach zagłady, co to jak pan wiesz, głupie goje puszczały do komory tego, jak mu tam – tfy! – tego gazu, a pan, jak jakiś ein myszygene Kopf, pleciesz o jakimś smoku. Pan dawno byłeś u doktora?

– Panie Biberglanc, ja widzę, że to pan nie byłeś u doktora i panu grypa się rzuciła, tyle że nie na szyję, tylko na uszy. Ja nie pletę o żadnym smoku, bo smok to był Wawelski, z tych Wawelskich, co to trzymali dla głupich gojów budkę z wodą sodową, tylko o smogu. Pan wiesz, co to jest smogu, panie Biberglanc?

– Panie Piperman, czy pan mnie aby nie obrażasz? Co to jest, ten cały smogu? To jakiś głupi goj?

– To nie żaden głupi goj. To jest, panie Biberglanc, takie zjawisko klimatu. Weź pan, dajmy na to, mgłę. Jak jest mgła, to prawie nic nie widać, prawda? No to nie widać, że do tej mgły dołącza się dym z komina, a jak on się dołączy, to jeszcze mniej widać. W takim dymie to nie wiadomo, co jest – i to jest właśnie to zjawisko klimatu, co się nazywa smog. Jak tego dymu jest dużo, to czasami nawet nic nie widać, a jak nic nie widać, to nie wiadomo, co się dzieje. A jak nie wiadomo, co się dzieje, to wtedy lęgną się nazisty, a jak już ony się wylęgną, to ony potem urządzają obchody urodzin tego – *wi hajst der goj?* – o, tego Hitlera, ony mu krzyczą *hajhitler* i mu salutują. Ony nie robią tego za darmo, ony się wynajmują, a jak redaktory ich wynajmą, to ony to nakręcają relację, a potem puszcza ją na antenę. Już pan rozumiesz?

– Ja nic nie rozumię. Co mają wspólnego nazisty z klimatu? Ja wiem, że ludzkość walczy z klimatu, bo jak ludzkość walczy z klimatu, to klimatu nie ma wyjścia jak walczyć z ludzkością, no i z tego są tajfuny i powodzie, a jak są tajfuny i powodzie, to trzeba sprzedawać limitów dwutlenku węgla. To my tych limitów głupim gojom sprzedajemy, a jak ony ich kupią, tych limitów, to ony sze cheszą, ony machają rękami i krzyczą: „yes, yes, yes!”. Ja to wszystko wiem, ale ja nie wiem, co z tym wszystkim mają wspólnego nazisty?

– Panie Biberglanc, pan niby taki mądry, a pan nie wiesz, że nazisty są dobre na wszystko i jak trzeba, to ony mają wszystko wspólne ze wszystkim? Czy ja pana muszę tłumaczyć, jak się robi dzieci? Ja widzę, że ja muszę, a jak tak, to słuchaj pan i ucz się pan wielkiej polityki. Pan wiesz, że w Ameryce nasze Żydki podburzyły tamte senatory, żeby ony uchwałyły ustawę numer 447. Nasze Żydki potrzebują pieniądze, tak samo jak Izrael, no to senatory skaczą z gałęzi na gałąź i uchwalają, co trzeba. Ale polskie goje w Ameryce zaczęły pisać listy do kongresmanów, żeby ony tego nie uchwalaly. No to tutaj taka stacja telewizyjna, co to pan wiesz, a jak rozumiem, puściła relację o nazistach, co to obchodziły urodziny Hitlera. Ale to diabli po tem, bo kto w Ameryce ogląda takie, za przeproszeniem pana, główna? No to trzeba było strzelić z grubej rury i goje z polskiego rządu namawiały się z ambasadą Izraela, żeby karać za polskie obozy. Jak już się namówiły i to uchwałyły, to ambasada krzyknęła: gwałt! I cały Izrael krzyknął: gwałt i Żydki w Ameryce krzyknęły: gwałt – a jak ony tak krzyknęły, to Departament Stanu zaraz się zaniepokoił i też krzyknął: gwałt – że to niby ogranicza swobodę badań naukowych nad holokaustu. Bo pan wiesz, panie Biberganc, że o holokaustu to decydujemy my. No i w ten sposób głupie polskie goje mogą nic nie wskórać u kongresmanów, bo jak już jest gwałt, to kongresmany się robią ostrożne.

– **To ja wiem, to wie każdy Żyd, ale po co pan mnie opowiadasz o tym wszystkim, co ja i bez panu wiem, kiedy ja nadal nie wiem, co ma z tym wspólnego, z tymi nazistami, to zagadkowe zjawisko klimatu, co to się nazywa podobnie jak ten Wawelski, co trzymał budkę z wodą sodową?**

– To ma wspólnego z nazistami, że klimatu też jest dobry na wszystko. Jak głupie goje się złością o polskie obozy, w których polskie nazisty miały robić holokaustu, to niech się złością – ale pan wiesz, panie Biberganc, ony mają takie programy, żeby dawać 500 plus na dzieci, żeby dawać na starców i na młodzież – a skąd ony mają dawać, jak ony same nie mają? Jak ony same nie mają, to ony muszą pożyczyć. A od kogo ony mogą pożyczyć?

– **Co pan pytasz o takie rzeczy, panie Piperman. To się rozumie samo przez się, że od starszych i mądrzejszych.**

– Tu pan masz *Recht*, panie Biberglanc. Jak ony muszą pożyczyć, to ony muszą prowadzić dialogu. A jak ony muszą prowadzić dialogu, to my im mówimy tak: pożyczymy – ale najpierw wy musicie oczyścić klimatu, bo od tych nazistów tu się zrobiło duszno, wy tu macie smogu, a jak jest smogu, to *czelawiek* nie może wolno dyszeć, jak w Związku Radzieckim. No to ony pytają się, jak ony mogą oczyścić klimatu, a jak ony pytają, to my im mówimy, że ony muszą przestać palić węglem, tylko muszą palić gazem. A skąd ony mogą wziąć tego – tfy! – gazu? Ony mogą kupić gazu albo w Rosji, albo w Ameryce. Ale jak ony kupią w Rosji, to nie ma dywersyfikacji, a jak kupią w Ameryce, to jest. Bo ony wiedzą, że jak dywersyfikacja, to dobrze, a jak nie – to nie. Ale zanim ony kupią gazu – wszystko jedno, czy tam, czy tu – to ony najpierw muszą powyrzucać piecyki węglowe i kupić piecyki na gazu.

– **Ooo, to ja już się domyślam, dlaczego młode goje opowiadają sobie o piecyku. I pan powiadasz, panie Piperman, że to mają być piecyki na gazu? A skąd ony mają wziąć te piecyki?**

– Pan jesteś kupiec, panie Biberglanc, czy pan jesteś dziecko? Jak to skąd mają wziąć? Ony muszą te piecyki kupić. A od kogo? A od tego, kto im zechce sprzedać. A kto im zechce sprzedać? Ten, komu ony zapłacą. A komu ony zapłacą? A temu, kogo im podpowie ten, co im pożyczy. Teraz pan rozumisz, dlaczego ony walczą z klimatu, dlaczego ony narzekają na smogu, dlaczego ony chcą piecyki, dlaczego ony nagle potrzebują maseczki? To niech ony walczą, niech ony nie palą węgla, tylko kupują gazu, niech ony powyrzucają piecyki na węgiel, niech ony pokupują sobie piecyki na gazu, niech ony zakładają sobie maseczki od smogu – niech im będzie na zdrowie. No to nasze Żydki w Nowym Jorku już wyliczyły, że to będzie kosztowało bilion złotych. To ony będą musiały wszystko oddać na zabezpieczenie te pożyczki, bo jakże inaczej, kiedy tu po lasach panoszą się nazisty? Jak ony oddadzą lasy, to nazisty nie będą się panoszyć ani w lasach, ani na polach – bo pola też trzeba będzie dać na zabezpieczenie. To niech pan krzyczy o nazistach, o obozach, a ja będą o smogu, bo to wszystko jedno z drugim się zazębia.

„NCz!” 9-10/2018

# CZY SKÓRKA WARTA JEST WYPRAWKI?

*A micus Plato, sed magis amica veritas* – powiadali starożytni Rzymianie, którzy każde spostrzeżenie zaraz ubierali w postać pełnej mądrości sentencji. Ta akurat głosi, że prawda jest większym przyjacielem od Platona, zatem trzeba ją głosić bez względu na to, czy Platonowi to się podoba, czy nie. Dlatego ośmielam się zauważyć, że kolega Janusz Korwin-Mikke może nie mieć racji, mówiąc, że Stwórca Wszechświata specjalnie nie dba o to, w jaki sposób ludzie oddają Mu cześć.

Jakże „nie dba”, kiedy przecież dba – o czym dowiadujemy się z tego samego źródła, o którym dowiadujemy się o istnieniu Stwórcy Wszechświata. Mam oczywiście na myśli Pismo Święte Starego Testamentu. Po opisie stworzenia Wszechświata przez Stwórcę czytamy tam o pewnym mieszkańcu Mezopotamii, który porzucił miejskie życie osiadłe i został koczownikiem. Ta zmiana sposobu życia wzięła się stąd, że Stwórca Wszechświata sobie akurat w nim upodobał i po rozmaitych przygodach obiecał mu, że stanie się ojcem wielu narodów, a zwłaszcza jednego, któremu Stwórca Wszechświata odda w posiadanie obszar położony między Nilem a Eufratem.

Jeśli wierzyć dalszym przekazom, potomstwo owego koczownika niezwykle się rozmnożyło podczas pobytu w Egipcie. To potomstwo później nazwało Egipt „domem niewoli”, ale wygląda na to, że stan niewoli sprzyjał rozmnażaniu zniewolonych. Tak czy owak, pod przewodnictwem Mojżesza potomkowie owego koczownika uciekli z Egiptu i po obfitującej w rozmaite traumatyczne wydarzenia 40-letniej wędrówce po pustyni dotarli do Ziemi Obiecanej, którą objęli w posiadanie po uprzednio przeprowadzonych czystkach etnicznych.

Zanim jednak to nastąpiło, Stwórca Wszechświata za pośrednictwem Mojżesza nadał potomstwu koczownika prawa, wśród których znalazły się też bardzo szczegółowe opisy, jak mają zostać zbudowane przedmioty kultu, jak mają być ubrani funkcjonariusze kultu, no i w jaki sposób ma wyglądać sam kult. Wszystkie te reguły podyktował osobiście Stwórca Wszechświata, z czego wynika, że wcale nie jest Mu

obojętne, w jaki sposób ludzie oddają Mu cześć.

Obawiam się, że Stwórca Wszechświata lepiej wie, co Mu się podoba, a co nie – bez względu na to, co kolega Janusz Korwin-Mikke na ten temat sądzi – nawet jeśli uważa, że takie drobiazgi Stwórcy Wszechświata nie powinny interesować. Może i nie powinny – ale co poczniemy, skoro Go jednak interesują? Jeśli tedy przyjmujemy do wiadomości istnienie Stwórcy Wszechświata, to nie ma rady – musimy przyjąć to istnienie do wiadomości z całym, że tak powiem, dobrodziejstwem inwentarza, to znaczy ze wszystkimi upodobaniami Stwórcy Wszechświata – również wtedy, gdy wydają się one nam dziwaczne albo nawet nie na poziomie. W końcu to On stworzył Wszechświat i dopóki nie pojawi się ktoś, kto dokona takiej samej sztuki, to cała reszta nie powinna się nadymać. W przeciwnym razie upodobni się do Jana Pawła Sartre’a, który zwątpił w istnienie Stwórcy Wszechświata, bo nie okazał się On na poziomie paryskich snobów.

Nawiasem mówiąc, podejrzewam, że Sartre może nie nabrałby takich wątpliwości, gdyby nie Simona de Beauvoir, która była jeszcze większą kabotynką i snobką niż on, a przecież i jemu też niczego pod tym względem nie brakowało. Tę Simonę pięknie, chociaż oczywiście złośliwie sportretował Janusz Szpotański w nieśmiertelnym poemacie „Bania w Paryżu”, gdzie czytamy, jak to w salonie księżnej de Guise (*de domo Cohn*) co pewien czas odbywa się „zjazd najznakomitszych w świecie gwiazd, co intelektu światłem płoną. Bywa więc u niej Sartre z Simoną”, chociaż największy jest oczywiście filozof Levy-Stoss, któremu „nawet i sam Sartre czyszczenia butów nie jest wart!”.

Ale kierując się wspomnianą na wstępie pełną mądrości sentencją, muszę jednak przyznać, że ja też mogę się mylić w swej krytyce kolegi Mikkego, a to ze względu na niedawną dysputę, jaka odbyła się w łódzkim Centrum Dialogu im. Marka Edelmana z udziałem argentyńskiego rabina z Buenos Aires Abrahama Skórki i Jego Ekscelencji Grzegorza Rysia, arcybiskupa metropolity łódzkiego. Jak czytamy w „Kalejdoskopie” Łódzkiego Domu Kultury („Tylko dialog może zmienić świat”), „duchowni zgodnie podkreślili, że żadna religia nie ma monopolu na prawdę”. Jeśli relacjonujący tę dysputę pan Kacper Krzeczewski dobrze zrozumiał, co mówili jej uczestnicy, to rzeczywiście, nie da się ukryć – taki dialog może zmienić świat. Rzecz

w tym, że dotychczas wszyscy wyznawcy wszystkich religii myśleli, że tylko ona, to znaczy ta wyznawana przez nich, jest prawdziwa, podczas gdy wszystkie inne to albo brednie, albo – w najlepszym razie – brednie nadziewane ziarenkami prawdy, niczym wielkanocna baba rodzynekami. Jeśli jednak „żadna” religia nie ma „monopolu na prawdę”, to znaczy, że ani pan rabin Abraham Skórka nie jest pewien, czy nie opowiada bredni, ani też pewności takiej nie ma Jego Eksceleńcja Grzegorz Ryś, arcybiskup metropolita łódzki.

W takiej sytuacji elementarna uczciwość nakazywałaby powstrzymanie się przed dalszym – jak to się fachowo nazywa – „przepowiadaniem”, przynajmniej do czasu, gdy jakaś prawda zostanie jednak ustalona, niekoniecznie zaraz w postaci „monopolu”, niemniej jednak. Ale elementarna uczciwość to jedna sprawa, a ciśnienie tak zwanego „życia” to sprawa druga. Gdyby pan rabin Abraham Skórka, a zwłaszcza Jego Eksceleńcja tak z dnia na dzień przestał „przepowiadać”, to mogłoby to doprowadzić do gwałtownego upadku całej potężnej struktury, z którą swoją egzystencję związało bardzo wielu wpływowych i zaradnych ludzi, no a wielokrotnie więcej – jak to się fachowo określa – jej „zawierzyło”. Dlatego, chociaż już wiadomo, że „żadna” religia nie ma „monopolu na prawdę”, nadal „przepowiadamy” jak gdyby nigdy nic, bo próżno wierzgać przeciwko ościeniowi, zwłaszcza gdy ten potrafi boleśnie się odwierzgnąć. No a poza tym – jakże tak po długotrwałym „przepowiadaniu” z dnia na dzień się wycofać? Toż to byłaby „hańba i wstyd” – jeszcze większa niż w przypadku dwóch folksdojczów („Popatrz matko, popatrz ojczyzno – oto idą dwaj folksdojczy. Co za hańba, co za wstyd! Jeden Polak, drugi Żyd!”).

W takiej sytuacji kolega Janusz Korwin-Mikke może mieć rację – bo skoro „żadna” religia nie ma monopolu na prawdę, to nie mamy też pewności, czy biblijne opowieści o Stwórcy Wszechświata i jego upodobaniach do koczowników oraz pewnych form kultu są aby na pewno prawdziwe. W ogóle nie wiadomo, czy Stwórca Wszechświata istnieje – a w tej sytuacji również Jego ewentualne upodobania też nie miałyby żadnego znaczenia.

Możliwa jest jednak jeszcze trzecia sytuacja – że mianowicie obydwaj „duchowni” wypowiedzieli tę opinię w ramach kurtuazji. Skoro



bowiem już uprawia się „dialog”, to z uprzejmości wobec partnera trzeba przynajmniej udawać, że jego opinii traktuje się serio. Kiedy jednak udajemy zbyt długo, to zaczynamy uważać tak naprawdę, no a wtedy „dialog” rzeczywiście może „zmienić świat” – ale czy na pewno na lepszy?

*„NCz!” 11-12/2018*

# ROZTARGNIENI POD SPECJALNĄ OCHRONĄ

Nie ma takiej bramy, której nie przeszedłby osioł obładowany złotem – mawiali starożytni Rzymianie, co to każde spostrzeżenie zaraz ubierali w postać pełnej mądrości sentencji. Od tamtej pory minęło wiele stuleci, pieniądź kruszcowy został zastąpiony pieniądzem fiducjarnym, który ma wartość dlatego, że ludzie myślą, że ma wartość, w związku z czym dzisiaj osioł wcale nie musi być obładowany złotem, żeby, dajmy na to, sforsował w Polsce bramę Sądu Najwyższego.

Właśnie opinia publiczna została poruszona salomonowym wyrokiem Sądu Najwyższego, który uniewinnił sędziego przyłapanego na kradzieży 50 złotych, a więc nawet nie żadnego „złota”, tylko papierowego *Scheissu* o niewielkiej wartości. Niezawisły (jeszcze) Sąd Najwyższy przyjął bowiem, że ów sędzia nie miał wcale złych intencji i tych 50 złotych wcale nie „ukradł”, tylko „wziął” wskutek roztargnienia. Najwyraźniej musiał być tak przyzwyczajony do chowania do kieszeni każdego banknotu, jaki znalazł się w zasięgu jego wzroku, że to przyzwyczajenie zeszło u niego do poziomu instynktów, a jak wiadomo, instynkt wyłącza działanie świadome.

Tymczasem, według staroświeckich poglądów, które przydają się również, a może nawet zwłaszcza w takich sytuacjach, wyłączenie świadomości sprawcy czynu *tempore criminis* sprawia, że nie można przypisać mu winy, nawet nieumyślnej, a skoro tak, to nie ma innej rady jak tylko delikwenta uniewinnić.

Toteż niezawisły (jeszcze) Sąd Najwyższy tak właśnie uczynił, być może kierując się przesłanką tak zwanej notoryjności sądowej – że żaden sędzia nie potrafiłby oprzeć się pokusie schowania do kieszeni banknotu, jaki znalazł się w zasięgu jego wzroku i ręki. Skoro bowiem sędziowie stanowią wyjątkową pod każdym względem „kastę” ludzi, to muszą się od ludzi normalnych różnić jakąś, przynajmniej jedną, istotną właściwością. Dlaczego zatem nie taką?

Dodatkową poszlaką, jaka by na to właśnie wskazywała, jest deklaracja, jaką Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” wkłada w usta

Sędziego Soplidy: „Dano mi dobra? Wziąłem”. Wynika z niej, że Sędzia, niekoniecznie tylko Soplida, weźmie wszystko, co tylko zobaczy. Oczywiście zbyt dokładne roztrząsanie tego przypadku mogłoby doprowadzić do niepotrzebnego ujawnienia wobec opinii publicznej takich właśnie „kastowych” cech niezawisłych (jeszcze) sędziów, toteż Sąd Najwyższy roztropnie poprzestał na bezpiecznej formule „roztargnienia” – ale my możemy przecież rozebrać sobie ten *casus* z większą uwagą i dzięki temu dojść do konkretnych konkluzji, potwierdzających trafność spostrzeżenia pani sędzi Ireny Kamińskiej, ogłoszonego podczas Kongresu Sędziów Polskich.

### WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W SKALI MAKRO

Mówiąc nawiasem, był to bardzo ciekawy kongres, bo o ile mi wiadomo, nie poprzedziły go wybory żadnych delegatów, wskutek czego przyjechał tam, kto chciał – albo kto musiał. Jeśli zaś przyjechał ten, kto musiał, to dlaczego nie podejrzewać, iż przyjechali tam konfidenci, których na stanowiskach sędziów osadziły Wojskowe Służby Informacyjne albo i UOP, co to jeszcze w latach dziewięćdziesiątych przeprowadził, nadal owianą mgłą tajemnicy, słynną operację „Temida”, polegającą na werbunku agentury w środowisku sędziowskim?

Dopiero w świetle tych podejrzeń możemy lepiej zrozumieć przyczynę napięć wokół reformy sądownictwa – napięć wykraczających poza granice naszego nieszczęśliwego kraju. Jak bowiem wiadomo, w latach osiemdziesiątych, a więc w okresie poprzedzającym przeprowadzenie w Polsce sławnej transformacji ustrojowej, w następstwie której „upadł komunizm”, czego dowodem był wybór przywódcy owych „upadłych” komunistów, pana generała Wojciecha Jaruzelskiego, na prezydenta „wolnej Polski” – otóż w latach osiemdziesiątych NRD-owska STASI uzyskała od Sowietarzy pozwolenie na werbunek agentury w Polsce i skwapliwie z tego skorzystała. Po zjednoczeniu Niemiec – to znaczy po wchłonięciu przez RFN Niemieckiej Republiki Demokratycznej 3 października 1990 roku – aktywa STASI, a więc również jej agentura na terenie Polski, zostały przejęte przez BND. Te zależności reprodukują się w kolejnych pokoleniach ubeckich i sędziowskich dynastii, jako że mamy w Polsce nasilające się zjawisko dziedziczenia pozycji społecznej: dzieci

aktorów zostają aktorami, dzieci piosenkarzy – piosenkarzami, dzieci sędziów – sędziami, a dzieci konfidentów – konfidentami. Dopiero na tym tle rozumiemy przyczyny, dla których i Nasza Złota Pani, i jej niemieckie owczarki w osobach Jana Klaudiusza Junckera i Franciszka Timmermansa tak wielką wagę przykładają do praworządności w Polsce, a kierowana przez wspomnianych owczarków Komisja Europejska tak energicznie krytykuje reformę sądownictwa.

Jakże ma nie krytykować, skoro jej głównym celem jest eliminacja ze środowiska sędziowskiego agentury zainstalowanej tam przez STASI, WSI i UOP, a w jej miejsce zainstalowanie agentury zwerbowanej przez ABW pod nowym kierownictwem?

Skoro tedy wyjaśniliśmy sobie sytuację wymiaru sprawiedliwości w skali makro, możemy przejść do skali mikro. Zanim jednak to uczynimy, jeszcze jedna uwaga: otóż nasycenie środowiska sędziowskiego i prokuratury konfidentami wywołuje dodatkowe skutki – zarówno w zakresie ustawodawstwa, jak i praktyki wymiaru sprawiedliwości. Rzecz w tym, że agentura w prokuraturze i sądach jest wykorzystywana nie tylko do ochrony bezpieczniaków przed odpowiedzialnością karną za rozkradanie państwa i inne machinacje, ale również do ochrony przed odpowiedzialnością karną zwyczajnych konfidentów, którzy przez swoich mocodawców i zleceniodawców wynagradzani są właśnie bezkarnością.

Żeby uniknąć niepotrzebnej ostentacji, przeprowadzone zostały odpowiednie zmiany w ustawodawstwie. Bo zazwyczaj konfident przyłapany na dorabianiu sobie za pomocą kradzieży bywa pod rozmaitymi pretekstami oczyszczany z zarzutów, z czego oczywiście korzystają również funkcjonariusze organów ścigania, zgodnie z biblijną jeszcze zasadą, że „nie zawiążesz gęby wołowi młóćącemu”.

Wtedy taki konfident musi tylko opłacić łapówki – oczywiście *po czynu*, czyli według rangi zajmowanej w strukturze organów ścigania przez osobę tuszującą sprawę. Ale bywa i tak, że taki jeden z drugim konfident zostanie przyłapany na gorącym uczynku i ze względu na rozgłos w opinii publicznej sprawy zatuszować nie można bez utraty prestiżu i wywołania podejrzeń wobec organów ścigania.

#### WENTYL BEZPIECZEŃSTWA

Na taką okoliczność we wrześniu 2013 roku, a więc w ramach

grillowania premiera Donalda Tuska z powodu nieudanej próby uzyskania autonomii wobec Starych Kiejkutów, które zrobiły z niego człowieka, uchwalona została nowelizacja kodeksu postępowania karnego, w ramach której wprowadzona została instytucja tzw. dobrowolnego poddania się karze. Jeśli taki jeden z drugim konfident zostanie przyłapany na gorącym, to układa się z prokuratorem, że dobrowolnie podda się karze. Prokurator w takiej sytuacji już nie drażni sprawy, tylko występuje z odpowiednim wnioskiem do niezawisłego sądu, który bez przeprowadzania rozprawy i bez żadnego postępowania dowodowego przyklepuje przyłapanemu karę, którą tamten uzgodnił z prokuratorem – jak się możemy domyślać, nie za darmo.

Prawdopodobnie i sędzia też podłączany bywa do spółdzielni, bo nowelizacja obfituje w rozmaite zachęty: sędzia „może”, ale „nie musi”, a skoro tak, to trzeba go jakimiś argumentami do tego przekonać. W tej sytuacji tylko głupek by nie skorzystał, a wiadomo, że wśród niezawisłych sędziów żadnych głupków nie ma.

Wszyscy są więc zadowoleni: przestępca – bo unika kłopotliwych pytań, nie mówiąc już o podłączaniu do prądu, dzięki czemu może chronić współników, którzy w tej sytuacji poczuwają się do solidarności i składają na łapówki; funkcjonariusze organów ścigania – bo nie muszą przemęczać się pracą, a pieniądze płyną – jak mówi poeta: „skąd, gdzie – ani wiesz!”; no i niezawisłe sądy – bo postępowania toczą się sprawnie, jak na NKWD-owskim konwejerze, żadnych apelacji nie ma co się obawiać, a co się odłoży, to się odłoży.

Wreszcie zadowolone są Stare Kiejkuty, bo dzięki temu nie muszą rujnować się ani nawet dzielić z konfidentami dochodami uzyskiwanymi z okupacji naszego nieszczęśliwego kraju. Konfidenti pozostają – jak to się mówi – „na własnym życiu”, a Stare Kiejkuty, poprzez konfidentów uplasowanych w Sejmie i Senacie, stworzyły im ku temu odpowiednie warunki prawne, zaś konfidenti w organach ścigania i niezawisłych sądach roztaczają nad tym łańcuchem pokarmowym parasol ochronny.

#### WYMIAR SPRAWIEDLIWOŚCI W SKALI MIKRO

Toteż bez specjalnego zdziwienia przeczytałem postanowienie niezawisłego sądu w Mińsku Mazowieckim o odmowie uwzględnienia

wniosku mojej żony o zabezpieczenie na mieniu oskarżonego Rafała Piotra Kowalewicz roszczenia o zapłatę 50 tys. zł. W grudniu 2016 roku sprzed domu przy ul. Dobrej w Warszawie skradziony został nasz samochód Honda CRV. Poszukiwania nie dały rezultatu i wkrótce otrzymaliśmy urzędowe zawiadomienie, że ponieważ złodzieje się nie zgłosili, to organ sprawę umarza. Takie zawiadomienie mógłbym sam sobie napisać i wypadłoby to znacznie taniej niż koszty utrzymywania niezależnej prokuratury, z której – jak widać – żadnego pożytku nie ma i nie będzie. Aliści po roku zadzwonił policjant z komisariatu w Halinowie z wiadomością, że na posesji Rafała Piotra Kowalewicz policja znalazła części samochodowe, wśród nich również części z naszego samochodu, i że sprawa karna przeciwko panu Kowalewiczowi odbędzie się w niezawisłym sądzie w Mińsku Mazowieckim.

Toteż żona, będąca właścicielem samochodu, wystąpiła z wnioskiem o uznanie jej za pokrzywdzoną i o zabezpieczenie roszczenia na mieniu oskarżonego. Aliści okazało się, że pan Kowalewicz dobrowolnie poddał się karze, dzięki czemu niezależna prokuratura przyjęła do wiadomości jego wyjaśnienia, że tylko te części, które u niego znaleziono, kupił od nieznanego dostawcy – i o to tylko został oskarżony. Ponieważ te części zostały w toku postępowania przygotowawczego zabezpieczone, to pan Kowalewicz nie ma wobec właścicielki skradzionego samochodu żadnych zobowiązań, wobec czego sąd w osobie pani Anny Ławeckiej postanowił odmówić zabezpieczenia roszczeń na jego mieniu, bo właścicielka żadnych roszczeń wobec niego nie ma, tym bardziej że – jak napisała pani prokurator Agnieszka Gańko – pan Kowalewicz „wyraził skruchę”, w związku z czym „cele postępowania karnego zostaną osiągnięte” bez przeprowadzenia rozprawy.

Na postanowienie sądu o odmowie zabezpieczenia roszczenia służy oczywiście zażalenie, ale będę odradzał żonie, podobnie zresztą jak każdemu innemu człowiekowi, składanie zażaleń do niezawisłych sądów i w ogóle jakichkolwiek wniosków. „Widzi, że most – i jedzie!” – mawiano w czasach staropolskich, kiedy polskie mosty „cieszyły się złą opinią” – jak napisał był pewien milicjant za pierwszej komuny. „Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, wszystko to błazeństwo!”

– głosiło popularne w tamtych czasach przysłowie. Zatem nie ma żadnego powodu, by normalny człowiek oczekiwał od niezawisłego sądu jakiegoś sprawiedliwego rozstrzygnięcia. Toteż „widząc, że most”, lepiej nigdzie się nie odwoływać, bo pewnie im wyżej, tym gorzej – tylko pogodzić się ze stratą, tym bardziej że po orzeczeniu Sądu Najwyższego pan Kowalewicz i wszyscy inni z pewnością swoje postępowanie będą tłumaczyli „roztargnieniem”, bo roztargnienie najwyraźniej awansowało do rangi wiodącego kontratypu, a więc okoliczności wyłączającej przestępstwo.

„Głęboko odczuwamy wspólnotę naszych losów” – głosiło „Poślanie do narodów Europy Wschodniej” uchwalone przez I Zjazd Solidarności jesienią 1981 roku. Wtedy chodziło o wspólne odczuwanie dolegliwości politycznej niewoli, ale kiedy dzisiaj przypominam tamte słowa, to dlatego, że na skutek postępującej degeneracji funkcjonariuszy III Rzeczypospolitej oznaczają dziś one rodzaj pobratymstwa między „elementami socjalnie bliskimi”, to znaczy między środowiskami tworzącymi przestępcze podziemie a środowiskami tworzącymi „kasty” pretendujące do miana elity. Ale jakże inaczej, skoro pod okupacją Starych Kiejkutów III Rzeczpospolita stała się organizacją przestępczą o charakterze zbrojnym – *quod erat demonstrandum?*

„NCz!” 11-12/2018

## ZOSTAŁEM „OJCEM DUCHOWYM”!

Czego to się człowiek nie dowiaduje o sobie! Już byłem „rusofobem”, już byłem agentem niemieckim, już byłem nawet agentem Mosadu – bo do tego, że jestem agentem ruskim, już zdążyłem się przyzwyczaić i tylko od czasu do czasu wzdycham melancholijnie: „*może szkoda, że to nieprawda?*”.

Ale to wszystko to standard współczesnej publicystyki zaangażowanej, której luminarze każdego, kto ma zdanie odrębne, uważają za „agenta” – a jakiego – no, to zależy od tego, komu aktualnie się wysługują. A wysługują się albo temu, kto akurat roztacza kuratelę nad naszym nieszczęśliwym krajem, albo temu, do którego oni sami albo ich ojcowie („nasze matki, nasi ojcowie z SB”) się przewerbowali. Dlatego też i ja mogłem zostać agentem wszystkich możliwych potencji, Watykanu nie wyłączając. Ciekawe, że nie udało mi się awansować do rangi agenta amerykańskiego, ale rozumiem, że takie stanowiska są zarezerwowane dla absolwentów Szkoły Liderów przy Departamencie Stanu USA, z której pochodzą Umiłowani Przywódcy – i to nie tylko z obozu płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm, jak np. Pani Beata Szydło czy Kazimierz Marcinkiewicz, ale również z obozu zdrady i zaprzaństwa, jak Aleksander Kwaśniewski, Bronisław Komorowski czy Donald Tusk. Ale agent to tylko agent, nawet jeśli zostaje prezydentem czy premierem rządu naszego bantustanu, podczas gdy pan dr Targalski, ku memu zaskoczeniu, mianował mnie niedawno „ojcem duchowym” „partii rosyjskiej” w Polsce, której „konsolidację” swym argusowym okiem spostrzegł już „od dwóch miesięcy”. Tak się akurat składa, że przed dwoma miesiącami stacja TVN, którą podejrzewam, że została utworzona przez Starych Kiejkutów przy udziale pieniędzy ukradzionych z FOZZ, a po Międzynarodowej Konferencji Naukowej „Most”, jaka odbyła się 18 czerwca 2015 roku w Warszawie gwoli zasugerowania Amerykanom wciągnięcia Starych Kiejkutów na listę „naszych sukinsynów” – została sprzedana amerykańskiej firmie Scripts Network Interactive, której właścicielem jest Discovery Communications, gdzie prezesem jest pan Dawid Zaslav z pierwszorzędnymi, warszawskimi korzeniami – więc ta właśnie stacja



puściła w świat nagrań osiem miesięcy wcześniej przez pana redaktora Bertolda Kittela, którego podejrzewam o niebezpieczne związki ze Starymi Kiejkutami, relację o obchodach urodzin Hitlera w krzakach koło Wodzisławia Śląskiego. Przypuszczam, że obchody zostały zainscenizowane na zamówienie TVN, a od mego *honorable correspondent* z USA właśnie się dowiedziałem, że została puszczona na zamówienie środowisk żydowskich w związku z podjęciem przez Polonię amerykańską próby zablokowania ustawy HR 1226. Natychmiast odezwały się nożyce w osobie pana ministra Joachima Brudzińskiego, że będzie dusił „nazistów” gołymi rękami, a na początek postawi poza prawem ONR. Na tych ONR-owców intensywnie szczuje Umiłowanych Przywódców żydowska gazeta dla Polaków. Widocznie tamtejszy Judenrat uważa, że „nazistami” to mogą ewentualnie być Żydzi, zgodnie z zasadą, że czysty typ nordycki i bez mydła jest czysty, a mniej wartościowym narodom tubylczym – wara.

Oczywiście w Ameryce nikt *Scheissu* nadawanego przez TVN nie ogląda, więc Sanhedryn podniósł klangor w związku z zaskakującą nowelizacją ustawy o IPN, do której rząd wcisnął art. 55 a, przewidujący karalność opowieści o „polskich obozach” i w ogóle – ale która zarazem otworzyła nieistniejącą wcześniej furtkę do szkalowania Polski i Polaków w „dziełach naukowych” i „artystycznych”. Dzisiaj, kiedy za „naukę” uważane są *gender studies*, a „produkcją artystyczną” może być nawet gówno w słoikach, nowelizacja tej ustawy otwiera przed oszczercami niespotykane przedtem możliwości. Mimo to jednak strona żydowska podniosła klangor z obawy naruszenia żydowskiego monopolu na ustalanie prawdy historycznej i wszelkiej innej, a Naczelnik Państwa postawił sprawę prestiżowo, niczym Stalin podczas obrony Moskwy: ani kroku w tył! Taka nieustępliwość Naczelnika Państwa, pana prezydenta i rządu w sprawie merytorycznie wątpliwej, przy jednoczesnym tolerowaniu awanturnictwa uprawianego przez izraelską ambasadoressę, której nikt nie odważył się dać eskorty do granicy, oraz zagadkowym i uporczywym milczeniem w sprawie ustawy HR 1226, stwarzającej dla Polski i dla narodu polskiego realne i śmiertelne niebezpieczeństwo, budzi podejrzenia, że w sprawie realizacji żydowskich roszczeń majątkowych jakieś decyzje już zapadły i tylko dla polskiej opinii

publicznej mają pozostać tajemnicą jak najdłużej. Sprzyja tym podejrzeniom decyzja o przeznaczeniu 100 milionów na cmentarz, o budowie w Warszawie Muzeum Getta i podlizywanie się Żydom przy stwarzaniu pozorów nieugiętości w sferze pozorów.

W tej atmosferze groźnie zabrzmiała deklaracja sekretarza stanu Rexa Tillersona, który dosłownie kilka dni po pobycie w Warszawie wyraził swoje „rozczarowanie” postawą Polski, ale to furda w porównaniu z deklaracją rzeczniczki Departamentu Stanu, że w tej sytuacji Polska naraża na szwank swoje „interesy strategiczne”. Taka deklaracja postawiła wielki znak zapytania nad wiarygodnością NATO. Skoro bowiem USA z powodu politycznej przepychanki na tle finansowych malwersacji w Izraelu gotowe są szantażować Polskę uszczerbkiem „interesów strategicznych”, to czy można liczyć na Stany Zjednoczone w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa? Oczywiście dla absolwentów Szkoły Liderów takie myślozbrodnie są surowo zabronione, więc nic dziwnego, że i pan dr Targalski, który zresztą – o ile wiem – nie dostąpił zaszczytu uczęszczania do tego chederu, zatrząsł się z oburzenia i doszedł do wniosku, że skoro jestem zdolny do takiego zuchwalstwa, to dlatego, że musiałem zostać wyświęcony na „ojca duchowego” – i to przez samego Putina.

Tymczasem już od dawna, to znaczy od czerwca 2014 roku, powtarzam, że w stosunkach z USA Polska nie powinna godzić się na zbywanie „błyskotkami” w rodzaju „rotacyjnej obecności” w Europie Środkowej amerykańskiej ciężkiej brygady. To wojsko nie będzie przecież słuchało rozkazów rządu polskiego, tylko własnego, który w razie czego może powiedzieć: „chłopaki, tu się robi niebezpiecznie, wracamy do domu” – a my zostaniemy z fiutem w garści. Zatem jeśli Nasz Najważniejszy Sojusznik traktuje nas serio, to powinien zadbać również o rozwój naszych własnych mięśni – bo czym kończy się prężenie mięśni cudzych, to myśmy się dowiedzieli we wrześniu 1939 roku. Tym bardziej powinniśmy zabezpieczać się przed skutkami chimeryczności polityki amerykańskiej, o której przekonała nas dodatkowo ostatnia, fałszywa rzekomo pogłoska o szlabanie, jaki na wizyty w Białym Domu ma nałożony prezydent Duda i premier Morawiecki. Została ona energicznie, ale mgliście zdementowana, a któż nie wierzy zdementowanym informacjom? Na szczęście 12 marca

uczestnicy zjazdu Polonii amerykańskiej w Waszyngtonie odwiedzili ponad 300 biur kongresmanów, przeprowadzając rozmowy albo z nimi osobiście, albo z ich asystentami. Wyłania się w związku z tym możliwość, że ustawa HR 1226 zostanie zamrożona. Bogu niech będą dzięki – bo przecież trzeba prawdziwego cudu, żeby – po pierwsze – Polonia Amerykańska zaczęła się politycznie konsolidować i po drugie – żeby taki improwizowany lobbying zrównoważył naciski AIPAC. No i Rex Tillerson właśnie został odwołany.

*„NCz!” 13-14/2018*

# KRYZYS SOJUSZU EGZOTYCZNEGO

Sojusze, jak wiadomo, dzielą się na realne i egzotyczne. Sojusz realny w uproszczeniu polega na tym, że jeśli jeden sojusznik utraci niepodległość, to to samo grozi drugiemu sojusznikowi. W sojuszu egzotycznym jest inaczej – jeśli jeden sojusznik utraci niepodległość, to drugi może tego nawet nie zauważyć.

Przykładem sojuszu realnego była unia polsko-litewska, której początki przypadają na rok 1385, kiedy to zaaranżowane zostało małżeństwo Jadwigi, córki Ludwika Węgierskiego z francuskiej rodziny Anjou, która w tym czasie trzęsła znaczną częścią Europy. Uwieńczeniem stała się Unia Lubelska z 1569 roku, w następstwie której powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów – olbrzymie, liczące prawie milion kilometrów kwadratowych państwo, które ostatecznie upadło w roku 1795.

Jego wspomnienie jest ciągle żywe w sentymentach zarówno polskich, jak i litewskich, z tym, że po „rozwodzie Jadwigi z Jagiełłą”, jaki nastąpił po I wojnie światowej, litewski sentyment wyżywa się przede wszystkim w podejrzliwości i niechęci wobec Polski, podczas gdy polski – w literaturze budzącej wspomnienie dawnej potęgi. Bardzo zresztą mgliste. Choćby rzeka Druć. 99 procent Polaków niczego sobie z nią nie kojarzy albo w ogóle o niej nie słyszało. Tymczasem właśnie linią tej rzeki biegła granica pierwszego rozbioru Polski w 1772 roku. Katarzyna chwilowo dalej na zachód nie poszła, dzięki czemu Druć – jak pisze Michał Kryspin Pawlikowski w książce „Wojna i sezon” – była w historii Polski pierwszą „linią Curzona”.

Lepiej wygląda wspomnienie w literaturze, chociaż i tutaj coraz gorzej. Któż na przykład zna pieśń, jak to „Na Podolu pod Kamieńcem stanął Turek gęstym wieńcem – chce wytropić bród. Lecz Kamieniec złoty wieniec. Hej! Kamieniec nie słoboda! Wkoło murów płynie woda, a na murach lud! Poprzed wojskiem jeździ Basza; błyszczą słońce od pałaza, a on wzywa lud: Choć Kamieniec złoty wieniec, choć dokoła płynie woda, nam Kamieniec jak słoboda, bo w Kamieńcu głód. Uchodź Baszo, nieboracze, bo nad twoją głową kracze lichej wróżby ptak. Nasz głód mniejsza, lecz straszniejsza dla cię Baszo wschodzi zorza. Leci kawek rój od morza, jako czarny szlak. Lecą kawki, gwar

się wszczyna, a od strony Husiatyna ciągnie polski Król. Króla pana srocza z rana szczebiotaniem siostry wita, a w Kamieńcu ludzi pyta sęp podolskich pól: – Jak wy Baszę zabijecie, gdzie wy grób mu pościelecie i kto weźmie rząd? Kto zje konie, strawi bronie, kto zabierze buńczuk złoty, kto zabierze te namioty i baszowski sprzęt? – Jak my Baszę zabijemy, to moglię mu wzniesiemy. Hej! Nad Dniestrem tam! W cerkwi damy złote bramy, ty z twą bracią pojesz konie, rdza pogańskie strawi bronie, rząd weźmie Król sam”? Coraz mniej Polaków pamięta takie rzeczy, bo teraz dzieci karmi się całkiem inną literaturą, a w „szumańskim komsomole” hrabina Róza von Thun und Handehoch im tego przecież nie powie.

Przykładem sojuszu egzotycznego jest z kolei sojusz polsko-amerykański. Amerykanie chętnie prawią swoim sojusznikom rozmaite komplementy, jak pewnego delegata UNESCO skomplementował nowojorski funkcjonariusz: „Wiem wiem, to mały, ale bardzo dzielny naród!”. Nic na to oczywiście poradzić nie można, bo ta egzotyka wynika z proporcji między Stanami Zjednoczonymi a Polską. To oczywiście nie jest żaden powód, by ze względu na tę egzotykę takim sojuszem wzgardzić. Przeciwnie – ta sytuacja powinna takiego sojusznika jak Polska zachęcać do zmniejszania tej egzotyki, na ile tylko to możliwe – a jest to możliwe.

#### AGENCI I FAJE

Jest możliwe – ale pod egidą innych sił politycznych niż te, które rządzą naszym nieszczęśliwym krajem. Zgodnie z moją ulubioną teorią spiskową, Polską rotacyjnie rządzą trzy stronnictwa: Ruskie, Pruskie i Amerykańsko-Żydowskie – w zależności od tego, pod czyją kuratelą akurat się znajdujemy i która centrala uruchamia swoją watahę Starych Kiejkutów, które się akurat do niej u progu transformacji ustrojowej przewerbowwały. Z kolei Stare Kiejkuty wysuwają na fasadę swoich konfidentów, a w najlepszym razie – pożytecznych idiotów. Ani od jednych, ani od drugich żadnej dbałości o polskie interesy państwowe oczekiwać nie można – a to właśnie ona, ta dbałość o polskie interesy państwowe, stanowi istotę zmniejszania egzotyki. Czy jednak taki osobnik jak Aleksander Kwaśniewski albo Bronisław Komorowski, według wszelkiego prawdopodobieństwa wystrugany z banana na prezydenta przez Najstarszego Kiejkuta III

Rzeczypospolitej, pana generała Marka Dukaczewskiego, po mieczu i kądzieli z porządnej, ubeckiej rodziny (ciekawe, czy Naczelnik Państwa odważy się i jego teraz zdegradować), jest w ogóle zdolny do takich rzeczy? Wolne żarty! Aleksander Kwaśniewski, którego uważam za prawdziwe nieszczęście dla Polski, nie potrafił niczego załatwić nie tylko dla naszego nieszczęśliwego kraju, ale nawet dla siebie. Mam na myśli okazję, jaka pojawiła się w związku z wysłaniem polskiego kontyngentu wojskowego do Iraku. Można było wtedy przedstawić prezydentowi Bushowi dwie prośby wzajemne: żeby USA obiecały Polsce zachowanie neutralności w sprawie żydowskich roszczeń majątkowych oraz wyraziły zgodę na militarną konwersję polskiego długu zagranicznego, to znaczy żeby Polska, zamiast spłacać raty, za zgodą wierzycieli przeznaczyła te pieniądze na modernizację własnej armii. O ile mi jednak wiadomo, prezydent Kwaśniewski ani o tym nie pomyślał, sądząc, że prezydent Bush z wdzięczności zrobi go I sekretarzem ONZ, a w ostateczności – I sekretarzem NATO. Oczywiście nic z tego nie wyszło, bo prezydent Bush, chociaż nie cieszył się w USA reputacją tęgiej głowy, najwyraźniej przejrzał Aleksandra Kwaśniewskiego na wylot. W rezultacie Polska nic z tego nie miała, jeśli nie liczyć napiwków, jakie Amerykanie wypłacili swoim agentom za pośrednictwem firmy NUR Corporation, z którą w Polsce kolaborowała pewna firemka jednorazowego użytku. Czy Aleksander Kwaśniewski załapał się na ten napiwek – tego oczywiście nie wiem, ale wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak właśnie było.

#### W OBRONIE AWANTURNIKA

Inna okazja powiązania polskiego interesu państwowego z amerykańskim pojawiła się za prezydentury Lecha Kaczyńskiego, kiedy to gruziński awanturnik w służbie amerykańskiej, Michał Saakaszwili, rozpętał awanturę w Osetii i Abchazji. Mogła to być zresztą z jego strony samowolka, na co wskazywałaby początkowa nieobecność amerykańskich okrętów na Morzu Czarnym. W rezultacie rosyjskiego uderzenia armia gruzińska poszła w rozsypkę i tylko interwencja francuskiego prezydenta Sarkozy'ego, który najprawdopodobniej też w imieniu Naszej Złotej Pani skłonił zimnego ruskiego czekistę Putina do wstrzemięźliwości. Ten, w trosce o strategiczne partnerstwo z Niemcami, powstrzymał się przed

wtargnięciem do Tbilisi. Przez naszych propagandystów zostało to przedstawione jako skutek przylotu do gruzińskiej stolicy prezydenta Lecha Kaczyńskiego, co miało podzielać na Putina w charakterze zimnego prysznica. Ale nawet jeśli prezydent Lech Kaczyński również sam tak myślał, to tym większy jego błąd, że nie pomyślał, by za podjęcie się tej niebezpiecznej roli amerykańskiego dywersanta na Europę Wschodnią uzyskać dla Polski jakieś korzyści. Przeciwnie – zrobił to za darmo i kiedy izraelski prezydent Peres po 18 sierpnia 2009 roku „namówił” prezydenta Obamę do wycofania elementów „tarczy antyrakietowej” z Europy Środkowej, ten 17 września 2009 roku jedną deklaracją rozwiął prezydentowi Kaczyńskiemu wszystkie – jak to w „Gazecie Wyborczej” określił Główny Cadyk III RP, Aleksander Smolar – „postjagiellońskie mrzonki”; ani Polska nic z tego nie miała, ani on sam. Nie jestem pewien, czy prezydent Kaczyński w ogóle został przez prezydenta Obamę poinformowany o zamierzonym resecie w stosunkach z Rosją.

#### POMARAŃCZOWE BĘCWAŁSTWA

Ale jeśli nie, to sam ponosi za to winę, podobnie jak wspomniany Aleksander Kwaśniewski. Oto w roku 2004 na Ukrainie wybuchła „pomarańczowa rewolucja”, w następstwie której na miejsce tamtejszego prezydenta Leonida Kuczmy został zainstalowany amerykański agent Wiktor Juszczenko, obstawiony dodatkowo przez krasawicę-raskrasawicę, właścicielkę fortuny ciemnego pochodzenia, Julię Tymoszenko, która wygartywała z rozmaitych kominów, ruskiego nie wyłączając. W związku z tym do Kijowa pielgrzymowali na Majdan zarówno konfidenci, jak i faje, a także pracownicy przemysłu rozrywkowego w rodzaju pana Pawła Kukiza. I znowu Polska nic z tego nie miała, a nawet gorzej niż nic – bo jedyną realną siłą polityczną, na której opierał się zarówno prezydent Juszczenko, jak i piękna Julia zostali na Ukrainie banderowcy, wysuwający wobec Polski rozmaite pretensje, również terytorialne. Tymczasem gdyby Polska uprawiała jakąś politykę, a nie kurewstwo, do Departamentu Stanu w Waszyngtonie powinien pojechać ktoś z Warszawy i powiedzieć: wiemy, że będziecie robili pomarańczową rewolucję na Ukrainie. Bardzo nam się to podoba, więc powiedzcie, co chcecie, byśmy zrobili – ale z naszej strony jeden warunek – że siłą napędową tej rewolucji

nie będą banderowcy. W przeciwnym razie zamkniemy granicę, wszystkich wyłapiemy i wsadzimy Putinowi w eszelon prosto na Kamczatkę. Rzecz w tym, by nasi amerykańscy sojusznicy wiedzieli, jakie są polskie warunki brzegowe. Ale agenci, których CIA wystrugała z banana, nic takiego powiedzieć przecież nie mogą, bo zaraz oficer prowadzący by im przypomniał, skąd wyrastają im nogi.

Kolejna okazja zmniejszenia egzotyki w polsko-amerykańskim sojuszu pojawiła się w roku 2014, kiedy prezydent Obama, w związku ze zresetowaniem w roku 2013 swego poprzedniego resetu w stosunkach z Rosją, przyjechał do Warszawy, by nam powinszować, że znowu podjęliśmy się niebezpiecznej roli amerykańskiego dywersanta na Europę Wschodnią. Dwukrotnie na antenie Radia Maryja mówiłem wtedy, że tym razem nie powinniśmy powtarzać błędu prezydenta Kaczyńskiego i należy przedstawić prezydentowi Obamie dwie prośby wzajemne: żeby rząd USA oficjalnie zapewnił Polskę, że nie będzie wywierał na nią żadnych nacisków w sprawie realizacji żydowskich roszczeń majątkowych i po drugie – że Polska, podejmując się tej niebezpiecznej roli, siłą rzeczy stała się państwem frontowym. W związku z tym oczekivalibyśmy, że Stany Zjednoczone będą traktowały Polskę tak samo jak inne państwo frontowe, czyli Izrael. To znaczy kroplówka finansowa 4 mld dolarów na modernizację i dozbrojenie armii, no i udogodnienia wojskowe podobne do tych, z jakich korzysta Izrael. Ale o ile mi wiadomo, ówczesny prezydent Komorowski nawet nie pomyślał, by prezydentowi Obamie prezentować jakieś prośby, tylko sadził mu jakieś ciężkie dowcipy, których tamten nawet w ogóle nie zrozumiał. I tylko Książę-Małżonek Radosław Sikorski w podsłuchanej rozmowie ubolewał, że Polska robi Obamie „laskę za darmo”. Ale to przecież on, jako minister spraw zagranicznych, tę „laskę” prezydentowi Obamie robił. Domyślam się w związku z tym, że nie miał nawet z tego żadnej osobistej przyjemności.

A kiedy do rządów w 2015 roku doszła ekspozytura Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego, sytuacja znacznie się pogorszyła – o czym można było przekonać się na przykładzie stosunków polsko-ukraińskich. Postępowanie Polski w stosunkach z Ukrainą nie zasługuje nawet na zaszczytną nazwę polityki, bo polityka powinna



mieć jakiś cel, podczas gdy w tym postępowaniu żadnego celu dopatrzeć się niepodobna – jeśli nie uznać za taki obsesji Naczelnika Państwa, który najwyraźniej musi uważać, że wszystko, co może zirytować zimnego ruskiego czekistę Putina, musi być dobre dla Polski. W rezultacie doszło do tego że ukraińscy dygnitarze traktują Polskę tak, jak nie ośmieliliby się potraktować szanującej się prostytutki.

### POLSKA JAKO SKARBONKA DLA ŻYDÓW

No i wreszcie doszło do sytuacji, jaka przedstawiona została w notatce przeznaczonej dla ministra spraw zagranicznych. Umiłowani Przywódcy najpierw próbowali przy pomocy kłamstw zaprzeczać jej istnieniu, w czym sekundowała im rządowa telewizja, udowadniając, że jest zdolna do wszystkiego, a potem, kiedy faktu nie udało się już ukryć, zaczęła sprawę bagatelizować w stylu „Polacy, nic się nie stało!”. Tymczasem się stało, bo z deklaracji byłego sekretarza stanu Rexa Tillersona i oświadczenia rzeczniczki Departamentu Stanu wynikało, że na skutek nowelizacji ustawy o IPN Polska może narazić na szwank swoje „interesy strategiczne”. Warto podkreślić, że Rex Tillerson swoje „zaniepokojenie” wyraził tuż po wizycie w Warszawie, gdzie rozmawiał między innymi z Naczelnikiem Państwa Jarosławem Kaczyńskim. Jak wynika z wypowiedzi samego Jarosława Kaczyńskiego na konferencji prasowej po rozmowie z byłym sekretarzem Tillersonem, nie rozmawiano o amerykańskiej ustawie S.447 HR 1226. O czym tedy rozmawiano, skoro Rex Tillerson wyraził potem „zaniepokojenie” nowelizacją ustawy o IPN? Czyżby Naczelnik Państwa tylko mu się pochwalił, że lada dzień zacznie degradować nieboszczyków? Tak czy owak, z tych deklaracji Departamentu Stanu wynikało, że USA znowu traktują Polskę wyłącznie jako skarbonkę dla żydowskich organizacji przemysłu holokaustu w Ameryce i dla Izraela. To jest gorsze od jakiegokolwiek egzotyki – ale właśnie takie są skutki wszystkich, opisanych wyżej, zaniedbań i zaniechań.

„NCz!” 13-14/2018

# PRZECIWKO MURZYŃSKIM NAZISTOM

- Panie doktorze, pan nie ma pojęcia, co ja przeżywam; niech mnie pan ratuje, bo ja już nie wiem, co się ze mną dzieje!

- Panie Piperman, niech pan się napije zimnej wody. O tu, masz pan szklankę. Co? I ręce też się panu trzęsą? Niech pan nie gryzie szklanki, bo się pan pokaleczysz. Może będą panu degradowali?

- Ja nie gryzę, mnie zęby się tak trzęsą. Może będą mnie degradowali, ale nie o to mnie chodzi.

- To o co pana chodzi?

- Mnie chodzi o to, że ja czarno widzę, to znaczy, panie doktorze, uważasz pan, ja widzę ciemność.

- Ciemność pan widzisz? To widzisz pan czy nie widzisz? Niech panu zbada okulista, bo pan mnie tu mówisz zagadkami.

- Jaki tam okulista, ja do okulisty nie mam zaufania, bo ja mam zaufania do pana doktora. Pan doktor mnie już raz dobrze poradził z tymi nazistami, to może mnie jeszcze raz poradzi z Murzynami?

- Panie Piperman, pan się dobrze czujesz? Pan nie masz zawroty głowy? Pan nie słyszysz głośno? Pan widzisz Murzynów?

- Ja ich widzę, ale jakby tu panu doktoru powiedzieć - ja ich widzę oczyma duszy!

- Oczyma duszy, powiadasz pan, panie Piperman? O! To pan masz duszę? Od kiedy? Jak pan był w Resorcie, to przecież duszy pan nie miał. Kiedy to panu wyrosła dusza i w którym miejscu? Może między nogami?

- Panie doktorze, ja wiem, że to wszystko nie trzyma się kupy i jakby mnie tak kiedyś zeznawał jakiś podejrzany, to ja bym jemu zdarł wszystkie paznokcie i przekazał niezawisłemu sądu. Ale teraz są inne czasy, a jak są inne czasy, to nawet duszę wypada sobie sprawić. Ale co ja będę takie rzeczy tłumaczył panu doktoru, kiedy pan sam to jeszcze lepiej wie? Zostawmy już tę duszę, tylko niech mnie pan ratuje!

- No a co panu, panie Piperman, szkodzą Murzyni? Boi się pan ich?

Przecież ony nic panu zrobić nie mogą, podobnie jak te nazisty, co to pan nie mógł przez nich ani spać, ani jeść.

– **Ja, uważasz pan, panie doktorze, sam się ich nie boję, ale ja się boję, że jak tak dalej pójdzie, to ony, te Murzyny, wezmą i puszczą nas z torbami.**

– **Panie Piperman, ja może poszukam termometr i zmierzę pana gorączkę? Od dawna masz pan te objawy?**

– **Jakby mnie tak powiedział Biberglanc, to ja bym się obraził, ale na pana, panie doktorze, to mnie się obrażać nie wypada, bo ja mam do pana zaufanie. Niech pan nie szuka tego termometra, tylko niech mnie pan posłucha, to wszystko pan zrozumie.**

– **No dobrze, niech pan mówi, panie Piperman, ale wiesz pan – jak czekista czekaście!**

– **O, tak mnie pan mów, panie doktorze. Już melduję. Jak pan wiesz, ja mam zięcia. On jest w ABW, ale prywatnie to bardzo porządny człowiek. I my kiedyś rozmawiali o tej ustawie, co to nasze Żydki kazały senatorom uchwalić w Ameryce. Ja byłem zachwycony, że teraz to my już wyszlamujemy głupich gojów do ostatniej koszuli, a wtedy on mnie powiedział o tych Murzynach.**

– **Co? On też? To może niesłychanie wzbogacić medycynę! Jak ja napiszę w „The Lancet”, że psychiczne choroby mają podłoże zakaźne, to ja mogę dostać Nagrodę Nobla! Mów pan, panie Piperman, ja sze już zamieniam w słuch!**

– **To nie tak, jak pan doktor myślisz, ale dobrze. Ja też go wyśmiałem, jak on mnie o tych Murzynach, ale potem mnie się zrobiło czarno przed oczami. Niech pan doktor słucha. On powiedział, że nasze Żydki w Ameryce mogą otworzyć puszkę z Pandorą. Bo, uważasz pan doktor, ta ustawa likwiduje zasadę, że mienie bezdziedziczne przypada skarbu państwa, którego nieboszczyk był obywatel. Że jak Kongres przyjmie zasadę, że mienie bezdziedziczne mogą otrzymać choćby nasze Żydki, to zostanie otwarta puszka z Pandorą.**

– **Co to za puszka z Pandorą, co pan mówisz takie rzeczy, panie Piperman?**

– **To tylko taka przerzutka poetycka. Więc zięć powiada, że jak tak, to tylko patrzeć, jak Murzyny rzucą się na naszych Żydków i**

wyszlamują ich ze wszystkiego, co ony najpierw wyszlamowały u głupich gojów.

– Dlaczego Murzyny mają rzucać się na Żydków?

– Ony i teraz się rzucają; pan doktor może nie wiesz, że w Ameryce jest taki Ludwik Farrakhan, co on mówi, że socjalizm wymyśliły Żydy, żeby zniszczyć Murzynów. On się odgraża, że on wszystkich Żydów poda do sądu o odszkodowanie za handel niewolnikami.

– Panie Piperman, to jakiś *ein mszygene Kopf*. Przecież to było ponad 200 lat temu!

– Tak, ale jakby goje uznały to za ludobójstwo, to pan doktor wiesz – to się nie przedawnia. A wtedy te Murzyny podałyby do sądu wszystkich Rotszyldów – bo ony właśnie na tym handlu porobiły fortuny. A jak już wyszlamują Rotszyldów, to jak pan myślisz – co będzie dalej? Rotszyldy to przecież im nie wystarczą nawet na odsetki!

– Ajajajajajaj! Co pan mówisz takie rzeczy! Jak ja słucham takie rzeczy, to mnie też się robi czarno przed oczami! Jak Rotszyldy nie wystarczą, to ony, te Murzyny, przyjdą i do nas. Pan masz *Recht* – to znaczy ten cały pański zięć – że jak raz Ameryka odejdzie od zasady, że mienie bezdziedziczne przypada państwu, co to nieboszczyk był jego obywatelem, to nikt się nie opędzi przed Murzynami, a może nawet i przed Indianami!

– To właśnie jest ta puszka z Pandorą, panie doktorze. Jak ona się otworzy, to niech Pan Bóg zabroni! Nikt nie poradzi jej zamknąć. To jak ja pomyszę, że to wszystko, co ja sobie uzbierałem w Resorcie, przyjdą i wezmą Murzyny, to ja widzę ciemność. A tu jeszcze w dodatku może zaczną mnie degradować. Panie doktorze, niech mnie pan coś poradzi, niech mnie pan ratuje!

– Panie Piperman, ja myślę, że tu medycyna może być bezsilna. Ja nie słyszałem, żeby medycyna miała jakieś lekarstwo na Murzyny. Widzisz pan, mnie też zaczynają trząść się ręce, a słyszę, że i zęby też mnie szczękają. Tu nie trzeba doktora, tu trzeba adwokata, żeby z Murzynami wygrał w niezawisłym sądu. Pan znasz jakiegoś adwokata co by z nimi wygrał?

– Ja nie znam, ale mój zięć, co jest w ABW, ale prywatnie to bardzo porządny człowiek, on mówi, że najlepiej chwycić byka za rogi i zanim Murzyny oskarżą Rotszyldów o handel niewolnikami, to żeby ich oskarżyć o holokaustu. Że holokaustu zrobiły murzyńskie nazisty. To co – idziemy do adwokata?

*„NCz!” 15-16/2018*

## CZARNO WIDZĘ

„**K**arabin to broń zdradziecka, Buffalo Bill, Buffalo. Kurwa żadna nie ma dziecka, Buffalo Bill, Buffalo Bill” – głosi jedno z haseł sławnej piosenki biesiadnej. A dlaczego kurwa nie ma dziecka? To jasne – bo je sobie wyskrobała! Wprawdzie moja faworyta, Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, podczas przesłuchania u resortowej „Stokrotki”, czyli pani red. Moniki Olejnik, kiedy to – podobnie jak za pierwszej komuny ubecy – obydwie próbowały skonfundować panią Kaję Godek i zmusić ją do rewokowania, powiedziała, że „nikt nie robi aborcji, bo lubi” i nie jest to „jak chodzenie do kosmetyczki”, ale – po pierwsze – skąd Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus może wiedzieć, co kto lubi, a czego nie?

Gdyby naprawdę nikt nie lubił aborcji, to czy Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus próbowałaby przy pomocy promowania aborcji uciuć sobie trochę politycznego kapitału? Na pewno nie – a skoro widzimy, że próbuje, to znaczy, że liczy na czyjąś wdzięczność. Na przykład na wdzięczność współwłaściciela wydającej żydowską gazetę dla Polaków spółki „Agora”, starego żydowskiego grandziarza finansowego Jerzego Sorosa, który na rozmaite destrukcje organicznych więzi wśród narodów mniej wartościowych wyłożył niedawno 18 miliardów dolarów. Jestem pewien, że nawet jedna tysięczna tej sumy bardzo by pomogła partii Nowoczesna w sfinansowaniu kampanii wyborczej i zapewnieniu Wielce Czcigodnym kolejnych czterech lat beztroskiego życia na koszt podatników, więc na tle takich wiadomości lepiej rozumiemy, dlaczego Wielce Czcigodna tak się przy aborcji uwija.

Nie ma rzeczy doskonałych, ale nie ma też rzeczy absolutnie złych. Zwłaszcza że – jak powiada poeta – „z wszystkiego można szmal wydostać, tak jak za okupacji z Żyda”. Toteż przy niejakiim udziale filozofów „powstała wnet straszliwa wiedza”, jakobyśmy przez urodzeniem mieli do czynienia z „płodem”, a dopiero po urodzeniu – z człowiekiem. Taki pogląd byłby już odrzucony w starożytności, czego dowodem są słynne antynomie megarejskie, ale czy Wielce Czcigodni w ogóle słyszeli o takich rzeczach, skoro nie słyszeli o nich nawet

niektórzy utytułowani filozofowie z rozmaitych chederów? Kiedyś nawet dyskutowałem z jednym takim i zapytałem go, czy na minutę przed urodzeniem mamy już do czynienia z człowiekiem. – Na minutę – powiedział po namyśle – to tak. – A na dwie minuty – zapytałem? Po jeszcze dłuższym namyśle odpowiedział, że jeśli na dwie minuty, to też. – A na dziesięć minut przed urodzeniem? – ciągnąłem nieustępliwie, podczas gdy mój rozmówca pogrążał się w ponurym nastroju. Tak doszliśmy do bodajże tygodnia poprzedzającego urodzenie i nadal nie potrafiliśmy wyznaczyć pewnej granicy między człowieczeństwem a „płodowością”, więc zaproponowałem, by w takim razie przestać zasłaniać się semantyczną sztuczką z „płodem”. Została ona wymyślona przez filutów, żeby na ludzi bardzo małych nie rozciągać prawnej ochrony praw człowieka – i tylko dlatego filozofowie, w pogoni za „grantami”, skwapliwie przyjmują urodzenie za moment konstytuujący człowieczeństwo. Tymczasem przypisywanie urodzeniu jakiejś konstytutywnej roli jest podyktowane wyłącznie wygodą administracji. Tego jednak oficjalnie przyznać nie można, toteż filozofowie w służbie różnych organizacji przestępczych o charakterze zbrojnym, ale i nieuzbrojonych, podnoszą argument, że przed urodzeniem mamy do czynienia jedynie ze „zlepkiem komórek”.

Ale – powiedzmy sobie szczerze – gdyby takiemu filozofowi rozłupać łeb siekierą, to z całą pewnością poza rozmaitymi „komórkami” niczego innego byśmy tam nie znaleźli. Te rozmaite komórki tworzą zlepki, którym następnie nadajemy imiona i nazwiska, naukowe tytuły i rozmaite godności, a nawet poselskie mandaty – jak w przypadku Wielce Czcigodnej mojej faworyty – ale dlaczego właściwie duże zlepki miałyby być traktowane z rewerencją, podczas gdy mniejsze – nie? Kiedyś pani Barbara Labuda, wzięta na ministra do Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, z sarkazmem powiedziała, że „zygota stała się wartością konstytucyjną”. Zwróciłem jej uwagę, że nie powinna mówić o zygotach z takim lekceważeniem, bo przecież ona sama też jest zygotą, tyle że wyrosniętą, a taki np. pan minister Ryszard Kalisz – nawet przerośniętą. W dodatku takie wyrosnięte zygoty powodują więcej problemów, bo na przykład zajmują więcej miejsca w przestrzeni, a jeśli, nie daj Boże, mają jeszcze ambicje polityczne – jak np. moja faworyta, Wielce Czcigodna Joanna

Scheuring-Wielgus – to może to nawet doprowadzić do narodowej katastrofy. Nie bez powodu Czesław Miłosz ostrzegał, że „wariat na swobodzie największą klęską jest w przyrodzie”, więc od razu widać, że to nie są żarty.

Skoro zatem miłośnicy aborcji nie tylko dopuszczają, ale nawet natarczywie domagają się likwidowania zygot, to może nie powinni zatrzymywać się w pół drogi, tylko śmiało przystąpić do likwidowania zygot wyrośniętych? W czynie społecznym podpowiadam nawet nazwę, sugerującą – podobnie jak „płód” – etyczną dopuszczalność takich czynności: „aborcja opóźniona”. Mogłaby ona być stosowana nawet wobec osób starszych, które często stwarzają swojemu otoczeniu więcej problemów, niż dziecko może stworzyć kurwie – a przecież kurewski punkt widzenia jest przy żądaniu legalizacji aborcji decydujący.

Jestem pewien, że Nowoczesna, być może wraz z partią Razem i innymi zwolennikami nieubłaganego postępu, rozważy tę możliwość z zainteresowaniem, jako że nie ma co stawiać jakichś granic, gdy chodzi o wolność i swobodę. Co prawda tylko w sferze zabijania, ale przecież nie od razu Kraków zbudowano, więc od czegoś trzeba tę walkę o wolność rozpocząć. Jestem też pewien, że wielu obywatelom bardzo by się spodobało takie rozszerzenie granic wolności, by każdy mógł zabić każdego, tak jak Feliks Dzierżyński mógł każdego aresztować. Szczególnie żeby taką możliwość zyskały kobiety – bo dopiero wtedy znajdą remedium na wszystkie opresje i molestowania ze strony męskich, szowinistycznych świń, których podobno nie brakuje nawet w najbardziej postępowych towarzystwach.

### KOBIETY JAKO PROLETARIAT ZASTĘPCZY

Niewątpliwie kobiety wysuwają się do awangardy komunistycznej rewolucji, jaka na podobieństwo tornada przewala się przez Europę i Amerykę Północną. Są w awangardzie, ale z tą poprawką, że zostały tam wysunięte przez rewolucjonistów urodzonych, którzy stanowią osobną kastę bez względu na płeć, podobnie jak i sędziowie, z tym oczywiście, że sędziowie świecą światłem odbitym. Rewolucjoniści zaś postępowi są z natury na tej samej zasadzie, jak czysty typ nordycki i bez mydła jest czysty. To oni są nosicielami nieubłaganego postępu i zwiastunami jutrzejszej swobody, toteż sprawiedliwość dziejowa



domaga się, by posiadali proletariat, który mogliby wyzwalać i uszczęśliwiać.

Rewolucjonista bez proletariatu to postać groteskowa; weźmy takiego pana Zandberga; co on by znaczył bez proletariatu? Rewolucjoniści muszą tedy mieć proletariat, ale tu proces dziejowy spletał im figla. Tradycyjny proletariat – to znaczy pracownicy najemni – stracił smak do rewolucji komunistycznej i z dziesięciolecia na dziesięciolecie pograża się w sprośnych błędach Niebu obrzydłych. Inna sprawa, że ci tradycyjni proletariusze byli nieszczerymi sojusznikami rewolucjonistów. Jak zauważył w nieśmiertelnym poemacie „Towarzysz Szmaciak” Janusz Szpotański, jeśli nawet wachali się z rewolucjonistami, to „brudną i mokrą swą robotą przecież parają się nie po to, by takie odnieść stąd korzyści, że obłąkany świat się ziści. (...) Kiedy zwycięskie toczą boje ze straszną reakcyjną hydrą, to chcą mieć pewność, że na zawsze zdobędą to, co hydrze wydrą”. A jak taki jeden z drugim proletariusz wydarł hydrze to i owo, to spełniał swoje najskrytsze marzenie, by przestać być proletariuszem. I kiedy proletariuszem być przestawał, to stawał się „drobnomieszczaninem”, którego rewolucjoniści nienawidzą chyba najbardziej. Wybaczą nawet plutokratom, a drobnomieszczaninowi – nie. Ale bo też szóstym zmysłem wyczuwają, że taki drobnomieszczanin, czyli wzbogacony proletariusz, staje się śmiertelnym i nieprzejednanym wrogiem rewolucjonistów, nie bez powodu podejrzewając, że chcą mu oni odebrać to, co z takim trudem zdobył.

Zatem kiedy tradycyjny proletariat odwrócił się od rewolucjonistów ze wzgardą, zaczęli oni rozglądać się za proletariatem zastępczym, a ich argusowe oko padło na kobiety. Jużci – kobieta nadaje się na proletariusza znacznie lepiej, bo wszystko jedno – biedna czy bogata – kobietą być nie przestanie. Wystarczy tylko ją oduraczyć, to znaczy wmówić jej, że jest ofiarą męskich, szowinistycznych świń, od których mogą ją uwolnić tylko rewolucjoniści. Toteż nie bez powodu na czoło haseł współczesnej rewolucji komunistycznej wysuwa się „wyzwolenie kobiet” i walka z rodziną, z której pozostała już tylko atrapa w postaci obowiązku alimentacyjnego.

Rewolucjoniści pod postacią urzędników państwowych wślizgują się nawet pod kołdrę, forsując penalizację coraz to nowych „molestowań”.

Konrad Lorenz, gdyby żył, to na pewno opisałby tę analogię między stadami hierarchicznymi w świecie zwierzęcym a społeczeństwem socjalistycznym, w którym dostęp do samic podlega coraz to ściślejszej reglamentacji – oczywiście w interesie rewolucjonistów. Ponieważ jednak rewolucjoniści hołdują permissywizmowi, który polega na tym, że wprawdzie wszystko wolno, ale nikt za nic nie odpowiada, toteż nic dziwnego, że na czele postulatów suflowanych kobietom przez rewolucjonistów jest prawo do aborcji na żądanie. Najwyraźniej muszą oni uważać, że kobiety są głupie i nie zauważą związku przyczynowego, a w każdym razie nie od razu, dzięki czemu rewolucjoniści zrealizują wreszcie swoje odwieczne marzenie o wspólności żon, którego nawet nie zapomnieli zapisać w „Manifeście komunistycznym”, i w ten sposób będą mieli okres naprawdę dobrego fartu.

Obecność mojej faworyty, Wielce Czcigodnej Joanny Scheuring-Wielgus, w awangardzie kobiecych demonstracji w sprawie aborcji pokazuje, że nie muszą to być przypuszczenia bezpodstawne.

#### STARSI I MĄDRZEJSI TEŻ KOMBINUJĄ

Niepodobna też nie zauważyć, że najbardziej zaangażowana w proceder „wyzwolenia kobiet” jest w naszym nieszczęśliwym kraju żydowska gazeta dla Polaków pod redakcją pana red. Adama Michnika, który w ten akurat sposób kontynuuje tradycję szechteriady w Polsce. Duraczenie mniej wartościowego narodu tubylczego musiało zatem zejść aż do poziomu instynktów – ale oczywiście takiego zaangażowania niepodobna wyjaśnić tylko rodzinnymi instynktami. Redakcyjny Judenrat, w którym uczestniczą wszak także głupie goje, instynktami rodzinnymi kierować się przecież nie może, choćby dlatego, że pan red. Jarosław Kurski, chociaż głupi goj, jest przecież wpływowym członkiem redakcyjnego Judenratu, podczas gdy pan red. Jacek Kurski, jego rodzony brat, jest prezesem rządowej telewizji. Ale skoro nie instynkty rodzinne, to przyczyną zaangażowania redakcyjnego Judenratu „Gazety Wyborczej” musi być jakiś interes. Co zatem będą mieli Żydzi z tego, że w państwach zaludnionych przez mniej wartościowe narody tubylcze prawo będzie zezwalało na zabijanie ludzi bardzo małych? Handel organami oraz wykorzystanie zwłok ludzi bardzo małych w przemyśle kosmetycznym i

farmaceutycznym wszystkiego nie wyjaśnia, chociaż oczywiście organizowanie i wspieranie takich przedsięwzięć przez żydowską finansjerę może być źródłem sporych zysków, podobnie jak wcześniej handel niewolnikami, również murzyńskimi. Teraz jednak podejście do niewolników jest trochę inne; już się ich nie eksploatuje ponad miarę, jak np. za Stalina, kiedy to twórca „systemu kotłów” w GUŁ-agu, Naftali Aronowicz Frenkiel, mawiał, że „z więźnia musimy wycisnąć wszystko w pierwsze trzy miesiące, potem nic nam po nim”. Teraz im więcej niewolników, tym lepiej dla finansowych grandziarzy, oczywiście pod warunkiem, że żyją oni w państwach kierowanych przez rządy „wrażliwe społecznie”, to znaczy takie, które spokój społeczny kupują sobie za cenę wpychania własnych obywateli w coraz głębszą niewolę lichwiarskiej międzynarodówki. Świadczą o tym długi publiczne wszystkich postępowych krajów. Z tego punktu widzenia popieranie nieograniczonej aborcji wśród narodów mniej wartościowych sprawiałoby wrażenie braku logiki. Ale to pozór, bo nie tylko o zyski finansowe tu chodzi, ale również, a może przede wszystkim – o rząd dusz. Rzecz w tym, że jednym z istotnych składników cywilizacji łacińskiej, której żydokomuna nienawidzi ponad wszystko w świecie, jest etyka chrześcijańska, która stawia człowiekowi dość wysokie wymagania. Właśnie dzięki temu cywilizacja ta w pewnym momencie zapanowała nad światem, zaszczipiając mu swoje wartości. Tymczasem celem komunistycznej rewolucji („przeszłości ślad dłoń nasza zmiata”) jest likwidacja cywilizacji łacińskiej po to, by mniej wartościowe narody tubylcze doprowadzić do stanu całkowitej psychicznej bezbronności i w ten sposób uczynić z nich „nawóz Historii”.

Dlatego walka z etyką chrześcijańską wysuwa się na czoło komunistycznej rewolucji, a forsowanie bezkarności zabijania ludzi bardzo małych jest rodzajem taranu, który ma skruszyć bastiony Świętej Trójcy. Warto przypomnieć, że Stalin, który sowiecką gospodarkę oparł na niewolnictwie, niewątpliwie czerpiąc inspirację z biblijnego opisu utworzenia w Egipcie kołchozów przez Jakubowego syna Józefa, aborcji zakazał, ale dopiero wtedy, gdy rozprawił się w Cerkwią Prawosławną, a – jak zauważył prof. Tatarkiewicz – „marksizm w Związku Radzieckim został przyjęty powszechnie i bez zastrzeżeń”.

Wreszcie doprowadzenie mniej wartościowych narodów tubylczych do stanu zbydłecenia jest ważnym elementem „pedagogiki wstydu”, której te narody są przez Żydów poddawane. Na przykład w Gazecie Wyborczej” marcowy emigrant, pan Andrzej Krakowski, dziwuje się, że Hitler potrzebował sześciu lat, by Niemcy uwierzyli, że Żydzi są szczurami, podczas gdy w Polsce wystarczy kilka miesięcy, by rozpętać kataklizm. Ciekawe, czy pan Andrzej Krakowski nie jest przypadkiem krewnym marcowego emigranta, podpułkownika Józefa Krakowskiego, zastępcy naczelnika WUBP na woj. warszawskie? Pytam o to nie by mu dokuczyć ewentualnym przypomnieniem rodowodu („oto rodowód jest rodziny żony wuera – wuerzyny”), tylko że to rzuca snop światła na kwestię przez niego podniesioną. Otóż w Niemczech w czasach Republiki Weimarskiej nie było żadnego OGPU ani NKWD, ani nawet Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie Żydzi specjalizujący się w katowskim rzemiośle mieliby nadreprezentację. Niemcy zatem, oczywiście poza wspomnieniem krachu na berlińskiej giełdzie w 1874 roku, kiedy to żydowscy grynderzy ograbili niemieckich ciułaczy, nie mieli wyraźnego powodu, by podejrzewać Żydów o jakieś zbrodnicze skłonności – ale nasza wiedza o tych skłonnościach dzięki żydokomunie jest znacznie szersza i pogłębiona, toteż nic dziwnego, że objawy panoszenia się Żydów mogą budzić niepokój w bardzo szerokich kręgach społeczeństwa. Nawiasem mówiąc: czy przewodząca strajkowi kobiet pani Maria Lempart nie jest przypadkiem krewną innego „marcowego emigranta”, Tomasza Lemparta, co to w latach sześćdziesiątych, po uprzednich przygodach w „Resorcie”, został sekretarzem generalnym Polskiego Komitetu Olimpijskiego?

#### ZAMIAST DEMOKRACJI I PRAWORZĄDNOŚCI – SKROBANKI?

Akurat gdy to piszę, rząd powoli wycofuje się z „reformy sądownictwa” i potulnie zapowiada opublikowanie wyroków Trybunału Konstytucyjnego. Sprawy zaszły tak daleko, że prokurator generalny Zbigniew Ziobro podważył konstytucyjność nowelizacji ustawy o IPN, którą jako minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro jeszcze niedawno forsował. Widać, że Nasza Złota Pani nie na darmo przyjechała z gospodarską wizytą do Warszawy, skoro sam Naczelnik Państwa w obliczu tych wydarzeń chroni się za murami dolegliwości

zdrowotnych, a myszy harczą aż miło popatrzeć. Skoro tedy ustępujemy na froncie walki o praworządność i demokrację, to czyżby naszą biedną ojczyznę czekał kolejny okres *pieriedyszki*? Niestety to nie jest pewne, bo jakaś agenda Organizacji Narodów Zjednoczonych ujęła się za kobietami, co to już nie mogą bez aborcji wytrzymać, więc o żadnej *pieriedyszce* nie ma mowy. Tym bardziej że gołym okiem widać, kto znalazł się na celowniku płomiennych szermierzy nieubłaganego postępu. Okazuje się, że jak za Stalina, tak i teraz największym wrogiem postępu jest Kościół katolicki, który nie bacząc na pragnienia szerokich mas ludowych, z uporem maniaka sypie piasek w szprychy rozpędzonego parowozu dziejów. Ciekawe, czy bramy ONZ sforsował jakiś osioł obładowany złotem starego żydowskiego grandziarza, czy też obyło się bez tego, a zainteresowanie ONZ ciasną przestrzenią *regio pubice* bierze się z pryncypialnych pobudek ideowych, jako że „niewymowne bo są cierpienia naszego proletariatu”.

#### RZĄD SIĘ WAHA, NICZYM WISIELEC

Tymczasem rząd PiS waha się, czy w tej sytuacji otwierać jeszcze jeden front, skoro nawet Organizacja Narodów Zjednoczonych gotowa jest przyłączyć się do kobiet. Wywołało to nawet zgorszone komentarze ze strony niektórych biskupów, że kontynuowanie „prac” nad ustawą może być taktyką obliczona na odwleczenie decyzji *ad calendas graecas*. W tej sytuacji muszę przypomnieć, że nad ustawą rozwiązującą sprawę aborcji wcale nie trzeba „pracować”, bo ona jest gotowa już od 1991 roku. Ustawę tę z postaci jednego zdania – dodatkowego paragrafu do artykułu 148 kodeksu karnego, który mówi o zabójstwie człowieka – przedstawiłem już wtedy. Niestety, wtedy również w gronie Episkopatu panował pogląd, że najważniejszy jest „kompromis” i dopiero potem ktoś musiał zwrócić uwagę, że nie można stać na nieubłaganym gruncie „kompromisu”, a jednocześnie pomstować przeciwko „cywilizacji śmierci”. Przypominam tedy zalety mego projektu, który jest zarazem surowy i humanitarny. Wspomniane zdanie brzmi następująco: „W razie zabójstwa dziecka jeszcze nie urodzonego sąd może podżegacza uwolnić od kary”.

Co to znaczy? Ano – po pierwsze – że nie mamy do czynienia z żadnym „płodem”, tylko z dzieckiem – co przepis stwierdza ponad

wszelką wątpliwość. Po drugie – że przerwanie życia takiego dziecka jest zabójstwem – zatem sprawca czynu odpowiadałby jak za zabójstwo – i w tym jest właśnie surowość, ale i logika. Nie ma bowiem żadnego powodu, by zabójstwo człowieka bardzo małego prawo traktowało w sposób uprzywilejowany, bo wtedy konsekwentnie musielibyśmy zacząć różnicować kary za zabójstwo w zależności od wzrostu albo wagi ofiary. Zatem sprawca zabójstwa odpowiadałby aż do kary śmierci włącznie – bo nie tracę nadziei, że kara śmierci za morderstwa zostanie przywrócona. Jednocześnie jednak sąd mógłby uwolnić od kary „podżegacza”. Rzecz w tym, że w takim przestępstwie matka dziecka występuje jako podżegacz – bo sama sobie aborcji nie przeprowadza, tylko namawia do tego inne osoby. Zgodnie z prawem, podżegacz w zasadzie odpowiada tak jak sprawca – ale właśnie ze względów humanitarnych zostawiłem sądowi szansę wzięcia pod uwagę wszystkich okoliczności, jakie konkretnemu przypadkowi towarzyszyły, i orzeczenia humanitarnego, dzięki czemu kobieta, często znajdująca się pod presją otoczenia i lekarzy (w Kanadzie spotkałem się z przypadkami wręcz karygodnymi, a w dodatku – jak wskazują okoliczności – spowodowanymi rażącymi błędami diagnostycznymi; lekarze, którzy błędnie zdiagnozowali bliźniaczą ciążę jako patologiczną i wręcz szykanowali nieszczęsną matkę, by poddała się aborcji, nie potrafili wytłumaczyć, dlaczego urodziła ona zdrowe dziewczynki, które dzisiaj – jako urodziwe panny – mają już po 20 lat) – więc by taka kobieta mogła zostać uwolniona od kary. Nie widziałem też powodu, by powtarzać wszystkie przepisy części ogólnej kodeksu karnego o stanie wyższej konieczności itp., bo nie ma nic gorszego niż ustawy przegadane. Ale to rozwiązanie miało wadę, że nie zawierało żadnych elementów przekupstwa, więc nikt nie był zainteresowany uchwaleniem takiej ustawy. Ale skoro już szykuje się wojna totalna na tym froncie, to może by spróbować?

„NCz!” 15-16/2018

# NAZISTY GODZĄ W OCALAŁYCH Z HOLOKAUSTU

– Ach panie Piperman, pan nie masz pojęcia, jak ja sze czesze, że ten cały prezydent – wi hajst der goj? – a, ten prezydent Duda, zawetował ustawę degradacyjną. Pan sobie wyobrażasz, że ja, pułkownik, co to został awansowany przez samego Bermana, miałbym teraz zostacz szeregowcem?

– Czesz sze pan, chesz, panie Biberglanc – ale co pan zrobisz, jak ony, to znaczy głupie goje, uchwałą prezydentu Dudu ten tryb odwoławczy? Znaczy się – ony najsampierw panu zdegradują, a potem bujaj sze pan po niezawisłych sądach, żeby ony pana przywróciły pułkownika! A pan wisz, kto tam siedzi w tych niezawisłych sądach? Ony wyszlamują panu wszystko, co pan sobie uzbierałeś w Resorcie! Jedyna nadzieja, że towarzysze z WSI, co to oblażyły prezydentu Dudu, każą mu zawetować i taką ustawę. Powiedzą jemu: wy Duda, wy u nas uważajcie. Macie tu papierek i podpiszcie. Nie, nie tu, tylko tutaj! Co wam sze, Duda, tak ręce trzęsą? Jeszcze zrobicie kleksa, a „jak mi jeszcze kropla skapie, to cze trzepnę tak po łapie, że proformę wspomnisz sobie!”

– Ooo! Co pan jadasz, że pan do rymu gadasz, panie Piperman? A panu naprawdę sam Berman awansował?

– To nie ja, to taki goj-wierszokleta. A mnie awansował oczywiście Bierut, ale sam pan wisz, panie Biberglanc, że Berman był najważniejszy, że on i Bieruta mógł aresztować, jakby tylko chciał, no a wtedy już my byśmy wycisnęli z niego, co tam by było trzeba.

– Ale co tam wspominać stare dzieje, kiedy pan powiadasz, żebym sze tak nie cheszył z tego zawetowania? Ja sze czesze, bo głupie goje zaczęły od nieboszczyków – żeby ich degradować – a zanim ony zdegradują nieboszczyków, zanim nieboszczyki sze odwołają do niezawisłych sądów, zanim niezawisłe sądy to wszystko rozpatrzą, to kto wie, czy i ja nie przeniosę sze na łono Abrahama. To co wtedy będzie mnie obchodzić degradacja?

– Ja widzę, panie Biberglanc, że u pana jest prywatniackie odchylenie od kolektywnego punktu widzenia. Ciekawe, co by na to powiedział

Radkiewicz?

– **Nu, a co w tym złego? Pan uważasz, że my z głupiemy gojamy wchodzimy w jakieś kolektywy?**

– To nic złego nie jest i my z głupiemy gojamy w żadne kolektywy wchodzić nie będziemy. Rzecz w tym, żeby raz na zawsze złapać byka za rogi, żeby głupim gojom nawet nie ośmieliło się pomyszczyć, że ony mogą zacząć nas degradować.

– **Nu, a jak tego byka złapacz za rogi, pan wiesz?**

– A żebyś pan wiedział, panie Biberglanc, że wiem. Słuchaj pan i ucz pan sze wielkiej polityki. Sameś pan zauważył, że ony – znaczy sze głupie goje – chciały zacząć degradowanie od nieboszczyków. A od jakich to nieboszczyków, panie Biberglanc? Niech pan patrzy: Berman – nieboszczyk; Radkiewicz – nieboszczyk; Romkowski – nieboszczyk; Fejgin – nieboszczyk; generał Waław Komar, znaczy sze Mendel Kossoj – nieboszczyk; Oskar Szyja Karliner – nieboszczyk; Światło – nieboszczyk. Już pan chwytaś, panie Biberglanc, co to za nieboszczyki?

– **Nieboszczyki jak nieboszczyki. Jak który umarł, to nie żyje, he, he... Powiedz pan, panie Piperman, co ja mam chwytać?**

– To masz pan chwytać, że ony wszystkie co do jednego są ocalałe z holokaustu!

– **Jak to: ocalałe z holokaustu?**

– A tak to! Kto żyje, ten znaczy sze ocalał, bo jakby nie ocalał, to by nie żył, no nie? Więc jeśli ony, te głupie goje, zechcą degradować nieboszczyki, to nie ma co sze zastanawiać, tylko od razu oskarżyc ich o antysemityzm – że tymi degradacjami chcą nawet po śmierczy uderzyć w ocalałych z holokaustu, że to współniki Hitlera! I wtedy wszystko jedno, czy towarzysze z WSI będą przyciskały prezydentu Dudu, czy nie – nawet gdyby go nie przyciskały, to jak pan myślisz – czy głupie goje ośmielą się zdegradować jakiegoś nieboszczyka, nie mówiąc już o mnie czy o pana?

– **Panie Piperman, pan jesteś kanclerska głowa, pan jesteś Paganini. Pan masz Recht, że ony sze nie ośmielą nawet o tym pomyszczyć, bo jak by tylko jeden z drugim pomyszczył, to zaraz Szechter podniesie klangor, a jak on podniesie klangor, to i nasze Żydki w Izraelu podniesą klangoru, a jak ony podniesą**



klangoru, to i Żydki w Ameryce podniosą klangoru, a jak ony podniosą klangoru, to tylko patrzec, jak Departament Stanu tupnie nogą i powie: no nie, tego już za wiele, te nazisty nie mogą być w NATO, a jak nazisty nie mogą być w NATO, to sam pan wiesz; Daniel Fried będzie musiał zatwierdzić nową ekipę. Jak my to wiemy, to i ony, chociaż głupie goje, też to wszystko wiedzą. Aj, ja sze nie mogę nadziwicz, kiedy patrzę, jak pan to wymyśliłeś. To może i szkoda, że ten prezydent Dudu zawetował tę ustawę?

– No i sam pan widzisz, że za wcześnie pan sze cheszyłesz. Ale może towarzysze z WSI – ony, między nami mówiąc, też głupie goje – dopuszczają, że rząd uchwali nowelizację z tym całym trybem odwoławczym, co się go tak domaga prezydent Dudu? No to my im wtedy pokażemy ruski miesiąc. Szechter podniesze klangor, a jak Szechter podniesze klangor, to i nasze Żydki w Izraelu też podniosą klangoru, a jak ony podniosą klangoru, to klangoru podniosą też Żydki w Ameryce, a jak ony podniosą klangoru, to i Departament Stanu każde Danielu Friedu zrobicz tu porządek z temy nazistamy.

– **No i on zrobi porządek, panie Piperman, a jak pan myszlisz – z kim on będzie robił ten porządek?**

– Nu, ja myszlę, że z Naszą Złotą Panią z Berlina, nu a ona razem z nami – bo przecież nie z tutejszemi nazistami. No to niech Dudu robi tak dalej, a rząd tak samo.

„NCz!” 17-18/2018

## MYSZ, CO JUŻ NIE RYKNIE

Mało kto pamięta znakomitą angielską komedię z końca lat pięćdziesiątych pod tytułem „Mysz, która ryknęła”. Alpejskie księstwo Fenwick, matriarchalnie rządzone przez starszą Księżną, ma problem z kalifornijskim winiarzem, fałszującym wino będące podstawowym artykułem eksportowym księstwa. Żadne skargi nie dają rezultatu, więc doradca Księżnej wpada na pomysł wypowiedzenia wojny Stanom Zjednoczonym.

Zdumionej Księżnej wyjaśnia, że Fenwick tę wojnę oczywiście przegra, ale przecież wojnę z USA przegrały także Niemcy i Japonia, a wystarczy popatrzeć na znakomity rozkwit tych krajów. Podobnie może być z Fenwickiem. Argumentacja przekonuje Księżną i Fenwick wypowiada Stanom Zjednoczonym wojnę, którą jednak, ku zaskoczeniu wszystkich, wygrywa, co staje się przyczyną kolejnych komicznych perypetii.

Naczelnik Państwa Jarosław Kaczyński przezornie nikomu wojny jeszcze nie wypowiedział, nawet zimnemu ruskiemu czekiście Putinowi, ograniczając się do ekscytowania swoich wyznawców deklaracjami o reparacjach wojennych, jakie Polska powinna otrzymać już nie tylko od Niemiec, ale i od Rosji. Stanowi to znakomite uzupełnienie strawy duchowej w postaci utrwalającego się kultu Tajemnicy Smoleńskiej, do której co i rusz „dochodzimy”, ale na razie dojść nie możemy – jak nie z jednych, to z drugich powodów.

### KACZYŃSKI NIE WIERZY

Co prawda Antoni Macierewicz właśnie powtórzył „hipotezę”, która obecnie hipotezą już być przestaje, że przyczyną smoleńskiej katastrofy były już nie jeden, a dwa wybuchy, ale z drugiej strony Naczelnik Państwa czeka na „ostateczne ustalenia”, których dokonać ma komisja ekspertów opłacanych przez polski rząd, którzy mozolnie składają taki sam samolot jak ten, który 10 kwietnia 2010 roku rozbił się pod Smoleńskiem. Znaczy to, że Naczelnik Państwa wprowadzie otwarcie nie dezawuuje Antoniego Macierewicza, bo chyba nie byłoby to politycznie roztropne w sytuacji, gdy „An-to-ni! An-to-ni!” podczas ostatniej smoleńskiej miesięcznicy dostał owacje co najmniej tak samo głośne, jak „Ja-ro-sław, Pol-skę-zbaw!”, niemniej jednak widać, że w tę

„hipotezę” nie wierzy. Czy dlatego, że ostateczne zatwierdzenie jakiegokolwiek wersji odzierałoby Tajemnicę Smoleńską z aury tajemniczości – a jakież kult może istnieć bez Tajemnicy, w dodatku nie poddającej się umysłowi ludzkiemu – czy z jakichś innych powodów – o to mniejsza.

### REWELACJE O WYBUCHU BEZ REAKCJI

Znacznie ciekawsze jest bowiem to, że chociaż rewelacje o wybuchu, a nawet dwóch wybuchach pojawiły się jeszcze w ubiegłym roku, to nie słychać, żeby aparat podległy Prokuratorowi Generalnemu przedsięwziął w związku z tym jakieś energiczne kroki. A przecież skoro był wybuch, a nawet dwa, to ktoś musiał umieścić w samolocie ładunki wybuchowe. Kiedy? Aaaa, to właśnie trzeba by wyjaśnić. Najwcześniej mogło to się stać podczas remontu samolotu w Samarze. No dobrze – ale przecież ktoś ten samolot po remoncie musiał odbierać i sprawdzać, czy, Boże broń, zimny ruski czekista nie umieścił tam żadnej bomby, to chyba jasne? Tym bardziej że ten samolot, należący do 36 specjalnego pułku lotniczego w Mińsku Mazowieckim, woził w tak zwanym międzyczasie innych dygnitarzy państwowych, a nie dopuszczam nawet myśli, że przed takimi lotami nie sporządza się szczegółowej kontroli bezpieczeństwa.

Osoby odpowiadające za odbiór samolotu po remoncie w Samarze nie były przecież nieznane, podobnie jak osoby odpowiadające za bezpieczeństwo podróży państwowych dygnitarzy. Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, żeby Prokurator Generalny nakazał je wszystkie aresztować i intensywnie przesłuchać na wspomniane okoliczności, w razie potrzeby korzystając z bratniej pomocy amerykańskich specjalistów, co to oprawiali swoje ofiary w tajnym więzieniu w Starych Kiejkutach.

Mam bowiem wrażenie, że ono nadal tam istnieje, ale nie potrzeba przecież tego istnienia ujawniać. Wystarczy tylko ogłosić, co takiego powiedział jeden z drugim delikwent po podłączeniu go do prądu, a czas oraz miejsce podłożenia bomby, nie mówiąc już o sprawcach tego czynu, przestałyby być tajemnicą.

Druga możliwość jest taka, że bomba została podłożona tuż przed wylotem samolotu z prezydentem Lechem Kaczyńskim do Smoleńska. Ale przecież i w tym przypadku wiadomo, kto był odpowiedzialny za

zapewnienie prezydentowi bezpiecznego lotu. Starożytni Rzymianie retorycznie zapytywali, kto upilnuje strażników, więc nic dziwnego, że w tej sytuacji właśnie ku nim kierują się nasze podejrzenia. Gdyby zatem hipoteza podłożenia bomby w Samarze z tych czy innych względów zachwiała się albo i upadła, to można by sprawdzić tę drugą – że bombę podłożono tuż przed wylotem – oczywiście z zastosowaniem bratniej pomocy Naszego Najważniejszego Sojusznika.

Tymczasem nie słyhać, żeby Prokurator Generalny zlecił swojemu aparatowi takie czynności, chociaż od 2015 roku, kiedy to uformował się rząd PiS, upływa już trzeci rok, więc okazji ku temu było co niemiara. W ostateczności można by sprawdzić i tę hipotezę, którą w pociągu z Warszawy do Gdańska z ogniem w oczach przez pięć godzin objaśniał mi mój przygodny towarzysz podróży – że mianowicie nie było żadnej katastrofy, tylko wszyscy pasażerowie zamierzający lecieć do Smoleńska zostali już w Warszawie aresztowani, a może nawet zlikwidowani, a pod Smoleńskiem sprawni rusczy czekieści zainscenizowali katastrofę.

Niestety mój rozmówca nie potrafił mi wyjaśnić, co się stało z pasażerami samolotu po ich aresztowaniu, a jeśli zostali zlikwidowani na miejscu – dlaczego nie zachowały się żadne ślady ani świadkowie, chociaż – jak twierdził Rejent Milczek – „nie brak świadków na tym świecie”.

### PIS SPACYFIKOWANY

Ja oczywiście nie wymagam od przygodnych pasażerów pociągu z Warszawy do Gdańska, żeby znajdowali na poczekaniu odpowiedź na tego rodzaju pytania, ale Prokurator Generalny to co innego. Skoro tedy nie słyhać, by wyjaśniana była w energicznym śledztwie pierwsza, druga, a nawet trzecia hipoteza, to czyż nie jest to poszlaka wskazująca, że Prokurator Generalny nie wierzy ani w rewelacje prezentowane przez Antoniego Macierewicza, ani w stopniowe „dochodzenie” do „prawdy” w sprawie Tajemnicy Smoleńskiej? W takiej sytuacji należałoby przyjąć, że te wszystkie „hipotezy” i „dochodzenia” do „prawdy” to tylko takie makagigi, które – podobnie jak reparacje wojenne – ma dostarczyć wyznawcom Jarosława Kaczyńskiego namiastki uczestniczenia w czymś ważnym, co w dodatku nie pociąga za sobą żadnego ryzyka.

Jest to tym bardziej prawdopodobne, że PiS wydaje się już spacyfikowany zarówno przez Naszą Żółtą Panią – która niezależnie od osobistego rozeznania, przysłała do Warszawy również niemieckiego owczarka w osobie Franciszka Timmermansa, żeby wywąchał, na których folksdojczów można w razie czego liczyć i w jakich granicach – jak i przez żydowskie organizacje przemysłu holokaustu, które uruchomiły w dodatku Naszego Największego Sojusznika, żeby też tupnął nogą.

W takiej sytuacji rząd z podwiniętym ogonem wycofuje się jedna po drugiej ze wszystkich zbawiennych reform i nie wygląda na to, żeby wykoncypował na poczekaniu jakieś następne, tym bardziej że zawetowanie ustawy „degradacyjnej” pokazało, że Stare Kiejkuty trzymają pana prezydenta Dudę na smyczce chyba jeszcze krótszej niż ta, na której trzymały premiera Tuska...

*„NCz!” 17-18/2018*

# JUST I ELEKCJA CHRYSZTUSA KRÓLA

No i stało się to, czegośmy się najbardziej obawiali. 24 kwietnia 2018 roku również Izba Reprezentantów USA przyjęła ustawę JUST, dotyczącą monitorowania przez USA tempa i zakresu realizacji żydowskich roszczeń majątkowych wysuwanych wobec krajów, które w czerwcu 2009 roku podpisały tzw. deklarację terezińską. Ta deklaracja w zasadzie nie rodziła żadnych zobowiązań dla państw-sygnatariuszy, jednak zawierała uznanie zasadności żydowskich roszczeń odnoszących się do tak zwanej własności bezdziedzicznej, która już w czasach starożytnych, zgodnie z zasadami prawa rzymskiego, przyjętymi później przez państwa cywilizowane, przypada państwu, którego zmarły był obywatelem. Żydowski pogląd na tę sprawę był inny – charakteryzowało go podejście trybalistyczne, plemienne, zgodnie z którym do mienia pozostawionego przez jakiegoś Żyda mają bliżej nieokreślone prawa wszyscy inni Żydzi, jako członkowie plemienia. Deklaracja terezińska stanowiła uznanie zasadności tego właśnie podejścia do zagadnień własnościowych i ten punkt widzenia przyświeca też amerykańskiej ustawie JUST – chociaż Stany Zjednoczone u siebie też respektują zasadę wywodzącą się z prawa rzymskiego, ale w stosunku do mniej wartościowych, tak zwanych sojusznicznych bantustanów forsują zasadę żydowską.

Deklaracja terezińska została w imieniu Polski podpisana przez Władysława Bartoszewskiego, który wysłany został tam przez ówczesnego ministra spraw zagranicznych w rządzie Donalda Tuska, czyli Księcia-Mażonka Radosława Sikorskiego, bez żadnych protestów ze strony ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego – i teraz ten podpis odbija się nam bolesną czkawką. Bolesną, bo chociaż amerykańska ustawa pozornie nie dotyczy Polski – o czym deklamuje, być może nawet w dobrej wierze, jeden z członków renesansu w PiS-owskim rządzie, wicepremier Jarosław Gowin – to tak naprawdę stwarza dla naszego, i tak już przecież nieszczęśliwego kraju, realne i wielkie niebezpieczeństwo. Zobowiązuje ona mianowicie sekretarza stanu USA, by we współpracy z „organizacjami pozarządowymi”, czyli żydowskimi organizacjami przemysłu holokaustu, które doskonale potrafią wodzić amerykańskich szabesgojów za nos, „monitorował”

tempo i zakres realizacji żydowskich roszczeń majątkowych przez państwa-sygnatariuszy deklaracji terezińskiej i składał Kongresowi regularne sprawozdania. W przypadku gdy Kongres uzna, że jakiś sojusznicy bantustan się ociąga, na pewno znajdzie mnóstwo sposobów, by miejscowych kacyków podkręcić, no a wtedy ci będą się uwijać jak w ukropie. Już to stwarza duże niebezpieczeństwo dla Polski, która jest przez Żydów upatrzona nie tylko na największego „dłużnika”, ale również zastępczego winowajcę holokaustu. Nawet nie wiadomo, czy zastępczego – ponieważ usłużni renegaci lansują pogląd, że Żydom było znacznie bezpieczniej w obozach koncentracyjnych, wśród złych „nazistów”, niż wśród Polaków. Ale nie to stanowi największe zagrożenie dla państwa i dla narodu polskiego. Największe zagrożenie stwarza postanowienie ustawy, według którego przychody z „własności bezdziedzicznej” mają być przeznaczone na wspieranie ocalałych z holokaustu, na finansowanie edukacji o holokauście oraz na „inne cele”. Konsekwencją tego postanowienia jest konieczność wyodrębnienia „własności bezdziedzicznej” – choćby po to, by wiedzieć, jakie właściwie przynosi ona przychody. Skoro zaś własność ta zostanie już wyodrębniona, to trzeba będzie komuś powierzyć ją w zarząd – choćby po to, by przychody te były rozdzielane zgodnie z dyspozycją ustawy JUST. Nie trzeba być specjalnie przenikliwym, by się domyślić, że zarządcą tej własności będzie jakieś gremium żydowskie. To zaś z kolei oznacza, że środowisko żydowskie w Polsce zostanie obdarzone majątkiem być może o wartości ponad 300 miliardów dolarów – bo taka kwota pojawiła się w liście Światowej Organizacji Restytucji Mienia Żydowskiego skierowanym do Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie. To z kolei znaczy, że to środowisko z dnia na dzień zyska w Polsce dominującą pozycję ekonomiczną, która natychmiast przełoży się na dominującą pozycję polityczną. Naród polski we własnym kraju może zostać zepchnięty do roli narodu drugiej kategorii. Dlatego wicepremier Gowin, bagatelizując zagrożenia, jakie ustawa ta niesie dla Polski i dla naszego narodu, albo nie wie, co mówi, albo kłamie. Nie wiadomo, co gorsze – czy dureń na stanowisku wicepremiera rządu, czy łajdak. Charakterystyczne jest to, że inni dygnitarze – to znaczy ani Naczelnik Państwa Jarosław Kaczyński, ani prezydent Andrzej Duda, ani premier

Mateusz Morawiecki, ani nawet przedstawiciele nieprzejednanej opozycji – nie odezwali się w tej sprawie nawet słowem. Akcję lobbującą przeciwko tej ustawie podjęły niektóre środowiska i osobistości z Polonii Amerykańskiej, ale ten desperacki lobbying okazał się nieskuteczny w konfrontacji z naporem zorganizowanym przez *lobby* żydowskie.

Jak się dowiedziałem, tylko środowiska narodowe zapowiedziały pikietę pod Ambasadą Stanów Zjednoczonych w Warszawie – ale obawiam się, że ta demonstracja nie będzie miała wpływu na podpisanie tej ustawy przez prezydenta Trumpa – bo niby dlaczego miałby jej nie podpisywać, skoro polskie władze udają, że ta sprawa ich absolutnie nie obchodzi? Za to z maja przewidziana jest wielka uroczystość w postaci Elekcji Chrystusa na Króla Polski. Ciekawe, że wybór Chrystusa na króla Polski już raz został dokonany z udziałem prezydenta Dudy i innych dygnitarzy, ale organizatorzy Elekcji najwyraźniej muszą uważać tamten akt albo za nieważny, albo za niewystarczający. Problem polega na tym, że elekcja odbędzie się w sytuacji dla Polski kłopotliwej, a to ze względu na wspomnianą amerykańską ustawę. Ale nie tylko ze względu na nią. Polska bowiem ma już Królową w osobie Matki Bożej, która została obrana na polski tron za panowania Jana Kazimierza. Dogmat Kościoła katolickiego o wniebowzięciu Najświętszej Marii Panny oznacza, że ów akt obioru nie dotyczył osoby zmarłej, tylko Osoby Żyjącej – w co muszą wierzyć przynajmniej katolicy. W takiej sytuacji jak wytłumaczyć fakt ratyfikacji traktatu lizbońskiego przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który to traktat amputował Polsce ogromny kawał suwerenności państwowej? O ile mi wiadomo, Królowa nie została w tej sprawie nawet skonsultowana i mogła potraktować to jako zniewagę nie tylko ze strony Sejmu, który upoważnił prezydenta do ratyfikacji tego traktatu, ale i ze strony prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który ten traktat ratyfikował. A i teraz – jak przedstawić Chrystusowi Królowi ultimatum, jakie wobec Polski wysunął niemiecki owczarek Franciszek Timmermans? Czy Polska powinna spełnić postawione warunki, czy też przejść nad nimi do porządku? Być może kontakt z Królem może być utrudniony, ale takie trudności nie powinny nikogo zwalniać z obowiązku wysłuchania królewskiej



woli.

*„NCz!” 19-20/2018*

## PRZEKOMARZANIA Z „SUWERENAMI”

Przed rokiem pan prezydent Andrzej Duda zapowiedział przeprowadzenie w listopadzie 2018 roku referendum konstytucyjnego. Okazało się, że była to z jego strony samowolka, zapowiadająca rychłą felonię, która objawiła się w postaci weta do ustaw „sądowych” w lipcu ubiegłego roku. Potem, to znaczy w przemówieniu z okazji święta Wojska Polskiego 15 sierpnia, prezydent Duda pośrednio skrytykował ówczesnego ministra obrony Antoniego Macierewicza, stwierdzając że armia jest „jedna” i nie wolno jej „dzielić”. Była to nie tylko wyraźna krytyka kuracji przeczyszczającej, którą minister Macierewicz zaordynował naszej niezwyciężonej armii, ale i wskazówka, na jakich politycznych przyjaciół skazuje się pan prezydent Duda, przegryzając pępowinę, która do niedawna łączyła go z PiS-em. Odtąd jego politycznymi przyjaciółmi będą Stare Kiejkuty, które poza kręceniem lodów na własny rachunek i pasożytowaniu na Polsce, Bóg jeden wie, komu tak naprawdę służą. Dlatego ani splewienie znienawidzonego Antoniego Macierewicza w ramach „rekonstrukcji rządu” („Gdzie mądry człowiek ukryje liść? W lesie. A jak nie ma lasu? To mądrzy człowiek zasadzi las, żeby ukryć w nim liść.”), ani zawetowanie ustawy „degradacyjnej” nikogo zaskoczyć nie mogło, będąc co najwyżej wskazówką, że Stare Kiejkuty trzymają pana prezydenta na coraz krótszej smyczy. Co one z tego mają – nietrudno zgadnąć. Pod osłoną pana prezydenta wracają na dawne pozycje, dzięki którym przez całe dziesięciolecia mogły pasożytować na naszym nieszczęśliwym kraju, czemu bezradnie przygląda się pan minister Błaszczak. Co z tego ma pan prezydent? Ano, nie tylko może dotrzeć do końca kadencji, sprawiając wrażenie polityka samodzielnego, ale – być może – za swoje dobre sprawowanie doczeka się również nagrody w postaci zarekomendowania przez Naszą Złotą Panią na stanowisko zajmowane obecnie przez Donalda Tuska, którego Nasza Złota („Wysyłam hrabiego Keyserlinga, by zrobił ciebie królem po śmierci tego – a jak mu się to nie uda, to życzę sobie, aby królem został książę Adam” – pisała Katarzyna II do Stanisława Augusta Poniatowskiego) upodobała sobie na stanowisko prezydenta Polski w roku 2020.

## REFERENDUM

I dopiero w tym kontekście możemy w pełni ocenić inicjatywę referendum konstytucyjnego, zapowiedzianego przed rokiem przez pana prezydenta. Ma się ono odbyć 11 listopada, w setną rocznicę odzyskania niepodległości – ale pytania referendalne aż do 26 kwietnia nie były znane. Już samo to pokazuje, że inicjatywa od samego początku nie była przez pana prezydenta traktowana serio. W przeciwnym razie pan prezydent ogłosiłby zestaw pytań referendalnych jednocześnie z zapowiedzią referendum albo przynajmniej wkrótce potem, by można było przeprowadzić szeroką kampanię informacyjną żeby obywatele zrozumieli, o co w tych pytaniach chodzi, jakie konsekwencje wywoła taka, albo inna odpowiedź na każde z nich – i tak dalej, słowem: żeby w referendum głosowali świadomie i odpowiedzialnie. Tymczasem prezydencki minister, pan Mucha, zapowiedział, że pytania zostaną ogłoszone przez pana prezydenta 26 kwietnia... na Stadionie Narodowym, gdzie odbędzie się „debata”. Skoro debata konstytucyjna ma odbywać się na Stadionie Narodowym, to już wiadomo, że nie chodzi żadne wysondowanie preferencji opinii publicznej co do materii konstytucyjnych, tylko o jakiś rodzaj propagandowej hucpy. W tej sytuacji nietrudno przewidzieć, co pan prezydent 11 listopada ogłosi jako wynik konsultacji. Będzie to opinia, jaką za pośrednictwem Starych Kiejkutów przekaze mu Nasza Złota Pani; czy zmieniać konstytucję, czy nie zmieniać, a jeśli już zmieniać, to w jakim kierunku – i tak dalej.

## ANSCHLUSS

Żeby było śmieszniej, pan minister Mucha twierdzi, że najważniejszym pytaniem może być kwestia nadrzędności konstytucji Rzeczypospolitej nad prawem Unii Europejskiej. Owszem – jest to kwestia niezwykle ważna, tyle że rozstrzygnięta przez Europejski Trybunał Sprawiedliwości w Luksemburgu, którego orzeczenia mają dla państw członkowskich UE charakter źródeł prawa, jeszcze w roku 1964, w sprawie Flaminio Costa przeciwko ENEL (C 6/64), w której ETS sformułował obowiązującą również i dzisiaj w UE zasadę pierwszeństwa prawa wspólnotowego nad prawem krajowym państwa członkowskiego bez względu na rangę ustawy. Zatem – również

konstytucji. Z takim pytaniem, oczywiście zawierającym informację o tej zasadzie, można było zwrócić się do obywateli – ale w czerwcu 2003 roku, kiedy to odbywało się w nas referendum akcesyjne. Wtedy obywatele powinni zostać poinformowani o konsekwencjach dla państwa i jego politycznej suwerenności – ale o ile pamiętam, zwolennicy *Anschlusu* ani słowem nie zająknęli się na ten temat, rozwodząc się za to nad apokaliptycznymi wizjami przyszłości, jaka czeka Polskę w razie odrzucenia *Anschlusu* – że będzie „Białoruś” albo nawet, nie wiedzieć czemu, „Władystok”. Warto dodać, że w roku 2008, kiedy to chodziło o upoważnienie prezydenta do ratyfikacji traktatu lizbońskiego, który amputował Polsce ogromny kawał suwerenności (jaki – to pokazuje reakcja ministra rolnictwa Marka Sawickiego na wieść, że Komisja Europejska wprowadziła surowe restrykcje w uprawach tytoniu; pan minister powiedział, że... napisze podanie: „Dopraszam się łaski Wielmożnych Panów...”), to nasi Umiłowani Przywódcy nie pofatygowali się, by zapytać „suwerenów”, jaka jest w tym przedmiocie ich opinia. Ale tak zwana „mądrość etapu” jednym razem skłania do tego, by „suwerenów” olewać ciepłym moczem, podczas gdy kiedy indziej – żeby im kadzić i schlebiać. Teraz jest pora na tę drugą mądrość, toteż pan minister Mucha powiada: „Kluczowa jest wypowiedź narodu, bo naród jest suwerenem. Tak stanowi polska Konstytucja”. No dobrze – ale czy opinię „narodu” możemy poznać podczas debaty na Stadionie Narodowym? Jest on, owszem, dość pojemny, ale cały „naród” chyba się tam nie zmieści. Poza tym nie trzeba specjalnej przenikliwości, żeby się domyślić, że jedna część „narodu” pragnęłaby nie tylko utrzymania, ale i umocnienia systemu władzy, w którym ostatnie słowo ma „Naczelnik Państwa”, podczas gdy inna, gdyby mogła, utopiłaby Naczelnika wraz z gronem współpracowników w łyżce wody. Którą opinię uznać za opinię „suwerena”? A przecież na „suwerenie” się nie kończy. Jest jeszcze Izrael, z którym – jak się okazało – nasz nieszczęśliwy kraj bezwstydnie „konsultuje” swoje ustawodawstwo, jest Nasza Złota Pani, która przez owczarków niemieckich w Komisji Europejskiej stawia Polsce ultimata nawet w tak szczegółowych kwestiach jak obsadzenie stanowiska I Prezesa Sądu Najwyższego, no i przede wszystkim – Nasz Najważniejszy Sojusznik, który na wieść, że Polska dopuściła się

samowolki w sprawie nowelizacji ustawy o IPN, ustami rzeczniczki Departamentu Stanu przestrzegł, że jeśli nasz nieszczęśliwy kraj się nie opamięta, to za zatwardziałość narazi na szwank nasze „strategiczne interesy”.

*„NCz!” 19-20/2018*

## MONOTEIZM POLITEISTYCZNY

**A**ntoni Słonimski w czasie wojny, a i później też, przebywał w Wielkiej Brytanii, skąd oprócz podziwu dla tego „narodu kupców”, którzy nie wpadali w histerię nawet w obliczu niebezpieczeństwa, wyniósł też sporo krytycyzmu wobec Anglików. Może nie takiego, jakiemu dał wyraz niemiecki, a właściwie – jak żądają obecnie ormowcy politycznej poprawności – „nazistowski” publicysta, który zarzucał Anglikom, że swoje Imperium budowali przy pomocy podstępu, fałszu i zdrady, podczas gdy Niemcy budują swoje metodą „radosnej wojny”, ale nawet cięższego kalibru. W swoim „Alfabcie wspomnień” przytacza rozmowę z pewnym Anglikiem, który mu wyznał, że gdyby został postawiony wobec konieczności wyboru, czy zdradzić przyjaciela, czy ojczyznę, błagałby Boga, by pozwolił mu zdradzić ojczyznę. – Znając Boga Anglików – skomentował Słonimski – nie miałem wątpliwości, że takiej modlitwy na pewno nie wysłucha.

Rzeczywiście, coś musi być na rzeczy z tym Bogiem Anglików – o czym mogliśmy się przekonać przy okazji afery z Alfin Evansem, który przez sędziego-sodomitę, został skazany na śmierć głodową pod pretekstem, że dalsze utrzymywanie go przy życiu nie leży w jego interesie. Uzasadnienie rzeczywiście osobliwe, zwłaszcza w sytuacji, gdyby na organy Alfiego oczekiwały z niecierpliwością jakieś handełesy, robiące w ludzkim mięsie, czyli „ludzinie”. Jak zauważył Stanisław Lem w „Głosie Pana” – „nawet konklawe można doprowadzić do ludożerstwa, byle postępować cierpliwie i metodycznie”, toteż tylko patrzeć, jak rozmaici „etycy” w rodzaju pani Magdaleny Środziny czy biegającego po Krakowie za filozofa pana Jana Hartmana, dostarczą patetycznych uzasadnień dla liberalizacji handlu „ludziną” – choćby z racji „zrównoważonego rozwoju”, do jakiego dąży ponura sekta ukrywająca się pod enigmatycznym szyldem „Pracowni na rzecz Wszystkich Istot”. Jużci – skoro dopuszczalny jest legalny handel wołowiną, to dlaczego nie „ludziną”, skoro i wół, i człowiek to tylko „istoty”, niechby nawet „czujące”, niemniej jednak? Zresztą nie tylko etycy zostaną do tego wynajęci, bo przecież nie można się przy tym obejść bez prawników. A ci – jak zauważył poeta – „nigdy nie oszaleją.

Świat się będzie już walił, wąż ognia równik oplecie i kontynenty zapali, a oni, ironiści, mędrkowie wykrętów chytrych, wyciągną z teczki paragraf i rozprostują na wytrych”. Nie inaczej sądził ksiądz profesor Stefan Pawlicki. Pewnego razu uczestniczył w posiedzeniu Senatu Uniwersytetu Jagiellońskiego, które z jakiegoś powodu się przedłużało, wzbudzając coraz żywszy niepokój księdza Pawlickiego, akurat tego samego wieczoru zaproszonego na kolację. Słynny smakosz wiercił się niespokojnie, wreszcie zabrał się do wyjścia, ekskuzując się zdawkowo i oświadczając, że bez względu na to, jaką decyzję podejmie prześwieatny Senat, to „uzasadnienie już znajdują panowie koledzy z Wydziału Prawnego”. Bo pod ciśnieniem potrzeb handełesów sytuacja zmierza do tego, o czym w wierszu „Gołąb ostatni” napisał wspomniany Antoni Słonimski: „Porwały mnie plemiona zdziczałych tubylców, zbrojne w maczugi światła, strzały laserowe, ponaddźwiękowe dzidy, kobaltowe proce, paraboliczne bębny, flety bioplazmy, wtórujące podskokom sztucznych serc lub krwawych, wydartych z piersi trupów, jeszcze nie ostygłych”.

Wróćmy jednak *à nos moutons*, czyli do Anglików. Otóż rodzicom małego Evansa towarzyszył katolicki zakonnik, ojciec Gabriel Brusco. Ponieważ ŻADEN angielski duchowny katolicki nie ośmielił się wspierać rodziców Alfiego ani towarzyszyć mu w chorobie, sam zgłosił się do nich i czuwał przy łóżku chłopca, podobno ku rosnącej irytacji pracowników szpitala. Nie ma takiej bramy, której nie przeszedłby osioł obładowany złotem, toteż nie trzeba było długo czekać, by arcybiskup Liverpoolu, Patryk McMahon, nakazał zakonnikowi opuścić szpital. Wkrótce potem został przed oblicze biskupa pomocniczego diecezji Westminster, Jana Sherringtona, wezwany na rozmowę, której treść została tchórzliwie utajniona, ale zakonnik niezwłocznie powrócił do Włoch. Wisienką na torcie w tej całej sprawie jest poparcie, jakiego szpitalowi, którego personel uznał, że leczenie Alfiego Evansa nie leży w jego interesie, udzielił przewodniczący Episkopatu Anglii, Wincenty kardynał Nichols.

Czyż to nie jest dowód, że katolickie duchowieństwo narodowości angielskiej wyznaje całkiem innego Boga niż, dajmy na to, papież Franciszek czy choćby przewielebny ojciec Gabriel Brusco? Najwyraźniej Bóg Anglików zabrania swoim wyznawcom

sprzeciwiania się orzeczeniom pederasty, gwoli dodania sobie powagi przebranego w „śmieszne średniowieczne łachy”. Musi to być całkiem inny Bóg od tego, który nakazywał swoim wyznawcom, by bardziej słuchali Jego niż ludzi, bez względu na to, w cokółwiek ci ludzie by się przebierali. W tej sytuacji musimy postawić pytanie: czy w przypadku wyznania rzymskokatolickiego mamy do czynienia z mono, czy jednak z politeizmem, skoro jedni kardynałowie wyznają jednego, a inni – całkiem innego Boga? Być może przewiełbne duchowieństwo brytyjskie tylko z inercji i gwoli zachowania pozorów – bo czyż kardynałowi wypada tak z dnia na dzień zmieniać *emploi*? – oficjalnie opowiada się przy chrześcijaństwie, ale tak naprawdę uprawia kult Świętego Spokoju, który również w Kościele katolickim szerzy się z szybkością płomienia. Ponieważ nikt, a już zwłaszcza ja nie mam najmniejszej możliwości zajrzenia do duszy Jego Eminencji Wincentego kardynała Nicholisa – o ile oczywiście ma on duszę – to nie ma innej rady jak dedukować o tym, w co właściwie on wierzy, po tak zwanych „owocach”, czyli decyzjach i zachowaniach – a te wskazują raczej na kult Świętego Spokoju, w którym najważniejszym przykazaniem jest to, by nikogo, a zwłaszcza osobistości ważnych, wpływowych, a w ostateczności – tylko majątnych – w żaden sposób nie urazić.

„Fenomen ten godzien rozbiorów” również z tego powodu, że zmusza on nas do zrewidowania dotychczasowego – jak się okazuje, powierzchownego – podejścia do nacjonalizmu. Jak wiadomo, istotą tej ideologii jest przekonanie – po pierwsze – że „naród” nie jest hipostazą, tylko bytem rzeczywistym, a po drugie – że każda wspólnota etniczna powinna się politycznie zorganizować w państwo. Ostatnio JE abp Stanisław Gądecki nie tylko potępił nacjonalizm, ale nawet oświadczył, że nie ma on nic wspólnego z „dojrzałym patriotyzmem”. Czy jednak słusznie, skoro – jak możemy ponad wszelką wątpliwość stwierdzić – katolickie duchowieństwo w Wielkiej Brytanii czci całkiem innego Boga niż, dajmy na to, katolicy włoscy czy polscy, co skłania do podejrzeń, że każdy naród ma swojego Boga, co stanowi poszlakę, że rację mógł mieć prof. Tadeusz Zieliński, twierdząc, że dla umysłu filozoficznie wyrobionego różnica między politeizmem a monoteizmem nie jest nie do pokonania, a po drugie –



że postawa Jego Eminencji Wincentego kardynała Nicholasa pokazuje,  
iż można być jednocześnie i nacjonalistą, i dojrzałym patriotą?

„NCz!” 21-22/2018

## POJEDYNEK NA MINY

O d dawna powtarzam, że w naszym nieszczęśliwym kraju życie, zwłaszcza publiczne, w coraz większym stopniu staje się naśladownictwem literatury. W większości przypadków – naśladownictwem niezamierzonym, ale to nie ma żadnego znaczenia w sytuacji, gdy większości zdarzeń albo nawet procesów społecznych u nas zachodzących można przypisać jakiś literacki pierwowzór.

Trudno zgadnąć, z czego się to właściwie bierze; jedną z przyczyn może być okoliczność, że uprawianie prawdziwej polityki nasi Umiłowani Przywódcy mają surowo zakazane. Najlepszą tego ilustracją są telewizyjne programy, zwane, nie wiedzieć czemu, najpewniej siłą inercji – „informacyjnymi”. Tymczasem zarówno telewizja rządowa, jak i stacje nierządne żadnych informacji już od dawna nie podają, tylko podsrywają się nawzajem. Ten powiedział to, na co tamten tamto i tak wkoło. Nie ma tu mowy o żadnych informacjach; jeśli cokolwiek to przypomina, to najprędzej jakąś walkę kogutów. Z jednej strony zaciętrzewiona kura *domestica* w osobie, dajmy na to, pani red. Justyny Pochanke czy innej pani red. Anity Werner, a z drugiej – pan red. Michał Rachoń albo pani red. Danuta Holecka. Co jedni i drudzy z tego mają – trudno zgadnąć, bo prawdziwe w tym wszystkim są jedynie pieniądze inkasowane przez obydwie strony.

Pewnej wskazówki dostarcza zza grobu Ryszard Kapuściński. W jednym z reportaży z Gwatemali analizuje on program tamtejszej rozgłośni radiowej, która swoje audycje nadaje przez 24 godziny na dobę. Po całodziennym nasłuchu dochodzi do wniosku, że z tej rozgłośni niepodobna dowiedzieć się nie tylko tego, co się dzieje w Gwatemali, ale w ogóle na świecie. Wyciąga z tego wniosek, że ta radiostacja, chociaż hałasuje na cały regulator, tak naprawdę pracuje „w służbie ciszy”. No dobrze – ale po co komu taka cisza? Ano po to, by słuchaczy uspić, bo jak będą spali, to można będzie ich zoperować bez przerywania snu, a więc i bez obawy jakichś protestów. Mówi o tym parodia pewnej pieśni patriotycznej: „Tak długo my spali i nas przebudzili. I w dupę nam dali i znów położyli”. Dobrze to pasuje do mojej ulubionej teorii spiskowej, według której w Polsce, za

pośrednictwem swoich partyjnych i medialnych ekspozytur, ścierają się stronnictwa: Ruskie, Pruskie i Amerykańsko-Żydowskie, w imieniu państw-mocodawców walczące o wpływy w naszym bantustanie.

W tej sytuacji usypianie mniej wartościowego narodu tubylczego jest jak najbardziej wskazane i to się właśnie robi – albo przez kierowanie uwagi opinii publicznej w stronę działań pozornych w rodzaju intronizacji Chrystusa-Króla lub kultu smoleńskiego, albo na skupianiu medialnych reflektorów na walkach kogutów, które wprawdzie mogą wzbudzać w obserwatorach żywe emocje, ale z których nic nie wynika. Znakomitą ilustracją tej metody było staranne przemilczanie zarówno przez media związane z obozem zdrady i zaprzaństwa, jak i media rządowe sprawy amerykańskiej ustawy 447 JUST. Jazgot wybuchł dopiero po wpuszczeniu przez żydowskiego burmistrza Jersey City szczura w postaci zapowiedzi usunięcia pomnika katyńskiego do jakiegoś lamusa, rzekomo z powodu konieczności urządzenia w tym miejscu parku. Ponieważ byłem przy tym pomniku kilkakrotnie, a nawet składałem tam kwiaty, to doskonale wiem, że nie ma tam miejsca na żaden park, a najwyżej na skwerek, bo pomnik stoi nad brzegiem Hudsonu u wylotu przesmyku obudowanego wieżowcami. Jestem przekonany, że był to wpuszczony przez Żydów szczur, żeby odwrócić uwagę Polonii od ustawy 447 JUST, a przy okazji stworzyć Umiłowanym Przywódcom w Polsce sposobność zaprezentowania się w charakterze nieustraszonych obrońców polskich interesów. W rezultacie Polska odniosła wielkie zwycięstwo, bo pomnik ma zostać przesunięty tylko o 60 metrów dalej – ale w tym samym czasie prezydent Donald Trump podpisał wspomnianą ustawę przy głuchym milczeniu nie tylko mediów obydwu obrządków, ale i Umiłowanych Przywódców. Kiedy już milczeć nie było można, dygnitarze zaczęli prześcigać się w uspokajających deklaracjach, że „Polacy, nic się nie stało”, podczas gdy inwentaryzowanie nieruchomości w Polsce jest w pełnym toku.

Wróćmy jednak do naśladownictwa literatury w polskim życiu publicznym. Oto w „Ferdydurke” Witolda Gombrowicza opisany jest pojedynek na miny, jaki toczy Syfon, reprezentujący tak zwaną „niewinną młodzież”, z Miętusem, który z kolei reprezentuje przeciwników niewinności, pragnących w ten sposób wyzwolić się z

młodziankowej niedojrzałości, by osiągnąć ideał w postaci „parobka”. Syfon przedstawia kolejne miny, które w końcu kumulują się w wizerunku „niewinnego chłopięcia”. Miętus złośliwie go parodiuje – ale na wizerunek niewinnego chłopięcia nie ma żadnej odpowiedzi, więc powala Syfona na ziemię i „gwałci go przez uszy”.

Czyż nie jest to prefiguracja obecnego protestu inwalidów w Sejmie, którzy nie tylko na koszt Sejmu są tam żywieni, ale jako główny postulat wysunęli żądanie wypłacania im miesięcznie po 500 złotych gotówką. Rząd najpierw próbował im schlebiać i korumpować rozmaitymi podarunkami, ale chyba stracił nadzieję na porozumienie, bo gdyby nawet zgodził się na 500 złotych, to już następnego dnia usłyszałby, że 1000 złotych wygląda lepiej, a zwłaszcza „godniej” niż 500, a potem – że 3000 złotych wygląda jeszcze „godniej” niż 1000. Zdecydował się zatem na stoczenie z inwalidami pojedynku na miny. Otóż od pewnego momentu pod Sejmem zaczęli demonstrować inwalidzi „rządowi”, przeciwni tym protestującym w Sejmie, a w rządowej telewizji pojawiły się opinie, że 60 procent Polaków sejmowego protestu nie pochwała.

Być może, że to nawet prawda, bo trudno pochwalać, a nawet tolerować sytuację w której pani Anna Glinka wodzi za nos całe państwo. W lipcu ma się odbyć w Warszawie szczyt NATO, podczas którego wszystkie delegacje, a za pośrednictwem mediów – cały świat zobaczy, że Polska jak zwykle nierządem stoi, bo jakże inaczej, skoro cała niezwyciężona armia, nie mówiąc już o policjach „tajnych, widnych i dwupłciowych”, nie potrafi poradzić sobie z jedną panią Anną Glinką? Jakże tedy poradzi sobie z Putinem czy nawet ze złowrogim Aleksandrem Łukaszenką? Warto dodać, że tej bezradności nie można przypisać tylko aktualnemu rządowi, bo pani Glinka jest intensywnie zachęcana do nieustępliwości przez nieprzejednaną opozycję. Ale świat nie będzie wchodził w tubylcze walki kogutów, tylko ugruntuje sobie opinię o Polsce jako państwie niepoważnym, bez względu na to, kto akurat stoi u steru rządów – czy Mateusz Morawiecki, czy jakaś kreatura Grzegorza Schetino. Bardzo możliwe, że pan Schetino nie zdaje sobie z tego sprawy, bo że nie zdaje sobie z tego sprawy moja faworyta, Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, to o tym jestem święcie przekonany. Osobiście to może ją

usprawiedliwiać w oczach Stwórcy, bo „nie wie, co czyni”, ale wystawia jak najgorsze świadectwo tym, którzy akurat w takich osobach sobie upodobali i wysuwają ich na prawodawców i kierowników państwa. Mam na myśli Starych Kiejkutów – tę gangrenę na ciele naszego narodu, która prędzej czy później przyprawi nas o śmierć.

„NCz!” 23-24/2018

## ORSZAK MĘCZENNIKÓW

Straszliwy reżym prezesa Jarosława Kaczyńskiego nie tylko potrząsa strasznym knutem przed struchlałymi Obywatelami Rzeczypospolitej, nie tylko morduje papugi, co nawiasem mówiąc, jeszcze przed wojną przewidział Konstanty Ildefons Gałczyński, ogłaszając proroczy wiersz, jak to „Sanacja morduje papugi”, ale – gdyby oczywiście mógł – wszystkich płomiennych szermierzy demokracji zsyłałby na okropną Syberię. Jednak szczęśliwie nie może, bo napina stosunki z zimnym ruskim czekistą Putinem, który w związku z tym o żadnych syberyjskich zesłańcach nie chce słyszeć.

Takich delikwentów można by ewentualnie zsyłać na Alaskę – ale czy są tam jakieś łagry? Dotychczas nie było nic o tym słyhać, więc jeśli nawet są, to ich istnienie jest owiane mgłą tajemnicy, w dodatku mgłą najlepszego gatunku, taką samą jaka otacza izraelską broń jądrową czy tajne więzienia CIA w Starych Kiejkutach. Nawiasem mówiąc, chociaż pan premier Morawiecki intensywnie „uszczelnia” system podatkowy, w związku z czym korektę do zeszłorocznego zeznania podatkowego napisałem pod dyktando wyrozumiałej pani z Urzędu Skarbowego, a i tak okazało się, że źle – to nic nie słyhać, by Stare Kiejkuty zapłaciły podatek od tych 15 milionów dolarów, jakie od rezydenta CIA w Ambasadzie USA w Warszawie dostały w gotówce w ramach wynagrodzenia za usługi kuplerskie i stanie na świecy w czasie, gdy amerykańscy specjaliści oprawiali swoje ofiary w Starych Kiejkutach. Najwyraźniej pan premier Morawiecki uszczelnianie podatków od amerykańskich jurgieltów ma surowo zakazane („wiecie, rozumiecie, Morawiecki, wy u nas zawsze bardzo uważajcie, bo w przeciwnym razie będzie z wami brzydka sprawa”), dzięki czemu może obywatelom przychyłać nieba, ile tylko wlezie. Ale przecież nie chciałem wychwalać straszliwego reżymu, bo jeszcze TVP oskarżyłaby mnie przed niezawistym sądem o nieuczciwą konkurencję, a ten pokazałby mi ruski miesiąc, na początek wtrącając do aresztu wydobywczego w nadziei, że z nudów sam zacznę się oskarżać, a wtedy i niezawistemu sądowi będzie łatwiej powinność swej służby zrozumieć. Bo w odróżnieniu od wypuszczonej właśnie na wolność mafii notariuszy, ja nie należę do „elementów socjalnie bliskich” – jak

to ujęła wybitna znawczyni prawa, uczennica stalinowskiego prokuratora Andrzeja Wyszyńskiego, Ida Lejbowna Awerbach. Pan Paweł Pawlikowski, co to nakręcił film „(GN)Ida”, dyskretnie na ten temat milczy, ale jestem pewien, że to właśnie postać tej żydowskiej wampirzycy go do takiego zatytułowania swego obrazu zainspirowała. Pani Wolińska, owszem, też Żydówka, ale raczej od rewolucyjnej praktyki, więc gdzież jej tam do Idy Lejbownej Awerbach, która rozwinęła rewolucyjną teorię socjalistycznej praworządności? Trawestując Cześnika Raptusiewicza, mógł pan Pawlikowski „w surowo-higienicznym, przesadnym komforcie” jakieś toalety snuć sobie „sny nikczemne”, że „*qua* reżyser, Żydom krewny, miałbym z »Idą« sukces pewny!”. Ale mniejsza już o tych chałturników, których pan wicepremier Gliński obsypuje złotem, żeby tylko Polskę i Polaków obsrywali – bo chociaż zwijają się ze wstydu („Ha! Będą ze wstydu się wiły dziewczki uliczne, brzuchate kobyły, filmowych knotów sromne producentki”) z powodu przelotnego związku z mniej wartościowym narodem tubylczym, to przecież żadni z nich męczennicy, podczas gdy ja chciałbym o męczennikach.

### OTÓŻ „ORSZAK BIAŁY”

męczenników złowrogiego reżymu powiększył się ostatnio, niczym grono aniołków, o młodocianych inwalidów i ich energiczne mamy, co to w Sejmie walczyły z reżymem o „godność”, a konkretnie o 500 złotych miesięcznie na głowę – i to koniecznie w żywej gotówce. Najwyraźniej językoznawczy będą musieli uzupełnić wokabularz o nową definicję godności: „godność” to 500 złotych w gotówce miesięcznie na głowę. Jest to, mówiąc nawiasem, definicja podobna z ducha do słowa „nic”, które, jak wiadomo, oznacza ćwiartkę wódki na dwóch. Jak pamiętamy, protest ten miał trwać „aż do skutku” – ale tak się tylko mówi, bo kiedy – jak przypuszczam – w słuchawce gorącej linii łączącej CIA ze Starymi Kiejkutami dyżurny generał usłyszał gniewny głos mówiący: „Co to za burdel! Z kim żeście się na łby pozamieniali? Co wy chcecie światu pokazać? Że nasz niewyciężony Sojusz kuca przed panią Glinką? Tak żeście to sobie, zakute pały, wykombinowali? Jak my wtedy udowodnimy światu, że potrafimy poradzić sobie i ze złowrogim Iranem, i z zimnym ruskim czekistą i z jakimś innym Kim Dzong Unem? Likwidować mi ten bajzel, ale w

podskokach! Jazda, do roboty, bo wyrwę ręce i wstawię patyki! – więc kiedy dyżurny generał usłyszał ten głos, to i do protestujących, i do mediów, co to – jak podejrzewam – zostały utworzone z pieniędzy ukradzionych z Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, a które teraz („idź złoto do złota!”) przejął znakomicie ukorzeniony pan Dawid Zaslav, poszły ekspresowe rozkazy ewakuacji. Toteż i pani Anna Glinka i pozostałe energiczne mamy zrozumiały, że to nie żadne polskie safandulstwo, tylko każdy odruch sprzeciwu pachnie „ruskim batogiem” i bez słowa zaczęły się pakować pod pretekstem „zagrożenia życia” – że to niby reżym morduje nie tylko papugi, ale i inwalidów. Na takie uzasadnienie rezydent pozwolił, tym bardziej że i nieprzejednana opozycja, co to w ostatniej chwili podpisała „Pakt Solidarnościowy”, nawet nie obiecała tych 500 złotych na głowę. Okazuje się, że nie tylko tacy starzy wyjadacze jak minister-ministrowicz Kosiniak-Kamysz czy pan Czarzasty, ale nawet moja faworyta, Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, w sprawach pieniężnych nie jest w ciemię bita.

#### ALE TO JESZCZE NIC,

choć oczywiście taki orszak męczenników reżymu, do których doszłusowała również pani Janina Ochojska z Polskiej Akcji Humanitarnej, sponsorowanej m.in. przez Komisję Europejską, amerykańską Agencję Rozwoju Międzynarodowego, Polską Pomoc (to znaczy MSZ w Warszawie), Kościół w Norwegii, UNICEF, jakąś GmbH z Niemiec, UNOCHA, to znaczy agendę ONZ, World Food Programme i FAO, tzn. ONZ-owską Agencję do spraw Wyżywienia i Rolnictwa. Dla takich alimentów warto się trochę pomęczyć, oczywiście na pluszowym krzyżu – ale palma męczeńska już jest autentyczna. Wszystkich jednak przelicytował Wielce Czcigodny Krzysztof Brejza, który najwyraźniej zapragnął dostąpić zaszczytu zostania holokaustnikiem. Ogłosił mianowicie, że prawdopodobnie padł ofiarą zbrodniczego zamachu. Zamach polegał na tym, że nieznani sprawcy podpalili przenośny wychodek typu Toi-Toi, dlaczegoś stojący tuż przy kamienicy zamieszkiwanej przez Wielce Czcigodnego. Wprawdzie kamienica się od wychodka nie zajęła, ale przecież mogła się zająć, no a wtedy – aż strach pomyśleć, co by się wtedy stało, jaką niepowetowaną stratę mógłby ponieść nasz i tak już przecież



wystarczająco nieszczęśliwy kraj. Ale co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie – przestrzega przysłowie. Najwyraźniej Wielce Czcigodny – nieświadomie, ma się rozumieć – przekroczył niewidzialną granicę oddzielającą to, co jest jeszcze dozwolone, od tego, co już dozwolone nie jest, zwłaszcza dla głupich gojów. Toteż na policję zgłosił się sprawca, który sumiennie zeznał, że podpalenie wychodka przytrafiło się właśnie jemu – ale miało ono charakter mimowolny, bez intencji holokaustowania Wielce Czcigodnego Krzysztofa Brejzy. W tej sytuacji opinia, która początkowo współczuła Wielce Czcigodnemu jako prawdopodobnemu męczennikowi złowrogiego reżymu, zaczęła nabierać oraz większego dystansu do ogłaszanych przezeń rewelacji, najwyraźniej podejrzewając, że w ten sposób próbował on podłączyć się do beneficjentów amerykańskiej ustawy nr 447 JUST. Problem w tym, że wprawdzie wszystko z tym kierunkiem zmierza, ale jeszcze nie postawiono znaku równości między złowrogim reżymem prezesa Jarosława Kaczyńskiego a złowrogim reżymem Adolfa Hitlera, który – w odróżnieniu od Józefa Stalina, co to chciał dobrze, tylko wyszło mu jak zwykle – uważany jest za uosobienie Zła Absolutnego. Znaj proporcje, mocium panie – chciałoby się zawołać na widok usiłowań Wielce Czcigodnego, który, widząc, jak kują konie, też próbował podstawić nogę. I tak ma szczęście, że mu tej nogi nie pogruchotała jakaś „ślaska woda”.

#### ZDECYDOWANIE LEPIEJ

prezentuje się na tym tle kol. Rafał Ziemkiewicz. Oskarżył on pana profesora Dariusza Stołę, dyrektora Muzeum Żydów Polskich „Polin”, że „chciał”, żeby kol. Ziemkiewicza ktoś pobił, jak kiedyś „nieznani sprawcy” Stefana Kisielewskiego. Jestem pewien, że za obietnicę korzyści majątkowej dyrektor żydowskiego muzeum na pewno znalazłby licznych wolontariuszy. Co tu dużo mówić: ten cały pan Stola rzeczywiście ostatnio się rozdokazywał, zwłaszcza na odcinku antypolskiej propagandy, ale żeby aż do tego stopnia? Wprawdzie może mieć pretensje do kolegi Ziemkiewicza za użycie określenia „parchy”, ale dlaczego bierze to tak osobiście? Jeśli nawet coś jest na rzeczy, to przecież mógłby pójść z tym do dermatologa, wysmarować się maścią, a nie nawoływać do ulicznego karcenia odkrywcy tej przypadłości. Dyrektorem się nie jest, tylko się bywa, a to, czy się nim

jest, czy nie, zależy od mądrości etapu, więc nikomu by nie zaszkodziło, gdyby pan prof. Dariusz Stola nie przejmował się własną rolą aż tak bardzo. Wprawdzie jest człowiekiem stosunkowo młodym, ale mimo bardzo wąskiej specjalizacji uchodzi, zwłaszcza wśród mikrocefali, za wykształconego, a skoro tak, to powinien pamiętać uwagę Wieszcza, że „gwałt niech się gwałtem odciska”, albo nawet – chociaż to już nie jest takie pewne – rzymską sentencję, że *vim vi repellere licet*, co się wyklada, że siłą godzi się siłą odeprzeć. Jeśli tedy pan profesor Stola nadal będzie tak dokazywał, to kto wie, czy szeregi męczenników gwałtownie się nie powiększą.

#### JAKBY TEGO JESZCZE BYŁO MAŁO,

gazeta „Fakt” rozpisała się o „seksaferze” w partii Wolność. Jeden z jej działaczy miał mianowicie zarażać syfilisem rozmaite panienki. Jak tam było, tak tam było, chociaż nie od rzeczy będzie w tej sytuacji przypomnieć piosenkę, bardzo za moich czasów popularną w kołach wojskowych, w której śpiewano między innymi: „Chodźmy do Kazi, chodźmy do Kazi, Kazia ma syfa, to nas zarazi”. Już mniejsza o to, co to za „Kazia”, bo ważniejsze wydaje mi się to, że w tamtych czasach gotowość do męczeństwa była większa niż dzisiaj, kiedy to panienki, zamiast do doktora, biegną do redakcji gazet i jeśli nawet nie fotografują się na golasa, to wyplakują się redaktorom w mankiet. Najwyraźniej pragnienie choćby chwilowego rozgłosu i Herostratesowej sławy zaczyna wygrywać nawet z instynktem samozachowawczym. Niestety na tym świecie pełnym złości nie ma rzeczy doskonałych, toteż każdy liść do wieńca sławy może być okupiony męczeństwem, o którego szczegółach pisze Aleksander Fredro w „Sztuce obłapiania”.

„NCz!” 25-26/2018

# ŻELAZNE WAGINY I ZŁOTE ROGI

W sobotę i niedzielę, 16 i 17 czerwca, odbywał się w Łodzi Kongres Kobiet. Jak się bowiem okazało, kobieta to nie tylko jedna z płci, których, jak wiadomo, jest aż siedem, ale również – a może nawet przede wszystkim – postawa polityczna.

Bycie kobietą, a zwłaszcza kobietą wyzwoloną, zależy bowiem od politycznego wyboru, a konkretnie – od wkroczenia na drogę nieubłaganego postępu, na której kobiecą trzódkę wiodą ku rzece zapomnienia stare komusze szczurołapy w rodzaju Daniela Cohn-Bendita (ze „starych kochanych Cohnów” – jak nazywał ich poeta) czy pana redaktora Michnika, który w naszym nieszczęśliwym kraju, za zgodą Starych Kiejkutów, pełni obowiązki Stalina.

Nawiasem mówiąc, palawery Cohn-Bendita z panem redaktorem Michnikiem były cudownym widowiskiem, jak to dwóch mełamedów nawzajem sobie świadczyło i sadziło rozmaite komplementy, których mikrocefale słuchali z otwartymi z podziwu ustami.

Stare komusze szczurołapy upatrzyły sobie kobiety jako proletariat zastępczy – bo nadają się one do tej roli znacznie lepiej niż, dajmy na to, pracownicy najemni, czyli proletariat tradycyjny. Taki jeden z drugim prolet był zresztą nielojalnym sojusznikiem komuszych szczurołapów, bo marzył o tym, by jak najszybciej przestać być proletariuszem, a kiedy mu się to udało, to znaczy kiedy się wzbogacił i został „drobnomieszczaninem”, to stawał się najbardziej nieprzejednanym wrogiem komuszych szczurołapów, nie bez kozery podejrzewając ich, że chcieliby mu odebrać to, do czego z takim trudem doszedł. Szczurołapowie szóstym zmysłem to wyczuwali i jeśli nawet wybacжали to i owo plutokratom, to dla „drobnomieszczan” wprost nie znajdowali słów potępienia. Tymczasem kobieta, wszystko jedno – biedna czy bogata, piękna czy reprezentująca raczej zalety intelektualne – kobietą być nie przestanie, toteż jeśli tylko uwierzy, że jest oprymowana przez męskie szowinistyczne świnię, komusze szczurołapy mogą z nią zrobić wszystko i wykorzysta ją na wszelkie możliwe sposoby.

W gronie komuszych szczurołapów rej wodzą Żydzi. Najwidoczniej muszą z tego całego komunizmu mieć jakieś – jak by to określił nasz

Kukuniek – „plusy dodatnie”. Ale ponieważ na tym świecie pełnym złości nie ma rzeczy doskonałych – to obok wspomnianych „plusów dodatnich” są też „plusy ujemne”. Miliony ludzi widzą bowiem to zaangażowanie Żydów w komunizm i bywa, że zaczynają palić nimi w piecach.

Wróćmy jednak do wspomnianego Kongresu Kobiet. Kogóż tam nie ma! Co prawda większość organizatorek apogeum kobiecości ma już daleko za sobą, mimo to wspinają się na piedestał, jakby nie pamiętały o uwadze Tadeusza Boya-Żeleńskiego, który w wierszu poświęconym „matronie krakowskiej” pytał retorycznie: „Za co stwór podeszły wiekiem, co kobietą być już przestał, a nigdy nie był człowiekiem, windujemy na piedestał?”. Rzeczywiście, trudno zgadnąć, ale gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć, że obok takich matuzalemek są też panie młodsze, jak np. moja faworyta, Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus, która ostatnio wzięła udział w kolejnym eksperymencie politycznym z udziałem pana Ryszarda Petru. Co z tego wyniknie – trudno powiedzieć, ale inicjatywa ma przed sobą perspektywę choćby z tego powodu, że jej uczestnicy jeszcze mogą się rozmnażać.

Warto też dodać, że obok kobiet płci żeńskiej, w łódzkim Kongresie wzięły również udział kobiety „innej płci”. Pierwszą wzmiankę o istnieniu „innej płci” spotykamy w wigilijnym przemówieniu kapitana żeglugi wielkiej Eustazego Borkowskiego do załogi dowodzonego przezeń statku. Zwracając się do swoich „kochaaaanych” starszych oficerów, młodszych oficerów, marynarzy, chłopców okrętowych, stewardes i tak dalej, dochodził wreszcie do „innych płci” – określając w ten sposób okrętowego kapelana. Tedy na łódzkim kongresie nie mogło zabraknąć przewielebnego księdza Wojciecha Lemańskiego, który z braku rajującego zajęcia, a więc pewnie z nudów, uczestniczy w rozmaitych imprezach, markując czynności szamańskie. W najweselszym, bo religijnym dziale „Gazety Wyborczej” mogliśmy przeczytać, jak to przewielebny ksiądz Wojciech Lemański „modlił się” z „kobietami” – i to w dodatku „różnych wyznań”. Wśród tych „wyznań” musiało być też wyznanie bezwyznaniowe, jako że pani profesorowa Magdalena Środzina prezentuje się jako „ateistka”. Ciekawe, do kogo w takim razie modliły się te „kobiety różnych

wyznań”, no a przede wszystkim – do kogo konkretnie modlił się przewielebny ksiądz Wojciech Lemański. „Panie Boże, jeżeli jesteś, zbaw duszę moją, jeśli ją mam” – modlił się francuski żołnierz w czasie przewalającej się przez ten kraj rewolucji. Czy taka formuła wytrzymałaby próbę „różnych wyznań”? Jak „kobiety” zdobędą w naszym nieszczęśliwym kraju polityczną władzę, to będziemy mogli się zorientować, niechby nawet przez tzw. fakty konkludentne – na przykład w postaci oszałamiającej kariery przewielebnego księdza Wojciecha Lemańskiego w Zjednoczonym Kościele Phallusa Uskrzydłonego.

Nie bez kozery dopuszczam taką właśnie możliwość, bo na łódzkim kongresie koncertowały „Żelazne Waginy”. Król pruski Fryderyk II zwany Wielkim na wieść, że imperatorowa Katarzyna II ma chrapkę na turecki Złoty Róg, zauważył, że widocznie „już jej rogi huzarskie nie wystarczają”, więc *per analogiam* – czyżby i przewielebnemu zwyczajne waginy już tak spowszedniały, że postanowił spróbować żelaznych? To na pewno byłaby jakaś odmiana, ale trzeba uważać, żeby przy takich eksperymentach nie złamać sobie – powiedzmy – serca, bo wiadomo, że nie ma nic gorszego niż złamane serce – jeśli oczywiście nie brać pod uwagę złamanego prawa, o które tak troszczy się u nas Nasza Złota Pani i uczula na tę sprawę niemieckich owczarków z Komisji Europejskiej, które z upodobaniem targają nasz nieszczęśliwy kraj za nogawki i próbują sięgnąć coraz wyżej. Sekunduje temu przewielebny, szlajając się po rozmaitych marszach Komitetu Obrony Demokracji, utworzonego – jak przypuszczam – przez Starych Kiejkutów na polecenie BND, za co żydowska gazeta dla mniej wartościowych tubylczych Polaków udelektowała go tytułem „Człowieka Roku 2017”.

Zgodnie z prawem Murphy’ego, jak coś złego może się stać, to na pewno się stanie. Członkini utworzonego przez Kongres Kobiet „Gabinetu Cieni”, w skład którego wchodzi m.in. pani Teresa Kamińska, ongiś faworyta charyzmatycznego premiera Buzka, za którego rządów doszło do biurokratycznej eksplozji, która skokowo podniosła koszty funkcjonowania państwa o 100 miliardów złotych rocznie – pani Henryka Bochniarz, co to wygartywała i z PZPR-owskiego i z KLD-owskiego komina, czyli u „aferałów”, powiedziała, że

„potrzebujemy Ukraińców”. Najwyraźniej musi uważać, że Ukraińcy mają dużo wigoru. Wszystko to być może, jednak wydaje się, że jeszcze więcej wigoru mają bisurmanowie, więc te marzenia o złotym rogu mogą zakończyć się sceną, jak ustrojoną w galabiję pannę Kazię Szczukównę bisurmanin kijem zagania do haremu „pod czujną eunucha straż”.

PS A oto jakim odkryciem z uczestniczkami Kongresu Kobiet podzieliła się Manuela Gretkowska: „niedługo patriota, widząc, jak mu staje i cała krew spływa do penisa, pomyśli, że zaraz się wykrwawi i potrzebna mu na gwałt sanitariuszka”. Psychiatra-freudysta miałby z nią sto pociech.

„NCz!” 27-28/2018

# PAN PREZYDENT SOBIE ZAKPIŁ

Jak ta historia w naszym nieszczęśliwym kraju się powtarza! Okazuje się, że mimo sławnej transformacji ustrojowej nadal mamy „dyktaturę ciemniaków”, o której w roku 1968 wspominał Stefan Kisielewski, co tak zirytowało Władysława Gomułkę, który ten zarzut najwyraźniej potraktował osobiście, że aż kazał „nieznanym sprawcom”, żeby Stefana Kisielewskiego pobili.

Ale to nic dziwnego, skoro po raz kolejny zyskaliśmy potwierdzenie, że mimo sławnej transformacji ustrojowej Polska nadal, jak gdyby nigdy nic, okupowana jest przez te same bezpieczniejskie watahy – oczywiście już w drugim, a nawet trzecim pokoleniu ubeckich dynastii – jak to możemy zaobserwować choćby na przykładzie dynastii Cimoszewiczów, której początki tkwią w mrokach pierwszej i drugiej sowieckiej okupacji Polski.

Mam oczywiście na myśli 15 pytań, jakie pan prezydent Andrzej Duda 12 czerwca ogłosił naszemu i tak już wystarczająco znękanemu narodowi. Jestem zdumiony, że pan prezydent, który w końcu legitymuje się tytułem doktora nauk prawnych, ośmielił się publicznie przedstawić pytania świadczące o kompletnym niezrozumieniu materii konstytucyjnych, ignorancji w sprawach, które powinny być – i są – znane studentom prawa, skłonności do zdrady stanu i ogólnym bęcwałstwem. Tedy *incipiam*.

## SAMOWOLKA

Jak pamiętamy, zamiar przeprowadzenia referendum konstytucyjnego w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości pan prezydent Andrzej Duda ogłosił 3 maja 2017 roku. Po reakcjach polityków Prawa i Sprawiedliwości – a zwłaszcza po oświadczeniu pani Beaty Mazurek, rzecznika PiS – można było nabrać pewności, że ze strony pana prezydenta była to samowolka. W odróżnieniu od poprzednich swoich przedsięwzięć, które pan prezydent wykonywał na polecenie swego wynalazcy, czyli prezesa Jarosława Kaczyńskiego, ta deklaracja nie tylko nie została przez Naczelnika Państwa panu prezydentowi nakazana, ale chyba nawet nie została z nim skonsultowana. Nieomylny to znak, że pan prezydent Duda zbuntował się przeciwko swemu wynalazcy – co zostało

spektakularnie potwierdzone kilka miesięcy później, gdy pan prezydent złożył weto wobec ustawy o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa – czego oczekiwała od niego „nieprzejednana opozycja”: polityczna ekspozytura Stronnictwa Pruskiego w postaci Platformy Obywatelskiej, wynalazek Starych Kiejkutów, czyli Nowoczesna, konfidenci stanowiący najtwardsze jądra płomiennych szermierzy demokracji i wolności obywatelskich oraz masy tak zwanych pożytecznych idiotów, których w wielkiej obfitości produkuje każdego roku środowisko „Gazety Wyborczej” i któremu redakcyjny Judenrat podpowiada, co akurat powinien myśleć.

W ten sposób pan prezydent Duda, nie bez pewnej ostentacji, zaczął przegryzać pępowinę, jaka dotychczas łączyła go z PiS. Za wetem bowiem poszły kolejne ruchy. W Święto Wojska Polskiego, jakie przypada 15 sierpnia, przed defiladą naszej niezwyciężonej armii prezydent Duda wygłosił przemówienie, w którym przypomniał, że niezwyciężona armia jest „jedna” i nie wolno jej „dzielić” – co stanowiło oczywistą polemikę z poczynaniami złowrogiego ministra Antoniego Macierewicza, który w naszej niezwyciężonej akurat przeprowadzał kurację przeczyszczającą.

W tej sytuacji prezydent Duda, przed którym rozciągały się jeszcze trzy lata kadencji, musiał szukać sobie nowych politycznych przyjaciół. I ci – oczywiście w postaci Starych Kiejkutów – natychmiast się zgłosili z ofertą poparcia, ale nie za darmo. Na początek zażądali głowy znienawidzonego Antoniego Macierewicza, którego Naczelnik Państwa – kąsany ze wszystkich stron, co zmusiło go do odwrotu na z góry upatrzone pozycje – pozwolił zaszlachtować pod pretekstem „rekonstrukcji rządu”.

Te z góry upatrzone pozycje, na które wycofał się Naczelnik Państwa, to ramiona żydowskiego *lobby*, reprezentowanego aktualnie przez niejakiego pana Daniela, który w naszym nieszczęśliwym kraju z powodzeniem powtarza karierę Nikodema Dyzmy. Naczelnik Państwa bowiem za pośrednictwem tego *lobby*, a pana Daniela w szczególności, ma nadzieję trafić nie tyle do żołądka, co do serduszka Naszego Najważniejszego Sojusznika. Ponieważ Stare Kiejkuty w czerwcu 2015 roku też zostały przez Naszego Najważniejszego Sojusznika wciągnięte na listę „naszych sukinsynów”, to prezydent



Duda w stosunkach z Naczelnikiem Państwa może odgrywać rolę politycznego partnera.

Oczywiście wedle stawu grobla – bo kiedy 3 maja tego roku zapowiedział przeprowadzenie referendum konstytucyjnego 11 listopada, pan marszałek Senatu Stanisław Karczewski przypomniał mu, że owszem, prezydent może zarządzić referendum, ale za zgodą Senatu, która wcale nie jest taka pewna.

### RUCHY POZORNE

Wiele wskazuje na to, że w związku z tym również i pan prezydent nie traktował swojej inicjatywy serio. Gdyby bowiem tak było, to pytania referendalne, dotyczące materii konstytucyjnych, powinny zostać ogłoszone jeszcze w ubiegłym roku. Następnie powinna zostać wszczęta kampania informacyjna, wyjaśniająca obywatelom zalety i ryzyka wiążące się z przyjęciem jednego czy drugiego, alternatywnego rozwiązania – żeby ci głosowali z dostatecznym rozeznaniem, czego właściwie chcą. Wbrew bowiem wrażeniu, jakie mógłby odnieść naiwny obserwator demonstracji na rzecz konstytucji, zdecydowana większość obywateli o materiałach konstytucyjnych ma pojęcie raczej mgliste i kieruje się tym, co podpowiedzą jej polityczni ulubieńcy, a w przypadku konfidentów – co im nakażą oficerowie prowadzący. W takiej sytuacji organizowanie referendum nie ma najmniejszego sensu, bo wystarczyłoby zapytać o zdanie pana red. Michnika, panią Justynę Pochanke, ewentualnie panią „Kasię” Kolendę-Zaleską z jednej, a panią Danutę Holecką z drugiej, a dla pełniejszego obrazu również przewielebnego księdza Wojciecha Lemańskiego i przewielebnego księdza Dariusza Oko – i na tej podstawie bez obawy popełnienia błędu można by wyciągnąć wnioski co do konstytucyjnych preferencji opinii publicznej.

Jednak pan prezydent Duda przy referendum się upierał i odgrażał się, że lada dzień swoje pytania obywatelom pod rozwagę przedstawi. No i wreszcie góra urodziła mysz.

### PYTANIA GŁUPIE LUB NIEPOTRZEBNE

**Pierwsze dwa pytania** są po prostu głupie, zwłaszcza **pytanie pierwsze**, w którym pan prezydent próbuje się dowiedzieć, czy obywatele w ogóle życzą sobie zmiany konstytucji, czy tylko zmian. Niepodobna na nie odpowiedzieć, bo przecież każda wprowadzona

zmiana jest jednocześnie zmianą konstytucji. Weźmy dla przykładu pomysł zastąpienia politycznego systemu parlamentarno-gabinetowego, jaki mamy obecnie, politycznym systemem prezydenckim. Byłaby to bardzo istotna zmiana nie tylko konstytucji, ale całego sposobu funkcjonowania państwa – nawet gdyby wszystkie inne postanowienia dotychczasowej pozostały nienaruszone.

**Pytanie drugie** też nie jest specjalnie mądre w sytuacji, gdy prezydent właśnie próbuje w sprawie zmiany konstytucji ogłosić referendum. Jego intencją jest wprawdzie wprowadzenie stałej zasady, ale skoro teraz referendum jest dobre, to nie ma po co pytać, a jeśli jest złe, to też nie ma po co pytać. Drugie pytanie zatem jest niepotrzebne.

**Pytanie trzecie**, dotyczące wprowadzenia obowiązku przeprowadzania referendum w sytuacji, gdy zażąda tego milion obywateli, jest zawieszona w próżni – po pierwsze dlatego, że z obowiązku przeprowadzenia takiego referendum wcale nie wynika, iż byłoby ono dla władz państwowych wiążące, a po drugie – że nie wiadomo, czy taki obowiązek byłby celowy w sytuacji, gdy np. obywatele nie mogą wypowiedzieć się w referendum w sprawach podatków. Zatem w takiej formie pytanie jest źle postawione. Podobnie zbędne jest **pytanie czwarte**, odnoszące się do zakłęb wprowadzanych do preambuły, która – jak wiadomo – nie ma żadnych konsekwencji prawnych. Przecież i teraz, za sprawą starego faryzeusza Tadeusza Mazowieckiego, mamy preambułę przypominającą modlitwę francuskiego żołnierza z epoki rewolucji w tym kraju: „Panie Boże, jeśli jesteś, zbaw duszę moją, jeśli ją mam”.

#### „ZDOBYCZE” I ZDRADA STANU

**Kolejne pytania – to znaczy piąte i szóste** – dotyczą wpisania do konstytucji programu „Rodzina 500 plus” i przywróconego przez PiS wieku emerytalnego. Są to tak zwane zdobycze, czyli makagigi oferowane przez rząd obywatelom, którzy muszą potem za nie bardzo drogo zapłacić lichwiarskiej międzynarodówce, u której rząd się zapożycza.

Warto zwrócić uwagę, że subwencje, jakie przez ostatnie 14 lat Polska uzyskała z Unii Europejskiej (146 mld euro), po odjęciu od nich wpłaconych w tym czasie przez Polskę składek (47 mld euro), a następnie podzielone przez 14, wynoszą 7 mld euro rocznie. Jest to,

według aktualnego kursu, równowartość 28 mld złotych. Tymczasem w rekordowo korzystnym dla rządu i finansów państwowych roku 2017 koszty obsługi długu publicznego wyniosły 28,6 mld złotych, co oznacza, że subwencje netto z UE przeznaczamy w całości na obsługę długu publicznego, czyli przekazujemy lichwiarskiej międzynarodówce. Z punktu widzenia państwa, a zwłaszcza obywateli, którzy w ten sposób są przez rząd wpychani w coraz głębszą niewolniczą zależność od lichwiarskiej międzynarodówki, jest to bardzo zły interes, więc wpisywanie go w charakterze konstytucyjnej normy nosi znamiona zdrady stanu, a w najlepszym razie – wielkiej lekkomyślności.

Żadnej lekkomyślności natomiast nie można przypisać **pytaniom siódmemu i dziewiętemu**. Pierwsze dotyczy pomysłu wpisania do konstytucji członkostwa Polski w Unii Europejskiej, a drugie – członkostwa Polski w NATO.

Widać tu dosłowną kontynuację tradycji PRL. Jak pamiętamy, 10 lutego 1976 roku Sejm znowelizował konstytucję, wpisując do niej sojusz ze Związkiem Radzieckim i przewodnią rolę PZPR w budowie socjalizmu. Przyzwyczajenie jest drugą naturą i widać na tym przykładzie, że zaprzyjaźnione aktualnie z panem prezydentem i najwyraźniej mu doradzające Stare Kiejkuty nie mogą wytrzymać bez podpisania jakiejś volkslisty – jak nie radzieckiej, to unijnej czy NATO-wskiej. Byłoby to tylko śmieszne, gdyby nie okoliczność, że – podobnie jak to było w przypadku sojuszu z ZSRR – taki zapis w konstytucji stwarza drugiej stronie – w tym przypadku Unii Europejskiej czy NATO – roszczenie, by Polska pozostawała czy to w UE, czy w NATO bez względu, czy byłoby to zgodne z interesem państwowym, czy nie. Nie chodzi tu o kierunek tych preferencji, tylko o pokazanie, że wpisywanie takich postanowień do konstytucji stanowi zdradę stanu.

Na tym tle zdecydowanie humorystycznie wygląda **pytanie ósme**, w którym chodzi o wpisanie do konstytucji deklaracji, że Polska jest suwerenna i że polskie prawo ma pierwszeństwo przed prawem wspólnotowym, czyli unijnym.

Nie tylko humorystycznie, ale i groteskowo – bo świadczy o ignorancji urzędników Kancelarii Prezydenta, którzy mu te pytania przygotowywali. Chodzi o to, że Polska należy do UE na podstawie

ratyfikacji traktatu akcesyjnego, a funkcjonuje w Unii Europejskiej zgodnie z ratyfikowanym 10 października 2009 roku traktatem lizbońskim. Ratyfikacja jakiegoś traktatu oznacza, że staje się on częścią wewnętrznego prawa państwa, które ratyfikacji dokonało, ze wszystkimi wynikającymi z tego konsekwencjami. Również, a może zwłaszcza z tą, że Polska, ratyfikując obydwie wspomniane traktaty, dokonała recepcji do swego wewnętrznego prawa zasad, które z nich wynikają – między innymi zasady nadrzędności prawa wspólnotowego nad krajowym.

Zasada ta została sformułowana w orzeczeniu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości w Luksemburgu 15 lipca 1964 roku w sprawie Flaminio Costa przeciwko E.N.E.L (CELEX: 61964J0006) – że mianowicie prawo wspólnotowe (wtedy jeszcze EWG) ma charakter nadrzędny nad prawem krajowym, bez względu na rangę ustawy! Dlatego właśnie pani sędzia Małgorzata Jungnikiel z Sądu Okręgowego w Warszawie, podczas dyskusji na Uniwersytecie Warszawskim w lutym 2009 roku, poświęconej prawnoustrojowym aspektom przystąpienia Polski do unii walutowej, oświadczyła, że polskie sądy będą stosowały prawo unijne nawet w sytuacji jego sprzeczności z polską konstytucją.

Jeśli nawet Kancelaria Prezydenta o tym nie wiedziała, no to teraz już wie. W takiej sytuacji można by zapytać pana prezydenta: dlaczego tak skromnie? Skoro tak, to nie żałujmy sobie i zapiszmy w konstytucji, że Polska jest światowym mocarstwem, przed którym wszystkie inne państwa padają na kolana!

### BEŁKOT

**Pytania dziesiąte, jedenaste i dwunaste** to bełkot, bo sformułowane są tak, że nic konkretnego z nich nie wynika, zwłaszcza w sytuacji, gdy właśnie ETS orzekł, że państwa członkowskie UE muszą uznawać za „małżeństwa” związki jedнопłciowe – nawet w sytuacji, gdy ich wewnętrzne prawo takiego uznania nie przewiduje.

Podobny charakter ma **pytanie trzynaste**, dotyczące „zwiększenia kompetencji” prezydenta w sferze polityki zagranicznej i zwierzchnictwa nad niezwyciężoną armią. Czyżby Stare Kiejkuty też jeszcze nie były zdecydowane na zastąpienie systemu parlamentarno-gabinetowego systemem prezydenckim – bo że Naczelnik Państwa

tego sobie nie życzy, to już wiemy.

Natomiast **pytanie piętnaste** stanowi poszlakę, że pan prezydent chciałby zagwarantować konstytucyjną normą żerowiska dla zaplecza politycznych gangów w postaci samorządów wojewódzkich i powiatowych. Widać, że interes biurokracji i rozmaitych przydupasów jest mu bliższy niż potrzeby państwa i interes obywateli.

W tej sytuacji może i lepiej, by to całe referendum się nie odbyło, bo pan prezydent najwyraźniej pozwolił sobie z obywateli zakpić. Być może nieświadomie, ale to jeszcze gorzej.

„NCz!” 27-28/2018

## W PRZEDEDNIU PASMA SUKCESÓW

A to się narobiło! Jeszcze nie ochłonęliśmy z wrażenia po uderzeniu rządu i jego klakierom do głowy endorfin po sukcesie w sprawie nowelizacji znowelizowanej w styczniu ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej i sukcesie w postaci odstąpienia Naszej Złotej Pani od przymusowego deportowania bisurmanów po wszystkich bantustanach Unii Europejskiej według ustanowionych kontyngentów – a tu szykuje się kolejny sukces z powodu wszczęcia przez Komisję Europejską tzw. procedury naruszeniowej z powodu zbrodniczego zamachu na niezawisłość sądów, a zwłaszcza Sądu Najwyższego z jego Pierwszym Prezesem w osobie pani Małgorzaty Gersdorf.

Ta „procedura naruszeniowa” oznacza, że nasza biedna ojczyzna będzie wytarzana w smole i pierzu nie raz i nie dwa – ale oczywiście wszystko zakończy się wesołym oberkiem, czyli kolejnym sukcesem – no bo jakże inaczej? Na razie jednak w czerepie niemieckiego owczarka Franciszka Timmermansa buzują gersdorfiny, od czego zarówno on, jak i zmobilizowani przez BND folksdojczy, których w naszym nieszczęśliwym kraju Stare Kiejkuty zgrupowały aż w 120 tak zwanych „organizacjach pozarządowych”, dostają nie tylko orgazmu, ale nawet małego rozumu. Te ostatnie objawy dotknęły zwłaszcza „drogiego Bolesława”, czyli Kukuńka („Ti – serce wielkie, głowa słaba” – perswadował arabskiemu terrorystce Alemu Khadafowi chiński agent Czang Wu Fu w nieśmiertelnym poemacie „Bania w Paryżu”), który zaczął się odgrażać, że przyjedzie bronić Sądu Najwyższego z bronią w rękę, bo ma „pozwolenie na broń”. Policja, zamiast przez prowokatorów utwierdzić go w tym zamiarze, a potem zastrzelić w czasie próby ucieczki – bo gdyby Kukuniek spotkał się ze zdecydowaniem, to z pewnością próbowałby ucieczki – dzięki czemu z naszego mniej wartościowego narodu tubylczego zmyta zostałaby przynajmniej jedna tłusta plama – „rozważa” odebranie mu tego pozwolenia.

W ten sposób daleko nie zajedziemy, tym bardziej że gersdorfiny, które najwyraźniej przybierają postać jakiejś epidemii, buzują też w mózgownicach propagatorek dzieciobójstwa, demonstrujących przed Sejmem w obronie „praw reprodukcyjnych”. Wśród nich dokazuje

zwłaszcza pani Barbara Nowacka, będąca żywym dowodem, że są sytuacje, gdy dzieciobójstwo nie tylko powinno być dopuszczalne, ale nawet zalecane. Niestety sprzeciwia się temu Episkopat, co w pani Barbarze i jej tak zwanych siostrach wzbudza wściekłość. Jakże w tej sytuacji nie przyznać racji chińskiemu agentowi Czang Wu Fu, który swoją perswazję: „Ti – serce wielkie, głowa słaba” mógłby skierować nie tylko do Kukuńka, w swoim czasie – dla większego szyderstwa z Polaków – wystruganego przez Stare Kiejkuty na „mędrca Europy”, gdzie nawet on jednak czuł się nieswojo, ale również – w stosunku do „sióstr” w rodzaju rozłożystej, niczym stara grusza, pani Lempart czy choćby pani Nowackiej, o której ludzie... no, mniejsza z tym. Jeszcze tego brakowało, żebyśmy tu powtarzali, co ludzie mówią! Ludziom, jak wiadomo, zwyczajność nie wystarcza, podobnie jak Imperatorowej Katarzynie „rogi huzarskie” i pragną jakiejś odmiany. Z tego rodzą się rozmaite plotki, jakoby przewielebne duchowieństwo walcząc z dzieciobójstwem, nie działało bezinteresownie.

Nietrudno się domyślić, że nie ma w tym ani słowa prawdy, podobnie jak w fałszywych pogłoskach o Zygmuncie Wasilewskim. Tymczasem – jak zaświadcza poeta – „za ten grzech ojczyznę biedną ogień spaliłby niebieski, gdyby nie to, że jej strzeże anioł – Zygmunt Wasilewski. On tu jeden trzyma fason ponad Żydów podłą zgrają i on jeden nie jest mason, chociaż... czego nie gadają!”. Dzisiaj mało kto wie, kim był Zygmunt Wasilewski, tedy wyjaśniam, że był porządnym endekiem – nie z tych, którym odgrywanie prawicy nakazali oficerowie prowadzący, tylko prawdziwym, to znaczy z tych „starych”, co to byli gospodarczymi liberałami, a nie pobożnymi bolszewikami. Ale co tam przypominać o Zygmuncie Wasilewskim, kiedy dzisiaj jakikolwiek „fason” wobec „Żydów podłej zgrai” popadł w małoduszne zapomnienie, czego dowodem jest potężny kryzys przywództwa, który rząd pana premiera Morawieckiego, przy wydatnej pomocy klakierów, właśnie przekuwa w sukces, a dywersyjny projekt pani Godek spuszcza z wodą do „podkomisji”. Jak to wypsnęło się Kukuńkowi? „Oni udawali władzę, a my – opozycję”! Kto wie, czy to nie dzięki temu – jak powiadają Rosjanie – *wsie wsiem dawolny?*

Wszystko to być może, ale nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być jeszcze lepiej. Oto „Gazeta Wyborcza” w toku „dziennikarskiego

śledztwa” ustaliła, że „rząd ukrywa konserwy z mięsa świń zagrożonych afrykańskim pomorem”. Ładny interes! Okazuje się, że rząd nie tylko dławi demokrację, nie tylko narusza praworządność i naraża panią Małgorzatę Gersdorf na utratę alimentów, z których już tyle sobie uzbierała, ale w dodatku z mięsa świń „zagrożonych afrykańskim pomorem” robi „konserwy”, a dopełniając miary swoich nieprawości – je „ukrywa”! A powiedzmy sobie otwarcie i szczerze: które świny nie są „zagrożone afrykańskim pomorem”? Zagrożone są chyba wszystkie – oczywiście z wyjątkiem świń koszernych, bo te odporne są nie tylko na pomory „afrykańskie”, ale i wszystkie inne.

Najciemniej jest pod latarnią, więc zastanówmy się, gdzie rząd mógłby ukrywać takie konserwy? A gdzieżby indziej, jeśli nie w redakcyjnym bufecie „Gazety Wyborczej”? Jednak co jeden człowiek chciałby ukryć, to drugi odkryje – zwłaszcza dziennikarze „Gazety Wyborczej”, co to mają specjalnego nosa, zwłaszcza do konserw z mięsa świń „zagrożonych”. Ale to wszystko drobiazg w porównaniu do konsekwencji tego odkrycia.

Nietrudno się domyślić, że w takiej sytuacji rząd nie tylko będzie musiał zaprzestać produkowania nowych konserw z mięsa świń „zagrożonych afrykańskim pomorem”, nie tylko ujawnić wszystkie konserwy dotychczas ukrywane, ale również poddać je holokaustowi, bo w przeciwnym razie uwolnione ze skorodowanych puszek bakcyle latałyby po Polsce jak chrabąszcze, do czego oczywiście dopuścić nie można, zwłaszcza w przeddzień spodziewanej realizacji żydowskich roszczeń majątkowych. Takie bakcyle mogłyby bowiem zdziesiątkować populację mniej wartościowego narodu tubylczego, co już samo w sobie mogłoby pociągnąć za sobą trudne do odrobienia straty, bo wskutek tego zmniejszyłaby się, i to wydatnie, liczba potencjalnych kredytobiorców, ale również zagrozić jerozolimskiej szlachcie, bo bakcyle, jak to bakcyle – obca jest im wszelka dystynkcja i dlatego nawet źli „naziści” odczuwali taki respekt przed tyfusem plamistym. Żeby tedy nie walczyć z wiatrakami, to znaczy ze skutkami – trzeba zlikwidować przyczyny, a właściwie jedną przyczynę w postaci hodowli trzody chlewnej. Kiedy już ostatnia świnia zostanie przykładnie zutylizowana, a mniej wartościowy naród tubylczy przejdzie na paszę ze smakołyków z kryła i najwyżej w niedziele i dni świąteczne, dzięki



przydziałom kartkowym, będzie mógł zakosztować „woł-ciel z kością”, to nie tylko niebezpieczeństwo zarazy zostanie zażegnane, ale i masy będą mogły odżywiać się zdrowiej, dzięki czemu Polska znowu będzie rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej – jak za Gierka.

„NCz!” 29-30/2018

## TERAZ MOŻNA TO UJAWNIĆ?

Polska pod rządami płomiennych dzierżawców monopolu na patriotyzm, czyli Stronnictwa Amerykańsko-Żydowskiego, brnie od sukcesu do sukcesu i tylko patrzeć, jak po tych wszystkich zwycięstwach dyplomatycznych i moralnych nie zostanie z nas nawet mokra plama.

Pierwszy sukces polegał na tym, że – jak się okazało – izraelski Mosad w Wiedniu zmłotował jakichś naszych Zastrancen, których nazwiska jak dotąd okrywa mgła tajemnicy – i to mgła pierwszorzędnego gatunku, bo mężowie zaufania, czyli tubylczy konfidenti Mosadu, za byle jaką mgłą ukrywać się nie mogą, to jasne. Wcześniej Żydzi na całym świecie podnieśli *gewalt*, że na skutek nowelizacji ustawy o IPN zagrożona jest swoboda badań naukowych i wolność słowa – co skwapliwie i w podskokach powtórzył amerykański Departament Stanu, którego rzeczniczka ostrzegła Polskę, że jak nie uchylili tej nowelizacji, to zagrozi własnym „interesom strategicznym”.

Mogło to oznaczać, że w takiej sytuacji USA nie będą już bronić Polski aż do ostatniej kropli krwi – bo jakież inny interes strategiczny jeszcze mamy? Innego już nie mamy, zwłaszcza w sytuacji, gdy prezydent Trump podpisał ustawę nr 447 JUST, na podstawie której USA przyjęły na siebie obowiązek dopilnowania, by Polska poddała się rabunkowi ze strony Żydów – i to do ostatniego centa. Wreszcie odezwało się Międzynarodowe Stowarzyszenie Adwokatów i Prawników Żydowskich, żądając uchylecia zbrodniczej nowelizacji.

### POLSKA PRZED „SĄDEM MORSKIM”

W tym momencie premier Morawiecki uznał, że sprawa jest poważna, więc pan marszałek Kuchciński na 27 czerwca wyznaczył nadzwyczajne posiedzenie Sejmu. Dla zmylenia czujności miało być ono poświęcone nielegalnemu holokaustowaniu śmieci, ale kiedy rankiem parlamentarzyści przyszli do parlamentu, okazał się, że chodzi o holokaustowanie Żydów – co oczywiście stanowi zupełnie inną materię ustawodawczą. Ponieważ izraelski premier Benjamin Netanjahu powiedział, że wspólne z panem premierem Morawieckim oświadczenie może wygłosić nie później jak do godziny 18, wszyscy, łącznie z panem prezydentem, uwinęli się tak gracko, że do tego czasu

wszystko było już załatwione. To znaczy nowelizacja ustawy o IPN została wykastrowana nawet z pierwotnych – dodajmy, że całkowicie impotentnych – przepisów karnych za oszczerstwa względem Polski i narodu polskiego. Premier Morawiecki pocieszył nas, że w razie potrzeby będziemy mogli bronić swojej reputacji na drodze cywilnej. Taktownie nie wyjaśnił już, przed jakim sądem, a w tej sytuacji możemy się domyślić, że przed słynnym „sądem morskim”, którym pisarz gminny, pan Zołzikiewicz, straszył chłopów w sienkiewiczowskich „Szkicach węglem”. Trudno bowiem inaczej w sytuacji, kiedy właśnie Sąd Najwyższy stanął dęba, przechodząc do porządku nad stosowną ustawą i zarówno pani Gersdorf, jaki i inni sędziowie przesunięci w „stan spoczynku” przyjdą 4 lipca do pracy i będą „orzekali” jak gdyby nigdy nic – najwyraźniej w przekonaniu, że Naczelnik Państwa Jarosław Kaczyński nie ośmieli się zastosować wobec nich siły w momencie, gdy niemiecki owczarek nie przyjął do wiadomości tłumaczeń pana wiceministra Konrada Szymańskiego. Drugim powodem, dla którego rząd będzie siedział jak mysz pod miotłą, jest wysunięta przez Kukuńka pogrożka, że w takiej sytuacji przyjedzie do Warszawy i doprowadzi do „fizycznego odsunięcia” sprawcy użycia siły. W normalnym państwie Kukuniek już dawno byłby starym nieboszczykiem, ale Polska normalnym państwem przecież nie jest. To jest tylko atrapa, czyli „ch\*\*, d\*\*\* i kamieni kupa”, więc nic dziwnego, że rozmaici konfidenci bezkarnie roznoszą je na ryjach. Oczywiście Naczelnik Państwa, a za nim klakierzy i rzesze wyznawców otrąbili wielki sukces, że oto „sam Izrael” przyznał, iż to Niemcy wywołali II wojnę, a nie Polska – ale już przemilczeli, że premier Mateusz Morawiecki podpisał się pod formułą wylansowaną przez „światowej sławy historyka” Jana Tomasza Grossa, według której „Polacy” są „współwinni” holokaustu. W punkcie 4 wspólnego oświadczenia czytamy bowiem, że „smutna prawda jest niestety taka, że w tamtym czasie niektórzy ludzie – niezależnie od pochodzenia, wyznania czy światopoglądu – ujawnili swoje najciemniejsze oblicze”. Toć i Jan Tomasz Gross przecież nie pisał o „wszystkich”, tylko właśnie o „niektórych”, a przecież każdy człowiek, a więc i Polak, jest „niektóry” – to chyba jasne? Niemcy, to znaczy „naziści” też byli tylko „niektórzy”, bo przecież żona Rudolfa Hessa powieszona nie została.

## BISURMANY I PUTIN

Drugi sukces Polska odniosła na szczycie UE w sprawie bisurmanów. Tak w każdym razie przedstawił to pan premier Morawiecki i klakierzy, ale wydaje się, że trzeba by wyjaśnić, na co właściwie się nie zgodzili, bo Nasza Złota Pani mówi jedno, a premierzy Polski, Węgier i Republiki Czeskiej – drugie. Z komunikatu końcowego wynikało bowiem, że bisurmanowie z „centrów zlokalizowanych w UE” – to znaczy w krajach, które zgodziły się albo zgodzą na taką koncentrację bisurmanów na swoim terytorium – nie będą deportowani do innych państw według przymusowych „kontyngentów”, tylko za ewentualną zgodą państw, do których mieliby zostać przetransportowani. Słowem: kontyngenty tak – ale dobrowolne. To pozwoliłoby Naszej Złotej Pani nie tylko zachować twarz, ale i uratować koalicję, a jednocześnie rozprościć bisurmanów po całej Unii – bo jeśli Nasza Złota właśnie się „zgodziła” na podwójne budżety – jeden dla „Europy jednej prędkości”, a drugi „dla Europy drugiej prędkości” – to kraje zadłużające się na realizację programów rozdawniczych, za które kupują sobie spokój społeczny i elektorat, będą musiały być grzeczne i godzić się na różne niemieckie propozycje. W przeciwnym razie Unia straciłaby rację bytu – nieprawdaż? Oczywiście o tym nie trzeba głośno mówić, bo głośno mówić należy, że Polska odniosła wielki sukces, że Unia Europejska powinna Jarosława Kaczyńskiego przeprosić i powystawiać mu pomniki, gdzie tylko można. Kto zaś w te sukcesy nie wierzy, to jest ruskim agentem złego czekisty Putina – tak w każdym razie uważa pani Joanna Lichocka i pewnie nie jest w tej opinii odosobniona.

### CZEGO CHCE TRUMP OD PUTINA?

Tymczasem sprawa się komplikuje, bo po spotkaniu 8 czerwca w Finlandii amerykańskiego szefa sztabu generała Józefa Dunforda z rosyjskim szefem sztabu generałem Wiktorem Gierasimowem, 16 lipca w Helsinkach ze złym ruskim czekistą Putinem ma spotkać się sam prezydent USA Donald Trump. Przypomnijmy, że obydwaj generałowie „uznają wagę utrzymywania regularnej komunikacji, aby uniknąć nieporozumień i promować transparentność i harmonizację w obszarach, gdzie wojska nasze operują w bliskim sąsiedztwie”. Ciekawe, że z propagującego na użytek wyznawców Jarosława

Kaczyńskiego tak zwane judeochrześcijaństwo, pobożnego portalu „Frona” wzmianka o „harmonizacji” dlaczegoś z komunikatu zniknęła. Pewne światło na przyczyny tego ocenzurowania rzuca okoliczność, że wojska USA i Rosji znajdują się, a zwłaszcza „operują w bliskim sąsiedztwie” również na terenie Polski, więc skoro „harmonizacja” jest dobra, a nawet bardzo dobra w Syrii, to niby dlaczego nie u nas?

W takiej sytuacji warto rozebrać sobie z uwagą pytanie: czegoż to może od zimnego ruskiego czekisty Putina chcieć prezydent USA Donald Trump? Wprawdzie w Ameryce prezydent Trump znajduje się pod śledztwem z powodu podejrzeń o niebezpieczne związki z zimnym czekistą Putinem, ale w takiej sytuacji pytanie jest tym bardziej uzasadnione. Nie mówię już nawet o tym, by zimny ruski czekista postarał się o zatarcie wszelkich ewentualnych śladów po niebezpiecznych związkach, a nawet śladów po tym zatarciu – bo „na tym świecie pełnym złości nigdy nie dość jest przezorności” – ale o sferze tak zwanej wielkiej polityki. Otóż nie jest wykluczone, że prezydent Trump oczekiwałby od zimnego ruskiego czekisty, że przestanie urządzać wspólne manewry ze złowrogimi Kitajcami, co to nie tylko obsrywają ambasady, ale budują na Morzu Południowochińskim sztuczne wyspy, a potem zakładają na nich lotniska dla strategicznych bombowców. Na tym oczywiście nie koniec, bo USA angażują się również w budowę Kurdystanu – co w perspektywie pociągałoby za sobą konieczność rozbioru Turcji, Syrii, Iraku i Iranu, budząc zgrozę zwłaszcza w Turcji. W takiej sytuacji przynajmniej wysondowanie rosyjskiego stanowiska byłoby pożyteczne, nie mówiąc już o działaniach *ad captandam benevolentiam* Rosji dla amerykańskich planów. Bardzo możliwe, że ten cały Kurdystan przysporzyłby później Ameryce mnóstwo zgryzot, bo dominującą wśród Kurdów siłą polityczną jest partia komunistyczna – ale z punktu widzenia interesów bezcennego Izraela rozbiór Syrii, Iraku, a zwłaszcza Iranu byłby też bezcenny. Co z Turcją, która jest członkiem NATO, a więc sojusznikiem USA? Ano nic – podobnie jak to było wcześniej, kiedy Turcja wojowała z innym członkiem NATO, czyli Grecją, o Cypr. Jak pamiętamy, NATO nie kiwnęło w tej sprawie palcem. Zatem ewentualna rosyjska zgoda na

rozbiór Syrii byłaby niebywałym sukcesem, a gdyby do tego doszedł jeszcze Iran, to byłoby wspaniale i kto wie, czy w takiej sytuacji żydowskie media, zamiast tarłować Donalda Trumpa za nogawki, nie uznałyby go za swoją duszeńkę, otwierając widoki na drugą kadencję? No a jest przecież jeszcze złowrogi Kim Dzong Un, z którym Rosja utrzymuje rozmaite konszachty, a prezydent Trump jak wiadomo, niedawno odniósł z nim sukces porównywalny do sukcesu prezesa Kaczyńskiego z nowelizacją ustawy o IPN, więc i na tym odcinku pozyskanie życzliwości Rosji by nie zawadziło. Wreszcie prezydent Trump może chcieć od prezydenta Putina rozluźnienia, a może nawet skasowania strategicznego partnerstwa rosyjsko-niemieckiego w sytuacji narastającego napięcia między Niemcami i Ameryką

### CZEGO CHCE PUTIN OD TRUMPA?

No dobrze – ale w takim razie co może zimnemu ruskiemu czekiście Putinowi zaoferować 16 lipca w Helsinkach miłujący pokój prezydent USA Donald Trump? W polityce bowiem trzeba mieć przygotowane z góry odpowiedzi na co najmniej dwa pytania: pierwsze – co mi dasz, jak ci to zrobię, i drugie – co mi zrobisz, jak ci tego nie zrobię. Odkryli to już starożytni Rzymianie, wyróżniając tak zwane *causae*, czyli przyczyny czynności prawnych: *do ut des*, *do ut facias*, *facio ut des*, *facio ut facias* – co się wykłada: daję, żebyś dał; daję, żebyś zrobił; robię, żebyś dał; robię, żebyś zrobił. W przypadku prezydentów Trumpa i Putina w grę najprędzej wchodzi porozumienia *do ut des* i *facio ut facias*. Co innego w przypadku prezydenta Trumpa i prezydenta Dudy, gdzie w grę mogą wchodzić raczej porozumienia typu *do ut facias*, to znaczy płacę i wymagam, np. żebyś tańczył, jak ci zagram, ewentualnie *facio u facias*, na przykład daję ci rękę żebyś ją pocałował.

Czegóż zatem zimny ruski czekista Putin może chcieć od prezydenta USA Donalda Trumpa? Gdyby, dajmy na to, zgodził się na rozbiór Syrii, to pewnie chciałby, żeby USA wyraziły zgodę na stacjonowanie w tym kraju rosyjskiego kontyngentu, który pilnowałby morskiej bazy w Tartus, no i całego syryjskiego wybrzeża Morza Śródziemnego, od Libanu aż po Turcję, którą wtedy Rosja, jako strategiczny partner USA na tym terenie, a przynajmniej partner „harmonizujący”, otaczałaby z

dwóch stron – nie tylko przez Morze Czarne. W takiej sytuacji Turcja byłaby jeszcze bardziej skłonna do negocjowania na temat Kurdystanu, niż jest obecnie. Ale nie sądzę, by prezydent Putin na tym poprzestał, tym bardziej że prezydent Trump już teraz bąknął o możliwości amerykańskiego uznania przyłączenia do Rosji Krymu. Wprawdzie Ukraina jest sojusznikiem USA, ale Turcja też nim jest, więc jeśli USA mogą popierać utworzenie Kurdystanu, to dlaczego nie mogłyby przehandlować Krymu za rosyjską przychylną w innych sprawach?

Prezydent Poroszenko przecież wie, że bez amerykańskiego poparcia on sam byłby w jednej chwili zdmuchnięty jak gromnica choćby przez Michała Saakaszwilgo, a kto wie, co by było z samą Ukrainą, więc nie tylko w podskokach się zgodzi, ale w dodatku przedstawi to jako wielki sukces Ukrainy, porównywalny do sukcesu Polski w sprawie nowelizacji ustawy o IPN. Skoro tak, to prezydent Putin, jako zimny czekista, pewnie chciałby amerykańskiego uznania nie tylko przejęcia przez Rosję Krymu, ale również niepodległości Noworosji z przyległościami – jak separatysty z Doniecka i Ługańska nazywają te tereny. W ten sposób Rosja za pośrednictwem Noworosji uzyskałaby lądowe połączenie z Krymem. No dobrze – ale co zrobić z resztą Ukrainy? Ano, skoro już prezydent Trump zdecydowałby się – niczym Michael Corleone – za jednym zamachem załatwić „sprawy rodzinne”, to resztę Ukrainy, czyli Ukrainę Zachodnią, można by połączyć ze wschodnią Polską i utworzoną w ten sposób Judeopolonię przekazać warendę Izraelowi, dzięki czemu realizacja przez Polskę żydowskich roszczeń majątkowych nabrałaby dodatkowego sensu – również w kontekście próby zrobienia przez USA porządku na Środkowym Wschodzie.

### NIEMCY OCIERAJĄ ŁZY

W tej sytuacji nie można wykluczyć, że Niemcy przyjęłyby do wiadomości zawieszenie strategicznego partnerstwa z Rosją – oczywiście pod warunkiem, że Stany Zjednoczone otarłyby im łzy „ziemiami utraconymi”, które konferencja w Poczdamie przekazała Polsce w „tymczasową administrację” – chroniąc w ten sposób te obszary przed wyszlamowaniem ich przez Żydów pod pretekstem „roszczeń”. Wprawdzie traktat z 12 września 1990 roku, zwany

potocznie „traktatem dwa plus cztery”, uznawał granicę niemiecko-polską na Odrze i Nysie za „ostateczną”, ale w kontekście klauzuli *rebus sic stantibus* (skoro sprawy przybrały taki obrót), którą opisuje wiedeńska konwencja w sprawie traktatów, takie patetyczne słowo nie musi nic znaczyć – z tym ewentualnie zastrzeżeniem, że Niemcy nie będą wysiedlały stamtąd obywateli polskich, a tylko ich oczynszują, podobnie zresztą jak Żydzi na terenie Judeopolonii. Z tego samego powodu później mogłyby strategiczne partnerstwo z Rosją odtworzyć, zwłaszcza gdyby Stany Zjednoczone przeprowadziły w Europie kolejny „reset”. W ten sposób wszyscy byliby zadowoleni, może z wyjątkiem banderowców i Polaków-nacjonalistów – no, ale jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził, a poza tym gdyby za przyjaźń ze Stanami Zjednoczonymi nie trzeba było płacić, to by znaczyło, że nie jest ona nic warta, a to przecież nieprawda. W tej sytuacji jestem pewien, że Stronnictwo Amerykańsko-Żydowskie przedstawiłoby to jako jeszcze jeden, a być może nawet największy sukces Polski, rodzaj moralnego i zarazem ostatecznego zwycięstwa w II wojnie światowej, a Stronnictwo Pruskie, na polecenie Naszej Złotej Pani, która w tej sytuacji zostałaby pewnie dożywotnim kanclerzem Niemiec, wsadziłoby mordę w kubek i kto wie – może nawet porzuciłoby nieubłaganą walkę o praworządność? Oznaczałoby to przywrócenie jedności moralno-politycznej narodu, takiej jak za Edwarda Gierka, kiedy to Polska przeżywała swój wiek złoty. Czegóż chcieć więcej?

„NCz!” 29-30/2018



# DIAGNOZY, WSKAZÓWKI I ZMARTWIENIA

Polska odnosi sukces za sukcesem, więc jakże tu się nie radować, zwłaszcza w sytuacji, gdy rząd, co prawda z prawie 30-letnim opóźnieniem, wprowadza w życie pomysły, które wtedy przedstawiałem?

Wspominam o tym nie gwoli chępliwości, ale przede wszystkim z powodu fali krytyki, jaka ostatnio podnosi się pod moim adresem na różnych internetowych forach. Moi krytycy pryncypialnie chłoszczą mnie za to, że przedstawiam diagnozy, co potrafi „każdy głupi”, natomiast starannie unikam wskazówek, co robić, żeby było dobrze, to znaczy żeby Polska rosła w siłę, ludzie żyli dostatniej, a w kraju zapanowała moralno-polityczna jedność narodu – jak za Gierka. Oczywiście mają rację, jak zresztą we wszystkim, co mówią, a zwłaszcza że diagnozę może przedstawić „każdy głupi”.

Utwierdza mnie w tym przypuszczeniu okoliczność, że tych diagnoz jest całe mnóstwo, a każda inna. W tej sytuacji, zgodnie z prawem Dunsza Szkota, który jeszcze w mrocznym średniowieczu, którym tak pogardza moja wykształcona, mądra i nowoczesna faworyta, Wielce Czcigodna Joanna Scheuring-Wielgus – więc który jeszcze w mrocznym średniowieczu odkrył konsekwencje jednoczesnego przyjęcia sprzeczności, większość tych diagnoz prawdziwa być nie może. Prawdę mówiąc, poza jedną, prawdziwą, cała reszta musi być fałszywa, a w takim razie cóż sądzić o ich autorach? Oni też muszą być albo fałszywi, albo po prostu głupi – więc właśnie dlatego moi krytycy, mówiąc, że diagnozy stawiać potrafi „każdy głupi”, obiektywnie mają rację, chociaż oczywiście nie jestem pewien, czy właśnie to mają na myśli.

Mylą się natomiast, zarzucając mi, że nie przedstawiam wskazówek, co robić, żeby było dobrze. Jakże „nie przedstawiam”, kiedy przecież przedstawiam, a teraz właśnie rząd „dobrej zmiany”, co prawda z prawie 30-letnim opóźnieniem, wprowadza je w życie jako pomysł własny?

W koszmarnych czasach kształtowania się naszej młodej demokracji,

kiedy światło nie było jeszcze tak dokładnie oddzielone od ciemności jak dzisiaj, bywałem zapraszany do rządowej telewizji, która wśród rozmaitych programów emitowała również program pod tytułem „100 pytań do...”, prowadzony przez panie Annę Grzeszczuk-Gałązkę i Ewę Michalską.

W tamtych czasach nawet w rządowej telewizji nie zapanowała jeszcze zaprowadzona w TVN przez resortową „Stokrotkę”, czyli przodującą w pracy operacyjnej oraz wyszkoleniu bojowym i politycznym panią red. Monikę Olejnik, ubecka maniera przesłuchiwania zaproszonych do studia gości, więc panowała atmosfera sprzyjająca swobodnej wymianie autentycznych opinii. Jednego razu bohaterem audycji, do której też zostałem zaproszony, był poseł Józef Oleksy, który potem został nawet premierem, a później spadł z wysokiego konia w ramach afery „Olina”.

Józef Oleksy był posłem z Białej Podlaskiej i podczas autoprezentacji chwalił się, jakie to dobrodziejstwa dla tego okręgu i tamtejszych mieszkańców przyniosło utworzenie tam, oczywiście z jego wydatnym udziałem, specjalnej strefy ekonomicznej. Kiedy nadeszła moja kolej, zapytałem posła Oleksego, czy strefa ekonomiczna, o której tak pięknie nam opowiedział, jest duża, czy mała? Józef Oleksy odparł, że raczej mała. Wobec tego zapytałem, czy gdyby owa strefa była większa, to dobrodziejstwa, które tak pięknie nam odmalował, wystąpiłyby na większym obszarze i objęły większą liczbę obywateli. Józef Oleksy odparł, że niewątpliwie tak. Zapytałem tedy, czy gdyby ta strefa była jeszcze większa, to czy te dobrodziejstwa, o których – i tak dalej – wystąpiłyby na jeszcze większym obszarze i objęły jeszcze większą liczbę obywateli? Józef Oleksy zgodził się z tą opinią, ale już bardzo ostrożnie, więc nie tracąc czasu, zapytałem, dlaczego w takim razie rząd popierany przez Józefa Oleksego nie wprowadza rozwiązań, które przynoszą takie znakomite rezultaty w specjalnych strefach ekonomicznych, od razu na obszarze całego kraju? Na to poseł Józef Oleksy odpowiedział: „pana to zawsze takie dowcipy się trzymają!”.

Od emisji tamtego programu minęło prawie 30 lat i oto rząd premiera Morawieckiego właśnie skorzystał z tamtego „dowcipu” i próbuje wprowadzić w kraju zasady dotychczas obowiązujące w specjalnych strefach ekonomicznych, co pokazuje, że słuszna myśl, raz

rzucona w przestrzeń, prędzej czy później znajdzie swego amatora. Jakże w takim razie traktować buńczuczne deklaracje Jarosława Kaczyńskiego, że program UPR nie nadaje się do zastosowania, skoro właśnie usiłuje go zastosować desygnowany przez niego samego premier Mateusz Morawiecki? Najwyraźniej jego diagnoza nie była trafna, podobnie jak opinia, że UPR „bałamuci” młodzież, odciągając ją od angażowania się w realistyczne programy polityczne. Ale jakże młodzież ma się w te realistyczne programy polityczne angażować, kiedy ostatnio nie kto inny, tylko właśnie prezes Jarosław Kaczyński ogłosił, że „do polityki nie idzie się dla pieniędzy”? Jeśli nie dla pieniędzy, to może dla idei – a to właśnie od samego początku głosiła UPR, w której Janusz Korwin-Mikke przeforsował nawet zasadę, że członkowie nie mogą zajmować stanowisk wykonawczych, dopóki prawo nie zmieni się zgodnie z ideologicznymi założeniami konserwatywnego liberalizmu?

Prezes Kaczyński potrzebował aż 30 lat, żeby dojść do identycznych, a w każdym razie podobnych wniosków, co potwierdza tylko moje przypuszczenia, że jest on wprawdzie wirtuozem intrygi, ale zawsze potyka się o własne nogi właśnie dlatego, że nie ma żadnej ideowej perspektywy. Obawiam się tedy, że i z panem premierem Morawieckim też eksperymentuje oportunistycznie po to, by spuścić go z wodą, kiedy tylko jego poczynania zagroziłyby interesom rozbudowywanej nieustannie biurokracji. Ale skoro nawet ja o tym wiem, to pan premier Morawiecki wie to jeszcze lepiej, a skoro tak, to nie uczyni niczego, co mogłoby zagrozić interesom biurokracji, która w naszym nieszczęśliwym kraju w ciągu ostatnich 30 lat rozrosła się „jak grzyb trujący i pokrzywa”. W tej sytuacji nawet dobre pomysły mogą przepoczwaryć się we własną karykaturę i w rezultacie nasz nieszczęśliwy kraj zostanie jeszcze mocniej wtłoczony w jednokierunkową uliczkę, z której nie będzie odwrotu w warunkach utrzymywania procedur demokratycznych.

Kontynuując tedy wątek polemiki z zarzutami, jakobym nie dostarczał wskazówek, co robić, żeby było dobrze, dodam tylko, że żałuję, iż nie udało nam się przekonać opinii publicznej do dwóch rzeczy. Po pierwsze – do utworzenia Funduszu Emerytalnego z 30 procent akcji prywatyzowanych przedsiębiorstw państwowych, co

postulowaliśmy jeszcze w 1990 roku. Gdyby taki Fundusz został wtedy utworzony, to dzisiaj znacznie łatwiej można by odejść od przymusu ubezpieczeń społecznych, które nie tylko sprzeciwiają się wolności, ale w dodatku doprowadzają do koncentracji odebranego obywatelom kapitału finansowego w rękach nielicznej grupy, która następnie frymarczy nim według swojego uznania i interesów bezpieczniackich watah, które członków tej grupy wystrugały z banana. Ale ówczesni „realiści” woleli rozkraść to sami, ewentualnie umożliwić rozkradanie tych zasobów bezpieczniackim watahom, które powierzyły im rolę „Umiłowanych Przywódców”. Drugą sprawą, do której nie udało nam się przekonać opinii publicznej, był pomysł wprowadzenia do konstytucji normy zakazującej uchwalania budżetu z deficytem. Przedstawił go latem 1992 roku poseł Korwin-Mikke podczas posiedzenia Sejmu poświęconego zasadom, jakie powinny znaleźć się w przyszłej konstytucji. Zdecydowana większość ówczesnych „realistów” myślała, że to jakiś dowcip – i sala plenarna zatrzęsa się od śmiechu. Oczywiście żadna taka zasada nie została do konstytucji wprowadzona. Minęło zaledwie 20 lat i dług publiczny urósł do takich rozmiarów, że nikt nie wie, co z nim zrobić, a koszty jego obsługi nawet w latach uznanych za rekordowo dobre dla finansów publicznych, np. w roku 2017, wyniosły 28 mld złotych, co oznacza, że WSZYSTKIE subwencje z Unii Europejskiej są przez rząd przekazywane lichwiarskiej międzynarodówce.

Wreszcie i teraz, w naiwnym przekonaniu, że pan prezydent rzeczywiście chciałby poprawić konstytucję, która wymaga kapitalnego remontu, skoro na podstawie jej przepisów nawet kandydaci do Sądu Najwyższego nie potrafią odpowiedzieć na proste przecież pytanie, czy pani Małgorzata Gersdorf jest, czy nie jest Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego, otóż i teraz podpowiadam, w jaki sposób odblokować narodowy potencjał gospodarczy. Że trzeba by użyć tego samego narzędzia, przy pomocy którego odblokowany został narodowy potencjał gospodarczy w roku 1989, czyli ustawy o działalności gospodarczej autorstwa Mieczysława Wilczka w brzmieniu z 1 stycznia 1989 roku. Trzeba by przywrócić moc obowiązującą tamtej ustawy, uchylić wszystkie regulacje z nią sprzeczne i rozmontować znaczną część aparatu biurokratycznego,

który w tej sytuacji byłby całkowicie zbędny. Podobnie trzeba by w ramach ukształtowania nowego systemu finansów publicznych zlikwidować samorządy wojewódzkie i powiatowe, które z punktu widzenia państwa są całkowicie zbędne, a jedynym poborcą podatków uczynić gminę. Taka gmina musiałaby zapłacić składkę na państwo ustalaną corocznie przez Sejm, ale nadwyżka pozostawałaby wyłącznie do jej dyspozycji. Chodzi o to, by zmusić samorząd gminny do dbałości o rozwój przedsiębiorczości na swoim terenie i do konkurowania na tym polu z innymi gminami. Która będzie miała więcej podatników, będzie bogatsza, a która nie będzie w stanie zapłacić składki na państwo, będzie musiała być rozparcelowana między gminy sąsiednie i nie będzie już żadnych posad. Dla zabezpieczenia finansowej autonomii gmin trzeba by zmienić ordynację wyborczą do Senatu, ograniczając czynne prawo wyborcze tylko do tzw. obywateli kwalifikowanych, to znaczy takich, którzy sami piastują funkcje publiczne z wyboru. Jak widać, trochę tego się uzbierało, a wspominam o tym, by pokazać, że pryncypialna krytyka, jakobym nie przedstawiał żadnych wskazówek, co robić, żeby było dobrze, jest nieuzasadniona. Podejrzewam tedy, że ci krytycy w ogóle nie interesują się tym, co ja piszę albo mówię, bo krytykując, wykonują tylko zlecenie, do jakiego zostali zaangażowani. Tak bywało i za komuny, i tak samo jest teraz, co pokazuje, że kontynuacja jest większa, niż myślimy – ale jakże ma jej nie być, skoro i wtedy, i teraz nasz nieszczęśliwy kraj okupowany był i jest przez bezpieczniejsze watahy, skupiające już trzecie pokolenie ubeckich dynastii?

Ale kontynuacja swoją drogą, a zmiany swoją – bo trzeba wiele zmienić, by wszystko zostało po staremu. Wprawdzie z jednej strony nasi wyjrzały z rozporka („iluz wielkich działaczy wyjrzało z rozporka”) dygnitarze z panem prezydentem Dudą na czele uspokajają nas, że amerykańska ustawa nr 447 JUST nie będzie miała żadnych, ale to żadnych konsekwencji dla naszego nieszczęśliwego kraju. Z drugiej jednak strony niepodobna nie dostrzec intensywnych przygotowań gruntu dla jej wprowadzenia w życie. Oto 11 lipca, zaraz po tym, jak przewielebny ksiądz Wojciech Lemański w Jarmułce na głowie 10 lipca przewodniczył modlitwom przy pomniku z Jedwabnem, została zdjęta z niego suspensa i okazało się, że teraz będzie już bez przeszkód

krzewił „judeochrześcijaństwo”, tyle że w diecezji łódzkiej. Mniejsza już o to, czy na przewielebnym księdzu Lemańskim pozostanie jakiś ślad po tym zdjęciu suspensy, bo właśnie odezwał się JE abp Henryk Muszyński. Okazało się, że Eksceleńcja nie ma większego zmartwienia nad to, że po nowelizacji ustawy o IPN ujawniły się w naszym nieszczęśliwym kraju nastroje antysemickie i „nadszarpnięta została praca dziesiątek lat”. Eksceleńcja z pewnością dobrze wie, co mówi, bo sam się nieźle napracował na odcinku stręczenia mniej wartościowemu narodowi tubylczemu słynnego „judaizmu”, bez którego, jak wiadomo, zrozumienie czegokolwiek przekracza możliwości umysłu ludzkiego. Z obfitości serca usta mówią, dzięki czemu mogliśmy dowiedzieć się o pewnych przywarach naszego mniej wartościowego narodu tubylczego. Chodzi o to, że – jak powiedział przewielebny ksiądz arcybiskup – tubylcza tożsamość narodowa nie jest jeszcze „dostatecznie głęboka i utwierdzona”, toteż wciąż chcemy się przed kimś bronić – tak dalece, że gotowi jesteśmy stworzyć sobie fikcyjnego wroga. Na pierwszy rzut oka słuszna jego racja, boć przecież bezcenny Izrael jest naszym przyjacielem czy może nawet strategicznym partnerem – i tylko od czasu do czasu musi nas naprostować, jak się już za bardzo rozdokazujemy, ale to wszystko przecież nie z żadnej wrogości, tylko z przyjaźni. Podobnie dowodem przyjaźni jest ustawa nr 447 JUST, na podstawie której rząd USA zobowiązał się dopilnować, by Polska zadośćuczyniła żydowskim roszczeniom majątkowym do ostatniego centa. Nic więc dziwnego, że Jego Eksceleńcja abp Henryk Muszyński, mający ambicję duchowego przewodzenia mniej wartościowemu narodowi tubylczemu, chłoscze go za tworzenie sobie „fikcyjnego wroga”. Najwyraźniej zawczasu podlizuje się jerozolimskiej szlachcie w nadziei, że kiedy już się tu zainstaluje, nie tylko zostawi hierarchię w spokoju, ale i w spokojnym posiadaniu. Nie od rzeczy będzie zatem przypomnieć, że jest to ten sam przewielebny ksiądz arcybiskup Henryk Muszyński, któremu na biurku przez 30, a może nawet i więcej lat „poniewierał się” bilet wizytowy oficera Służby Bezpieczeństwa i kiedy pojawiły się śmierdzące dmuchy, jakoby Eksceleńcja był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie operacyjnym „Henryk”, to przypadkiem tę wizytówkę odnalazł i do

tego funkcjonariusza zadzwonił, a ten, zgodnie z instrukcją na wypadek dekonspiracji, natychmiast potwierdził, że owszem – zarejestrował arcybiskupa, ale fikcyjnie, „bez jego wiedzy i zgody”. Dzięki temu Ekscelencja już bez przeszkód może przedstawiać autorytet moralny i z wyżyn tej wieży z kości słoniowej nieubłaganym palcem dźgać mniej wartościowy naród tubylczy w chore z nienawiści oczy. Czyżby teraz Stare Kiejkuty domagały się rewanżu za tamtą przysługę? Wszystko to być może, ale w takim razie mobilizacja obejmuje już najgłębsze rezerwy.

„NCz!” 31-32/2018

## CZEKAM NA WIATR...

„Oni wszyscy nie żyją, oni wszyscy nie żyją!” – krzyczała baronowa Sapurai w filmie „Kim pan jest, doktorze Sorge?” o sowieckim szpiegu narodowości niemieckiej, który jako urzędnik niemieckiej ambasady w Tokio, a zarazem agent RAZWIEDUPR-a przekazał Stalinowi informację, że Japonia nie uderzy na Związek Sowiecki. Umożliwiło to „stawce” przerzucenie dywizji syberyjskich na front niemiecki, dzięki czemu Moskwa nie została przez Niemców zdobyta, a sytuacja na froncie zaczęła się odwracać – co prawda bardzo powoli, niemniej jednak.

Rozpaczliwy okrzyk baronowej Sapurai wziął się stąd, że była ona kochanką Ryszarda Sorge, który był bardzo dużym mężczyzną, co w Japonii mogło mieć dodatkowe znaczenie. Śmierć, zwłaszcza w postaci egzekucji przez powieszenie – a tak właśnie skończył Ryszard Sorge – zawsze jest tragedią, ale okazuje się, że nie ma takiej tragedii, z której nie można byłoby wycisnąć soku humoru. Toteż z moich czasów studenckich pamiętam piosenkę Macieja Zembatego, który na melodię „Marsza żałobnego” Fryderyka Chopina śpiewał, że „Choć właśnie pada, pada deszcz, w dębowej trumnie sucho jest. (...) Ubogim krewnym trumna wrzyna się w ramiona i już ledwo idzie żona”. Z Maciejem Zembatym współpracowała Olga Jackowska, późniejsza „słynna Kora” – jak prezentował ją plakat reklamujący film „Wielka majówka” z zespołem „Maanam”, w którym „Kora” śpiewała.

Różne to były piosenki. Od nastrojowego „Krakowskiego spleenu” („Czekam na wiatr, co rozgoni ciemne skłębione zasłony, stanę wtedy na RAZ ze słońcem twarzą w twarz”), poprzez melancholijny „Szał niebieskich ciał” („Życie płynie bez pośpiechu. Bez uśmiechu i bez grzechu. Bez rozpacz, bez radości. Bez nienawiści, bez miłości. A planety szaleją, szaleją, szaleją i śmieją się, śmieją się, śmieją”), poprzez dynamiczne „Cykady na Cykladach” (Jest bardzo, bardzo, bardzo cicho, Słońce rozpala nagie ciała. Morze i niebo ostro lśni. Dobrze mi, ach, jak dobrze mi. (...) Cykady na Cykladach, Cykady na Cykladach, nocą gwiazdy spadają, a dyskoteka gra!), aż po pretensjonalne „Szare miraże” („Tylko dlatego, że jesteś nikim, możesz pogadać z drugim człowiekiem, życie bogate, pełne sekretów w



szarym człowieku. (...) I tajemnicą niech pozostanie, co zwykle jadasz na śniadanie i czy w tygodniu kochasz się razy siedem, czy też pięć”). Spośród zacytowanych piosenek tylko do jednej („Cykady”) tekst napisał Marek Jackowski, a do pozostałych – Kora. W piosenkach jak to w piosenkach – banalność i nieporadność tekstu zakrywa muzyka. Kora miała szczęście, że muzykę do większości śpiewanych przez nią piosenek napisał niewątpliwie utalentowany Marek Jackowski, chociaż trzeba przyznać, że i ona, jako autorka tekstów, prezentuje się nie najgorzej, zwłaszcza na tle przeraźliwej grafomanii bezwstydnie wciskanej przez współczesnych wyrobników przemysłu rozrywkowego.

Kiedy 30 lat temu byłem we Francji, zauważyłem, że mieszkają tam obok siebie dwa francuskie narody. Przynależność do jednego czy drugiego łatwo było określić, zwłaszcza cudzoziemcowi. Przedstawiciele pierwszego narodu francuskiego w rozmowach między sobą wyrażają się w sposób dla cudzoziemca zrozumiały, podczas gdy ci drudzy porozumiewają się przy pomocy beknięć: aaa, eee, uuu... i się rozumieją! No dobrze – ale jakie treści można przy pomocy takich beknięć wyrazić? Muszą to być komunikaty bardzo proste: dobrze mi, niedobrze mi, odsuń się, chodź no tu – i tak dalej. Większość tekstów współczesnych piosenek przypomina takie beknięcia w tym sensie, że nie wychodzą one poza, bardzo zresztą prymitywne, opisy stanów emocjonalnych albo po prostu banalnych sytuacji. Na przykład: „Z nieba przyleciał mój wielki przyjaciel. Kiedy lądował, ja jadłem kanapkę”... Albo inna: „Karolina w Hollywood, z Aśką nigdy nie było tak samo. Ewelina zimna jak lód, więc na noc umówiłem się z Alą”. Całe szczęście, że przynajmniej „Monika była okej”, bo inaczej – strach pomyśleć – mogłoby się skończyć tak jak w innej piosence: „Byłem z nią kilka chwil, było tak namiętne. Myślę, że nie stało się nic...”. Czyż nie widać tu trwogi na tle podejrzenia możliwości zarażenia syfilisem lub AIDS, a w najlepszym razie – tak zwanego zaskoczenia?

Najciekawsze jest to, że zdecydowana większość tych wyrobników przemysłu rozrywkowego uważa się za Europejczyków, ale co z tego, kiedy już na pierwszy rzut oka widać, że brak im europejskiej kultury?

Odbija się to niestety nie tylko na literackim poziomie piosenek, ale w ogóle na poziomie współczesnej literatury. Tadeusz Zieliński na zjeździe Unii Intelktualnej w Wiedniu w 1926 roku przemawiał po

łacinie, po grecku, po niemiecku, po angielsku i po francusku, czym zdumiał słuchaczy, a potem – jak wspomina uczestniczący w tym zjeździe Ludwik Hieronim Morstin – „porwał ich, roztaczając szerokie horyzonty kultury europejskiej, opartej na trzech pojęciach: Dobra, Prawdy i Piękna, pojęciach, których potrzeby nie musi się udowodnić. Jeśli ktoś bez nich chce żyć, nie można go przekonać, ale trzeba się nad nim litować i stwierdzić, że nie należy do nas. Kto jednak wierzy, że to są synonimy kultury europejskiej, podporządkuje im trzy inne pojęcia – antyk, chrześcijaństwo i przynależność narodową”. Toteż nic dziwnego, że jeśli nawet katolickim duchownym zwyczajnie chrześcijaństwo już nie wystarcza i próbują podpierać się „judaizmem”, bez którego zrozumienie czegokolwiek – a zwłaszcza własnej religii – przekracza możliwości umysłu ludzkiego, zaś przynależność narodowa historycznych narodów europejskich za sprawą żydowskich szowinistów popada w podejrzenie – kultura europejska przeżywa paroksyzmy, które mogą zakończyć się katastrofą jeszcze głębszą niż w „wiekach ciemnych”, jakie nastąpiły po upadku zachodniego Cesarstwa Rzymskiego.

Kora uważała się za socjalistkę. Co przez to rozumiała – Bóg jeden wie, ale drogą okrężną dowiedziałem się, że w dodatku również mnie nie lubiła. Czy dlatego, że ja socjalizmem pogardzam (jak mówił Stanisław Cat-Mackiewicz: „człowiek inteligentny nie może być socjalistą”) i przy każdej okazji daję temu wyraz, czy z jakiegoś innego powodu – mniejsza z tym, zwłaszcza teraz, kiedy umarła. Ale chociaż mnie nie lubiła, to przecież dostarczyła mi wielu przeżyć, kiedy słuchałem jej piosenek, czasami z irytacją, ale częściej ze wzruszeniem. Starożytni Rzymianie, którzy każde spostrzeżenie zaraz ubierali w postać pełnej mądrości sentencji, mawiali: *non omnis moriar*, co się wyklada, że nie wszystek umrę. No dobrze, „nie wszystek” – ale w takim razie co w człowieku nie umiera? Również przykład Kory utwierdza nas w przypuszczeniach, że właśnie to, czego istnienia przez całe życie nie jesteśmy pewni – bo w swoich piosenkach niewątpliwie zostawiła cząstkę swojej duszy...

„NCz!” 33-34/2018

# „DOBRA ZMIANA” PROSTUJE ŚCIEŻKI OKUPANTOWI

**K**tóż nie wie, że najcięższa jest dola chłopa? Skoro tak, to każda reforma, zwłaszcza w ramach „dobrej zmiany”, powinna być skierowana na ulżenie tym ciężarom. Z tego założenia wychodził nawet Lenin, któremu przypisuje się rozpętanie rewolucji październikowej w Rosji. Była ona zainicjowana w interesie robotników i chłopów („ziemia krestianam, fabрики raboczim”) – żeby mianowicie zdjąć chłopu z nóg kajdany. Owszem, zdjęła – ale razem z butami. To znaczy tak się wydawało na początku, bo potem, kiedy „dobra zmiana” weszła w wyższy etap, Stalin poumieszczał chłopów w kołchozach, podobnie jak biblijny Józef w Egipcie.

Jego historia jest najwcześniejszym w literaturze światowej opisem utworzenia kołchozów. Jak pamiętamy, kiedy Józefowi udało się faraonowi wytłumaczyć sny, został premierem rządu i w tym charakterze najpierw wprowadził dodatkowy podatek w wysokości 20 procent zbiorów. Już rzetelne pobieranie tego podatku wymagało zbudowania potężnego aparatu biurokratycznego, który oszacowałby zbiory u każdego chłopa i wymierzył podatek. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie w takich momentach podnosi się narzekanie na „ciężką dolę”, które ktoś, jakaś ABW, musi dyskretnie uciszać, ale mniejsza z tym, nie zaciemniajmy obrazu. Podatek pobierany w naturze wywołał konieczność kolejnego programu interwencyjnego w postaci budowy magazynów, których sieć, z uwagi na możliwości ówczesnego transportu, musiała być bardzo gęsta. Obok tych magazynów trzeba było wybudować koszary dla pilnujących ich żołnierzy. Nie ulega wątpliwości, że pociągnęło to za sobą dodatkowe koszty, ale ważniejsza wydaje się okoliczność, że do realizacji tak dużego programu budowlanego trzeba było użyć mnóstwa robotników i zwierząt pociągowych. I jednych, i drugie można było zabrać z rolnictwa, które w Egipcie i dzisiaj wymaga znacznego udziału pracy ręcznej, a cóż dopiero wtedy?

Ponieważ w tej sytuacji nie miał kto utrzymywać kanałów irygacyjnych, rychło w Egipcie zapanował głód. Wtedy Józef zaczął

chłopom zgromadzone w latach dobrego fartu zboże sprzedawać. Najpierw w skarbcu faraona zgromadził wszystkie pieniądze z całej ziemi egipskiej, czyli pozbawił chłopów kapitału finansowego. Ponieważ nie mieli już pieniędzy, którymi mogliby płacić za zboże, w kolejnym roku przejął ich inwentarz, a następnym – ich grunty i ich samych, jako niewolników faraona. Jedynie od kapłanów nie przejął gruntów, co pokazuje, że już wtedy doceniano polityczną rolę propagandy.

Po tej operacji część niewolników zostawił w kołchozach, które musiały płacić ów 20-procentowy podatek, a resztę „przeniósł do miast” – oczywiście jako niewolników państwowych. Identycznie postąpił kolejny Józef, to znaczy Józef Stalin. Tak samo wywołał głód na urodzajnej Ukrainie i urodzajnym Kubaniu, OGPU część chłopów zapędziła do kołchozów, gdzie zostali niewolnikami państwowymi, część nie przeżyła tego eksperymentu, a część przeniósł do „miast”, czyli łagrów. Podobnie jak tamten, tak i ten Józef hołubił „kapłanów”, którymi wtedy byli pracownicy przemysłu rozrywkowego, w zamian za co wychwalali oni dzieło Józefa pod niebiosami, podobnie pewnie jak i tamci. Nawet w Biblii polityka Józefa ma znakomitą recenzję, chociaż raczej z powodów rasowych, które na naszych oczach nabierają właśnie rumieńców w Izraelu.

### REFORMY CZĄSTKOWE

Oczywiście nie wszystkie reformy mające na celu ulżenie ciężkiej doli chłopów są aż tak głębokie. Na głęboką reformę nasz nieszczęśliwy kraj będzie musiał poczekać aż do żydowskiej okupacji, która nastąpi w rezultacie zrealizowania słynnych „roszczeń” majątkowych – co obiecał przypilnować Nasz Najważniejszy Sojusznik. Zanim to nastąpi, funkcjonariusze „dobrej zmiany” przeprowadzają reformy cząstkowe, chociaż i one nie do końca są oryginalne, bo nawiązują do poprzednich, też cząstkowych rozwiązań. Ich opis znajdujemy w powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy”. Tam nie chodzi o prawdę o bezpośrednie ulżenie ciężkiej doli chłopów, tylko o „rolnictwo”, żeby było „silne” – i tak dalej, ale jak się ulży rolnictwu, to i chłopu, który wszak pracuje na roli, też będzie lżej.

Jak pamiętamy, hochsztapler i grandziarz Kunik, bezprawnie używający nazwiska Kunicki, wpadł na pomysł, żeby państwo

skupowało zboże od rolników, łagodząc w ten sposób ich ciężką dolę. Podobnie jak w czasach Józefa egipskiego, tak i teraz pojawi się problem magazynowania zakupionego zboża. Przebiegły Kunik wymyślił, że zakupione przez państwo zboże może być przechowywane tam, gdzie było, to znaczy w spichlerzach rolników, od których je kupiono. Od strony finansowej operację zabezpieczał Państwowy Bank Zbożowy, którego prezesem został Nikodem Dyzma – osobnik w rodzaju Kukuńka, tylko jakby trochę mądrzejszy, bo we wszystkim słuchał sprytnego pana Krzepickiego, no i nie był konfidentem. Długo to nie trwało, bo rządowi trzeba było pieniędzy na kolejne reformy, toteż sięgnął do zasobów Państwowego Banku Zbożowego, który w rezultacie zaczął chylić się ku upadkowi.

### PRZED REFORMĄ ROLNĄ

II wojna światowa wprowadziła wielkie zmiany. Kiedy już działania wojenne ustały, Niemcy wyznaczyli kontyngenty. Ale w porównaniu z dokazywaniem sanacji nie były one przez chłopów odczuwane jako nadmierna dolegliwość. Przeciwnie – jak opowiadał mi ojciec, mieszkający podówczas na wsi pod Lublinem, tamtejszy rolnik był z Niemców raczej zadowolony. – Panie, przyszedł gospodarz – mówił. Nie była to bynajmniej opinia odosobniona, o czym wspomina *en passant* nawet taki propagandysta sanacji jak Melchior Wańkowicz („Sztafeta” itp.), pisząc w „Hubalczykach”, że dzięki hubalczykom „chłop chwalcący sobie okupację i ceny” zaczął zmieniać swoje nastawienie. Przyczynili się do tego również Niemcy, którzy zaczęli w Generalnej Guberni stosować zasadę zbiorowej odpowiedzialności.

Uderzała ona właśnie w chłopów, którzy przecież nie byli w stanie odmówić żywności bandom, jakie grasowały zwłaszcza na terenach wiejskich, gdzie Niemcy zaglądali sporadycznie. Plagę bandytyzmu wywołało rozporządzenie prezydenta z 2 września 1939 roku o amnestii. Było ono oczywiście obwarowane surowymi warunkami, ale w miarę rozpadania się struktur państwa nikt na takie głupstwa nie zwracał już uwagi i więziennicy po prostu więźniów powypuszczali. Ci rychło wrócili do swoich ulubionych zajęć i dopiero po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w roku 1941 zostali ujęci w karby organizacyjne. Kiedy Stalin ochłonął z pierwszego zaskoczenia, utworzył Sztab Partyzancki, który na tereny okupowane przez

Niemców posyłał emisariuszy. Dotarli oni do bandytów i postawili im propozycję nie do odrzucenia: albo podporządkują się przysłanym z Rosji dowódcom i politrukcom, albo nie zostanie z nich nawet mokra plama. Bandyci przyjęli te warunki i w ten sposób powstała Armia Ludowa. Przyszło im to tym łatwiej, że nie musieli zmieniać swoich przyzwyczajzeń, o czym świadczą najlepiej dzienniki bojowe tych oddziałów, w których na przykład czytamy, jak to w wyniku udanej „akcji bojowej” zdobyto „bieliznę damską i pościelową”. Nietrudno się domyślić, że ta „akcja” to po prostu napad na jakiś dwór. Te dwory przestawały jednak istnieć w miarę posuwania się sowieckiej armii na zachód, a zainstalowany w Lublinie marionetkowy rząd uchwalił między innymi dekret o reformie rolnej, stanowiący po dziś dzień niewzruszalny element fundamentów systemu prawnego III Rzeczypospolitej. To trochę jakby w Niemczech takim fundamentem były „ustawy norymberskie”, chociaż nie mówmy „hop!”, bo właśnie w Izraelu taka ustawa została uchwalona.

Na straży reform zmierzających do ulżenia nie tylko ciężkiej doli chłopów, ale i robotników oraz inteligencji pracującej, stanął „resort”, w którym wyznaczeni przez Józefa Stalina Żydzi kierowali tubylczymi funkcjonariuszami. W ten oto sposób powstała i okrzepła polskojęzyczna wspólnota rozbójnicza, z którą historyczny naród polski musi dzielić terytorium państwowe – obecnie już z trzecim pokoleniem.

### SOCJALISTYCZNE PRZEMIANY

Ale chłopci nie mieli długo cieszyć się ziemią uzyskaną w ramach „reformy rolnej”, czyli obrabowania warstwy ziemiańskiej. Już pod koniec lat czterdziestych komuniści rozpoczęli „kolektywizację”, inspirowaną biblijnymi poczynaniami Józefa, i kto wie, co by się stało, gdyby nie to, że Opatrzność zlitowała się nad światem i Józef Stalin umarł. Myszy harcują, gdy kota nie czują, więc kołchozy zaczęły się spontanicznie rozpadać, co stalinięta w 1956 roku przyjęły do aprobowanej wiadomości, chociaż nie wszystkie. Na przykład w roku 1963 Jacek Kuroń i Karol Modzelewski napisali słynny „List Otwarty” w którym chłostali Gomułkę za to, „że chłopom daje on nawozy, zamiast powsadzać ich do kozy, przez co nasz główny cel – kołchozy w odległą przyszłość się oddala”.

Ale o kolchozach jak na razie cyt, bo zorganizują je w naszym nieszczęśliwym kraju dopiero żydowscy okupanci, część chłopów, wzorem Józefa egipskiego, przesiedlając do miast. Tymczasem w ostatnich dniach 1944 roku powstał w Lublinie Związek Samopomocy Chłopskiej, który wkrótce stał się monopolistą w zakresie skupu produktów rolniczych i zaopatrywania chłopów w potrzebne im towary. Było z tym sto pociech, bo za pierwszej komuny nasz nieszczęśliwy kraj regularnie nawiedzały dwie klęski i cztery kataklizmy: klęska urodzaju i klęska nieurodzaju, a w charakterze kataklizmów – wiosna, lato, jesień i zima. Utworzona przez Związek Samopomocy Chłopskiej i pokrywająca cały nasz nieszczęśliwy kraj sieć Gminnych Spółdzielni stała się żerowiskiem biurokracji, oddanym warendę głównie „ruchowi ludowemu”, czyli urzędnikom wyznaczonym przez ZSL. Urzędnicy – jak to urzędnicy – nie bardzo radzili sobie z handlem, uprawiając raczej dystrybucję, a na ich usprawiedliwienie można przypomnieć, że system centralnego planowania żadnemu handlowi oczywiście nie sprzyjał w obawie, że wkrótce wylęgnie się z tego „horda ohydnych sklepikarzy, co o sanacji rządach marzy”.

Toteż przed zniwami zawsze brakowało a to sznurka do snopowiązałek, a to „napojów chłodzących” – aż wreszcie, w następstwie wszechstronnego rozwoju, kiedy to „Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”, zabrakło wszystkiego. Nastąpił stan wojenny, a potem zaczęła świtać jutrzienka swobody w postaci sławnej transformacji ustrojowej.

#### WILK ZMIENIA SKÓRĘ, LECZ NIE OBYCZAJE

Kiedy w ramach transformacji ustrojowej przyszła kolej na „dobrą zmianę”, która energicznie przystąpiła do realizowania rekonstrukcji historycznej przedwojennej sanacji, okazało się, że – jak w poprzednich formacjach ustrojowych – dola chłopca jest nadal najcięższa. Oprócz wspomnianych czterech kataklizmów gnębią ich wyzyskiwacze w postaci „pośredników”, którzy zbierają całą śmietankę, czemu „państwo” beczynnienie się przygląda.

Toteż kiedy termin wyborów samorządowych nieubłaganie się zbliża, przez Warszawę przewaliły się pierwsze demonstracje chłopskie pod hasłami zrobienia porządku z „wyzyskiwaczami” i

uruchomienia „rekompensat”, to znaczy zmuszenia współobywateli, by się na „godne życie” trochę poskładali. Rząd premiera Morawieckiego, w obawie przed utratą sympatii chłopów, postanowił na jednym ogniu upiec dwie, a nawet trzy pieczenie.

Po pierwsze – ulżyć ciężkiej doli chłopów, po drugie – stworzyć kolejne, nowe żerowisko dla biurokracji i po trzecie – do tego żerowiska wpuścić własne zaplecze polityczne, osłabiając w ten sposób wpływ PSL na dolę chłopów. Przybrało to postać Narodowego Holdingu Spożywczego, w którego skład wejdzie krajowa Spółka Cukrowa, Elewarr, Stowarzyszenie Polskie Rynki Hurtowe i spółki należące do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa. Elewarr jest spółką Skarbu Państwa, a konkretnie: Agencji Rynku Rolnego i zajmuje się głównie magazynowaniem. Oprócz centrali ma oddziały regionalne, więc można sobie wyobrazić, ile wesołych miejsc pracy da się tam wykroić w ramach polityki prorodzinnej.

Stowarzyszenie Polskie Rynki Hurtowe „wspiera rozwój i współpracę rynków hurtowych organizujących obrót towarami rolno-spożywczymi na obszarze Polski”, więc wygląda na to, że legowisko „wyzyskiwaczy”, na których tam pomstowali uczestnicy niedawnych demonstracji w Warszawie, mieści się na ulicy Wspólnej 30 – bo członkowie tego Stowarzyszenia są pośrednikami między rolnikami a sprzedawcami detalicznymi.

Co ci przypomina widok znajomy ten? A cóż by innego jak nie Centralną Radę Spółdzielczą Samopomoc Chłopska, zlikwidowaną w roku 1990 w ramach likwidowania wszystkich centralnych związków spółdzielczych? W tych centralnych związkach uwili sobie legowiska przedstawiciele nomenklatury, którym wyznaczono żerowisko na odcinku rolniczym i żywnościowym, więc gwoli uwiarygodnienia sławnej „transformacji ustrojowej” trzeba było to i owo zmienić. Bo – jak pisze w powieści „Lampart” kolejny Józef, tym razem Tomasi di Lampedusa – „trzeba wiele zmienić, by wszystko zostało po staremu”. I temu właśnie służy „dobra zmiana”, która w ciężkiej doli pragnie ulżyć każdemu: i chłopom, i babom – bo każdy jest chłopem, chyba że jest babą, więc w ten sposób program „dobrej zmiany” stopniowo obejmuje cały naród na podobieństwo ośmiornicy, przygotowując w ten sposób grunt pod rychłą żydowską okupację, w ramach której



okupanci do każdego takiego holdingu będą musieli tylko delegować swojego *Treuhändera*.

„NCz!” 33-34/2018

# DOBIERAMY Z UCZCIWYCH

Jak tu nie przywołać programu politycznego nakreślonego w krótkich słowach przez Franciszka Fiszera, który własny majątek, gdzieś pod Ostrołęką, przejadł i przepił, a później funkcjonował dzięki sympatii, jaką otaczali go jego wyznawcy, którzy w dodatku uważali go za „filozofa”?

Fiszera rzeczywiście studiował w jakimś Lipsku czy Dreźnie, ale jedyne, co mu się udało, to wylansowanie pewnego docenta. Ówczesne niemieckie przepisy stanowiły, że wyklądać może docent, na którego wykłady przychodzi co najmniej trzech słuchaczy. Fiszera, któremu bełkoty owego docenta szalenie się spodobały, wynajął kilku dorożkarzy, umożliwiając w ten sposób docentowi prowadzenie wykładów. Sprawa szybko nabrała rozgłosu i zaciekawieni ludzie przychodzili na te wykłady, dzięki czemu docent stał się popularny, a jego reputacja jako tęgiego filozofa została utrwalona. Ale mniejsza z tym, chociaż nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę, że i dzisiaj kariery rozmaitych filozofów rozwijają się dzięki takim przypadkom – bo chciałem przecież nawiązać do fischerowskiego programu politycznego.

Zapytany przez jakiegoś swojego wyznawcę, co trzeba uczynić, aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej (tak, tak, to pytanie stawia sobie każde pokolenie Polaków, a nie tylko Edward Gierek, po którym został w sklepach ocet, musztarda i kartki), odpowiedział, że nie będzie w Polsce dobrze, dopóki nie rozstrzela się siedmiuset tysięcy łajdaków. Zaskoczony śmiałością i rozmachem programu rozmówca zwrócił Fiszerowi uwagę, że aż tylu łajdaków może w Polsce nie być – i co wtedy? Fiszera odparł, że to nic nie szkodzi, bo „w razie czego dobierzemy z uczciwych”.

Dzisiaj ta metoda osiągnięcia dobrobytu została zarzucona, bo lichwiarska międzynarodówka, w której, nawiasem mówiąc, Żydzi mają wyraźną nadreprezentację, zorientowała się, że z żywego niewolnika jest więcej pożytku niż z martwego. Wynika to wprost z wyliczeń zawartych w książce „Historia medycyny SS”, gdzie ze zdumieniem czytamy, że zysk finansowy z jednego więźnia koncentracji nie przekraczał kilku marek, nawet przy uwzględnieniu takich pozycji jak „dochód z utylizacji zwłok”. Tymczasem jeśli

wyprodukować pieniądź fiducjarny, a potem pożyczyć go milionom ludzi na wysoki procent, oczywiście żeby Polska mogła rosnąć w siłę, a oni – żyć dostatniej – to zysk finansowy z takiego żyjącego niewolnika jest nieporównanie większy, a w dodatku taki niewolnik jest ze swego losu bardzo zadowolony i gotów jest za swoich dobroczyńców oddać życie.

Dlatego w dzisiejszych czasach na czoło sposobów duraczenia wybija się „wrażliwość społeczna”, w ramach której rosąca armia dobroczyńców ludzkości tworzy coraz to nowe urzędy gwoli przychylenia obywatelom nieba, z czego oni cieszą się szalenie, nie zdając sobie sprawy z tego, że nie tylko muszą zapłacić za dobrodziejstwa, którymi są obsypywani, ale w dodatku utrzymać rosącą armię swoich dobroczyńców, którzy przecież byle czego nie zjedzą. Roztropność rządu skłania Umiłowanych Przywódców do unikania ostentacji i takiego konstruowania mechanizmów finansowego drenażu, by nie tylko zawsze wyglądało, że płacić musi ktoś inny, ale również do preferowania rozwiązań wychodzących naprzeciw potrzebie stworzenia coraz to nowych źerowisk dla biurokracji. Znakomitym przykładem tej metody jest sławny program „500 plus”, który – jak słychać – jest rozszerzany na coraz to inne dziedziny i jak tak dalej pójdzie, to dojdziemy do „100 procent” – już bez plusa, bo w tej sytuacji – jak to zauważył Kukuniek – mogą pojawić się wyłącznie „plusy ujemne”.

Jak tedy pamiętamy, rząd postanowił oprzeć finansowanie programu „500 plus” i wszystkich innych na tak zwanym uszczelnieniu systemu podatkowego. Ten system, nie tylko zresztą podatkowy, opisał jeszcze w latach sześćdziesiątych Stefan Kisielewski w felietonie „Historia tubki z klejem”, będącym znakomitą analizą nie tylko funkcjonowania mechanizmu ówczesnej gospodarki socjalistycznej, ale również desperackich prób opanowania narastającego chaosu. To „uszczelnianie” miało być biczem karzącym na oszustów, co to wykorzystywali luki w systemie dla osobistego bogacenia, wskutek czego „budżet” cierpiał na chroniczny niedosyt, ze szkodą dla szczęścia szerokich mas obywateli. Rzeczywiście – jeśli wierzyć rządowi, to tych oszustów było całkiem sporo, zwłaszcza w obozie zdrady i zaprzaństwa, więc budżet odczuł wyraźną poprawę, w

przeciwieństwie do reputacji obozu zdrady i zaprzaństwa, która bardzo się pogorszyła. Była to zatem odmiana leninowskiego programu „*grab nagrablyennoje!*”. Pojawiła się atoli trudność w tej postaci, że uszczelnienie jest przedsięwzięciem jednorazowym i jeśli nawet budżet początkowo będzie w stanie sfinansować programy rozdawnicze, to po skutecznym „uszczelnieniu” żadnych dodatkowych wpływów może już nie być. Tymczasem do dobrego obywatela się przyzwyczajają, a co gorsza – zaczynają te dobrodziejstwa uważać za oczywiste i należne, za rodzaj „praw nabytych”, toteż rząd, pragnąc utrzymać reputację „dobrej zmiany”, musi inicjować i uruchamiać coraz to nowe programy rozdawnicze – i to właśnie robi. Gdyby po prostu obniżył obywatelom podatki, to w ich kieszeniach mogłoby zostać nawet więcej pieniędzy, niż uzyskują z programów rozdawniczych, ale cóż z tego, kiedy przy takim rozwiązaniu nie powstawałyby żadne biurokratyczne synekury, na których można ulokować rosnące zastępy członków własnego zaplecza politycznego? Dlatego rząd „dobrej zmiany”, podobnie zresztą jak i poprzedni rząd „zmiany złej”, musi wychodzić naprzeciw oczekiwaniom własnego zaplecza politycznego i tworzyć mu coraz to nowe źerowiska.

Jak to jeszcze za pierwszej komuny przenikliwie zauważył tow. Władysław Gomułka, że „z próżnego i Salomon nie należy”, tak i teraz pojawiły się oznaki, że efekty „uszczelnienia” zaczynają się wyczerpywać albo nawet już się wyczerpały. Oczywiście w rządowej telewizji, która już dawno przestała informować, co się dzieje na świecie, tylko wyłącznie uprawia propagandę, polemizując z taką samą propagandą, tyle że w odwrotną stronę, jaką uprawiają telewizje nierządne z TVN na czele – więc w rządowej telewizji o tym się nie usłyszysz, bo to rodzaj opium dla obywateli, ale z za tej fasady słychać odgłosy krzątania zmierzającej w kierunku programu nakreślonego w swoim czasie przez Franciszka Fiszerę – oczywiście w formie nieco złagodzonej, przynajmniej na razie. Najwyraźniej efekty „uszczelniania” przestały działać, bo w lipcu w miejsce 10 mld zł oszczędności pojawił się 20-miliardowy deficyt, żeby spełniło się to, co zapisano w tegorocznej ustawie budżetowej, tj. deficyt na poziomie ponad 41 mld złotych. Toteż nic dziwnego, że w tajnej instrukcji Urzędu Skarbowego w Kielcach zaleca się ściganie przedsiębiorstw

legalnie działających, jeśli tylko mają jakiś majątek – bo z oszustów już nic wyciągnąć się nie da.

Zatem – dobierzemy z uczciwych, ale nie do rozwałki, tylko do wyszlamowania.

„NCz!” 35-36/2018

## KOŚCIÓŁ CZY „DUCH SOBORU”?

Jeszcze za głębokiej komuny, bo gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, felietonista warszawskiej „Kultury” (bo była jeszcze „Kultura” paryska) o pseudonimie „Hamilton” („w warszawskiej urzędówce »Kulturze« komunistyczny parobek Hamilton...”) napisał, że w jakiejś sprawie – już dzisiaj nie pamiętam w jakiej – identyczną opinię mają ci, co wyznają jeden światopogląd, jak i ci, co wyznają drugi światopogląd – jako że „w Polsce są dwa światopoglądy, bo są dwie kasy”.

KASA, MISIU, KASA...

Może to stwierdzenie było uproszczone, ale jeśli nawet, to tylko trochę. Weźmy takiego, znanego ze słynnej „postawy służebnej”, Tadeusza Mazowieckiego. Był on, jako zawodowy katolik, wyznawcą „drugiego światopoglądu”.

Ale jak to właściwie było, że w totalitarnym państwie, za jakie uchodziła PRL, funkcjonowały dwa światopoglądy? Na jakiej zasadzie wyznawcy „pierwszego światopoglądu” tolerowali wyznawców „światopoglądu drugiego”?

Nie zawsze tolerowali, bo na przykład za życia Józefa Stalina nie tolerowali. To znaczy tolerowali, ale jedynie takich wyznawców „drugiego światopoglądu”, którzy zadeklarowali wierność „światopoglądowi pierwszemu”. Przykładem takiego koncesjonowanego wyznawcy „drugiego światopoglądu” był Bolesław Piasecki. Odcięty od stryczka przez generała NKWD Iwana Sierowa, zadeklarował potrójne zaangażowanie: katolickie, patriotyczne i socjalistyczne. Pogodzenie tych trzech zaangażowań było dosyć trudne, bo kiedy Bolesław Piasecki napisał na ten temat książkę „Zagadnienia istotne”, to Watykan natychmiast wciągnął ją na indeks. Wtedy bowiem jeszcze Stolica Apostolska uważała, że ateistyczny komunizm nie da się pogodzić z rzymskim katolicyzmem. Były też wątpliwości, czy z socjalizmem da się pogodzić patriotyzm, jako że socjalizm wymagał od swoich wyznawców obrzezania się na „internacjonalizm” – ale czego to nie pogodzi człowiek w momencie, gdy odcinają go od stryczka?

Było to tym łatwiejsze, że Bolesława Piaseckiego nie tylko odcięto od

stryczka, ale nawet dano mu żyć – co przybrało postać koncesji na bodaj jedyną od Łaby po Władywostok prywatną firmę Inco Veritas, która produkowała chemię gospodarczą i dewocjonaalia. Budziło to mieszane uczucia między innymi wśród Żydów, którzy Stalinowi oddali się duszą i ciałem („a my wszyscy za towarzyszem Stalinem!”), co przybrało nawet postać wiersza „Na pewnego PPR-nika”: „O ich wczoraj zapomniawszy z »Dziś i Jutro« dziś flirtuje...”. W zamian za te alimenty partia oczekiwała zaangażowania socjalistycznego, które przybrało postać ruchu „księży patriotów”, mającego stanowić załączek „Żywej Cerkwi” i dostarczać jej kadr, które – jak to przenikliwie zauważył Józef Stalin – „decydują o wszystkim”.

Toteż i słynący z „postawy służebnej” Tadeusz Mazowiecki służył w PAX-ie, a chociaż niekiedy miewał wątpliwości, to jednak kiedy było trzeba, nieubłaganym palcem wytykał i piętnował – między innymi biskupa Kaczmarka, któremu bezpieka po torturach urządziła przed niezawisłym sądem proces.

Ale kiedy Stalin umarł, a partia, pragnąc się uwiarygodnić, zaczęła „normalizować” stosunki z Kościołem – oczywiście po swojemu, ale prymasa Wyszyńskiego wypuściła z Komańczy – myszy zaczęły harcować i wśród zawodowych katolików dokonały się „rozłamy”. PAX, jako umocowany przez Moskwę, oczywiście pozostał, ale wypączkowały z niego pączki w postaci „Znaku” i „Więzi”. Było to możliwe również dlatego, że partia zadbała o alimenty i dla rozłamowców, dzięki czemu powstała firma Libella, która też zajmowała się chemią gospodarczą, m.in. wyprodukowała płyn do mycia naczyń „Ludwik”. Z tego „Ludwika” żyły całe święte rodziny. Potem nastąpiły rozłamy również w pączkach, co doprowadziło także do podziału alimentów z „Ludwika” między poszczególne grupy ideowe. W związku z tym Stefan Kisielewski szyderczo nazywał nową inicjatywę polityczną świeckich katolików „Chrześcijańską Unią Jedności” (ChUJ).

### GRZECH PIERWORODNY

Kiedy umarł Pius XII, na Stolicę Apostolską wybrany został kardynał Roncalli, który przybrał imię Jana XXIII. O ile Pius XII oskarżany był o umiłowanie wojny, do czego ostatnio doszła straszliwa zbrodnia, jakoby „milczał” w obliczu holokaustu – bo wiadomo, że w obliczu

holokaustu każdy powinien wrzeszczeć wniebogłosy, jak podczas dysputy synagogi aleksandryczyków i libertynów ze świętym Szczepanem – to Jan XXIII zasłynął z umiłowania do pokoju. I to nawet nie dlatego, że napisał encyklikę „Pacem in terris”, w której przenikliwie dowodził, że kiedy jest pokój, to dobrze, a kiedy nie ma, to źle – ale przede wszystkim dlatego, że swoją miłość do pokoju zlał również na komunistów.

Komunistom bardzo się to podobało, toteż nie znajdowali dla Jana XXIII dostatecznych słów uznania. Jan XXIII najwyraźniej musiał dopuścić sobie to do głowy i zapragnął, by w Soborze, który akurat umyślił sobie zwołać, wzięli również przedstawiciele sowieckiej Cerkwi Prawosławnej. Wtedy nie było tam chyba żadnego normalnego duchownego, tylko jeden w drugiego oficerowie KGB rzucony na religijny odcinek frontu. Jan XXIII nie mógł o tym nie wiedzieć, mimo to jednak przyjął postawiony przez KGB-iaków warunek, że Sobór nie potępi komunizmu. Toteż w roku 1962 reprezentujący Jana XXIII kardynał Eugeniusz Tisserant i metropolita Nikodem, czyli Borys Gieorgiewicz Rotow, agent KGB o pseudonimie operacyjnym „Adamant”, uchodzący za reprezentatywnego gołąbka pokoju, zawarli w Metz (Francja) tajne porozumienie. Rzym zobowiązał się, że Sobór nie potępi komunizmu, w zamian za co przedstawiciele rosyjskiej Cerkwi wzięli w nim udział, dzięki czemu Jan XXIII już do końca życia również cieszył się opinią gołąbka pokoju. Być może na jego stanowisko wpłynął kryzys karaibski, kiedy to świat stanął na krawędzi wojny jądrowej, ale jeśli nawet tak było, to jest to znakomita ilustracja poglądu, że bomba atomowa zmieniła dotychczasowy sposób pojmowania moralności.

Warto bowiem dodać, że poprzednicy Jana XXIII potępiali komunizm bezwarunkowo, uważając, całkiem zresztą słusznie, że jest to ideologia zbrodnicza ze swej istoty i jako taka – absolutnie nie do pogodzenia z chrześcijaństwem. Tymczasem powstrzymanie się Soboru Watykańskiego II od potępienia komunizmu zdejmowało z niego odium zbrodniczości. Skoro okazało się, że komunizm nie jest taki straszny, jak go malują, to tym samym kryteria ocen moralnych zaczęły się rozmywać, a granica między dobrem a złem – zacierać. Jan XXIII najwyraźniej bardziej umiłował pokój niż Jezusa Chrystusa, co to



rzucił na świat miecz – i tak już zostało.

### „DUCH SOBORU”, CZYLI KONSPIRACJA

Nie tylko zostało, ale pociągnęło za sobą daleko idące konsekwencje. Wprawdzie Sobór Watykański II komunizmu nie potępił, ale w swoim umiłowaniu pokoju nie szedł tak daleko jak Jan XXIII. Jednak popełniony przezeń grzech pierworodny, wywołał i wywołuje skutki znacznie wykraczające poza literalną jego treść oraz trwałe. Na Soborze pojawiła się bowiem grupa biskupów postępowych, którzy z powodzeniem próbowali forsować swoje stanowisko na Soborze. To nie było niczym osobliwym, bo podobnie zachowywała się grupa biskupów zachowawczych, w następstwie czego niektóre dokumenty soborowe przypominają deklarację naszego Kukuńka, co to jest „za, a nawet przeciw”. To by może nie było najgorsze, bo poza fachowcami, którzy i tak przecież wiedzą, o co chodzi, tych dokumentów nikt nie czyta.

Problem pojawił się, kiedy grupa biskupów postępowych, której działalność już podczas Soboru nabierała coraz wyraźniejszych znamion konspiracji, nie zaprzestała konspirować również po Soborze. Okazało się, że „duch Soboru” nadal trwa i że to nie Sobór, a ten jego „duch” doprowadza do „reform”, o których dokumenty soborowe albo w ogóle nie wspominały, albo jeśli nawet – to podchodziły do nich niezwykle ostrożnie. Dla przykładu: „Konstytucja o liturgii świętej” dopuściła wprawdzie języki narodowe w liturgii, ale wyjątkowo, „ze względu na pożytek wiernych”, jednak z naciskiem podkreślała, że wierni „powinni umieć wspólnie odmawiać lub śpiewać także w języku łacińskim stałe części Mszy św. dla nich przeznaczone”.

Cóż jednak z tego, skoro nawet wbrew instrukcji z roku 1964, która zawierała wykaz części Mszy św., w których MOŻNA użyć języka narodowego, to kolejna instrukcja, z roku 1967, zezwalała na usunięcie łaciny z CAŁEJ Mszy św. Jak widzimy na tym przykładzie, „duch Soboru”, który te wszystkie instrukcje przygotował, doprowadził do ukształtowania liturgii całkowicie odmiennej od pierwotnych intencji, a nawet od literalnego brzmienia soborowych konstytucji.

### A CO Z DUCHEM ŚWIĘTYM?

Można by pomyśleć, że „duch Soboru” to tylko jedna z postaci manifestowania swojej obecności przez Ducha Świętego, który

nieustannie asystuje Kościołowi, dzięki czemu jego nauczanie jest uważane za nieomyślne. Tak jednak chyba nie jest – a mogliśmy się o tym przekonać na podstawie dokumentu, jaki Stolica Apostolska ogłosiła na temat stosunku do Żydów. Można tam przeczytać, że w przeszłości zdarzały się w tej kwestii „niewłaściwe interpretacje” Ewangelii. Ale przecież interpretowanie Ewangelii jest najważniejszym zadaniem i misją Urzędu Nauczycielskiego Kościoła, który przede wszystkim doświadcza asystencji Ducha Świętego. Jeśli zatem „w przeszłości” zdarzały się interpretacje „niewłaściwe”, to znaczy, że Duch Święty musiał w tym czasie być na wakacjach. Ale mniejsza już o Ducha Świętego – czy wyjeżdża na wakacje, czy nie. Skoro bowiem „niewłaściwe interpretacje” zdarzały się „w przeszłości”, to skąd mamy wiedzieć, że te współczesne są „właściwe”?

W ten oto sposób grzech pierworodny popełniony przez Jana XXIII wydaje coraz to nowe zatrute owoce. Jednym z nich jest dokonana przez papieża Franciszka zmiana Katechizmu Kościoła Katolickiego poprzez wpisanie tam potępienia kary śmierci. Zmodyfikowana przez niego wersja kanonu 2267 brzmi następująco: „Wymierzanie kary śmierci, dokonane przez prawowitą władzę po sprawiedliwym procesie, przez długi czas było uważane za adekwatną do ciężaru odpowiedzialność na niektóre przestępstwa i dopuszczalny, choć krańcowy, środek ochrony dobra wspólnego. Dziś coraz bardziej umacnia się świadomość, że osoba nie traci swojej godności nawet po popełnieniu najcięższych przestępstw. Co więcej, rozpowszechniło się nowe rozumienie sensu sankcji karnych stosowanych przez państwo. Ponadto zostały wprowadzone skuteczne systemy ograniczania wolności, które gwarantują należyłą obronę obywateli, a jednocześnie w sposób definitywny nie odbierają skazańcowi możliwości odkupienia win. Dlatego też Kościół w świetle Ewangelii naucza, że kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie”.

Zwróćmy uwagę, że w zacytowanym kanonie nie ma uzasadnienia teologicznego, a tylko tandetny i gołosłowny pozór uzasadnienia filozoficznego – bo cała reszta to publicystyka, nie tylko kiepska, ale w dodatku kłamliwa. Kłamstwem jest bowiem – bo nie ośmieliłbym się

zarzucić papieżowi Franciszkowi, że takich rzeczy nie wie – jakoby dopiero „dziś” coraz bardziej umacniała się świadomość, że osoba nie traci swojej godności nawet po popełnieniu najcięższych przestępstw. Taka świadomość w świecie chrześcijańskim istniała OD SAMEGO POCZĄTKU, to znaczy od egzekucji Pana Jezusa na Golgocie. Na prośbę Dobrego Łotra, który w warunkach własnej egzekucji stwierdza, że cierpi „sprawiedliwą karę”, Pan Jezus odpowiada: „jeszcze dziś będziesz ze mną w Raju”. Dlatego właśnie w świecie chrześcijańskim skazańcowi do samego końca towarzyszył duchowny, co było świadectwem, że chociaż człowiek ten znajduje się w beznadziejnym położeniu, to jednak jest dzieckiem Boga i z tego tytułu korzysta z niezbywalnej godności.

Dalsza część kanonu to kiepska jakościowo publicystyka oceniająca „systemy ograniczania wolności”. Żeby przekonać się o tandetnym charakterze tej publicystycznej oceny, wystarczy przypomnieć dwa przykłady: zabójstwa członków grupy Baader-Meinhof w niemieckim więzieniu, a w Polsce – sprawę Trynkiewicza. Jak wiadomo, Frakcja Czerwonej Armii, czyli grupa Baader-Meinhof, była wspierana przez wywiad Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W nocy z 17 na 18 października 1977 roku Andrzej Baader, Gudrun Enslin i Jan Karol Raspe zostali znalezieni martwi w swoich celach. Oficjalną przyczyną śmierci było samobójstwo, chociaż zmarli od postrzałów w głowę. Konstytucja RFN zniósła karę śmierci już w 1949 roku. W Polsce po wprowadzeniu w 1988 roku przez anonimowego dobroczyńcę ludzkości tzw. moratorium na wykonywanie kary śmierci wyroki te zamieniono na 25 lat więzienia. Jednym ze skazanych za morderstwa dzieci był Mariusz Trynkiewicz. Jemu też zamieniono karę śmierci na 25 lat więzienia. Odbywanie kary zakończył 11 lutego 2014 roku. Ponieważ nie wiadomo było, co mu w tej sytuacji zrobić („raz Murzyni na pustyni złapali grubasa; nie wiedzieli, co mu zrobić, uciąli...” – no, mniejsza z tym), ale w marcu tego samego roku, na podstawie „ustawy o bestiach” przeforsowanej przez pobożnego ministra sprawiedliwości Jarosława Gowina, został przez niezawisły sąd umieszczony w izolatorze w Gostyninie – bo jakieś baby obawiały się, że będzie je molestował albo nawet zrobi im coś jeszcze gorszego.

Papież Franciszek jest już przecież dużym chłopczykiem, a

tymczasem sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, skąd właściwie biorą się dzieci. Pseudofilozoficzny bełkot o „zamachu na nienaruszalność i godność osoby” nie zasługuje nawet na komentarz – w odróżnieniu od zapewnienia, że Kościół też w sprawę zniesienia kary śmierci angażuje się „z determinacją”. Po pierwsze – to nieprawda, bo jeśli „Kościółem” są wszyscy katolicy, to nie wiem nawet, czy połowa z nich się w tę sprawę angażuje, bo – podobnie jak niżej podpisany – są zwolennikami utrzymania, ewentualnie przywrócenia kary śmierci. Po drugie – papież Franciszek stawia znak równości między „Kościółem” a „duchem Soboru”, który zresztą na razie jeszcze kamufluje się w Kościele katolickim, w którym – jak się okazuje – uwił sobie całkiem wygodne legowiska, by za pieniądze pobrane od katolików i pożyczane od Żydów forsować kult Świętego Spokoju.

„NCz!” 35-36/2018

# ANARCHIA OD DOŁU I OD GÓRY

Proces anarchizacji naszego bantustanu postępuje w tempie galopującym. Ponieważ stan anarchii bywa trwały tylko w stosunkach międzynarodowych, jako konsekwencja państwowej suwerenności, to w stosunkach wewnętrznych każdego państwa nigdy nie jest trwały, zawsze bowiem dochodzi do przesilenia i w miejsce anarchii pojawia się ład, niekiedy bardzo surowy. Toteż i w Polsce wszystko zmierza do przesilenia, zgodnie z niemieckim planem odzyskania wpływów w Europie Środkowej, utraconych wskutek zresetowania przez prezydenta Obamę swego poprzedniego resetu w stosunkach amerykańsko-rosyjskich, wskutek zachwiania się niemieckiego przywództwa w związku z głupstwami popełnionymi przez Naszą Złotą Panią podczas kryzysu migracyjnego i zagrożonych dodatkowo przez konfrontacyjną politykę prezydenta Trumpa. Poparcie dla projektu Trójmorza, którego prezydent Trump udzielił w lipcu 2017 roku, musiało w Berlinie zapalić czerwone światelko alarmowe, ponieważ ewentualna realizacja tego projektu zagrażałaby trzem ważnym interesom niemieckim. Po pierwsze – podważałaby, i to w sposób trwały, niemiecką hegemonię w Europie, po drugie – blokowałaby program budowy IV Rzeszy, w który Niemcy tyle już zainwestowały, i wreszcie – po trzecie – stwarzałaby dla krajów Europy Środkowej szansę uwolnienia się od więzów nałożonych na nie przez niemiecki projekt „Mitteleuropa” z roku 1915. Państwo poważne – a Niemcy takie są – o niczym nie zapomina i skoro projekt „Mitteleuropa” był dobry dla Niemiec 100 lat temu, to jest tak samo dobry i teraz. Przypomnijmy, że przewidywał on utworzenie – oczywiście po ostatecznym zwycięstwie niemieckim – w Europie Środkowo-Wschodniej państw pozornie niepodległych, ale *de facto* niemieckich protektoratów, o gospodarkach niezdolnych do konkurowania z gospodarką niemiecką, tylko peryferyjnych i uzupełniających. Projekt ten nabrał rumieńców po 1 maja 2004 roku, kiedy to nastąpił *Anschluss* do Unii Europejskiej ośmiu państw Europy Środkowej, i obecnie, również za pośrednictwem instytucji unijnych, jest intensywnie realizowany. Toteż Niemcy uznały, że najłatwiejszym sposobem zablokowania projektu Trójmorza będzie doprowadzenie do

politycznego przesilenia w Polsce, gdzie władzę obejmie rząd, który Polskę z tego projektu wycofa, a bez Polski Trójmorze nie ma większego sensu. Toteż polityczna wojna, która w naszym bantustanie rozpoczęła się zaraz po objęciu rządów przez PiS, jest przez Niemcy podsycana również dzięki zinfiltrowaniu przez tamtejszą BND tutejszej dukaczewszczyzny, gotowej wysługiwać się każdemu, kto obieca jej możliwość dalszego pasożytowania na historycznym narodzie polskim. Dukaczewszczyzna bowiem już w „wolnej Polsce” nie tylko rozbudowała sobie agenturę, ale w dodatku uplasowała ją w miejscach umożliwiających ręczne sterowanie nie tylko całym państwem, ale całym życiem publicznym. Dukaczewszczyzna zagnieżdżyła się nie tylko w konstytucyjnych organach państwa, nie tylko przejęła kontrolę nad kluczowymi segmentami gospodarki, nie tylko przejęła pod kontrolę niezależną prokuraturę i niezawisłe sądownictwo, ale również rozbudowała wpływy w mediach, przemyśle rozrywkowym i środowiskach opiniotwórczych, zawsze skorych do kolaboracji, zwłaszcza „bez swojej wiedzy i zgody”. Jednak ciamajdan z grudnia 2016 roku obnażył partactwo tubylczej bezpieki, która w dodatku wysunęła na czoło takie osobistości jak pan Mateusz Kijowski, którym pogardziłby nawet Heinrich Himmler, toteż po gospodarskiej wizycie Naszej Złotej Pani w Warszawie w lutym 2017 roku, inicjatywę przejęła BND, powierzając dukaczewszczyźnie poślednie wykonawstwo i przenosząc akcent z obrony demokracji na obronę praworządności. Jest w tym pewna kalkulacja, pozwalająca Niemcom zachować pozory legalności nawet w przypadku interwencji wojskowej w Polsce. W traktacie lizbońskim jest „klauzula solidarności” pozwalająca na zastosowanie „bratniej pomocy” w przypadku zagrożenia demokracji – oczywiście na prośbę zainteresowanego państwa. Jednak w sytuacji, gdy zagrożenie dla demokracji i praworządności płynie od rządu, ktoś musi go wyręczyć. Pan Kijowski, zwłaszcza po swoim sfajdaniu, absolutnie nie nadaje się do pokazywania go Europie w charakterze jasnego idola, a poza tym, z punktu widzenia prawnego, jest zwykłym obywatelem. Natomiast pani Małgorzata Gersdorf, u której uderzenia gersdorfin do głowy powodują halucynacje, że jest Pierwszym Prezesem Sądu Najwyższego, świetnie nadaje się do złożenia prośby o „bratnią

pomoc” jako najwyższy przedstawiciel jednej z trzech władz państwowych. Dlatego wszyscy folksdojcze, których, jak się okazało, jest w naszym nieszczęśliwym kraju całkiem sporo, onanizują się konstytucjami, a sprawiający wrażenie niezrównoważonego emocjonalnie, a być może nawet umysłowo, pan Paweł Kasprzak próbował nawet wziąć szturmem gmach Krajowej Rady Sądownictwa, żeby w ten sposób... no właśnie – co? Co konkretnie zrobiłby ten osobnik, gdyby przy pomocy swojej szajki udało mu się opanować ten gmach? Kreowałby się Sędzią Sądu Ostatecznego i jako taki zatwierdziłby panią Małgorzatę na stolcu? Gdyby spróbował czegoś takiego, to byłby to powód, by zajęli się nim infirmerzy, więc prawdopodobnie dukaczewszczyzna kazała mu tylko urządzić zadymę. Okoliczność, że ABW nie potrafiła tej awanturze dyskretnie zapobiec, pokazuje, że należałoby to towarzystwo rozpedzić – bo lepiej gdy rząd wie, że nie ma pod swoimi rozkazami żadnych tajniaków, którzy potrafiliby czegoś upilnować, niż gdy myśli, że państwa ktoś pilnuje, podczas gdy niczego nie pilnuje nikt. Ta cała ABW może tylko urządzić takie psoty jak „operacja Menora”, więc uważam, że każda złotówka wydana na tę „służbę” jest złotówką zmarnowaną.

Ale państwo poważne gra jednocześnie na kilku fortepianach. Jak pamiętamy, w ubiegłym roku pan prezydent Duda ogłosił decyzję o zawetowaniu ustaw „sądowniczych” po 45-minutowej rozmowie telefonicznej z Naszą Żłotą Panią. Co mu Nasza Żłota powiedziała, czym go nastraszyła i co mu obiecała – tego oczywiście nie wiem, ale zwłaszcza teraz, gdy dukaczewszczyzna tworzy grono politycznych przyjaciół pana prezydenta, widać, że i on „powinność swej służby rozumie”. Indiańskie przysłowie mówi, że jeśli nie możesz ich pokonać – przyłącz się do nich. Toteż niezależnie od postępującego anarchizowania państwa polskiego, Niemcy próbują działać dwutorowo. Właśnie złożyły wniosek, by we wrześniowej konferencji państw Trójmorza wzięły udział i one, w charakterze „państwa partnerskiego”. Jako pierwsze państwo uczestniczące w konferencji – i w dniu kiedy piszę ten felieton, również jedyne – wniosek poparła Polska. Ale nie rząd, tylko pan prezydent Andrzej Duda, co dowodzi co najmniej dwóch rzeczy: po pierwsze – że Niemcy traktują sprawę Trójmorza bardzo poważnie, a po drugie – że w anarchizowaniu Polski

swoje zadania wykonuje również pan prezydent.

„NCz!” 37-38/2018



# JAK CIA ZWIĄŻE, TO BĘDZIE ZWIĄZANE

Jak wiadomo, Pan Jezus powiedział do Apostołów, że co zwiążą lub rozwiążą na ziemi, będzie związane lub rozwiązane również w niebiesiech. I na pewno tak jest – ale czy ta zasada działa również w odwrotną stronę, to znaczy że co będzie związane lub rozwiązane w niebiesiech, będzie związane lub rozwiązane również i na ziemi?

Myślę, że w tym przypadku tym bardziej nie wypada zaprzeczać, więc właściwie wszystko jest jasne – z wyjątkiem jednej sprawy: czy mianowicie ta zasada działa również w razie związania lub rozwiązania jakichś spraw nie tyle w Królestwie Niebieskim – które, nawiasem mówiąc, coraz bardziej zaczyna przypominać Republikę Niebieską, i to w dodatku socjalistyczną – co w królestwach – mówiąc językiem ewangelicznym – „z tego świata”. Coś jest na rzeczy, na co wskazywałaby ostatnia decyzja prawosławnego Patriarchy Bartłomieja z Konstantynopola. Jak wiadomo, zgodził się on na ustanowienie na Ukrainie tzw. autokefalii. To greckie słowo dosłownie oznacza „samogłowę”, czyli uniezależnienie. W tym przypadku – od patriarchatu moskiewskiego.

Jak z satysfakcją donosi żydowska gazeta dla Polaków, Ukraińską Autokefaliczną Cerkwią Prawosławną będą odtąd kierowali dwaj Ukraińcy zza oceanu, to znaczy arcybiskup Daniło ze Stanów Zjednoczonych i biskup Hilarion z Kanady. Bo trzeba nam wiedzieć, że zarówno w USA, jak i w Kanadzie istnieje liczna i wpływowa diaspora ukraińska. Ale – jak poinformował mnie przewodniczący Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Ottawie – Światowy Związek Ukraińców z siedzibą w Toronto nie tylko jest zdominowany przez banderowców, ale poza banderyzmem nie jest tam reprezentowany żaden inny kierunek polityczny. Ponieważ jedną z cech banderyzmu jest totalne podporządkowanie sobie tak zwanej „czerni”, dotyczy to również tamtejszego Kościoła greckokatolickiego, będącego rodzajem ukraińskiego kościoła narodowego, oraz tamtejszej Cerkwi prawosławnej.

O ile polscy narodowcy akcentują przywiązanie do Kościoła

katolickiego i uznają jego przywództwo moralne, a niektórzy również polityczne, to banderowcy podporządkowali sobie nie tylko Kościół greckokatolicki, ale również ukraińską Cerkiew prawosławną, które tańczą tak, jak tamci im zagrają. W tej sytuacji powierzenie duchownym zza oceanu organizacji autokefalicznej Cerkwi prawosławnej na Ukrainie oznacza, że może przybrać ona banderowskie oblicze – kto wie, czy nie w postaci radykalnej. Nie byłaby to dla nas, Polaków, a zwłaszcza dla Polaków mieszkających na Ukrainie, najlepsza wiadomość, bo – jak zapewniał mnie w samolocie lecącym z Dublina do Warszawy polski ksiądz pracujący podówczas na Ukrainie, a obecnie już z niej wydalony – tamtejsze duchowieństwo obydwu obrządków, to znaczy greckokatolickiego i prawosławnego, jest przeżarte banderyzmem, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jestem jednak pewien, że – podobnie jak to uczynił *Judenrat* „Gazety Wyborczej” – również rząd i rządowa telewizja przedstawi ostatnie decyzje Patriarchy Bartłomieja jako wielki sukces i triumf mocarstwowej polityki premiera Mateusza Morawieckiego, podobnie jak to było w przypadku zmuszenia Polski do uchylecia nowelizacji ustawy o IPN.

Jeśli chodzi o *Judenrat*, to triumfalne fanfary są zrozumiałe. Decyzja Patriarchy Bartłomieja jest kolejnym krokiem na drodze uniezależnienia Ukrainy od Rosji, dzięki czemu tamtejszy żydowski dyrektoriat z premierem Włodzimierzem Hrojsmanem na czele będzie mógł jeszcze szybciej przekształcać ów nieszczęśliwy kraj w swoje żerowisko, a kto wie, czy nie w żydowską kolonię.

Sprawa charakteryzuje się wielką doniosłością, bo być może na Ukrainie, a zwłaszcza jej zachodniej części, została już wyznaczona rola Piemontu przyszłej Judeopolonii. W przeciwnym razie Żydzi nie traktowaliby banderowców z taką pobłażliwością i wyrozumiałością, jako nieodzowny składnik tamtejszej narodowej tożsamości.

Później może być odwrotnie: skoro banderowski Murzyn zrobi swoje, będzie mógł „odejść” – ale na tym etapie najwyraźniej obowiązują inne mądrości. Jeśli natomiast chodzi o rząd i rządową telewizję, to dodatkowe wzmocnienie banderyzmu na Ukrainie będzie otrąbione jako sukces, ponieważ ustanowienie autokefalii tamtejszej Cerkwi prawosławnej jest niekorzystne dla Rosji, a wiadomo, że gwoli

ziroytowania zimnego ruskiego czekisty Putina, Naczelnik Państwa Jarosław Kaczyński gotów byłby nakazać nam wszystkim popęlenie harakiri.

Fanfary fanfarami, ale to nie w naszym bantustanie ta sprawa została „związana” po to, by została „związana” również na Ukrainie. Przypominam sobie, że gdy Polska miała zostać przyjęta do NATO, zwierzchnik Polskiej Autokefalicznej Cerkwi Prawosławnej, abp Sawa, w 1998 roku pojechał do Konstantynopola, to znaczy do Stambułu, by w ten sposób potwierdzić związki z tamtejszym Patriarchą, bez pośrednictwa Moskwy. Dopiero wtedy został zaaprobowany przez CIA, której najwyraźniej nie przeszkadzała okoliczność, że Jego Eminencja był zarejestrowany przez SB w latach 1965-1989 jako niezwykle wydajny i niezwykle cenny tajny współpracownik „Jurek”. Został więc nawet Prawosławnym Ordynariuszem Wojska Polskiego w stopniu generała brygady.

Na tej podstawie możemy się przekonać, że jak coś zostanie związane w Departamencie Stanu w Waszyngtonie albo w centrali CIA w Langley, to będzie związane również w naszym nieszczęśliwym kraju. Najwyraźniej również w sprawach duchowych rolę Królestwa Niebieskiego odgrywają u nas Stany Zjednoczone, więc i na Ukrainie nie może być inaczej, zwłaszcza w sytuacji gdy – jak to szczerze i otwarcie wyznał uchodzący za naszego przyjaciela George Friedman – USA darzą szczególnym poparciem Polskę i Rumunię, bo obydwie te państwa mogą „powstrzymać” Rosję. Jeśli to prawda, to w przełożeniu na język ludzki oznacza to, że w globalnej amerykańskiej strategii przekomarzenia się z Moskalikami obydwu tym krajom wyznaczona została rola mięsa armatniego, dzięki któremu USA będą walczyły z Rosją do ostatniego Polaka i Rumuna. Skoro tak, to Ukraina będzie musiała zostać przepuszczona przez maszynkę do mięsa znacznie wcześniej i dopiero jak nie będzie już żadnego Ukraińca, to przyjdzie kolej na Rumunię i Polskę. Może jedno z drugim nie ma żadnego związku, ale nie można też wykluczyć, że ustanowienie autokefalii ukraińskiej Cerkwi prawosławnej stanowi element amerykańskich przygotowań do jakiejś większej operacji, zwłaszcza że do nadzorowania tej autokefalii zostali wyznaczeni wysokiej rangi duchowni z USA i Kanady.

Oni na pewno nie zostali zarejestrowani jako tajni współpracownicy przez tubylczą SB, ale czy możemy z pewnością powiedzieć, że przez CIA też nie? Nie wiemy nawet, czy nie dotyczy to samego patriarchy Bartłomieja, skoro właśnie do niego musiał pojechać JEm. Sawa, by uwiarygodnić się w oczach Amerykanów przed przyjęciem Polski do NATO.

*„NCz!” 39-40/2018*